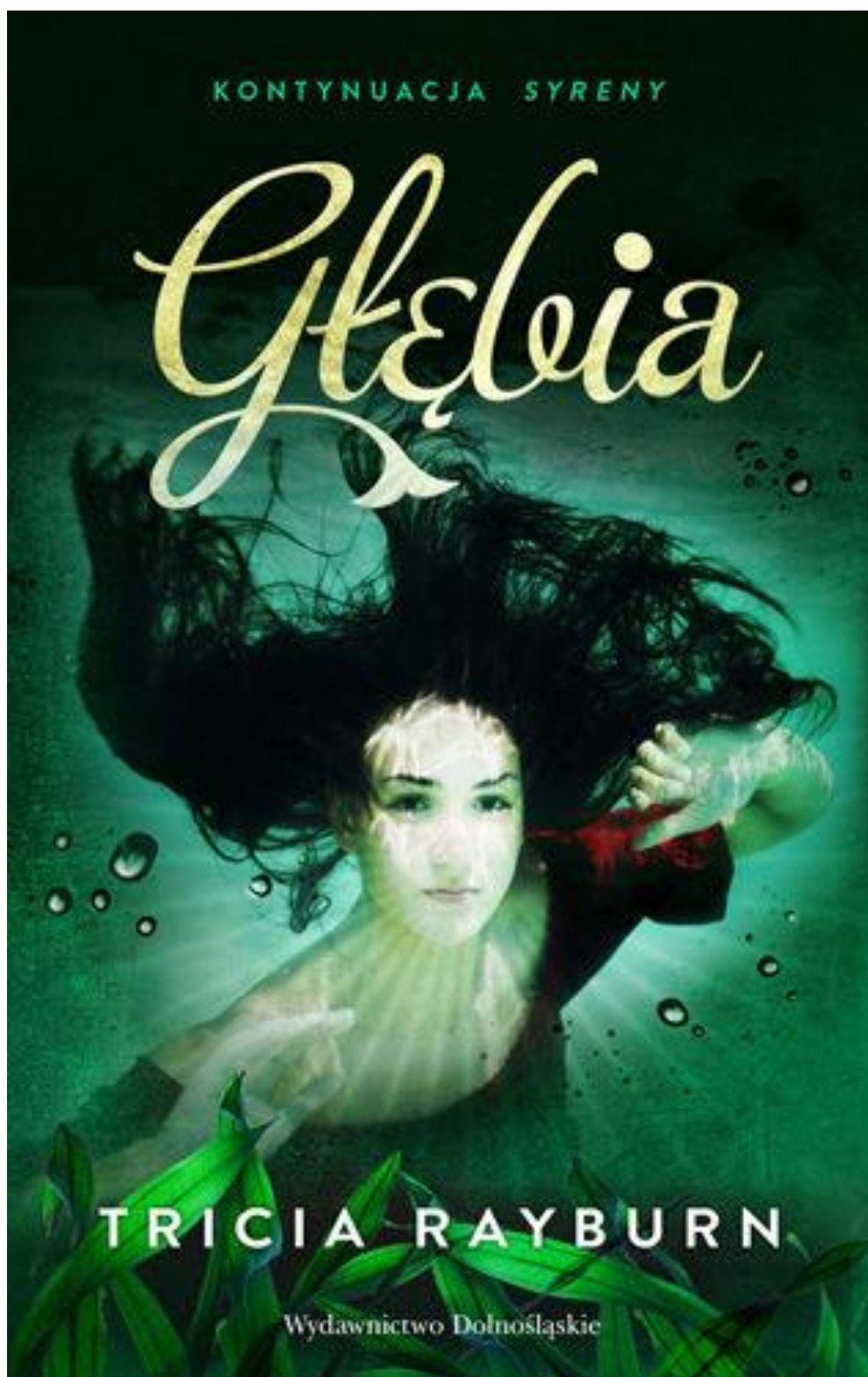


KONTYNUACJA SYRENY

# Głęboka

TRICIA RAYBURN

Wydawnictwo Dolnośląskie



**TRICIA RAYBURN**

***Głębia***

*Wydawnictwo Dolnośląskie*



Odległość między Simonem a mną malała. Najwidoczniej słysząc, jak się zbliżam, przystanął i obrócił się w moją stronę. Poczułam wielką ulgę, że zdołam do niego dotrzeć, zanim cokolwiek się stanie, a kiedy uniósł ramiona, pomyślałam, że chce, żebym wbiegła prosto w jego objęcia. Ale wtedy spotkaliśmy się wzrokiem - w jego oczach ujrzałam strach.

- Vanesso! - zawołał głośno, ale z opanowaniem. - Nie ruszaj się!

Zatrzymałam się z poślizgiem.

- Lód pęka! - krzyknął. - Za tobą!

TOM PIERWSZY

## Podziękowania

Za pomoc w doprowadzeniu do końca tej powieści serdecznie dziękuję wyjątkowej agentce Rebecce Sherman, wspaniałej redaktorce Reginie Griffin, Elizabeth Law, Dougowi Pocockowi, Mary Albi, Alison Weiss oraz pozostałej części zespołu wydawniczego Egmont USA, a także Cecilii de la Campa, Angharad Kowal, Chelsey Heller, Ty King oraz Jennie Shaw z agencji Writers House.

## 1

Był pierwszy września. Dzień, w którym moja starsza siostra Justine powinna zaczynać zajęcia. Kupować podręczniki. Myśleć o przyszłości. Dwoić się i troić, robiąc wszystko to, co zaprzęta głowy studentom pierwszego roku. Jednak cały ten zamęt nie był udziałem Justine, a to dlatego, że o jej przyszłości zdecydował skok z urwiska w środku nocy trzy miesiące wcześniej.

To ja zamiast niej przechadzałam się po kampusie uczelni.

- Przed nami Parker Hall - wyjaśniał mój przewodnik. - A tam widać Hathorn Hall i kaplicę.

Uśmiechnęłam się uprzejmie i ruszyłam za nim dziedzińcem głównym. Ładny, utrzymany w konwencji parku skwer, który otaczały budynki z czerwonej cegły, wrzał od rozmów i śmiechu chłopaków i dziewcząt porównujących plany zajęć.

- To Coram Library - ciągnął dalej, wskazując poszczególne budynki. - A tuż za nią widać Ladd Library, liczącą ponad tysiąc metrów kwadratowych mekkę studentów.

- Robi wrażenie. - Pokiwałam z uznaniem głową i pomyślałam, że to samo mogłabym powiedzieć o moim przewodniku. Miał ciepłe brązowe oczy i ciemne włosy, które były w lekkim nieładzie, jakby tuż przed spotkaniem ze mną uciął sobie drzemkę na otwartej książce. Jego mocne opalone ramiona kontrastowały ze śnieżną bielą koszulki drużyny wioślarskiej. Jeśli strategia Bates College polegała na rozbudzaniu w nastolatkach oprócz ambicji naukowych romantycznych uczuć, to jej przedstawiciel był kimś, kto doskonale realizował to zadanie.

- Jest przy tym bardzo funkcjonalna. Zaufaj mi, wiem coś o tym. - Przystanął, jedną ręką chwycił rękaw mojej bluzy i pociągnął. Zrobiłam krok w jego kierunku, a wtedy pustą przestrzeń, którą jeszcze przed chwilą zajmowała moja głowa, przecięło nadlatujące ze świstem frisbee.

- Ufam - zapewniłam.

Staliśmy tak blisko siebie, że słyszałam, jak nagle wstrzymał oddech. Jego palce zacisnęły się na mojej bluzie, a ramiona naprężyły. Po kilku sekundach puścił mnie i wsunął kciuki pod ramiona plecaka na wysokości obojczyków.

- A co jest tam? - zapytałam.

Śledząc wzrokiem moje skinienie, napotkał wysoki budynek górujący nad obiema

bibliotekami.

- To jest najważniejsza część uczelni - odparł i ruszył przed siebie chodnikiem. Gdy dotarł do frontowych schodów budynku, odwrócił się do mnie z szerokim uśmiechem. - Oto Carnegie Science Hall.

Przyłożyłam dłoń do piersi.

- Słynna Carnegie Science Hall? Czyżby to właśnie tu najbystrzejsze, najbardziej kreatywne umysły tego świata prowadziły przełomowe badania kształtujące krajobraz współczesnej nauki?

Przez chwilę nie odpowiadał, po czym zapytał podejrzliwie:

- Zgadza się, a co?

- Zaczekaj. Muszę zrobić zdjęcie.

- Skoro wiesz, co mieści ten budynek - stwierdził, kiedy gmerałam w torebce w poszukiwaniu aparatu - to musisz też wiedzieć, że prace, jakie prowadzone są w jego murach, wyróżniają naszą uczelnię spośród pozostałych. Nawet jeśli twoją specjalizacją nie są nauki ścisłe, już samo to uzasadnia pokaźne koszty ukończenia studiów, rzędu dwustu tysięcy dolarów.

Vox clamantis in deserto.

Wpatrywałam się w wyświetlacz aparatu, a przed oczami, jeden po drugim, zaczęły przeskakiwać obrazy: zielony brelok na klucze, kubki, sportowa bluza i parasolka. A wszystko to z dobrze znanym logo Dartmouth College.

- Vanesso?

- Przepraszam, zamyśliłam się. - Potrząsnęłam głową i skierowałam aparat tak, by zrobić zdjęcie. - Uśmiech proszę...

Na jego twarzy pojawił się uśmiech, ale po chwili - kiedy przeniósł wzrok na jakiś punkt za moimi plecami - zbladł. Zanim zdążyłam się odwrócić, żeby sprawdzić, co przykuło jego uwagę, poczułam na ramieniu czyjąś dłoń.

- Nie tak powinno być. - Sądząc po wyglądzie, chłopak, który zjawił się w towarzystwie dwóch goryli, mógł być w moim wieku albo o rok czy dwa lata starszy. Miał na sobie spodnie z obniżonym krokiem, polar i buty trekkingowe, jakby od razu po zajęciach zamierzał wyruszyć w góry. Jego kumple, kiedy obrzuciłam ich wzrokiem, wyszczerzyli zęby w uśmiechu.

- To znaczy co nie powinno tak być?

- Widzisz, samo ujęcie jest niczego sobie, ale byłoby o niebo lepsze, gdybyś to ty znalazła się na nim. - Wyciągnął przed siebie dłoń. - Mogę?

- Aha. - Mój wzrok zatrzymał się na aparacie. - Dzięki, ale...

- Mitoza - wypalił nagle mój przewodnik.

Chłopak w górskich butach spojrział w stronę schodów za moimi plecami.

- Właśnie sobie przypomniałem, że w środku jest doskonała wystawa zdjęć przedstawiających mitozę komórkową. Najlepiej ją zobaczyć akurat teraz, późnym rankiem. Powinniśmy się zbierać, zanim zmieni się światło.

- Jasne. - Chłopak w górskich butach kiwnął głową. - Wiesz co, stary, pewnie udałoby ci się przyciągnąć o wiele więcej ludzi, gdybyś do materiałów promocyjnych uczelni dołączał zdjęcie koleżanki.

- Przekażę twoją sugestię do działu rekrutacji.

Chłopak w górskich butach przed odejściem posłał mi jeszcze jedno pełne uznania spojrzenie. Oczekałam, aż on i jego kumple znikną za rogiem, i dopiero wtedy odwróciłam się w stronę schodów. Mój przewodnik wciąż stał na tym samym stopniu z rękami w kieszeniach, a jego twarz wyrażała... zaniepokojenie? Zazdrość?

- Czy w środku faktycznie można obejrzeć wystawę zdjęć pokazujących mitozę? - zapytałam.

- Nawet jeśli tak, nie byłaby punktem programu zwiedzania uczelni. W końcu nie chcemy odstraszyć kandydatów ani zanudzić ich na śmierć.

Uniosłam aparat.

Uśmiechnął się.

Zrobiłam mu zdjęcie, po czym wsunęłam aparat z powrotem do torebki.

- No dobrze, rozumiem, że Carnegie Science Hall wyróżnia tę uczelnię od innych, ale zanim podejmę decyzję, chciałabym zobaczyć coś jeszcze.

- Siłownię? Kino? Muzeum sztuki?

- Akademiki.

Mój puls przyspieszył, kiedy opuścił wzrok. Sądząc, że wprawiłam go w zakłopotanie, byłam już gotowa zaproponować inne miejsce poza miasteczkiem uniwersyteckim, gdzie byłoby mniej ludzi, mniej rozpraszających uwagę bodźców. Ale wtedy ruszył w dół po schodach i skręcił w prawo, tam skąd przyszliśmy.

- Zaczekaj, aż zobaczysz te betonowe ściany i podłogi pokryte linoleum - powiedział.

- Założę się, że już nigdy nie zechcesz wrócić do domu.

Idąc dziedzińcem głównym, nie rozmawialiśmy. Mój przewodnik raz po raz pozdrawiał przyjaciół i kolegów z roku, a ja milczałam. W głowie wirowały mi myśli o Justine, o minionym lecie, o tej jesieni i nie byłam pewna, która z nich przeważa, jeśli

zdecyduję się odezwać. Goniła myśli trwała nieprzerwanie, gdy szliśmy przez kampus i dalej, aż do czwartego piętra budynku z czerwonej cegły. Na szczęście panująca między nami cisza nie była krępująca. Ani razu tego nie odczułam.

- Powiniennem cię ostrzec - odezwał się, kiedy przystanęliśmy przed zamkniętymi drzwiami jego pokoju. - Wystrój pozostawia wiele do życzenia. Takie są skutki, gdy upycha się dwóch studentów biologii w jednym ciasnym pomieszczeniu. A właściwie w jakimkolwiek pomieszczeniu.

- A twój współlokator...?

- Jest na zajęciach. Na czterogodzinnym seminarium, które zaczęło się trzydzieści minut temu.

Poczułam, jak moje serce zaczyna galopować, a wnętrzności zaciskają się w węzeł. Te mieszane uczucia musiały wyraźnie wymalować się na mojej twarzy, ponieważ nagle, zaniepokojony, postąpił w moją stronę.

- Skoro tak - odparłam, z ulgą stwierdzając, że głos wcale mi nie drży - chyba lepiej będzie, jeśli dokończymy zwiedzanie.

To go chyba uspokoiło. Uśmiechnął się, wyciągnął klucze z kieszeni dzinsów i otworzył drzwi. Kiedy weszliśmy do środka, oparł się o zamknięte drzwi, krzyżując ręce za plecami, i badawczo potoczył wzrokiem po wnętrzu. - Hm, ciekawe - mruknął.

- Co takiego? - zapytałam.

- Wystrój.

Rozejrzałam się. Był to pokój o typowym akademickim standardzie, z dwoma łózkami, biurkami, komodami i dwiema półkami na książki. Jedna strona pokoju wyglądała bardziej niechlujnie niż druga i założyłam, że należy do współlokatora, który prawdopodobnie nie spodziewał się odwiedzin. Do nielicznych ozdób należał niebieski dywanik, transparent z logo uczelni i... zdjęcie w ramce przedstawiające dziewczynę w czerwonej łódce.

- Wiedziałem, że czegoś tu brakowało - podjął łagodnie - a nawet domyślałem się czego. I teraz widzę, że się nie myliłem.

Nasze spojrzenia się spotkały. Nie poruszył się, gdy podeszłam bliżej, nie spuszczać z niego wzroku. Czekał, by nabrać pewności, że cokolwiek się zaraz stanie, stanie się, ponieważ tego chce. Minęły dwa miesiące, ale czas niczego nie zmienił. Gdyby upłynął rok, a nawet dwadzieścia lat, moje uczucia byłyby takie same.

Stanęłam najbliżej, jak mogłam, ale tak, żeby nasze ciała nie stykały się ze sobą. Czulałam zapach mydła na jego skórze i widziałam, jak jego pierś unosi się i natychmiast opada. Zacisnął szczęki, a jego szerokie ramiona wyprostowały się, gdy mocniej oparł się o



drzwi i unieruchomił ręce za plecami.

- Vanesso...

- W porządku - wyszeptałam, pochylając się ku niemu. - Wszystko dobrze.

Ledwie musnęłam wargami jego policzek, kiedy chwycił mnie za biodra i przyciągnął do siebie, likwidując dzielące nas centymetry. Jego dłonie przesunęły się z mojej talii na szyję, skąd niespiesznie powędrowały dalej, na twarz, a wtedy ujął ją tak delikatnie, jakby była zrobiona ze szkła. Zanim pochylił się, by przywrzeć wargami do moich ust, znów utkwiliśmy w sobie wzrok, co trwało wystarczająco długo, bym mogła poczuć na sobie ciepło jego spojrzenia.

Gonitwa myśli ustała. Umysł miałam teraz jasny. Liczyła się tylko ta chwila, my, on.

Simon. Mój Simon.

Pierwszy pocałunek był delikatny, pełen słodczy, jakby po długiej rozłące nasze usta poznawały się na nowo. Ale wkrótce przywarły do siebie mocniej, poruszając się bardziej gorączkowo. Obiema rękami uczepliłam się koszulki Simona, podczas gdy jego wargi wędrowały po moim policzku, wokół ucha, w dół na kark. Zatrzymał się tylko raz, bo zabrakło mu nagiego ciała do całowania. Nie chcąc, by przestawał, puściłam jego koszulkę i zdjęłam przez głowę bluzę. Zanim jeszcze rzuciłam ją na podłogę, był znów przy mnie.

Wsparł czoło na moim ramieniu, a jego dłonie, które powoli przesunęły się w dół po moich plecach, dotarły aż do krawędzi dżinsów. Nie przestając się całować, podeszliśmy do łóżka, a kiedy Simon się położył, usiadłam na nim okrakiem i udami objęłam go w pasie.

- Możemy przestać - powiedział łagodnie, gdy się odsunęłam. - Jeżeli czujesz się choć trochę spięta albo niepewna...

Uśmiechnęłam się. Jeżeli, będąc z Simonem, kiedykolwiek czułam się spięta albo niepewna, to nie dlatego, że bałam się znaleźć zbyt blisko niego.

Przeciwnie: bałam się braku bliskości.

- Tęskniłam za tobą - wyznałam.

- Vanesso... nawet nie masz pojęcia, co ja przeżywałam.

Tyle tylko, że ja doskonale wiedziałam. Mogłam odczytać to w każdym jego spojrzeniu, za każdym razem, kiedy wymawiał moje imię, kiedy trzymał mnie za rękę, kiedy mnie całował. Powiedział mi to tylko raz, ale kolejne zapewnienia nie były potrzebne.

Wiedziałam, że Simon mnie kocha.

Niestety, wiedziałam też dlaczego.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zamknęłam je pocałunkiem. Całowałam go tak długo, aż najwyraźniej zapomniał, co chciał zrobić, a ja odsunęłam dobrze mi znaną

dokuczliwą myśl na tyle daleko, by skupić się jedynie na nim, na nas, na tu i teraz.

Ponieważ ta chwila miała się skończyć. Musiała się skończyć. Momentami, pijana ze szczęścia, zatracając się tak mocno, że pozwalałam sobie wierzyć, iż będziemy tak trwać całą wieczność... jednak rzeczywistość nigdy nie dawała o sobie zapomnieć.

Jak wtedy, gdy później leżeliśmy obok siebie ze splecionymi nogami, a moja głowa spoczywała na jego piersi; gdy Simon w zamyśleniu przeczesywał palcami moje włosy, a ja wpatrywałam się w zdjęcie dziewczyny w czerwonej łódce, które stało na komodzie przy biurku, i liczyłam miarowe, wolniejsze uderzenia jego serca.

- Zaraz wracam - wyszeptałam.

Owinęłam się w prześcieradło, wstałam z łóżka i z wielkim trudem poczłapałam do komody. Zamieniłam prześcieradło na szlafrok Simona, sięgnęłam na półkę po ręcznik, po czym podniosłam z podłogi torebkę i wyszłam z pokoju.

Znalazłszy się na korytarzu, ruszyłam biegiem. Wcześniej, kiedy Simon prowadził mnie do pokoju, mijaliśmy łazienkę, więc teraz trafiłam do niej bez trudu. Ignorując ciekawskie spojrzenia przechodzących korytarzem studentów, szarpnięciem otworzyłam drzwi i wpadłam do środka.

Każda kabina prysznicowa dzieliła się na dwie komory: część kąpielową z brodzikiem i prysznicem oraz niewielką przestrzeń, gdzie można było się wysuszyć. Popędziłam do ostatniej kabiny i z trzaskiem zasunęłam winylową przegrodę. Trzy razy upuściłam torebkę, zanim zdołałam pewnie ją uchwycić trzęsącymi się dłońmi, otworzyć i wyjąć ze środka plastikowy pojemnik. Następnie rzuciłam torebkę i szlafrok Simona na posadzkę i weszłam do brodzika.

Wydawało mi się, że moja klatka piersiowa i skóra płoną żywym ogniem. Nogi miałam kompletnie zdrętwiałe. Musiałam użyć wszystkich sił, by odkręcić kurek i podważyć wieczko plastikowego pojemnika.

Skierowałam głowę w stronę sitka prysznicza, tak że woda popłynęła strumieniem po mojej twarzy. Otworzyłam usta i przystawiłam do nich pojemnik, krztusząc się, kiedy woda wraz z proszkiem wdarła mi się do gardła.

I chwilę potem nareszcie poczułam ulgę. Przychodziła powoli, z każdym łykiem. Niewidzialne płomienie trawiące moją skórę stopniowo zostały ugaszone, a palenie w piersi ustało. Czując, że wstępuje we mnie siła, nabierałam z pojemnika i 5 garście soli i wcierałam w całe ciało. Drobne kryształki drapały, by po chwili rozpuścić się w wodzie, przynosząc ukojenie.

To tylko peeling do ciała, powtarzałam w myślach. Złuszcza naskórek - takich samych

używa się w spa.

Gdy tylko powróciło czucie, nogi natychmiast ugięły się pode mną. Osunęłam się na dno brodzika i przyciągnęłam kolana do klatki piersiowej. Zimna woda obmywała mnie od głowy aż do stóp, zmywając gorące krople, które wypływały mi z oczu.

Justine zawsze powtarzała, że na strach przed ciemnością najlepsze jest udawanie, że w rzeczywistości jest zupełnie jasno. Tę strategię stosowała w niezliczonych przypadkach, kiedy byłyśmy dziewczynkami, z kolei ja, niezależnie od sytuacji, wciąż na niej polegałam, zwłaszcza gdy byłam zbyt wystraszona, żeby trzeźwo myśleć.

Dlatego właśnie po kilku minutach dźwignęłam się, wytarłam, ubrałam i ruszyłam korytarzem. W pokoju wgramoliłam się z powrotem do łóżka i zwinęłam w kłębek obok Simona. A kiedy mnie pocałował i zapytał, czy dobrze się czuję, zapewniłam go, że mam się świetnie.

Ponieważ to, czego bałam się najbardziej na świecie, to wyznać Simonowi prawdę.

## 2

Od czasu, gdy dwa tygodnie wcześniej wróciliśmy z Maine do Bostonu, rodzice dawali mi zaskakująco dużo swobody. Tato, akademicki nauczyciel literatury, zawsze szanował prawo do prywatności, jednak teraz stał się pod tym względem jeszcze bardziej wyrozumiały. (Choć nie byłam pewna, czy miało to służyć mnie czy jemu). Z kolei mama, która dawniej śledziła wszelkie moje poczynania równie uważnie co wahania papierów wartościowych swoich klientów na Wall Street, teraz skłonna była zadowolnić się jednorazową dawką nowin przekazywanych przy kolacji. Sądziłam, że to ich sposób na złagodzenie bólu związanego z powrotem do domu, w którym nie było już Justine, i zakładałam, że nie zmienią swojego postępowania, dopóki nie otrzymają ode mnie jasnego sygnału, iż nie jest ono konieczne.

Myliłam się.

- Szósta czterdzieści pięć! - zaszcebiotała mama pierwszego dnia szkoły.

Zanurzona pod wodą, nie poruszyłam się.

- Za dziesięć siódma!

Otworzyłam szeroko usta, a letni płyn wypełnił mi gardło i powędrował w głąb ciała.

- Vanesso? - Tym razem odezwała się znacznie ciszej. Jej głos zdawał się docierać do mnie jakby w zwolnionym tempie. - Śniadanie na stole... Pomyślałam, że gdybyś znalazła kilka minut... to może moglibyśmy usiąść razem i...

Przysiadłam w wannie.

- Zaraz wychodzę.

Najpierw zapadła cisza, a potem słychać było powolne, ciężkie stąpanie po korytarzu. Wstałam, wyciągnęłam korek z odpływu i odkręciłam kurek od prysznica. Do mycia użyłam dwa razy więcej mydła niż zwykle, żeby nie zalatywało ode mnie tak, jakbym cały ranek spędziła na plaży, a potem słuchawką prysznica spłukałam brzegi wanny. Gdy uporczywa biała warstewka wreszcie zniknęła, zakręciłam kran, szybko się wytarłam i ukryłam niebieski pojemnik z solą za rolkami papieru toaletowego w bieliźniarce.

Pominąwszy nowe zwyczaje kąpielowe, gdyby wydarzenia minionego lata nie miały miejsca, właśnie tak przebiegałby typowy wrześniey poranek w naszym domu. Tak samo obudziłabym się wcześniej rano. Mama zapukałaby do drzwi łazienki, żeby mnie ponaglić. Tato przygotowałby śniadanie. A Justine nie byłoby w domu.

Właśnie to powtarzałam sobie, idąc korytarzem do mojego pokoju, a ściślej rzecz biorąc - do pokoju należącego teraz do Paige.

Moja przyjaciółka, obrócona plecami do wejścia, przeglądała się w dużym stojącym lustrze. Była ubrana w strój obowiązujący w prywatnym liceum im. Hawthornea: granatową spódniczkę do kolan, dopasowaną białą koszulę i purpurową wełnianą kamizelkę. Na podłodze u jej stóp leżała skórzana listonoszka, a otwarta kłapa ujawniała zawartość torby w postaci nowych zeszytów i przyborów do pisania.

- Vanesso! Dobrze, że jesteś! Jeszcze chwila, a ten krawat zostałby zdegradowany do roli paska.

Gdy podeszłam, by pomóc jej zawiązać krawat, zobaczyłam, że przy uchu trzyma telefon.

- Proszę, babcia Betty chce się z tobą przywitać.

Klinując telefon między uchem a ramieniem, zawiązałam niebieski jedwabny krawat Paige.

- Witaj, Betty.

- Vanesso, kochanie, jak przebiegają przygotowania do wielkiego dnia?

Znajome ciepło w jej głosie wywołało uśmiech na mojej twarzy.

- Wszystko dopięte na ostatni guzik. A dzięki twojej cudownej, pilnej wnuczce mam teraz więcej długopisów i karteczek samoprzylepnych niż najlepiej zaopatrzona hurtownia artykułów biurowych w Bostonie.

- Lepiej nosić, niż się prosić. - Betty i Paige zarecytowały równocześnie.

- To może pójde się przebrać. - Roześmiałam się.

- W takim razie nie będę cię zatrzymywać - oznajmiła Betty. - Życzę ci wspaniałego dnia. I jeszcze raz dziękuję, że tak doskonale zaopiekowałaś się moją małą Paige.

Pożegnałyśmy się, po czym oddałam telefon Paige, która zamieniła z babcią jeszcze kilka słów na do widzenia i rozłączyła się.

- Później nauczę cię, jak to się robi. - Zacisnęłam i wyrównałam węzeł krawata na szyi Paige. - Jak raz to sobie przyswoisz, już nigdy nie zapomnisz.

- Mam nadzieję, że to samo dotyczy reszty dnia. - Odwróciła się do lustra. - Hawthorne to dla ciebie który etap edukacji? Trzeci?

- Licząc edukację przedszkolną, czwarty. Na początku było przedszkole im. Johna Adamsa, potem podstawówka im. Ralpha Emersona, a potem gimnazjum im. Johna Kennedy'ego.

- Szkoły, do których ja chodziłam, nosiły nazwy miasteczek, a nie imiona

prezydentów i słynnych intelektualistów. Nieźle, co?

- Pewnie. - Przeszłam na środek pokoju. - Mieszkasz tam, gdzie nadziani bostończycy zostawiają w sezonie góry pieniędzy. Gdyby byli choć w połowie tak mądrzy jak ty, posprzedawaliby swoje gustowne kamienice przy Newbury Street i na dobre przenieśli się do Maine.

- Mieszkałam.

Przystanęłam i odwróciłam się w jej stronę.

- Mieszkałam tam, gdzie nadziani bostończycy zostawiają w sezonie góry pieniędzy.

Poczułam ucisk w piersi. Nie ja jedna poniosłam stratę tego lata. Właściwie, gdyby dało się to jakoś przekalkulować, musiałabym przyznać, że strata Paige była czterokrotnie większa od mojej. To dlatego znajdowała się tutaj, a nie w rodzinnym Winter Harbor.

- To nie będzie trwać wiecznie - pocieszyłam przyjaciółkę.

- Jeśli zechcesz, możesz wrócić nawet przed końcem tygodnia.

Pociągnęła nosem, a ja zawróciłam, gotowa tulić ją w ramionach tak długo, jak długo zamierzałyby płakać. Jednak ona powachlowała dłońmi zażawione oczy i posłała mi swój słynny uśmiech. Ten sam, który trzy miesiące wcześniej, kiedy spotkałyśmy się po raz pierwszy w jej rodzinnej restauracji, sprawił, że natychmiast poczułam się wyjątkowo swobodnie.

- Nie zeszlabyś na dół na śniadanie? - Uścisnęłam ją krótko.

- Ubiorę się i zaraz do was dołączę.

Paige pokiwała głową, po czym wyszłyśmy razem na korytarz. Przy ostatnich drzwiach po lewej ja skręciłam, a ona poszła dalej w stronę schodów.

Gdy znalazłam się w swoim pokoju, podeszłam do czerwonej walizki. Wciąż leżała w miejscu, w którym ją zostawiłam po powrocie do Bostonu, gdy przeniosłam się do pokoju Justine, żeby Paige mogła zająć mój. Tamtego wieczoru wypakowałam krótkie spodenki i koszulki, zastępując je jesiennymi ubraniami, które odtąd zamierzałam nosić. Dywan wokół walizki zaścielały dzinsy, swetry i staniki niczym śmieci wysypujące się z przepelnionego śmietnika. W normalnych warunkach cały ten bałagan zostałby uprzątnięty do wtorku, kiedy przychodziła pomoc domowa... ale ona nie miała już wstępu do tego pokoju.

Odnalazłam wszystkie elementy mundurka, szybko się przebrałam i związałam mokre włosy w kucyk. Kiedy szukałam skarpetek, zabrzączał telefon.

Leżał na stoliku nocnym obok czterolitrowej butelki do połowy wypełnionej wodą. Biorąc duży łyk, otworzyłam klapkę telefonu i odczytałam wiadomość.

„Ciekawostka rekrutacyjna nr 48: Średnia ocen pierwszoroczników przyjmowanych

do Bates wynosi 3,6”.

Uśmiechnęłam się i odpisałam:

„Potencjalna ciekawostka rekrutacyjna nr 62: Moja średnia to 4,0. Dopóki mam taką przewagę, może powinnam zrezygnować i wyjechać na północ? Nie mogę się doczekać spotkania”.

Przeczytałam wiadomość i zawahałam się. Jedyne, z czego powinnam zrezygnować, to... flirtowanie, to związek, który im dłużej potrwa, tym gorzej się skończy. Ale gdybym nie odpisała, czy nie zacząłby się martwić, że coś się stało? Uznawszy, że na pewno by tak było, wcisnęłam przycisk „Wyślij” i zesłałam na dół.

- Oto i ona! - obwieściła mama, nawet na mnie nie patrząc, gdy weszłam do kuchni. Była zajęta krojeniem truskawek przy stole. - Nasza mała córeczka zaczyna ostatni rok szkoły średniej. Nie do wiary!

Te słowa były skierowane do taty, który stał przy blacie i wsypywał czekoladowe płatki śniadaniowe do miski z ciastem naleśnikowym. Zanim zdążył odpowiedzieć, mama zerknęła na mnie i wstała od stołu.

- Vanesso, kochanie... co się stało?

Wyciągnęła rękę, by chwycić mnie za ramię, ale zrobiłam unik i ominęłam ją łukiem. Przemknęłam obok blatu, zgarniając kilka czekoladowych płatków, po czym opadłam na krzesło. Tato podniósł wzrok, gdy przechodziłam. Wiedziałałam, że zauważył, co zaniepokoiło mamę, ale to przemilczał.

- Musisz tego spróbować. - Paige podsunęła mi pod nos talerz cytrynowych rogalików. - Louis by sfiksował.

Louis był szefem kuchni w Restauracji Rybnej „U Betty” w Winter Harbor, która należała do rodziny Paige. Wypowiedziała jego imię bez zawahania, zupełnie jakby zaserwowano nam to śniadanie w knajpce za rogiem, a nie jakieś pięćset kilometrów z dala od imperium, którym władał.

- Vanesso. - Mama stanęła przede mną. - Wyglądasz, jakbyś od tygodni spała w tym ubraniu.

- W ostatniej klasie nikt nie używa żelazka. To taki rytuał przejścia w dorosłość.

- Nic podobnego. Justine zawsze...

Opuściła wzrok. Wypowiedziane na głos imię Justine często kończyło rozmowę szybciej, niż się zaczęła.

- Cieszysz się, że wracasz do pracy? - zwróciłam się do mamy, sięgając po półmisek z jajecznicą. - Miałaś długą przerwę.

- Paige, kochanie, masz ochotę na coś jeszcze? - zapytała mama. - Może napijesz się kawy? Albo zjesz płatki?

Paige spojrzała na mnie. Śledziłam wzrokiem mamę, która miotła się po kuchni. Nalała do kubka kawy i zostawiła go na kuchennym blacie. Umyła talerz, po czym wsunęła go z powrotem do zlewu pełnego brudnej wody.

Potem sięgnęła do szafki po pudełko płatków kukurydzianych, by po chwili odstawić je w miejsce soku pomarańczowego w lodówce.

- Twoja mama zostanie jeszcze przez jakiś czas na urlopie - wyjaśnił tato, stając obok mnie z talerzem naleśników.

- Przecież nie pracuje już od dwóch miesięcy.

- Mówiła, że chce być w domu, kiedy będziesz wracać ze szkoły.

- Tego nie było, odkąd...

Urwałam w połowie zdania. Zamierzałam powiedzieć, że tego nie było, odkąd Justine i ja chodziłyśmy do podstawówki... ale nigdy nie wymawialiśmy jej imienia więcej niż raz w ciągu jednego posiłku. A skoro mamie już teraz odbiło do tego stopnia, wolałam nie sprawdzać, co się stanie, jeśli imię Justine padnie znowu.

- A wracając do początku rozmowy... - Głos taty stał się weselszy, donośniejszy, gdy nadział dwa naleśniki na widelec i położył na moim talerzu. - Zgadzam się, to nie do wiary, że nasza mała córeczka zaczyna ostatni rok szkoły średniej.

Wpatrywałam się w jedzenie, czując, jak po twarzy rozlewa mi się rumieniec. Nasza mała córeczka. Jak mógł coś takiego powiedzieć? A co bardziej zdumiewające, jak ona mogła? Czyżby po siedemnastu latach praktyki kłamstwo przychodziło z taką łatwością?

- Mogę prosić o sól? - zapytałam.

Paige podała mi solniczkę. Zaczekałam, aż tato znów podejdzie do kuchenki, a głowa mamy zniknie za drzwiami otwartej lodówki, zanim obficie posoliłam jedzenie, łącznie z naleśnikami, które były tak słodkie, że z powodzeniem mogłyby uchodzić za deser.

Dalsza część śniadania przebiegła spokojnie. Tato skończył smażyć, a mama przestała biegać po kuchni i znalazła chwilę, by usiąść i zjeść. Paige zapytała tatę o zajęcia prowadzone przez niego w tym semestrze, czym sprowokowała dwudziestominutowy monolog. Jadłam w milczeniu, rozmyślając o tysiącach posiłków, w których uczestniczyłam przy tym samym stole, o takich samych naleśnikach, o mniej więcej takich samych rozmowach, jakie się tu odbywały... i o tym, że wtedy nie przypuszczałam nawet, jak niewiele wiem o własnej rodzinie.

Poczułam ulgę, kiedy nadszedł czas, by wyjść. Nie byłam szczególnie uradowana



perspektywą powrotu do szkoły, ale cieszyła mnie myśl, że przez kilka godzin będę poza domem.

- Macie wszystko, co trzeba? - Mama szybkim krokiem ruszyła w ślad za nami, gdy razem z Paige wyszliśmy do salonu. - Zeszyty? Plakietki identyfikacyjne? Pieniądze na drugie śniadanie?

- Tak, tak i jeszcze raz tak. Otworzyłam drzwi frontowe i ruszyłam po schodach. Powietrze lepilo się od duchoty i miało minąć jeszcze kilka tygodni, zanim chłód jesieni ostudzi zmęczone upałem miasto. Niemal fizycznie poczułam, jak otwierają się pory mojej skóry, a twarz wilgotnieje od potu; miałam nadzieję, że zapas słonej wody wystarczy, żebym się nie odwodniła przez cały dzień.

- Na pewno nie chcecie, by was podwieźć? - nie przestawała namawiać mama, stanąwszy w otwartych drzwiach.

Tato dołączył do mamy i objął ją w pasie.

- Nic im nie będzie.

Już się nie odezwała, tylko zmarszczyła brwi, a czubek jej nosa zaróżowił się i błyszczał jak zawsze, gdy była zmartwiona albo zaniepokojona. Wyglądała tak samo jak tamtego czerwcowego poranka parę miesięcy temu, kiedy całkiem sama wyjeżdżałam do Winter Harbor i miałam do przejechania dziesięciokrotnie dłuższy dystans niż kiedykolwiek wcześniej.

Wtedy było mi jej żal, ale teraz to uczucie wielokrotnie się spotęgowało. Do tego stopnia, że wbiegłam na górę i dałam jej całusa w policzek.

- Niedługo się zobaczymy.

Obróciłam się, chcąc zbiec po schodach, ale tato pochylił się i wyciągnął wolną rękę. Nastąpił niezręczny moment, gdy on czekał na czule pożegnanie z mojej strony, a ja rozważałam, czy zrobić to, czego on pragnie. W końcu uściśnęłam mu dłoń i prędko zeszłam po schodach.

- Pójdziemy przez park Common - zaproponowałam Paige. - Tak będzie szybciej.

Przejsie przez główny park w Bostonie w rzeczywistości wydłużało trasę o jakieś piętnaście minut, ale najprostszy i najkrótszy odcinek z domu do szkoły przemierzałyśmy zawsze razem z Justine, a ja nie czułam się jeszcze na siłach, by iść tą drogą - dosłownie i w przenośni. Poza tym kiedy wyszliśmy z domu, strach, który od kilku dni napływał falami, teraz wezbrał na dobre.

Na szczęście Paige doskonale radziła sobie z odwracaniem mojej uwagi. Pytała o każdy charakterystyczny obiekt mijany po drodze, od słynnych bostońskich amfibii

obwożących turystów po mieście, przez ogromny park Public Garden, po budynek stacji kolejowej przy Boylston Street, a ja - ku własnemu zaskoczeniu - potrafiłam udzielać jej odpowiedzi. Nasza przyjaźń nie trwała długo, ale przeszliśmy razem wystarczająco dużo, by każda z nas wiedziała, kiedy ta druga nie jest w nastroju do rozmowy o tym, co ją gnębi. W ten sposób w ciągu ostatnich tygodni dowiedziałam się o zupie rybnej i zarządzaniu restauracją więcej, niż kiedykolwiek chciałabym wiedzieć, z kolei Paige usłyszała o Bostonie tyle, ile nie zdołałaby wyczytać we wszystkich przewodnikach razem wziętych. Jedyne problem w naszej małej grze polegał na tym, że raz po raz przechodziło mi przez myśl, jak dumna byłaby ze mnie Justine... co nie miało sensu oczywiście.

- Vanessa? - Ktoś zawołał cicho.

Kątem oka zobaczyłam, że Paige lekko zwalnia kroku i ogląda się za siebie.

- Vanesso!

Szłam dalej, oddalając się od wołania i odgłosu kroków, które przyspieszyły, by nadrobić dystans, aż po chwili poczułam dotknięcie czyjejś dłoni na plecach.

- Natalie, to ty! - Za mną stała jedna z przyjaciółek Justine. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, dziewczyna przechyliła głowę na bok. - Myślałam, że jesteś już na Uniwersytecie Stanforda.

- Nie, zdecydowałam się jednak na Instytut Technologii w Massachusetts. Mój ojciec uruchomił parę kontaktów, żeby mnie przyjęli, chociaż wcześniej nie brałam tej uczelni pod uwagę. Ale po tym, jak Justine... po tym, co się stało...

Opuściłam wzrok, gdy próbowałam znaleźć właściwe słowa. Nawet nie doszłam jeszcze do szkoły, a już się zaczęło.

- Bo widzisz, życie jest takie krótkie... Jakoś nie mogłam przeprowadzić się prawie pięć tysięcy kilometrów z dala od rodziców. - Pociągnęła nosem i zbliżyła się do mnie, z zaciekawieniem błędząc wzrokiem po moim pogniecionym mundurku. - A jak ty się czujesz, biedactwo? Musisz być zupełnie rozbita.

- Kim jest tamten facet? - zapytała nagle Paige.

Poczułam ucisk w żołądku i popatrzyłam w kierunku wskazanym przez nią palcem, na szczęście jednak chodziło o wysoki szary pomnik.

- To Robert Gould Shaw. Bostończyk urodzony w szanowanej rodzinie abolicjonistów. Służył jako pułkownik 54. Ochotniczego Pułku Piechoty Massachusetts w amerykańskiej wojnie domowej.

- Niesamowite - zachwyciła się Paige, a Natalie zmarszczyła brwi.

- Musimy już iść - wyjaśniłam. - To pierwszy dzień mojej przyjaciółki w Hawthorne,

wolałybyśmy się nie spóźnić. Ale miło było cię spotkać. Naprawdę.

Odwrociłam się i wlałam prosto na Maureen Flannigan. Mimo że chodziłyśmy do jednej klasy, nie znałyśmy się zbyt dobrze. To jednak nie powstrzymało jej przed uściskaniem mnie.

- Vanesso - westchnęła, owijając ramiona wokół mojego tułowia niczym rękawy kaftana bezpieczeństwa. - Tak strasznie mi przykro z powodu twojej siostry. Nie potrafię sobie wyobrazić, co bym zrobiła, gdyby mój brat się zabił, robiąc coś głupiego, chociaż - jeśli mam być zupełnie szczerą - wcale za nim nie przepadam.

- Dzięki. - Posłałam Paige błagalne spojrzenie, ale ona panowała nad sytuacją.

- Przepraszam, że przerywam - oznajmiła, chwytając mnie za łokieć - ale przed zebraniem w auli mamy spotkanie integracyjne dla przyszłych pierwszoroczników.

Gdy Maureen uwolniła mnie z uścisku, posłałam jej grzecznościowy uśmiech.

- Faktycznie, musimy lecieć. Ale dziękuję. Miło było cię spotkać.

Zanim dotarliśmy do wysokiego sklepionego przejścia z kutego żelaza, które prowadziło na teren prywatnego liceum im. Hawthornea, odebrałam jeszcze kilkanaście podobnych życzeń przypominających karty z kondolencjami. Jak widać, koleżanki i koledzy z klasy byli bardzo zaniepokojeni moim samopoczuciem i chcieli wiedzieć, czy mogą coś dla mnie zrobić. Niektórzy nawet wstrzymali oddech na mój widok, jakbym to ja zginęła i powróciła zza zaświatów, by dręczyć kwiat młodzieży z najlepiej sytuowanych rodzin w Bostonie.

- Zauważyłam, że jesteś bardzo popularna - stwierdziła Paige, gdy przystanęłyśmy przed bramą wejściową. - To znaczy wcale mnie to nie dziwi. Ja akurat wiem, jaka jesteś wspaniała. Po prostu nigdy nie wspominałaś, że masz tylu przyjaciół.

- Te dziewczyny wcale nie są moimi przyjaciółkami. To koła zębate młyna plotek. Jestem ich smarem.

- Szczerze mówiąc - rzuciła - nie o dziewczynach myślałam.

Spojrzałam na nią. Paige przeniosła wzrok na grupkę stojącą na chodniku nieco dalej, potem na kolejną po drugiej stronie ulicy i jeszcze jedną na frontowym dziedzińcu szkoły.

Dziewczęta w każdej z tych grupek uporczywie mi się przyglądały i dopiero kiedy orientowały się, że je widzę, posyłały mi krótki przeproszający uśmiech, po czym odwracały głowy.

Z kolei chłopcy, z których większość spotykała się z tymi dziewczynami, wlepiali we mnie szeroko otwarte oczy i rozdziawiali usta, zupełnie jakby ich dziewczyn z nimi nie było. Zupełnie jakby wcale nie mieli dziewczyn.

Zupełnie jakbym była jedyną dziewczyną na tej planecie.

Bezwiednie zaczęłam się wycofywać. Wcześniej myślałam, że przyście do szkoły będzie najlepszym sposobem na rozproszenie myśli, na jaki mogłam liczyć, i że jestem na to gotowa... ale najwyraźniej było jeszcze za wcześnie... Nagle zapragnęłam znaleźć się w domu, wgramolić do łóżka, naciągnąć kołdrę na głowę i trwać tak, dopóki wszystko nie stanie się prostsze.

- Vanesso, co ci jest?

Zatrzymałam się. Paige stała parę metrów dalej, tam gdzie ją zostawiłam. W tym czasie musiał zadzwonić dzwonek, bo uczniowie ruszyli powolnym krokiem pod żelaznym sklepieniem, a Paige uniosła zaniepokojone spojrzenie na imponujący budynek z czerwonej cegły, jakby był więzieniem pełnym zabójców, nie zaś szkołą pełną nauczycieli.

- Nie dam rady - oznajmiła, gdy znów stanęłam obok. - Myślałam, że mi się uda. Myślałam, że kiedy tu przyjdę, kiedy zacznę wszystko od początku w całkiem nowym miejscu... może będzie łatwiej... może uda się zapomnieć...

- Paige. - Chwyciłam przyjaciółkę za ramię i obróciłam przodem do siebie. - Nigdy nie zapomnisz. Nieważne, gdzie będziesz i ile czasu minie. - Wzięłam głęboki oddech, ośmielona własnymi słowami. - Ale wejdiesz do tego budynku. Wejdiesz do klasy, poznasz nowych ludzi i jakoś zniesiesz ten dzień. Tak samo jak ja.

Posłała mi wąły uśmiech.

- A ja myślałam, że to ty się boisz własnego cienia.

Miała rację, bałam się - teraz może nawet bardziej niż kiedykolwiek. Tak samo jak bałam się ciemności, latania i horrorów. Ale w tamtej chwili najbardziej bałam się, by nie zawieść przyjaciółki, która z każdym wspólnie spędzonym dniem stawała mi się bliska jak siostra.

Chwyciłam Paige pod ramię i przeprowadziłam pod żelaznym łukiem. Zaprowadziłam ją do sekretariatu i czekałam, aż wypełni wszystkie formularze, potem pokazałam, gdzie jest jej szafka, i zaprowadziłam do auli. A kiedy później biegłam do swojej szafki po przeciwległej stronie budynku, czułam się spokojniejsza i bardziej pewna siebie niż w którykolwiek pierwszy dzień szkoły.

Dlatego, kiedy po raz tysięczny zostałam zapytana, czy dobrze się czuję, odpowiedziałam zgodnie z prawdą:

- Nie. - Nie zadałam sobie trudu, by spojrzeć, kto, ukryty za otwartymi drzwiczkami mojej szafki, zadał to pytanie. - W zeszłym roku niewiele osób potrafiłoby skojarzyć moją twarz z nazwiskiem, jeśli nie zajrzałoby wcześniej do książki pamiątkowej rocznika. W tym

roku gapią się na mnie i szepczą, udając zatroskanie, zupełnie jakby od tego zależało, czy zostaną przyjęci na prestiżową uczelnię. Rzeczywiście, moja siostra nie żyje. Ale to nie czyni z nas przyjaciół.

Pchnęłam drzwiczki do szafki, które zatrzasnęły się ze szczęknięciem.

- Twoje siostra nie żyje?

Otworzyłam usta ze zdumienia. Ale nie zdołałam wypowiedzieć ani słowa.

- Bardzo mi przykro. Naprawdę. Nie miałem pojęcia.

Przede mną stał Parker King, który wyglądał zupełnie jak model z reklamy ciuchów Ralpho Laurena, pachniał zresztą też zabójczo.

Parker King jeszcze nigdy do mnie nie podszedł. Nigdy ze mną nie rozmawiał. Całkiem możliwe, że nigdy mnie nawet nie widział. A to dlatego, że kiedy akurat nie odpierał ataku przeciwników podczas meczu piłki wodnej w szkolnym basenie, otaczał go wianuszek ślicznotek hałaśliwie domagających się jego uwagi. A jednak w tym momencie stał przede mną, pytając, czy dobrze się czuję, i odniosłam wrażenie, że robi to całkiem szczerze.

Uwierzyłam Parkerowi, gdy zapewnił, że nie słyszał o śmierci Justine. To było pocieszające, ponieważ oznaczało, że zaczynając rozmowę, nie kierował się fałszywym współczuciem.

Oznaczało także, że zaczynając rozmowę, miał inny powód. A to było o wiele gorsze.

Po pięciu nieskończone długich dniach Paige i ja znalazłyśmy się w Ladd Library w Bates, gdzie czekałyśmy na Simona.

- Ile zdaniem twojego przewodnika jest ksiązek w tej mekce nauki? - wyszeptła, opadając na fotel obok mnie.

- Sześćset tysięcy - odpowiedziałam równie cicho.

- Taka góra ksiązek i tylko dwie marne pozycje o syrenach.

Ostry, gwałtowny skurcz przeszył moją pierś. Nie wspominałam Paige o przemianie, jaką przesłam ubiegłego lata - takiej samej, jakiej ona by doświadczyła, gdyby Raina i Zara dopięły swego - a jej niespodziewany komentarz trafił w samo sedno.

- Myślałam, że szukasz sekretnej kolekcji szmirowatych powieści - zdziwiłam się.

- Voilà. - Uniosła jedną ze znalezionych ksiązek.

- Śpiew syreny: czy odpowiadać na jej wołanie? - Zmarszczyłam brwi na widok okładki przedstawiającej ponętą pół kobietę, pół rybę ściskającą w objęciach bezgłowy tułów mężczyzny.

- Może być bardziej zajmująca niż ta. - Pokazała mi drugą ksiązkę w gładkiej brązowej okładce, bez obwoluty.

- Odyseja?

- Straszna nuda, wiem, ale nigdy jej nie czytałam. W mojej ostatniej szkole niespecjalnie palili się do klasyków. A zresztą może wcale tak nie było, tylko niektóre książki zostały wykreślone z listy lektur przez pewną apodyktyczną członkinię wspólnoty.

Gdy Paige przerzucała kartki książki, bacznie obserwowałam jej twarz. Była tylko jedna apodyktyczna członkini wspólnoty, którą mogła mieć na myśli: Raina Marchand. Ale Paige od miesięcy nawet słowem nie wspomniała ani o swojej matce, ani o siostrze Żarze, ani o ukochanym Jonathanie. Nie mówiła o nich, będąc w szpitalu, kiedy odzyskiwała siły po utracie dziecka, które nie mogło przyjść na świat ze względu na niedostatki jej ciała, ani kiedy odpoczywała po powrocie do domu, ani nawet kiedy zaproponowałam, by rok szkolny spędziła w Bostonie. To oczywiście nie znaczyło, że nigdy o nich nie myślała. Jej twarz stawała się posępna, a oczy zachodziły łzami wystarczająco często, bym mogła się domyślać, że wspomnienia o nich nawiedzają ją niemal bez przerwy. Jednak tym razem bardziej bezpośrednio niż kiedykolwiek napomknęła o jednej z tych osób, a ponieważ zrobiła to tak swobodnie, szczególnie mnie zaniepokoiła. Chyba mniej bym się zmartwiła, gdyby wybuchła płaczem na samym środku biblioteki.

- Paige... jesteś pewna, że to dobry pomysł?

- Kiedyś i tak będę musiała dowiedzieć się więcej. Dlaczego nie teraz?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, zza fotela wyłonił się Simon i usiadł na niskim stoliku przed nami.

- Cześć - przywitał się. - Przepraszam, że musiałyście czekać. Kiedy już mój profesor od orgo się rozkręci, nie potrafi przestać.

- Od orgo? - zapytała Paige.

- Od chemii organicznej. - Uśmiechnął się. - Miło cię widzieć, Paige. Cieszę się, że przyjechałaś.

- Słowo daję, opierałam się. - Uniosła dłoń jak do przysięgi. - Ale Vanessa zagroziła, że jeśli ja nie przyjadę, to ona też nie, a to po prostu nie wchodziło w grę.

Simon zwrócił się teraz w moją stronę i ból w piersi natychmiast minął pod wpływem jego ciepłego uśmiechu. Gdybyśmy nie byli w miejscu publicznym, wskoczyłabym mu na kolana i zarzuciła ramiona na szyję.

### 3

- Dwadzieścia jeden.

Podniosłam wzrok, zaskoczona, i zobaczyłam chłopaka stojącego za Simonem. Był wysoki i miał kręcone blond włosy układające się w delikatne loczki. Był ubrany w workowate dzinsy i koszulkę załogi wioślarskiej Bates, a przed sobą trzymał otwarty laptop.

- Jest dwadzieścia jeden stopni i dopiero druga po południu. Jeśli zbierzemy się teraz, będziemy mieli mnóstwo czasu.

- Na co? - zapytała Paige.

Chłopak podniósł wzrok znad ekranu komputera. Wstrzymałam oddech i przygotowałam się na spojrzenie, którego starałam się unikać przez ostatni tydzień w szkole, ale on jakby wcale mnie nie zauważył. Gdy tylko zatrzymał wzrok na twarzy Paige, nie mógł go od niej oderwać, jak porażony.

- Na zabawę na plaży - wyjaśnił Simon. - Riley, mój urodzony i wychowany w południowej Kalifornii współlokator, chciał właśnie powiedzieć, że powinniśmy skorzystać z przepięknej pogody i wyrwać się na trochę poza kampus.

- Jestem Riley - zwrócił się do Paige, bo najwyraźniej nie dotarło do niego, że został już przedstawiony przez Simona. - A ty jesteś...?

- Paige - odparła, a jej policzki pokrył rumieniec. - Przyjaciółka Vanessy.

Riley przesunął laptop, układając go na lewym przedramieniu, i wyciągnął prawą dłoń na powitanie. - Więc to musi być słynna Vanessa. Wspaniale cię w końcu poznać. Na pewno miło ci będzie usłyszeć, że zawsze kiedy Simon usycha z miłości - co na dobrą sprawę oznacza każdą sekundę każdego dnia bez ciebie - robię, co w mojej mocy, żeby te sekundy mijały możliwie jak najszybciej.

- Najczęściej oglądamy filmy - stwierdził z zakłopotaniem Simon.

Uśmiechnęłam się i uścisnęłam dłoń Riley'a.

- Dzięki... Ja też się cieszę, że mogę cię poznać.

- Co wy na to? Popląsamy w promieniach słońca? Popluskamy się w oceanie? Trzeba korzystać, zanim dopadnie nas to coś, co wy ze Wschodniego Wybrzeża nazywacie zimą. Co?

- A stąd do plaży nie jest trochę za daleko? - zapytałam.

- Czterdzieści minut - odparł Simon.

- Trzydzieści - poprawił Riley. - Ja prowadzę.

Simon spojrział na mnie. W jego brązowych oczach przysłoniętych szkłem okularów krył się niepokój. Podejrzewałam, że myśli o mojej ostatniej „przygodzie” podczas pływania w Winter Harbor. Wtedy ledwie udało mi się w porę wydostać na powierzchnię; jednak to, że przeżyłam, Simonowi nadal wydawało się niewytłumaczalnym cudem, ponieważ nie znał całej prawdy.

Miał ją poznać w czasie tej wizyty. W odpowiednim momencie postanowiłam mu wszystko wyznać. Był to jeden z powodów, dla których nalegałam, by w ten weekend Paige przyjechała do Bates razem ze mną. Nie zamierzałam zostawiać jej samej w Bostonie, ale też chciałam, by mi towarzyszyła po tym, jak zrobię to, co zaplanowałam. Nie byłam pewna, jak zareaguje Simon, ale nie miałam wątpliwości, że kiedy pozna prawdziwą przyczynę, dla której w ogóle się zeszliśmy, nie pozostaniemy parą. Wiedziałam, że po rozstaniu będę potrzebowała rozpraszającego trajkotania Paige bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

Ale może wcześniejszy wypad nad ocean to dobry pomysł. Nie pływałam od tamtej nocy przed trzema miesiącami. Brałam kąpiel i prysznic niezliczoną ilość razy, ale woda z kranu, niezależnie od tego, jak dużo dosypałam do niej soli, nigdy nie dawała takich efektów jak woda morska. Gdybym mogła teraz popływać, rozluźniłabym się na tyle, by móc przebrnąć przez rozmowę, która z pewnością okaże się jedną z najtrudniejszych w moim życiu.

- Jeśli o mnie chodzi, z przyjemnością się popluskam - zapewniłam.

\* \* \*

Dwadzieścia minut później siedzieliśmy w jeepie cherokee Rileya, kierując się na wybrzeże. Paige zajęła miejsce obok kierowcy - pewnie dlatego, żebyśmy z Simonem mogli usiąść razem na tylnej kanapie - i wypytywała Rileya o Kalifornię.

- Daj spokój. Mam uwierzyć, że na podwórku przed twoim domem rosną palmy?

- I drzewa pomarańczowe. Soku pomarańczowego nie kupuje się, jak u was, w sklepie, tylko wyciska z owoców rosnących w przydomowym sadzie.

- Najwyraźniej nigdy nie byłeś w restauracji „U Betty”.

- Ano nie byłem. Ale chętnie posłucham, jaki tam serwują sok.

Paige zamilkła na chwilę. Próbowалаm uchwycić jej spojrzenie w bocznym lusterku, ale zanim zdążyłam stwierdzić, czy potrzebna jest jej moja interwencja, ona - ignorując jego zachętę - zapytała, czy w San Diego słońce rzeczywiście świeci 365 dni w roku. Riley, wyraźnie już w niej zabujany, z przyjemnością podjął dalszą rozmowę.

- Zdaje się, że jest w dobrej formie - szepnął mi do ucha Simon. Otoczył mnie ramieniem, a jego twarz była tak blisko mojej, że czułam ciepło jego oddechu. - Znacznie



lepszego, niż się spodziewałem.

- Paige nie należy do tych, co zwijają się w kłębek i płaczą. Myślę, że jest zdecydowana iść naprzód.

- To brzmi jak opis kogoś, kogo znam - stwierdził, przyciskając usta do mojej skroni.

Wiedziała, że nie powinnam, ale oparłam się o niego. Przesunął się i plecami przywarł do bocznej szyby, a ja, podążając za jego ciałem, oparłam się plecami o jego klatkę piersiową i wyprostowałam nogi. Otoczył mnie ramionami i wsparł podbródek na moim ramieniu. Trwaliśmy tak w milczeniu.

W drodze nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że ta wycieczka przypomina inną, którą Simon i ja odbyliśmy razem nie tak dawno temu. Z tą różnicą, że wtedy jechaliśmy starym subaru Simona, a razem z nami na tylnym siedzeniu jechała Justine z Calebem, młodszym bratem Simona i sekretnym chłopakiem mojej siostry. Tak właśnie, we czwórkę, zżyci ze sobą, zawsze podróżowaliśmy - do lodziarni „U Eddiego”, na pole minigolfa, nad urwisko Chione - odkąd Simon uzyskał prawo jazdy. Aż do dnia, kiedy wszystko się skończyło.

- Stary, patrz na te ogromniaste fale.

Poczułam, jak ciało Simona napina się. Podniosłam się, żeby mógł usiąść prosto, i wtedy oboje poderwali się, chcąc przez odstęp między przednimi siedzeniami spojrzeć na ocean. Simon wstrzymał oddech i wpatrywał się w granatowe jęzory Atlantyku przetaczające się po opustoszałym skrawku piaszczystej plaży.

- Rzeczywiście są duże... ale w normie.

- I tak żałuję, że nie wziąłem deski. - Nawet jeśli Riley usłyszał ulgę w głosie Simona, nie dał tego po sobie poznać. Wskoczył z jeepa i obiegł go z przodu.

- Nie przejmujcie się mną - rzuciła Paige przez ramię, kiedy Riley złapał za klamkę u drzwi od strony pasażera. - Zajmijcie się sobą.

Posłuchaliśmy jej rady. Paige i Riley ruszyli w kierunku wody, a Simon i ja powędrowaliśmy plażą. Gdy dotarliśmy do długiego kamiennego moła kilkaset metrów dalej, Simon pomógł mi się wspiąć i przejść po skałach.

Zeskoczył na piasek po drugiej stronie i wyciągnął obie ręce, żeby pomóc mi zejść, ale zastygłam w bezruchu.

Raina i Zara Marchand. Jakies dwadzieścia metrów dalej szły odwrócone do nas plecami, w długich spódnicach i swetrach. Kiedy im się przyglądałam z galopującym sercem i potniejącymi dłońmi, Zara zaczęła się odwracać.

Otworzyłam szeroko oczy. Spróbowałam wymówić imię Simona, ale nie byłam w stanie.

- Vanesso, co ci jest?

Odskoczyłam, gdy czyjeś palce owinęły się wokół moich kostek.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Simon.

Przeniosłam wzrok ze swoich stóp na jego dłonie spoczywające na krawędzi skały i dalej na kobiety na plaży. Przystanąły przy wiklinowym koszu i rozmawiały, śmiejąc się i pakując resztki lunchu. Teraz wyraźnie widziałam ich twarze i nie miałam wątpliwości, że ani trochę nie przypominają Rainy i Zary.

- Przepraszam. Nic mi nie jest. - Szybko zbliżyłam się do krawędzi i skoczyłam. Zanim moje stopy zetknęły się z piaskiem, kobiety zniknęły w głębi ścieżki prowadzącej z dala od brzegu.

- Prywatna plaża tylko dla ciebie zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od kampusu - zareklamował Simon, kiedy ruszyliśmy przed siebie. - To duży plus.

Sięgnął po moją dłoń. Pozwoliłam, by przyciągnął mnie do siebie. Oplotłam ramiona wokół jego pasa, głowę oparłam na piersi, on objął mnie za szyję, a podbródek oparł na czubku mojej głowy. Poczulałam się najbezpieczniejsza i najszczęśliwsza, odkąd ostatnio, dwa tygodnie temu byliśmy razem.

- Dziś rano rozmawiałem z Calebem - oznajmił parę minut później.

Odsunęłam się tak, by spojrzeć mu w oczy.

- Jak on się czuje?

- Jakoś się trzyma. Dużo pracuje na przystani, pomaga zakończyć sezon. Ciągle dziwi mnie to, że zdecydował się wrócić. Wiem, że bardzo ceni kapitana Montyego... ale można byłoby się spodziewać, że lepiej mu zrobi, jeśli zostanie jakiś czas na suchym lądzie.

- Myślę, że Caleb czuje, że jest bliżej niej, będąc na wodzie. Albo na lodzie, jak jest w tym przypadku.

Nie odezwałam się. To miało sens - Caleb był z Justine, kiedy oddała ostatni skok z urwiska do pieniącej się wody pośród skał - ale mimo to było niezwykle smutne. Poznałam Caleba od całkiem innej strony, gdy szukając go tuż po wypadku, razem z Simonem rozmawialiśmy z jego przyjaciółmi, i potem, kiedy już go znaleźliśmy i we trójkę usiłowaliśmy rozwiązać zagadkę serii utonięć w Winter Harbor. Przekonałam się, że to dobry chłopak - w niczym nieprzypominający obiboka, za jakiego zawsze uważała go nasza mama. I okazało się, że kochał Justine, naprawdę ją kochał, a ona kochała jego. Nie chciałaby, żeby wciąż za nią tęsknił, żeby utknął w przeszłości, której nie można zmienić. Chciałaby, żeby pogodził się z jej stratą i zaczął życie od nowa.

Tego samego pragnęłam dla Simona. Przynajmniej tak sobie powtarzałam.

- Mówił, że wreszcie robi się cieplej. Wczoraj temperatura sięgnęła piętnastu stopni - to tylko kilka stopni mniej niż zwykle o tej porze roku.

- A co z burzami?

- Od tygodni na niebie nie było ani jednej chmurki.

Rozluźniłam się w ramionach Simona i przycisnęłam policzek do jego piersi.

- Co za ulga.

- Ale jest coś jeszcze.

Wpatrywałam się w pomarszczony od drobnych fal horyzont z nadzieją, że Simon nie poczuje, jak moje serce przyspiesza.

- Vanesso?

- Nadchodzi odwilż - stwierdziłam, nie pytając.

Odsunął się i uniósł w palcach mój podbródek.

- Woda była skuta lodem przez trzy miesiące.

Przytaknęłam.

- Zamarznęta na kamień, od powierzchni po samo dno. Cokolwiek tam było, teraz już nie żyje, i to od dawna.

Z całego serca pragnęłam w to wierzyć, ale do tej pory zdarzyło się zbyt wiele nieprawdopodobnych, naukowo niewytłumaczalnych zjawisk: częste przejściowe burze, które nawiedzały Winter Harbor i tylko Winter Harbor; przyływy i odpływy, które nadchodziły i oddalały się cztery razy na godzinę; wyrzucone na brzeg ciała mężczyzn sprawiających wrażenie szczęśliwszych po śmierci niż kiedykolwiek za życia; no i kobiety - kobiety, dla których słona woda była równie niezbędna do życia co tlen, które miały władzę nad aurą, które potrafiły rzucać urok na mężczyzn i wciągać ich głęboko pod powierzchnię wody, aż ich płuca eksplodowały, a życie gasło.

Kobiety takie jak ja.

- Niepotrzebnie ci powiedziałem.

Chciałam zaprotestować, ale zanim zdołałam cokolwiek odpowiedzieć, mówił dalej.

- Bardzo długo się wahałem. W pierwszym odruchu pragnąłem cię chronić przed informacjami, żebyś się nie martwiła... ale później zrozumiałem, że nie mogę tego przed tobą ukrywać. Powinnaś wiedzieć. - Zrobił pauzę, by delikatnie odgarnąć włosy z mojej twarzy. - Poza tym chcę, żeby... żeby nam się udało. Wiem, że nie zawsze będzie łatwo, ale niezależnie od tego, jak okaże się ciężko, chcę, żebyśmy zawsze potrafili ze sobą rozmawiać. O wszystkim. Tak jak zawsze rozmawialiśmy.

To było to. Odpowiednia chwila. Idealny moment, żeby wyznać prawdę, na którą

zasługiwał.

Fale rozbijały się o brzeg. W uszach słyszałam dudnienie własnego serca. Simon spojrzał na mnie, a w jego oczach była radość, tak wielka radość, że otworzyłam usta i powiedziałam:

- Pójdziemy razem popływać?

Wtedy mnie pocałował. Był to długi, słodki pocałunek, który sprawił, że prawie zapomniałam, iż nie powinno do niego dojść. Prawie.

„Paul Carsons. Charles Spinnaker. Aaron Newberg”.

Odczytałam nazwiska, przewijając w dół stronę, na której zamieszczono zdjęcia przystojnych mężczyzn tańczących z żonami, tulących dzieci, sterujących żaglówką. Moje spojrzenie zatrzymywało się na niektórych słowach artykułu znajdującego się obok zdjęć: „został znaleziony”, „przyczyna śmierci”, „uduszenie”. Dziennik „Winter Harbor Herald”, publikowany wyłącznie na potrzeby tego miasteczka i pełniący głównie funkcję przewodnika dla turystów, został całkowicie wyprzedany po tym, jak na jego łamach zamieszczono relację zatytułowaną „Tragedie na otwartym morzu”. Z tego powodu redakcja wciąż aktualizowała specjalną sekcję strony internetowej, dodając nowe zdjęcia i informacje o rodzinach ofiar. Od wielu tygodni nie zaglądałam na stronę dziennika, ale odkąd dowiedziałam się o odwilży, sprawdzałam, czy pojawiły się nowe wiadomości za każdym razem, kiedy udało mi się chociaż na chwilę wykraść do szkolnej biblioteki i usiąść przed komputerem.

Dobra wiadomość była taka, że nie znaleziono nowych ciał wyrzuconych na brzeg. Zła natomiast, że z każdym dniem robiło się coraz cieplej. Zgodnie z graficzną prognozą pogody na stronie, która pokazywała słońce, w Winter Harbor było teraz siedemnaście stopni. Z nadejściem jesieni temperatura ostatecznie i tak miała spaść, ale istniała możliwość, że do tej pory port całkiem odtaje i prawdopodobnie już nie zamrznie. Aż do tego lata port jeszcze nigdy nie był skuty lodem, nawet w samym środku zimy.

Zanim dotarłam do opisu śmierci Justine, wróciłam do strony głównej. Zdjęcie w nagłówku zostało zrobione wczoraj i przedstawiało dwoje ludzi w porcie. Jedna z osób jeździła na łyżwach po grubym skrawku lodu, a druga siedziała na gumowej dętce w niewielkiej rozmarzniętej kałuży.

Drżąc, zamknęłam przeglądarkę i zalogowałam się do szkolnego systemu poczty elektronicznej. Po każdej wizycie na stronie „Heralda” zwykle nie mogłam wytrzymać ani sekundy dłużej przy komputerze, dlatego od paru dni nie sprawdzałam poczty.

Patrzyłam, jak nowe wiadomości zapełniają skrzynkę odbiorczą, omijając wzrokiem te z całotygodniowym jadłospisem, przedstawieniami teatralnymi czy sportowymi testami kwalifikacyjnymi. Spośród wszystkich nowych wiadomości tylko dwie były zaadresowane do mnie osobiście.

Pierwsza została wysłana w zeszłym tygodniu.

Do: Vanessa Sands

Od: Kathryn Mulligan

Temat: Podania na wyższe uczelnie

Droga Vanesso!

Serdeczne gratulacje! Po latach ciężkiej pracy w końcu masz przed sobą ostatni rok nauki w szkole średniej. Nadchodzące miesiące, tak decydujące dla kolejnego etapu Twojej kariery edukacyjnej, pełne będą fascynujących możliwości i wyzwań. Z każdym uczniem ostatniej klasy umawiam się na spotkanie, by omówić jego plany dotyczące studiów, w związku z tym chciałabym zaprosić na spotkanie także Ciebie w Twoim czasie wolnym, tj. w ŚRODĘ, 25 WRZEŚNIA, o godz. 11.30. Proszę o potwierdzenie odebrania wiadomości.

Z życzeniami powodzenia w przyszłości i serdecznymi pozdrowieniami K. Mulligan szkolny doradca ds. karier.

Ponownie przeczytałam wiadomość, która najwyraźniej została rozesłana do wszystkich uczniów ostatniego roku. Jedynym elementem nadającym listowi osobisty charakter poza moim nazwiskiem były data i godzina spotkania.

Druga wiadomość została jednak napisana tylko do mnie. Wysłano ją dzisiaj z samego rana.

Do: Vanessa Sands Od: Kathryn Mulligan Temat: Dzisiejsze spotkanie

Droga Vanesso!

Nie otrzymałam odpowiedzi w sprawie naszego dzisiejszego spotkania, dlatego chciałam się upewnić, że się odbędzie w moim gabinecie o godz. 11.30.

Domyślałam się, że możesz czuć się w tej chwili nieco zagubiona. Tym bardziej liczę, że pozwolisz mi sobie pomóc.

Z serdecznymi pozdrowieniami

KM

Zaznaczyłam wiadomość, chcąc ją usunąć, kiedy w tej samej chwili zza ścianki kabiny komputerowej wyłoniła się głowa. Podniosłam wzrok i zobaczyłam Jordana Lanforda, gwiazdę piłki nożnej z ostatniej klasy.

- To straszne - stwierdził.

- Co takiego? - zapytałam z ociąganiem, powracając wzrokiem na ekran komputera.

- Ty tam. Ja tutaj. Tak blisko, a jednak tak bardzo daleko.

Poczułam, że policzki mi płoną. Usłyszawszy szepty, obejrzałam się za siebie. Kilka dziewcząt siedziało przy pobliskim stoliku. Musiały chodzić do niższej klasy, bo ich nie rozpoznałam, ale one najwyraźniej doskonale wiedziały, kim jestem. Rozmawiały cicho,

zasłaniając się włosami i rękami, i raz po raz patrzyły na mnie ukradkiem, zupełnie tak jak setki dziewczyn spoglądały kiedyś na Justine: zachmurzone, ze ściągniętymi brwiami i przymrużonymi oczami.

Jakby były zazdrosne.

Odwróciłam się z powrotem do komputera, wylogowałam z poczty i pozbierałam swoje rzeczy.

- Gdzieś się wybierasz? - zapytał Jordan. - Mogę iść z tobą?

- Raczej nie. Ale dzięki.

Wymknęłam się pospiesznie z kącika komputerowego. Zbliżając się do głównego wejścia, obejrzałam się za siebie, żeby sprawdzić, czy Jordan nie śledzi mnie wzrokiem, po czym gwałtownie skręciłam w lewo. Przemknęłam przez dział publikacji encyklopedycznych, a stamtąd ruszyłam do ciemnej wnęki, z której nikt nie lubił korzystać ze względu na brak okien i WiFi.

Oczywiście z wyjątkiem sytuacji, gdy czekanie do końca lekcji, żeby pomigdalić się ze swoją drugą połówką, przekraczało czyjeś możliwości. Zupełnie jak w przypadku Parkera Kinga i Amelii Hathaway, których zastałam na starej kanapie w szkocką kratę.

Z miejsca obróciłam się na pięcie i po cichu skierowałam z powrotem w głąb korytarza.

- Zaczekaj - rzuciła władcym głosem Amelia.

Zakładając, że mówi do mnie, stanęłam jak wryta.

- Coś jest nie tak? - zapytał Parker.

Twarz mi poczerwieniała. Czekałam, aż wskaże na mnie. Usłyszałam, że znów zaczęli się całować, i już chciałam przeprosić, i rzucić się do ucieczki, gdy nagle Amelia znów się odezwała.

- Tak, to - odparła, a w tle rozległ się szelest ubrań i skrzypienie sprężyn kanapy. - Dłużej tak nie mogę.

- Ależ możesz - upierał się Parker. - I jesteś wspaniała.

Po tych słowach znów rozległo się skrzypienie sprężyn. Korzystając z poruszenia, dałam nura pomiędzy ścianki dwóch biblioteczek i osunęłam się za jedną z nich, kucając tuż przy podłodze. Wyrzałam zza rogu, by zobaczyć, jak Parker pochyla się nad Amelią, która go od siebie odpycha.

- Mówię poważnie - zapewniła. - Było miło... ale mam już dość ciągłego, bezsensownego miętoszenia się. Poprawiła na sobie wełnianą kamizelkę i poklepała go po kolanie. - Dobrze się bawiliśmy, prawda? I niech tak zostanie.

- Ale przecież my nie tylko... ja nie tylko...

Urwał, kiedy wstała. Wcisnęłam się głębiej za szafkę i zaczęłam, aż dziewczyna przejdzie obok, zanim znów wyjrzałam. Parker siedział przygarbiony, z głową wspartą na oparciu kanapy. Kciuk i palec wskazujący jednej ręki docisnął do kącików zamkniętych oczu, jakby usiłował zatamować łzy.

- Wow - szepnęłam do siebie. Zwykle to Parker King był tym, który zrywał, nie odwrotnie.

- Vanesso, to ty? - zapytał, nieco zmieszany.

Opadłam na podłogę za biblioteczką. Gdy usłyszałam skrzypnięcie sprężyn towarzyszące jego wstawaniu, w półprzysiadzie przemknęłam do najbliższego przejścia. Nie podnosząc głowy i nie prostując się, dotarłam aż do punktu wypożyczania książek. Z tego miejsca przebiegłam pozostałą odległość, jaka dzieliła mnie od wyjścia z biblioteki. Nie miałam odwagi, by obejrzeć się za siebie i przekonać się, czy szedł za mną.

Upłynęła połowa godziny lekcyjnej, więc korytarz był pusty, nie licząc kilku nauczycieli rozmawiających przed sekretariatem. Próbowałam iść normalnym krokiem, ale kiedy otworzyły się za mną drzwi do biblioteki, wyrwałam z miejsca i wpadłam do pierwszej z brzegu sali niebędącej salą lekcyjną i przywarłam do drzwi.

- Witaj, Vanesso! - odezwał się głos, który rozpoznałam natychmiast.

Głos pani Mulligan. Schroniłam się w jedynym miejscu, w którym nie chciałam się znaleźć bardziej nawet niż w bibliotece: w biurze doradcy do spraw karier. Obracając się, zerknęłam na zegar ścienny, który wskazywał jedenastą czterdzieści pięć.

- Przepraszam za spóźnienie - odezwałam się.

- Nic się nie stało. Najważniejsze, że jesteś. Bardzo się cieszę, że cię widzę.

Pani Mulligan zaczęła, aż usiądę, po czym wstała, by zamknąć drzwi, jakby się obawiała, że prysnę z jej gabinetu. Gdy sięgała do stojącej nieopodal biurka szafki po moją teczkę, rozejrzałam się po pokoju. Głównym powodem, dla którego rodzice zapisywali swoje dzieci do prywatnych liceów przygotowawczych, była chęć zwiększenia ich szansy na przyjęcie na jedną z najbardziej prestiżowych uczelni w Stanach Zjednoczonych, należąca do Ligi Bluszczowej. Liceum im. Hawthornea nie stanowiło wyjątku. W ciągu ostatnich trzech lat pani Mulligan i ja spędziłyśmy razem całkiem sporo czasu. W pewnym sensie jej gabinet, ozdobiony fikuśnymi plakatami rozmaitych uczelni, był mi bliższy niż jakiegokolwiek inne miejsce w szkole.

Pod innymi względami czułam się tutaj tak obco, jakbym nigdy wcześniej tu nie była.

- A zatem Dartmouth - zaczęła, rozsiadając się przy biurku przede mną.



- Słucham?

- Kiedy się widziałyśmy ostatnim razem, mówiłaś, że Dartmouth College to twój numer jeden na liście. Wyciągnęła z teczek kartkę papieru i uniosła ją w górę, bym mogła przeczytać jej notatki.

- Ach, tak. - Teraz sobie przypomniałam. Zeszłej wiosny pani Mulligan naciskała, żebym zadeklarowała, jaką uczelnię wybieram w pierwszej kolejności, po to byśmy miały jasno zdefiniowany cel. Postawiłam na Dartmouth, ponieważ sądziłam, że tam właśnie będzie Justine. A powodem ważniejszym od wybitnej kadry akademickiej czy szansy na odbycie stażu była bliskość siostry.

- Czyżbyś zmieniła zdanie? - zapytała pani Mulligan.

- Szczerze mówiąc, nie bardzo się nad tym zastanawiałam.

Zamknęła moją teczkę i skrzyżowała ręce na biurku.

- Oczywiście.

Wiedziałam, że teraz się zacznie: jak bardzo jej przykro z powodu straty, jaką poniosła moja rodzina. Biedna Justine. Biedna ja. Czy może mi jakoś pomóc? Co mogłaby dla mnie zrobić?

- Kiedy miałam siedemnaście lat zmarł mój ojciec.

Cudownie. Było gorzej, niż się spodziewałam: mogła nawiązać do własnego doświadczenia.

- Długo chorował, więc wiedzieliśmy, że koniec musi być bliski. Staraliśmy się na to przygotować, ale kiedy to się już stało, i tak odczuliśmy to jako wielki szok. Płakałam całymi tygodniami.

- Przykro mi - odezwałam się.

Pochyliła się w moją stronę.

- A wiesz, co pomogło mi przetrwać najtrudniejsze chwile?

- Szkoła?

- Studia. Planowanie, organizowanie, rozmyślanie nad tym, gdzie będę za pół roku, za rok, za pięć lat. Odchyliła się na oparcie krzesła i przyglądała mi się uważnie. - Justine była wspaniałą uczennicą. Złożyła papiery na trzynaście uczelni i została przyjęta na każdą z nich.

Przemilczałam odpowiedź. Pani Mulligan nie musiała wiedzieć, że Justine ją okłamała. Prawda była taka, że nie dostała się na żadną uczelnię, ponieważ nigdzie nie wysłała dokumentów. To nie była informacja, którą Justine chciałaby się podzielić. Sama odkryłam tę tajemnicę dopiero w dniu jej pogrzebu, kiedy znalazłam pusty uniwersalny formularz podania, ukryty pod zdjęciami przypiętymi do tablicy korkowej nad jej biurkiem.

- Twoja siostra wiedziała, jak istotne jest wyższe wykształcenie, Vanesso. Nie chciałaby, żebyś ryzykowała własne... zwłaszcza z jej powodu.

- Ma pani rację - stwierdziłam. - Na pewno się nad tym zastanowię. Już niedługo. Podejdę do tego poważnie.

Zamknęła usta i opuściła wzrok. Po chwili sięgnęła po mysz i zerknęła na ekran komputera.

- Co powiesz na spotkanie w przyszłą środę o tej samej porze?

- Ale po co?

Zacząła stukać w klawiaturę.

- Myślę, że powinniśmy spotykać się raz w tygodniu. Nawet jeśli od razu nie podejmiemy wielkich decyzji, na pewno dobrze ci zrobi przedyskutowanie pewnych spraw.

- To nie jest konieczne - odparłam szybko. - To znaczy dziękuję, ale jestem przekonana, że w swoim czasie podejmę decyzję. Mój tato wykłada w Newton Community College, więc w razie ewentualnych wątpliwości dotyczących rekrutacji na studia mogę się do niego zwrócić z pytaniami.

Za jej plecami zamruczała drukarka. Chwyciła kartkę, która wysunęła się z urządzenia, i podała ją mnie.

- Kopia wiadomości, którą właśnie do ciebie wysłałam - wyjaśniła. - Przyszły tydzień, w tym samym miejscu, o tej samej porze.

Wstałam z krzesła i ruszyłam w stronę drzwi, ledwie czując własne nogi.

- Ach, jeszcze jedno, Vanesso!

Przystanęłam z ręką na klamce.

- Czas leczy rany. Wiem, że teraz może być ci ciężko w to uwierzyć... ale rzeczywiście tak jest.

Próbowałam wybąkać podziękowanie, ale nie mogłam poruszyć ustami. Otworzyłam drzwi i wyszłam bez słowa.

Na korytarzu przesunęłam plecak na bok. Grzebiąc w środku, odniosłam wrażenie, że usta wyschły mi tak bardzo, że się skurczyły. Spróbowałam je oblizać, ale język był równie suchy i ciężki jak ceglówka. Z każdą chwilą ręce coraz silniej mi drżały, więc kilka dobrych sekund trwało, zanim znalazłam plastikową butelkę i wydobyłam ją z plecaka.

Piłam, idąc. Słona woda była letnia, ale i tak czułam, jakbym wlewała w gardło zmrożony nektar. Opróżniłam butelkę w pięciu łykach, po czym przystanęłam przed szklaną gablotą, pozwalając, by płyn zrobił swoje. Za każdym razem, gdy mijał mnie jakiś uczeń albo nauczyciel, przysuwałam się bliżej szklanej tafli i udawałam, że czytam litery

wygrawerowane na trofeach, by nikomu nie przyszło do głowy o cokolwiek mnie pytać.

Kiedy pochyliłam się nad gablotą po raz trzeci, mój wzrok wylądował na znajomym nazwisku.

„Justine Sands”.

Jej nazwisko widniało w kilkunastu miejscach wewnątrz gabloty: na trofeach przyznanych za udział w turniejach hokeja na trawie, tabliczkach upamiętniających zawody piłkarskie, na dyplomach za wygrane mecze w softball. Przez całe życie Justine była najlepsza we wszystkim, czego się tknęła, nie wyłączając rozgrywek sportowych, w których uczestniczyła każdego sezonu w Hawthorne.

Nie wiem... zresztą ty też nie.

Przed oczami mignęło mi zdanie zapisane odręcznie na kawałku papieru w linie. Mrugnęłam i potrząsnęłam głową, żeby pozbyć się wizji.

Teraz, zamiast jej słów, ujrzałam twarz Justine. Usta miała rozchyłone w uśmiechu, a niebieskie oczy szeroko otwarte z podniecenia, bo właśnie zdobyła decydującą bramkę w meczu przeciwko liceum imienia Thoreau. Wyglądała tak pięknie, tak radośnie. Patrząc na zdjęcie, nie sposób było się domyślić, że grała nie dla przyjemności... ale dlatego, że - jak sama sądziła - musiała.

Nagle drzwi pobliskiej klasy otworzyły się. Obróciłam się i pospiesznie ruszyłam w głąb korytarza. Kiedy dotarłam do damskiej toalety, czułam, jakby całe moje ciało przez wiele dni smażyło się na asfalcie w upalnym słońcu. Ostatnim wysiłkiem udało mi się sprawdzić kabiny, i widząc, że są puste, zamknąć drzwi na zasuwkę.

- No dalej - wyszeptalam, odkręcając kran i podstawiając pod wylot butelkę. Woda lała się zdecydowanie za wolno; butelka była dopiero w połowie napełniona, kiedy wysunęłam ją spod kranu i wsypałam do środka sól z pojemnika wyciągniętego z plecaka. Potrząsnęłam nią mocno, po czym odchyliłam głowę i piłam. Odkręciłam kran przy drugiej umywalce, zatkałam odpływ i dosypałam soli. Przez kolejne pięć minut na przemian piłam i obmywałam twarz. W końcu udało mi się uśmierzyć pragnienie.

Wyczerpana oparłam się o ścianę po przeciwległej stronie umywalek i osunęłam się na podłogę, aż pośladkami zetknęłam się z posadzką.

To była moja przyszłość. Ukrywanie się w łazienkach. Żłobienie słonej wody. Robienie wszystkiego, by ustrzec się przed śmiertelnym odwodnieniem. Pani Mulligan i ja mogłybyśmy rozmawiać o uczelniach każdego dnia, ale to i tak nie miałyby znaczenia. Nawet gdyby udało mi się dotrzeć do tego etapu - studia, nauka, specjalizacja, potencjalna kariera - nic nie zmieniłoby faktu, że kiedy dorosnę, będę tylko jednym.

Potworem.

Kilka minut później sięgnęłam po plecak. Otworzyłam przednią kieszeń, wyjęłam komórkę i włączyłam ją. Po policzkach spływały mi łzy, gdy wybierałam numer, który w przyływie dobrych chęci usunęłam z podręcznej pamięci telefonu, ale go nie zapomniałam.

Po drugim dzwonku odezwała się poczta głosowa Simona.

- Cześć. - Skrzywiłam się, słysząc swój drżący głos. - To ja. Wiem, że masz teraz zajęcia... ale chciałam... usłyszeć twój głos. Zadzwonisz później? Proszę.

## 5

- SMS czy wosk pszczeli?

Podniosłam wzrok znad zadania domowego z rachunków. Paige siedziała na łóżku z otwartą książką na kolanach.

- To jedyne sposoby Simona - ciągnęła.

Serce mi załomotało.

- Jakie sposoby?

- Na odzyskanie kontroli w sytuacji, gdy zawrócisz mu w głowie do tego stopnia, że nie będzie mógł jeść, spać, straci przyjaciół i życie, jakie znał dotychczas. Według tych książek zerwanie na odległość albo zatkanie uszu pszczelim woskiem to dwie możliwości, by uchronić się przed syreną.

Wlepiłam w nią szeroko otwarte oczy. Uśmiechnęła się, ale kiedy nie odpowiedziałam uśmiechem, spoważniała.

- Przepraszam - odezwała się. - To nie było śmieszne. Bo przecież to jasne, że nie jesteś... nie mogłabyś być...

- Daj spokój. To ja przepraszam. Chyba jeszcze ciągle nie potrafię oswoić się z tym określeniem.

- Obie nie potrafimy. Dlatego właśnie chcę dowiedzieć się o nich jak najwięcej. Gdybym mogła zrozumieć, kim są i dlaczego robią to, co robią... to, co zrobiły... może wszystko to nie wydawałoby się tak dziwne.

- Paige, jeśli naprawdę chcesz dowiedzieć się więcej, dlaczego nie zwrócisz się do Betty?

- Po tym, jak ze wszystkich sił próbowała ukryć prawdę przed Rainą i Zarą, które nie tylko się jej przeciwstawiły, ale użyły całej zdobytej wiedzy przeciwko niej? - Potrząsnęła głową, przewracając kartkę.

Rozmawianie o tym sprawi jej wyłącznie ból, a ja nie chcę jej ranić. Wystarczająco się nacierpiała.

- Wiem, że moja propozycja nie jest doskonałym wyjściem - przyznałam - ale to przecież twoja babcia. Zrobiłaby dla ciebie wszystko.

Co do tego nie miałam wątpliwości. W końcu Betty pozwoliła Paige spędzić rok szkolny tutaj, z dala od siebie, mimo że była ona jedynym ocalałym członkiem rodziny.

Kochała Paige tak bardzo, że pragnęła, by dziewczyna zaczęła wszystko od początku w innym miejscu, gdzie nie musiałaby bez przerwy borykać się z bolesnymi wspomnieniami.

- Chcesz usłyszeć coś nie z tej ziemi? - zapytała Paige chwilę później. Zamknęła książkę i posłała mi wymowne spojrzenie. Jej niebieskie oczy otworzyły się szeroko, jakby zamierzała wyjawić własną tajemnicę, w którą sama nie mogła uwierzyć.

- Jasne. - Przyszedł mi na myśl jej ostatni sekret, którym podzieliła się kilka miesięcy wcześniej, kiedy jej policzki były zaróżowione, a brzuch zaokrąglony. Tamta tajemnica o mały włos jej nie zabiła.

- Widziałam je.

Przed oczami błysnęła mi srebrna smuga. Zamrugałam i zniknęła.

- Rainę i Zarę, w parku. Dziś mieliśmy tam zajęcia z angielskiego. Czytaliśmy Zimową opowieść Szekspira, która wlekła się w nieskończoność, więc na kilka chwil zamknęłam oczy. Kiedy je znów otworzyłam... zobaczyłam je. Siedziały na ławce. Patrzyły prosto na mnie.

Przez myśl przemknęło mi zapewnienie Simona. Woda była skuta lodem... Cokolwiek tam było, teraz już nie żyje...

- To szaleństwo - stwierdziła Paige, kiedy się nie odezwałam. - Wiem o tym.

- To wcale nie szaleństwo.

- Ale przecież to niemożliwe. - Zeszła z łóżka i usiadła na podłodze naprzeciw mnie. - Pamiętasz, jak słyszałaś głos Justine? Po tym, jak odeszła?

Przytaknęłam.

- Może to było coś takiego? Może je sobie wymyśliłam? Nie dlatego, że za nimi tęsknię, ale dlatego, że nie mogę otrząsnąć się z szoku po tym, co się stało?

Głos Justine nie był czymś wymyślonym, ale cieszyłam się, że Paige ciągle tak myśli. Przynajmniej na razie.

- Nie ma nic złego w tym, że za nimi tęsknisz - stwierdziłam. - Raina była twoją matką, a Zara siostrą przez długi czas, zanim... się zmieniły. Nie ma nic złego w tym, że tęsknisz za osobami, za które je uważałaś.

Jej niebieskie oczy stały się zimne.

- One zabiły dziesiątki ludzi i zabiłyby znacznie więcej, gdybyśmy ich nie powstrzymali. Zabiły Jonathana. Trzymały babcię Betty pod kluczem w jej sypialni przez dwa lata, a potem skazały na pewną śmierć. Potrząsnęła głową. - Nie tęsknię za nimi. - Nigdy za nimi nie zatęsknię. Przenigdy.

Wcześniej nie słyszałam, by Paige wyrażała się o kimś z taką bezwzględnością.

Uznałam, że dla naszego wspólnego dobra najwyższy czas zmienić temat, ale przedtem chciałam usłyszeć jeszcze jedno.

- Co zrobiły, kiedy je zobaczyłaś? - Ledwie dosłyszałam własne słowa poprzez łomotanie serca.

Wzruszyła ramionami, a jej twarz nieco złagodniała.

- Mrugnęłam i zniknęły. Bo tak naprawdę wcale ich tam nie było.

To jasne, że naprawdę wcale ich tam nie było. Niezależnie od tego, czym były, miały bijące serca. Potrzebowały do życia tlenu. Tak jak powiedział Simon: nie było szansy, by syrena przetrwała ponad dwa miesiące zakuta w lodzie.

- W każdym razie to miło, że Riley wypożyczył dla mnie te książki, nawet jeśli okazały się całkiem bezużyteczne. - Sięgnęła po leżącą na łóżku Odyseję. - Wydaje się całkiem w porządku.

- Simon by się z nim nie zadawał, gdyby nie był w porządku. - Wyciągnęłam rękę i postukałam ołówkiem o czubek jej kapcia. - Zresztą jego zdaniem ty też jesteś całkiem miła.

Po tych słowach na twarzy Paige pojawił się delikatny uśmiech, którego się spodziewałam.

- No cóż. Jednak nie jest...

Urwała, ale nie musiała wcale kończyć, żebym zrozumiała, co chciała powiedzieć. Riley, choćby był nie wiem jak w porządku, nigdy nie będzie Jonathanem.

Z myślą, że może dobrze zrobi jej kilka minut samotności, zamknęłam zeszyt i wstałam.

- Mama próbuje dzisiaj upiec ciasto czekoladowe. Masz ochotę?

- Jak najbardziej - odparła, zakrywając brzuch obiema dłońmi.

Kiedy wyszłam na korytarz i zamknęłam za sobą drzwi, oparłam się o ścianę i sama przyłożyłam dłonie do brzucha. Spodziewałam się wyczuć jakiś ruch, ożywienie, coś zbliżonego do zrywów ryb w akwarium. Tak właśnie odczułam ruchy dziecka Paige, gdy kilka miesięcy wcześniej położyłam dłoń na jej brzuchu. Było chore, niespokojne i wycieńczone, ponieważ ciało Paige, jeszcze niegotowe, nie mogło go urodzić.

Ale dzięki przypadkowej transformacji, która nastąpiła latem, kiedy wodę komórkową w moim organizmie zastąpiła woda morska, moje ciało było na to gotowe. Pomyślałam o chwili, kiedy Simon i ja ostatnio byliśmy blisko. Zachowaliśmy ostrożność. Zawsze zachowywaliśmy ostrożność, ale ja zawsze też powtarzałam sobie, że to już ostatni raz, bez względu na to, co się między nami stanie. Zresztą święcie w to wierzyłam... dopóki jego dłonie nie zaczynały muskać mojej skóry.

W moim brzuchu nic się jednak nie poruszało. Chwilowo uspokojona, ruszyłam korytarzem.

- Jesteś w samą porę - zauważyła mama, gdy weszłam do kuchni. Stojąc przy blacie, wlewała do foremki półpłynną czekoladową masę. - Pierwsza porcja jest jeszcze w piekarniku. Ale mam tu coś dla ciebie. - Podniosła z blatu mikser, wysunęła mieszadła i podała mi jedno. - No, spróbuj.

Posmakowałam masy, po czym podeszłam do zlewu, by opłukać mieszadło.

- Pyszne. Kilka tygodni w domu, a już gotujesz jak Julia Child.

Roześmiała się.

- Mówisz tak, bo jesteś moją córką.

Podniosłam wzrok. Patrząc na jej odbicie w oknie nad zlewem, widziałam, jak ociera dłonie o zielony fartuszek z falbankami.

- Dziś po szkole próbowałam zrobić grzanki z serem - pochwaliłam się. - Przypiekłam je tak mocno, że cały cheddar wsiąknął w chleb.

- Dlaczego nie powiedziałaś? Chętnie zrobiłabym dla ciebie jeszcze jedną porcję.

- Szczerze mówiąc, to był postęp w porównaniu z poprzednią próbą. Po prostu kompletnie nie wychodzi mi gotowanie.

- Mieszadło było już czyste, ale pozwoliłam, by z kranu wciąż płynęła woda. - Zastanawiam się, po kim to mam. Ty i tato tak świetnie radzicie sobie w kuchni.

Właśnie wyjmowała formę z czekoladowym ciastem, gdy zamarła, z twarzą przed otwartym piekarnikiem. Trwało to niespełna sekundę i gdybym jej nie obserwowała w oczekiwaniu na reakcję, pewnie bym nawet nie zauważyła, że moje słowa niewątpliwie ją zaskoczyły.

- Skoro już mowa o twoim ojcu - lekkim tonem zmieniła temat, zamykając piekarnik i odkładając foremkę na blat.

- Pracuje za domem. Czy mogłabyś pójść do niego i zapytać, czy nie ma ochoty na porcję gorącego ciasta czekoladowego z lodami?

Zakręciłam wodę i wyjrzałam przez okno, poprzez odbicie mamy. Gdy zobaczyłam tatę siedzącego na małym ganku na tyłach domu i piszącego coś na laptopie, poczułam ucisk w sercu.

- Dobrze. Przy okazji zaniosę mu sweter.

Była ósma wieczorem i ponad dwadzieścia stopni na dworze, ale mama nie uznała pomysłu ze swetrem za dziwny. Albo raczej jej własne myśli zagłuszyły moje słowa. Tak czy inaczej, dało mi to pretekst, by wymknąć się z kuchni na górę, zamiast skierować się prosto



do tylnego wyjścia.

Gabinet ojca mieścił się w niewielkim pokoiku na drugim końcu korytarza na piętrze. Nie zaglądałam tam od miesięcy, ale uchyliwszy drzwi, stwierdziłam, że od tamtej pory niewiele się tu zmieniło. W całym pokoju zalegały dziesiątki książek w wysokich, poprzeczylanych stosach. Z szafek na dokumenty dosłownie wysypywały się kartki. Dawno zapomniane filiżanki po kawie stały na półkach z książkami, na szerokim podłokietniku ulubionego skórzanego fotela taty i na podłodze. Jedynym miejscem, które nie zostało całkiem zagracone, było biurko wsunięte pod spadzisty dach, przez co nie dało się do niego podejść z wyprostowanymi plecami.

Zamknęłam za sobą drzwi i ruszyłam slalomem pomiędzy wieżami z książek. W głębi brzucha czułam palące niczym rozgrzany węgiel wyrzuty sumienia, jednak szłam dalej, powtarzając sobie, że nie byłoby mnie tutaj, gdybym miała inne wyjście. Biurko otaczały niczym fosa stosy wypracowań podopiecznych ojca, ale szybko pokonałam również tę przeszkodę i zasiadłam w fotelu.

Biurko było nieskazitelnie czyste. Stały na nim tylko komputer taty i dwa zdjęcia w ramkach. Mój wzrok zatrzymał się na zdjęciach. Na jednym była mama wystawiająca język do aparatu, bo została uchwycona w chwili żartobliwego protestu, a na drugim Justine i ja jako małe dziewczynki siedzące na frontowych schodach naszej kamienicy i puszczające bańki mydlane przez plastikowe różdżki.

Otworzyłam górną szufladę biurka i zabrałam się do gmerania pośród długopisów, spinaczy do papieru i miętówek. Po chwili przeszłam do drugiej szuflady, a potem do następnej. Serce kołatało mi za każdym razem, kiedy szuflada otwierała się bez oporu. Czy ludzie strzegący wielkich sekretów nie skrywają ich zwykle w zamkniętych na klucz szufladach biurka?

Poderwałam się z miejsca i przeskoczyłam ponad stosami wypracowań. Po kolei otwierałam szafy na dokumenty, ale ich wnętrze zawierało to samo co szuflady.

Czyli nic.

Obróciłam się powoli, stojąc na środku pokoju, szukając... właściwie czego? Ukrytych drzwi? Tajnego przejścia? Skarbnicy informacji udającej doniczkę? Zamierzałam już podnieść dywanik w poszukiwaniu zapadni ukrytej pod deską podłogową, kiedy mój wzrok znów spoczął na biurku. A dokładnie na komputerze.

Tato miał dwa komputery - stacjonarny i laptop - i zawsze pracował na jednym z nich. Łączna pamięć obu tych komputerów mogłaby zapewne dostarczyć więcej informacji o życiu taty niż jego własna pamięć.

Podchodząc do biurka, czułam się jak w dniu pogrzebu Justine, kiedy zdałam sobie sprawę, że pod zdjęciami na tablicy korkowej coś jest ukryte, i zastanawiałam się, czy sprawdzić, co to takiego. Wraz z wyciąganiem każdej kolejnej pinezki czułam się coraz gorzej, jakbym zamierzała przeczytać jej pamiętnik.

Ale to było coś innego. Teraz znałam już tajemnicę taty. I to nie dotyczyło tylko jego, ale całej rodziny.

Usiadłam przy biurku i chwyciłam za myszkę. Monitor rozświecił się, kiedy komputer wybudził się z uśpienia.

Pojawiło się niebieskie okno z pytaniem o hasło. W pierwszej chwili straciłam nadzieję, ale za moment ją odzyskałam.

Nie miałam pojęcia, jak mogłoby brzmieć hasło taty, ale skoro go używał, to przypuszczałam, że w komputerze jest coś, co warto chronić.

Wpisałam pierwszą rzecz, jaka mi przyszła do głowy: „Jacqueline”. Wstrzymałam oddech, gdy mała cyfrowa klepsydra obróciła się raz w jedną, raz w drugą stronę. Kilka sekund później okno pojawiło się znowu.

Hasło nieprawidłowe.

Nie chodziło więc o imię mamy. Następnie spróbowałam wpisać swoje imię, potem imię Justine. Spodziewałam się, że program poinformuje mnie o przekroczeniu limitu prób, ale nic takiego nie nastąpiło. Wpisałam więc „Newton College”, nazwę uczelni, na której wykładał tato, dalej „Hemingway” i „Fitzgerald”, nazwiska jego dwóch ulubionych pisarzy; spróbowałam też „Papcio Gapcio” i „Tatusio Brzusio”, wybrawszy dwa z niekończącej się listy przezwisk, jakie nadawała mu Justine.

Nieprawidłowe, nieprawidłowe, nieprawidłowe.

Z palcami zawieszonymi nad klawiaturą wpatrywałam się w migający kursor. Do głowy przychodziło mi jeszcze jedno imię, które mogłabym wypróbować. Nie chciałam tego robić - ledwie mogłam o tym myśleć, a co dopiero to napisać - jednak wiedziałam, że na hasła często wybiera się imiona ważnych osób lub nazwy miejsc. A poza naszą najbliższą rodziną była tylko jedna osoba, którą ojciec mógł uznać za wystarczająco ważną. Jedna osoba, której imię znał tylko on.

A raczej tak mu się wydawało.

Zaczęłam powoli wklepywać kolejne litery, patrząc, jak pojawiają się na ekranie. Kiedy wpisałam całe imię, spojrzałam na nie i przywołałam z pamięci chwilę, gdy zobaczyłam je po raz pierwszy w sypialni Betty w Winter Harbor. To powinno być po prostu kolejne imię, niczym nieróżniące się od wszystkich pozostałych w albumie Rainy o syrenach i

ich podbojach. Ale było inne. Ponieważ tuż nad nim widniało wyblakłe zdjęcie pięknej kobiety w objęciach młodego mężczyzny z kędzierzawą czupryną i ciepłymi oczami, który wyglądał na tak szczęśliwego, jakby gotów był w tamtej chwili umrzeć bez odrobiny żalu. A jak wynika z opisu obok zdjęcia, szczęśliwej parze urodziło się dziecko.

Ta kobieta nazywała się Charlotte Bleu.

Mężczyzną był tato.

A tym dzieckiem byłam ja.

Gdzieś w domu trzasnęły drzwi. Poderwałam się, usłyszawszy nagły hałas, a mój kciuk, który zastygł w bezruchu nad klawiszem „Enter”, opadł gwałtownie.

Klepsydra obracała się. Każdy obrót zdawał się trwać całą wieczność. Wpatrywałam się w ekran, czekając, aż program odrzuci hasło i znów pojawi się okno z komunikatem.

Okno jednak zniknęło. W jego miejsce pojawił się elektroniczny pulpit taty upstrzony dziesiątkami dokumentów o zagadkowych tytułach. Było ich tak dużo, że zachodziły jedne na drugie, przypominając karty w pasjansie.

Moja dłoń zdawała poruszać się niezależnie, a mysz poprowadziła kursor do dokumentu w samym środku ekranu monitora. Jego nazwa brzmiała W0198.

Fotel pode mną zawibrował. Uznałam, że to ja wprawiłam go w ruch nerwowym dygotaniem, ale wtedy zauważyłam, że ekran też lekko zadrżał. Podobnie jak ramki ze zdjęciami. I kubek po kawie na półce w drugim rogu pokoju. Drganie nie trwało nieprzerwanie, ale następowało mniej więcej raz na dwie sekundy.

I wtedy je usłyszałam. Kroki. Powolne, ciężkie, jakby ten, kto wspinał się po schodach, był duży i zmęczony.

Tato. Musiał wrócić do domu... i był coraz bliżej.

Wyskoczyłam z fotela, waląc głową w niski, ukośny sufit. Przygryzłam wargę, by powstrzymać się od krzyknięcia, i porywając z oparcia fotela czerwony rozpinany sweter, przeskoczyłam nad stosami wypracowań. Czubkiem buta zahaczyłam o stos, posyłając na podłogę grad kartek. Opadłam na kolana, żeby je pozbierać. Słyszałam, że kroki są coraz bliżej.

Rzuciłam wypracowania na kupkę kartek, poderwałam się na równe nogi i chwyciłam kubek po kawie stojący za stertą książek.

Kroki zwolniły, po czym zatrzymały się. Światło wpadające przez szczelinę pod drzwiami pociemniało. Jednocześnie odniosłam wrażenie, że w gabinecie zrobiło się jaśniej, a jasność dobiegała zza moich pleców.

Komputer. Powinien być uśpiony, a monitor wygaszony.

Stara mosiężna gałka zaskrzypiała. Drzwi zaczęły się otwierać.

Rzuciłam się przez pokój, chwyciłam garść kabli i przewodów i szarpnęłam. Komputer jęknął cicho, po czym umilkł.

- Vanessa?

- Cześć, tato.

Stał w drzwiach z laptopem pod pachą i porcją czekoladowego ciasta z gałką lodów w ręce.

- Właśnie niosłam ci kawę i sweter. - Wyciągnęłam przed siebie kubek i jego ulubiony kardigan, który był doskonałym pretekstem dla mojej obecności w jego gabinecie. - Chciałbyś do kawy śmietankę?

Spojrzał na kubek, który trzymałam w wysuniętej ręce.

- Naprawdę zamierzałaś przynieść mi kawę i sweter?

Przez moment nie odpowiadałam.

- Tak, a co?

- No... - Uśmiechnął się i wszedł do pokoju. - Dziękuję ci, Vanesso. Sprawiałaś mi tym ogromną radość.

No jasne, że sprawiłam. Odkąd zobaczyłam jego zdjęcie w albumie Rainy, trzymałam go na dystans i wiedziałam, że doskonale to wyczuwa, mimo że nie rozumie moich pobudek. Niezależnie od tego, czy mój gest należał do szczerych czy nie, był reakcją najbardziej zbliżoną do moich dawnych zachowań.

- Nie ma za co. - Kiedy się mijaliśmy, pozwoliłam mu pocałować się w policzek, wiedząc, że im więcej dam, tym łatwiej będzie mi stąd wyjść.

- To dziwne - mruknął, gdy jedną stopą stałam już poza gabinetem. Powoli odwróciłam się, czując, jak moja twarz kolorem zaczyna przypominać ulubiony sweter taty.

- Coś nie tak?

Siedział przy biurku, pochylając się nad klawiaturą. Postukał w klawisze, odczekał chwilę, po czym postukał znowu. Poklepał obudowę monitora, a potem złapał go w obie dłonie i lekko nim zakołysał w przód i w tył.

- Wiem, że zostawiłem włączony komputer. Mieliśmy jakąś awarię prądu, kiedy pracowałem na podwórzu?

Wstał i podrapał się po głowie. W tej chwili wyglądał na tak skonsternowanego - zupełnie jak ten sam ukochany papcio, zawsze kiedy jego studenci używali nowego slangu czy technologii, którą próbował poznać - że nagle poczułam się okropnie przez to swoje węszenie.

- Ach, nie, to musiało być coś innego. - Szybkiem krokiem weszłam z powrotem do gabinetu i podniosłam z podłogi kable. - Potknęłam się o nie, kiedy brałam twój sweter. Musiałam odłączyć komputer. Przepraszam.

Jego twarz rozluźniła się.

- Nic nie szkodzi.

Wcisnęłam wtyczki z powrotem do gniazdek i pomknęłam w stronę drzwi.

- Vanesso?

Zastygłam w bezruchu. Wiedział. Naiwnie sądziłam, że odłączenie urządzenia od prądu zatuszuje wszystko, a on nigdy nie dowie się, że gmerałam przy jego komputerze, nie mówiąc już o tym, że zdołałam rozszyfrować hasło i dostać się do pulpitu. Ale nie zatuszowało. I teraz już wiedział. Wiedział, że poznałam prawdę o Charlotte i że...

- Gdybyś zechciała przyłączyć się do mnie na kawę i deser... Byłoby miło.

- Pewnie, tato - wydusiłam, nie odwracając się za siebie. - Zaraz wracam.

Zamknęłam za sobą drzwi i poszłam w stronę kuchni, która teraz była już pusta. Wstawiłam brudny kubek do zmywarki, a do dwóch czystych nalałam kawy i śmietanki. Ukroiłam wielki kawał czekoladowego ciasta, owinęłam w papierowy ręcznik i sięgnęłam do szuflady ze sztućcami po dwa widelce.

Wzięłam kawę i deser i ruszyłam na górę, gdzie czekała na mnie Paige.

## 6

Następnego ranka obudziłam się z bólem głowy. Wzięłam trzy aspiryny, opróżniłam czterolitrową butelkę wody i przez godzinę moczyłam się w wannie. Nic nie pomogło. Ból nie minął aż do weekendu, kiedy razem z Paige pojechaliśmy do Bates. Wtedy uznałam, że był on spowodowany stresem - w związku z tatą, szkołą i okłamywaniem Simona. Niestety, fizyczna ulga, jaką z pewnością bym odczuła po wyznaniu prawdy podczas tej wizyty, była marnym pocieszeniem.

- Powiedz mi coś więcej o tej słynnej imprezie - poprosiła Paige. Razem z Rileyem trzymali się parę metrów przede mną i Simonem, gdy szliśmy kampusem. - Będą jakieś gry i zabawy?

- Jasne, nawet nagrody - odparł Riley. - I nieco żywego inwentarza z najlepszych hodowli w hrabstwie Adroscoggin.

Zerknęłam na Simona i zapytałam:

- W sensie krowy?

- Formalnie rzecz biorąc, ta impreza to dożynki - wyjaśnił.

- Urządzamy je w Bates raz do roku.

Riley powiedział coś, co rozśmieszyło Paige. Zakołysała się na prawo, zderzając się z ramieniem chłopaka.

- Mówiłeś mi coś o wydarzeniach zeszłego lata? - zapytałam, zniżając głos.

Simon potrząsnął głową.

- Widział relacje telewizyjne, tak jak i reszta kraju, ale nie ma pojęcia, że ona była w to zamieszana. Myśli, że Paige jest twoją najlepszą przyjaciółką z wakacji, która przeniosła się do Bostonu wyłącznie ze względu na ciebie.

- To dobrze. Jeśli będzie chciała, żeby wiedział coś więcej, sama mu o tym powie we właściwym czasie.

Uniósł nasze splecione w uścisku ręce i przycisnął usta do mojej dłoni.

- Cieszę się, że tu jesteś - wyznał, muskając wargami moją skórę.

Zawahałam się, po czym pocałowałam go w policzek.

- Ja też.

Tego ciepłego jesiennego dnia miasteczko uniwersyteckie było pełne uczących się, opalających i kursujących między kampusem a festiwalem ludzi. Idąc, przysłuchiwałam się

ich rozmowom i śmiechom i myślałam, że wszyscy wydają się tacy szczęśliwi, tacy normalni. Próbowałam wyobrazić sobie, że zachowuję się tak samo w kampusie mojej przyszłej uczelni o tej samej porze za rok... ale nie umiałam.

- To co robimy? - zapytał Riley, kiedy dołączyliśmy do nich przy wejściu na teren festiwalu. - Konkurs na najlepszego stracha na wróble czy wyścigi ciągnikiem? Czy to samo w odwrotnej kolejności? A może powinniśmy odpuścić sobie obie konkurencje i od razu iść na pieczone jabłka z karmelem i piwo dyniowe?

- Ja bym się chętnie przejechała wozem drabiniastym - stwierdziłam, widząc na drugim końcu pola długą, zaprzęgniętą w konie furę. - Jeśli chcecie, oczywiście.

Nikt nie miał zastrzeżeń, więc bez pośpiechu ruszyliśmy w stronę wozu, raz po raz przystając po drodze, by zagłosować na najlepszą rzeźbę dyniową, obejrzyć pokaz wytwarzania cydru i posmakować kilku odmian lokalnego syropu klonowego. Kiedy wreszcie dotarliśmy na koniec długiej kolejki oczekujących na przejażdżkę, musieliśmy odstać pół godziny, zanim znaleźliśmy się na początku. Wreszcie przysłała nasza kolej, ale okazało się, że wóz jest załadowany po brzegi i musimy poczekać kilkanaście minut na powrót następnego.

- Przecież bez trudu się zmieścimy - stwierdził Riley, oceniając wąskie luki między pasażerami. - Najwyżej będzie trochę ciasno.

- Nie masz nic przeciwko temu, żeby usiąść mi na kolanach? - zażartowała Paige.

- W imię oszczędności czasu i dobrej zabawy nie będę protestował. Wiedz, że jestem gotów na tak skrajne poświęcenie.

Paige roześmiała się, a Simon posłał mi spojrzenie.

- No to jedziemy - stwierdziłam.

Wspięliśmy się po krótkiej drabince i przeleźliśmy ponad listwą na tyłach wozu. Riley podązał za Paige, która manewrowała pomiędzy kolanami, stopami i belami siana, a gdy wreszcie znalazła kawałek miejsca tuż przy woźnicy i koniach, zgodnie z zapowiedzią przysiadł jej na kolanach. Simon wcisnął się w lewy róg na tyłach wozu i delikatnie pociągnął mnie na swoje kolana.

- Chyba polubię dożynki w Bates - stwierdziłam, gdy otoczył mnie ramionami.

Na niewielkiej furmance jechało upchanych jak sardynki w puszcze z grubszą trzydzieści osób, z czego większość, sądząc po wrzaskach, piskach i rubasznym śmiechu, przed przejażdżką uraczyła się paroma piwami dyniowymi. Mimo to, siedząc na tyłach wozu z Simonem, czułam się tak wspaniale, jakbyśmy jechali tylko we dwoje.

- Jak dzisiejsze zajęcia w laboratorium? - zapytałam, kiedy konie ruszyły.

Rozmawialiśmy tak często, że znałam na pamięć jego plan zajęć.

- Długie. Wyczerpujące. I bardzo nudne.

- Sądziłam, że przepadasz za małymi skrzydlatymi stworzeniami poświęcającymi się dla nauki.

- Bo tak jest... pod warunkiem, że nie spodziewam się wizyty pewnej niezmiernie ważnej osobistości.

Uśmiechnęłam się.

- Niezmiernie ważnej osobistości? A jakiej?

- A takiej, która sprawia, że zapominam, jaka jest liczba atomowa węgla i jak konwertować stopnie Celsjusza na Fahrenheita, i że taksonomia roślin staje się dla mnie abstrakcją.

- Królestwo, gromada, klasa, rząd, rodzina, rodzaj, gatunek - wyrecytowałam, wystukując jednocześnie rytm na jego klatce piersiowej. - Musi być kimś wyjątkowym, skoro przez nią nie pamiętasz takich podstaw, które nawet ja znam.

Zacisnął ramiona wokół mnie, a ja oparłam głowę na jednym z nich.

Czułam się tak dobrze, tak beztrudnie.

Gdyby tylko nie musiało się to skończyć.

- W przyszły weekend są urodziny Caleba - powiedział po chwili Simon.

- Rzeczywiście - stwierdziłam zadowolona z nowego tematu. - Huczna siedemnastka.

Jest podekscytowany?

- Wbrew samemu sobie. Zamierzał zaprosić garstkę przyjaciół na pizzę i na film, ale Monty miał inny plan. A czego chce Monty...

- Chce i Caleb.

- Dlatego w przyszłą sobotę odbędzie się zabawa na łodziach dla całego miasteczka. Monty wyprowadzi z portu „Annę Barbarę”, przyjaciele Caleba wyposażą swoje łodzie rybackie w specjalne oświetlenie i sprzęt muzyczny, a goście będą przez całą noc skakali z łódki na łódkę.

- Z łódki na łódkę? - Uniosłam głowę i spojrzałam na niego. Nie zaglądałam na stronę „Winter Harbor Herald” od wczorajszego poranka. - To znaczy, że...?

- Nie. - Odgarnął z mojej twarzy kosmyk włosów. - Łodzie wiosłowe można ustawić w dokach, ale lód wciąż jest zbyt gruby, żeby wypłynąć na głębsze wody. Caleb tak bardzo kocha łodzie, że Monty postanowił za wszelką cenę zrobić z nich główną atrakcję imprezy.

Znów pozwoliłam głowie opaść. Pod dłonią wyczułam przyspieszone bicie serca Simona.



- Wiem, że to trochę na ostatnią chwilę... ale czy miałabyś ochotę pojechać? Ze mną?  
Na urodziny Caleba?

Otworzyłam usta, chcąc powiedzieć, że chętnie pojadę. W jego głosie słychać było zdenerwowanie, a ja chciałam go uspokoić, a poza tym chciałam po prostu być tam, gdzie on. Ale słowa uwięzły mi w gardle.

- Wiem, że ucieszyłby się na twój widok - mówił dalej Simon. - Zresztą moi rodzice też. Ale jeśli to dla ciebie za wcześnie, rozumiem. To tylko taka propozycja.

- Nie.

- Nie? To znaczy, że nie jest za wcześnie?

Gorące łzy podeszły mi do oczu. Zamrużałam, by je rozproszyć, i usiadłam prosto, dlatego musiał mnie puścić. Próbowałam na niego spojrzeć, ale nie mogłam.

- Nie. Nie mogę pojechać.

- Nie możesz. W porządku. Masz już jakieś inne plany, tak?

To był ten moment. Musiałam to zrobić. Wystarczająco źle się czułam z tym, że okłamywałam Simona - nie mogłam wciągać w to całej jego rodziny.

- Simon. - Nowa fala łez podeszła mi do oczu na dźwięk jego imienia. - Muszę ci o czymś powiedzieć.

Położył dłoń na moim kolanie.

- Wszystko, co tylko chcesz, Vanesso. Zawsze.

Wszystko. Zawsze. Czyżby miał właśnie to na myśli?

Nie byłam gotowa, by próbować się o tym przekonać, ale i tak wzięłam głęboki, drżący oddech.

- Pamiętasz, jak...

Urwałam, bo wóz nagle wyrwał do przodu. Ramiona Simona natychmiast zacisnęły się wokół mojego tułowia. Powietrze wypełniły wrzaski i krzyki, kiedy konie z powolnego stępa gwałtownie przeszły do pełnego galopu.

- Galopada po Sennej Dolinie? - praktycznie wykrzyczałam, żeby było mnie słychać pośród zgiełku rozgorączkowanych głosów i ogłuszającego stukotu kopyt. Przed oczami mignął nam długi czarny baner rozpostarty między drzewami. Przemknąwszy pod nim, wpadliśmy do ciemnego lasu.

- Zdaje się, że zostaliśmy porwani! - krzyknął w odpowiedzi Simon, uśmiechając się szeroko.

Przywarłam do niego, żeby nie wypaść z wozu, i spojrzałam w ślad za jego skinieniem. Woźnica, starszy mężczyzna, który, gdy wsiadaliśmy na furę, miał na sobie

ogrodniczki i flanelową koszulę, teraz albo niepostrzeżenie przebrał się w kostium, albo... został wysadzony ze swojego miejsca przez jeźdźca bez głowy.

- Vanesso! - zapiszczała Paige.

Nasze spojrzenia spotkały się i obie wybuchłyśmy śmiechem. Riley, jadąc z zamkniętymi oczami, podskakiwał na kolanach Paige, obejmując ją mocno ramionami. Ona obejmowała go w pasie. Kiedy nasz wóz podskakiwał na kamieniach i wybojach, zza drzew wyłonili się organizatorzy festiwalu poprzebierani za wiedźmy i zombie. Pasażerowie wrzeszczeli, uchylali się i łapali, czego popadnie - bel siana, ścian wozu, siebie nawzajem - byle tylko nie dać się złapać i nie spaść.

Pierwszy raz od wydarzeń zeszłego lata przestraszyłam się czegoś, co nie było z nimi związane. A że miałam przy sobie Simona, który trzymał mnie tak mocno jak nigdy przedtem, czerpałam radość z każdej sekundy.

Kiedy było po wszystkim i wóz zwolnił, by stanąć przed początkiem kolejki, Simon, ciągle się uśmiechając, odgarnął mi rozwiane włosy z twarzy. Zbliżył się, by pocałować mnie w czoło, ale uniosłam podbródek, a jego usta zetknęły się z moimi.

Całowaliśmy się przez kilka chwil, ignorując spojrzenia i chichoty pozostałych pasażerów, którzy mijali nas, żeby zejść z wozu. Moglibyśmy tak trwać - może nawet zabrać się na kolejną przejażdżkę, bylebyśmy nie musieli się rozdzielać - ale Riley najwyraźniej przeraził się do tego stopnia, że zabrakło mu tchu.

- Cydru - wysapał, zlazłszy z wozu. - Lemoniady, czarodziejskiej polewki, czegokolwiek, wszystko mi jedno. Byle tylko w płynie i żeby dało się to przełknąć.

Usta Simona znieruchomiały na moich wargach. Oparł głowę o moje ramię i potrząsnął nią.

- Sama chętnie bym się czegoś napiła - stwierdziłam. Po podnieceniu, jakie dała mi zarówno przejażdżka wozem, jak i całowanie się z Simonem, moje ciało potrzebowało doładowania. Cmoknęłam go lekko w policzek i zesłam z jego kolan.

- Przecież chciałaś mi coś powiedzieć. Może dołączymy do nich później.

To było głupie. I dziecinne. I prawdopodobnie mogło tylko pogorszyć sprawę.%

Ale mimo to skłamałam.

- To nic takiego. Może poczekać.

Nawet jeśli nie był przekonany do tego, co mówiłam, nic nie powiedział. Jednak przez jakiś czas milczał, gdy ruszyliśmy do dużego białego namiotu, w którym dziesiątki studentów i nauczycieli tańczyło w cztery pary. Martwiłam się, że denerwuje go odkładanie tematu, ale kiedy spędziliśmy trochę czasu przy stoliku z poczęstunkiem, odniosłam wrażenie, że jest

zrelaksowany.

Ja też się odprężyłam. Na poczęstunek składała się butelk®-wana woda, precelki i mieszanki orzechów, a popijanie słonych przekąsek wodą okazało się zaskakująco przyjemne. Muzyka, grana na żywo przez kapelę country, była całkiem przyzwoita. Paige, pozytywnie naładowana żartami i zainteresowaniem Riley'a, nie przestawała się uśmiechać. Simon puścił moją dłoń tylko po to, by objąć mnie w tali.

Bawiłam się tak dobrze, że nawet się nie zawahałam, kiedy Simon poprosił mnie do tańca.

Razem z Paige i Riley'em oraz dwiema innymi parami utworzyliśmy czworoboczny układ. Biały namiot był zatłoczony, a przenośny parkiet trząsł się od stąpania i podskoków tańczących. Musieliśmy zrobić parę obrotów, niejednokrotnie wpadając przy tym na siebie, żeby w końcu opanować ruchy, a kiedy już nam się to udało, podrygiwaliśmy jak zawodowcy.

- Kocham studenckie życie! - wrzasnęła Paige, kiedy wzięliśmy się pod ramię podczas obrotu.

Roześmiałam się. Od dawna nie widziałam jej tak szczęśliwej.

Dzięki temu i ja byłam szczęśliwa. Do tego stopnia, że przy następnej okazji, kiedy utworzyłam parę z Simonem, pocałowałam go.

Po jednej piosence od razu zaczynała się kolejna. Wodzirej zachęcał tłum do śpiewania i wreszcie, gdy udało mi się zapamiętać refren, też się przyłączyłam.

Może to z powodu muzyki. A może z powodu świateł migoczących nad głową. A może dlatego, że Simon szukał mojego spojrzenia i śmiał się do mnie, niezależnie od tego, w którym miejscu układu się znajdowaliśmy. Nie zauważyłam, bez względu na przyczynę, że oprócz mnie nikt nie tańczy, dopóki nie sięgnęłam po ramię Riley'a... którego tam nie było.

Wszystko dobrze... pomyślałam, obracając się powoli. Oni wcale nie patrzą na mnie...

Problem w tym, że patrzyli. Wszyscy: studenci, nauczyciele, wodzirej, Riley, Simon. Wszyscy z wyjątkiem Paige. Uformowali duży nieruchomy krąg. Nie klaskali, nie tańczyli ani nie śpiewali. Po prostu stali i obserwowali mnie.

Dziewczęta miały nadąsane miny.

Mężczyźni - twarze zastygłe w uśmiechu.

## 7

- Zimno ci? - zapytała pani Mulligan, kiedy w poniedziałek rano usiadłyśmy przy biurku w jej gabinecie. - Mam zamknąć okno?

- W porządku, nie trzeba. - Naciągnęłam kaptur bluzy głębiej na głowę, tak że zakrył większą część mojej twarzy.

- Dziś mam fatalne włosy.

- Amore ac studio - powiedziała wyczekująco. Kiedy nie odpowiedziałam, skinieniem wskazała na moją klatkę piersiową.

- Z zapalem i oddaniem. Motto Bates.

- Ach tak. - Zerknęłam w dół na logo, które przypominało logo Dartmouth. Tarcza ochronna szkolnictwa wyższego, na której widniała książka, drzewo i wyszukane łacińskie hasło.

- Nawet nie wiedziałam.

- Bates to wspaniała uczelnia. Konsekwentnie plasuje się w czołówce dwudziestu pięciu najlepszych wyższych uczelni humanistycznych w naszym kraju.

- To bluza kolegi.

- Więc znasz kogoś, kto tam teraz studiuje? To wspaniale.

- Odwróciła się do komputera. - Wielu rodziców zachęca dzieci do rozstawiania się ze swoimi sympatiami, żeby nic ich nie rozpraszało, ale nauka w collegeu może przytłaczać. Dlatego moim zdaniem, mając kogoś, kogo się zna i komu się ufa, znacznie łatwiej przejść przez okres adaptacyjny.

Chciałam jej powiedzieć, że nie jestem zainteresowana studiami w Bates College - zwłaszcza po ostatnim weekendzie, kiedy przypadkiem dałam się poznać całej szkole - ale byłam zbyt zmęczona, by protestować.

- Mój znajomy, wychowanek naszego liceum i absolwent Bates, ma czas na spotkanie w przyszły wtorek o siódmej rano - oznajmiła. - Co ty na to?

- Spotkanie? Dziękuję, ale chyba nie...

- Znasz kawiarnię „Bostońska Świeżo Palona”? Tamtejsza caffè mocha jest bez wątpienia najlepsza w mieście.

Nie było sensu się spierać. Pani Mulligan próbowałaby mnie przekonać, że to dobry pomysł, nie dopuszczając innej możliwości. Wzięłam więc plecak z podłogi i wstałam.

Przerwała stukanie na klawiaturze i podniosła na mnie wzrok.

- Czy coś się stało?

- Mam test z angielskiego - wyjaśniłam, wycofując się z gabinetu. - Na następnej lekcji. Właśnie sobie przypominałam.

- Przecież zostało jeszcze całe dwadzieścia minut tej lekcji. To zajmie tylko...

- Muszę przejrzeć notatki. - Wyciągnęłam rękę w stronę drzwi i chwyciłam gałkę. - Ale dziękuję.

Wiedziałam, że chce mnie zatrzymać, jednak tego nie zrobiła. Tak samo jak nie wspomniała słowem - ani ona, ani nikt inny - o mojej bluzie i wygniezionej koszulce. Odstąpienie od noszenia obowiązkowego mundurka szkoły było wykroczeniem karanym dodatkowymi godzinami pozalekcyjnymi i chociaż od rozpoczęcia dzisiejszych zajęć nauczyciele i personel administracyjny szkoły posyłali mi niejednokrotnie ostrzegawcze spojrzenia, nikt nie zareagował.

Nie chcieli mnie prowokować. Nie chcieli popychać mnie jeszcze bliżej krawędzi.

Teraz korzystałam z tego przywileju. Zbiegając po schodach, minęłam kilku pracowników szkoły; każdy otwierał usta, żeby zapytać, co robię na korytarzu w środku lekcji, ale żaden się nie zdecydował. Nie próbowali mnie zatrzymać. Pani Hanley, moja nauczycielka matematyki, stała przy drzwiach wejściowych do szkoły, a kiedy do nich dobiegłam i wypadłam na zewnątrz, ona przepuściła mnie bez słowa.

Znalazłszy się na dworze, zbiegłam po schodach i przebiegłam przez ulicę. Był początek października. Powietrze wreszcie się ochłodziło, a liście zmieniały kolor. Mijali mnie przechodnie w wełnianych płaszczach, z brodami wetkniętymi za kołnierze, z rękami w kieszeniach. Ale ja nie czułam chłodu. Mnie było tak ciepło, że gdybym nie potrzebowała bluzy Simona dla ochrony, zdjęłabym ją.

Udałam się w stronę parku. Nigdy wcześniej nie urwałam się z lekcji i nie byłam pewna, dokąd mam iść, a park wydawał się równie dobrym miejscem jak każde inne. Wiedziałam, że będzie pełen ludzi, ale dopóki pozostanę w ukryciu, nikt nie zwróci na mnie uwagi.

Namierzyłam pustą ławkę w pełnym zieleni zakątku i usiadłam. Wyciągnęłam z plecaka butelkę wody i aspirynę i połknęłam dwie kolejne tabletki. To dawało w sumie sześć - maksymalną zalecaną dzienną dawkę - a było dopiero południe.

Jednak ból głowy nie ustawał. Przez cały pobyt w Bates nie powrócił ani na chwilę, ale gdy tylko trzy dni temu minęliśmy tablicę wjazdu do Bostonu, poczułam, jakby ktoś zdzielił mnie w głowę młotem. Od tamtej pory ból na przemian nasilał się i słabł, ale nawet

kiedy występował w postaci lekkiego napięcia, wciąż przypominał mi o wszystkim, czego nie wiedziałam i co miałam jeszcze do zrobienia.

Włączając w to rozmowę z Simonem. Nie wyglądał na specjalnie zdziwionego moim nieoczekiwanym solowym popisem tanecznym; zapewnił, że to normalne, że wszyscy się na mnie gapili, bo w końcu byłam najpiękniejszą dziewczyną na parkiecie, ale ja ciągle nie mogłam się po tym pozbierać. Zrobiłam się nerwowa, wpadłam w paranoję i resztę weekendu spędziliśmy w akademiku z Paige i Rileyem, oglądając filmy i żywiąc się daniami na wynos. Simon tylko raz próbował wrócić do poruszonego przez mnie tematu - przez telefon tamtego wieczoru, kiedy przyjechałyśmy do Bostonu - ale zapewniłam go, że to nic takiego. A ponieważ nigdy nie zmuszał mnie do czegoś, do czego nie byłam stuprocentowo przekonana, od tamtej pory wszystko toczyło się po staremu.

Z wyjątkiem bólu głowy. I pragnienia. No i gorąca oraz znużenia. Nowych objawów mojej dolegliwości, czymkolwiek była.

Opadłam na oparcie ławki i zamknęłam oczy. Skupiłam uwagę na kojących dźwiękach szeleszczących liści, śpiewie ptaków... odgłosach całujących się ludzi.

Otworzyłam oczy. To nie była moja wyobraźnia. Jakaś para naprawdę całowała się w parku, w samym środku dnia. Z mojego miejsca nie było jej widać, ale za to słyszałam każdy oddech, każdy szept, a to znaczyło, że jest bardzo blisko, zbyt blisko, żebym mogła czuć się swobodnie.

Złapałam plecak i poderwałam się na równe nogi, a wtedy kątem oka uchwyciłam dobrze mi znane granatowe i rdzawoczerwone kolory. Zza pobliskiego drzewa wyłonił się mundurek w barwach liceum Hawthorne'a, a moim oczom ukazała się szczęśliwa parka przerywająca czułe objęcia.

- Vanessa? - zawołał znajomy męski głos.

Zrobiłam zaledwie kilka kroków, zanim mnie dostrzegł. Nie odwracając się, ściągnęłam ciasno sznurki kaptura i zaczęłam szybciej iść.

- Vanesso, zaczekaj!

Znowu przyspieszyłam, słysząc, że kroki za mną też stały się szybsze.

- Hej, sprinterko - usłyszałam nagle tuż obok. - Chyba wiesz, że szkoła jest w przeciwnym kierunku, co?

Złapał mnie za łokieć. Wyrwałam się i skręciłam w lewo. Oglądając się przez ramię, zobaczyłam Marisol Solomon, koleżankę z równoległej klasy, która pracowała jako modelka dla sieci salonów odzieżowych „J. Crew”. Wciąż jeszcze stała przy drzewie, gdzie została porzucona, najwyraźniej zbyt oszołomiona, by wetknąć sobie bluzkę w spodnicę i poprawić

włosy. Kiedy spotkałyśmy się wzrokiem, skrzyżowała ramiona na piersi i zmarszczyła brwi.

Szłam szybkim krokiem, skręcając to w lewo, to w prawo, mijając kilka kwietników i okrążając pomniki. Kiedy dałam nura za budynek publicznego szaletu, pomyślałam, że może wreszcie udało mi się zgubić prześladowcę, ale gdy tylko wyłoniłam się po drugiej stronie, zobaczyłam, że wciąż podąża moim śladem. Tak bardzo skoncentrowałam się na tym, by zachować dystans, że nie spostrzegłam, dokąd idę, i wkrótce dotarłam na skraj otwartej polany. Stałam jak wryta i rozejrzałam się dookoła. Jedyne schronienie była parkowa altana na środku polany, oddalona o jakieś piętnaście metrów od miejsca, w którym stałam.

Kroki rozbrzmiewały teraz gdzieś w oddali. Obejrzałam się za siebie, ale nikogo nie zobaczyłam.

Ogarnęło mnie tak silne znużenie, że najchętniej tu i teraz osunęłabym się na ziemię i zapadła w sen, ale zebrałam ostatki sił. Skoro ja go nie widziałam, on też nie mógł mnie widzieć, więc wystarczyło dojść do altany i tam się schować. Budowla miała ażurową konstrukcję i nie zapewniała całkowitej osłony, ale niskie ściany przy ziemi mimo wszystko były wystarczająco wysokie, by ukryć kogoś, kto nie chce zostać odnaleziony.

Wzięłam głęboki oddech i pobiegłam przed siebie.

Moje nogi słabły z każdym krokiem. Serce skurczyło się i nie chciało się rozkurczyć. Łapałam powietrze tak łakomie, że płuca nie nadążały z rozprężaniem. Już miałam zrezygnować i pogodzić się z nieuchronnością krępującego spotkania, ale wtedy spojrzałam za siebie, żeby się przekonać, jak jest daleko... Zamiast niego zobaczyłam Rainę i Zarę.

Szły powoli, ramię w ramię, w długich sukienkach, niegdyś białych, teraz zszarzałych i poszarpanych, przylegających do ich wysuszonych nóg. Ich skóra była sina, a ciemne włosy zmatowiały. Srebrzyste oczy były wąskie jak szparki i... utkwione we mnie.

Jednym susem pokonałam odległość dzielącą mnie od altany i potykając się o podest, wylądowałam twardo na kolanach. Gdy upadałam, podarłam rajstopy i zdarłam skórę. Nie zważając na ból, poczołgałam się po podłodze jak najdalej od wejścia.

- Błagam - wyszeptałam, zamykając oczy, i przyciągnęłam kolana do piersi. -  
Przepraszam. Błagam, nie...

- Błagam, nie co?

Wstrzymałam oddech.

- Mam nie mówić, że zmarnowałaś czas w liceum Hawthornea, kiedy mogłaś już dawno zostać olimpijską złotą medalistką?

Otworzywszy oczy, zobaczyłam Parkera opierającego się o kamienny filar i ciężko dyszącego. Poluzował bordowy krawat i szerszym końcem otarł pot z czoła. Patrzył, jak

dźwigam się na nogi, po czym zerkam ponad niskimi ścianami altany.

- Gdzie się pali? - zapytał. - Nie widziałem płomieni, ale wnioskując z twojego tempa, gdzieś musi być pożar.

Nie było żadnego pożaru. Na szczęście nie było też nikogo w zasięgu wzroku.

Przesunęłam plecak na brzuch i oparłam się o filar znajdujący się naprzeciw niego.

- Nie powinieneś wracać do swojej dziewczyny?

- Do jakiej dziewczyny?

- Do tej, którą podduszałeś i reanimowałeś równocześnie - wyjaśniłam, szperając w plecaku.

- Marisol nie jest moją dziewczyną. Ani nawet koleżanką. Szczerze mówiąc, jest tak chorobliwie spięta, że czasem ledwie można ją nazwać dziewczyną.

Ledwie można ją nazwać dziewczyną. Zatem coś nas łączyło.

Moje palce wreszcie natrafiły na znajomy plastikowy kształt. Wyszarpnęłam z plecaka butelkę i... zachciało mi się płakać, bo zobaczyłam, że jest pusta. Byłam tak fizycznie i emocjonalnie wycieńczona, że gdybym miała czym płakać, po moich policzkach popłynęłyby łzy.

- Hej.

Podniosłam wzrok. Cwany wyraz zniknął z twarzy Parkera. W jego miejsce pojawiło się coś, o co w życiu bym go nie podejrzewała, gdybym nie zobaczyła tego na własne oczy.

- Mam nie mówić, że zmarnowałaś czas w liceum Hawthornea, kiedy mogłaś już dawno zostać olimpijską złotą medalistką?

Otworzywszy oczy, zobaczyłam Parkera opierającego się o kamienny filar i ciężko dyszącego. Poluzował bordowy krawat i szerszym końcem otarł pot z czoła. Patrzył, jak

dźwigam się na nogi, po czym zerkam ponad niskimi ścianami altany.

- Gdzie się pali? - zapytał. - Nie widziałem płomieni, ale wnioskując z twojego tempa, gdzieś musi być pożar.

Nie było żadnego pożaru. Na szczęście nie było też nikogo w zasięgu wzroku.

Przesunęłam plecak na brzuch i oparłam się o filar znajdujący się naprzeciw niego.

- Nie powinieneś wracać do swojej dziewczyny?

- Do jakiej dziewczyny?

- Do tej, którą podduszałeś i reanimowałeś równocześnie - wyjaśniłam, szperając w plecaku.

- Marisol nie jest moją dziewczyną. Ani nawet koleżanką. Szczerze mówiąc, jest tak chorobliwie spięta, że czasem ledwie można ją nazwać dziewczyną.



Ledwie można ją nazwać dziewczyną. Zatem coś nas łączyło.

Moje palce wreszcie natrafiły na znajomy plastikowy kształt. Wyszarpnęłam z plecaka butelkę i... zachciało mi się płakać, bo zobaczyłam, że jest pusta. Byłam tak fizycznie i emocjonalnie wycieńczona, że gdybym miała czym płakać, po moich policzkach popłynęłyby łzy.

- Hej.

Podniosłam wzrok. Cwany wyraz zniknął z twarzy Parkera. W jego miejsce pojawiło się coś, o co w życiu bym go nie podejrzewała, gdybym nie zobaczyła tego na własne oczy.

Troska.

Sięgnął do torby i wyjął z niej butelkę „Nalgene” pełną wody. Zrobił krok w moją stronę, ale po namyśle przystanął.

- Trzymaj - powiedział, podając mi wodę w wyciągniętej ręce.

Poczułam ucisk w gardle. Nie zamierzałam niczego brać od Parkera Kinga. Nie tylko dlatego, że jego arogancja graniczyła z prostactwem, ale ze względu na to, że nie chciałam go ośmielać. W końcu przecież gonił mnie przez cały bostoński park Common. Skąd mogłam wiedzieć, do czego byłby skłonny, gdybym okazała mu cokolwiek innego poza chłodem?

Jednak z tym problemem musiałam poradzić sobie później. Byłam tak spragniona, że nie zdołałabym wyjść z parku, jeślibym nie skorzystała z jego pomocy.

- Dzięki. - Chwyciłam butelkę, obróciłam się i przeszłam na drugi koniec altany, żeby nie zobaczył, jak na mojej twarzy pojawia się wyraz anielskiej ulgi. Oczywiście była to tylko zwykła woda, ale mimo wszystko mogła złagodzić ból w płucach i uspokoić kołatanie serca.

- Nie ruszaj się.

Łyk, który właśnie wzięłam, cofnął się gwałtownie. Parker ukląkł tuż przy mnie i przyłożył palce do mojej piszczeli. Woda paliła w gardle, kiedy usiłowałam ją przełknąć.

- Co ty ro...

- Krwawisz. - Szybko poprawił uchwyt, zdecydowanym ruchem przykładając jedną dłoń do mojej łydki i nie pozwalając mi się cofnąć.

I wtedy to zobaczyłam. Ciemną czerwoną stróżkę sączącą się ze skaleczenia, płynącą po kolanie i plamiącą białe rajstopy.

Przed oczami mignęła mi seria obrazów. Justine na leśnej ścieżce w ramionach Caleba. Krew sącząca się z rany...

To tylko piach albo wodorosty...

- Muszę... Chyba zaraz...

Parker poderwał się w górę, kiedy pode mną ugięły się nogi. Osunęłam się na podest,

nie w pełni świadoma, że mocno objął mnie ramieniem.

- Już dobrze. - Zdjął sweter, nalał odrobinę wody na rękaw i posługując się nim jak moką ściereczką, otarł moją twarz. - Nic ci nie jest.

Czując, że jestem zbyt słaba, żeby polemizować, odchyliłam głowę w tył i zamknęłam oczy. Co jakiś czas ciepły plastik przywierał do moich warg, a wtedy bezwiednie je rozchylałam. Pomiędzy łykami a dotknięciami zimnego prowizorycznego kompresu moja skóra stopniowo zaczęła się chłodzić, a temperatura ciała spadać. Wreszcie poczułam się wystarczająco dobrze, by znów otworzyć oczy.

- Ciasteczko truskawkowe? - Pierwsze, co zobaczyłam, to plaster opatrunkowy z kolorowym nadrukiem.

- Moja mała siostrzyczka nie pozwala mi się nigdzie ruszyć bez przygotowania.

Parker uniósł plastikową torebkę pełną plasterków ze słodkim nadrukiem, chusteczek z Calineczką i landrynek „Jolly Ranchers”.

Spojrzałam na niego, przez chwilę niemal dostrzegając to, co musiały w nim widzieć wszystkie inne dziewczyny z liceum Hawthornea. Ciemne blond włosy były zaczesane do tyłu i sięgały kołnierzyka koszuli, niebieskie oczy raz po raz połyskiwały zielonkawym odcieniem - jak teraz, we wczesnopołudniowym słońcu - a skóra była gładka i złocista. Jednak w porównaniu z cechami fizycznymi jeszcze bardziej rozbijająca była jego postawa - pełna opanowania, pozbawiona lęku. Parker wiedział, że jest przystojnym chłopakiem, ale w tej chwili, kiedy na niego patrzyłam, odniosłam wrażenie, że nic sobie z tego nie robi. Jego pewność siebie wynikała z czegoś głębszego, co w jakiś sposób sprawiało, że wygląd zewnętrzny stawał się najmniej interesującym z jego przymiotów.

- Przepraszam - powiedział. - Że siedłem za tobą, kiedy najwyraźniej chciałaś być sama. Ale musiałem coś ci dać, a wcześniej długo nie mogłem cię znaleźć.

Szukał mnie? Czyżby to, co przyciągało do mnie mężczyzn, moja niezamierzona i niechciana atrakcyjność już teraz była silniejsza, niż przypuszczałam?

- Nie mamy razem żadnych zajęć, nigdy nie można cię złapać przy twojej szafce, a w bibliotece więcej cię nie widziałem. Więc albo dałbym ci to teraz, albo musiałbym czekać, aż nasze ścieżki przetną się w Winter Harbor w następne wakacje.

Zanim zdążyłam zapytać, co ma na myśli, sięgnął do kieszeni swetra i wyciągnął zdjęcie... Justine. Jedzącej lody na zatłoczonej głównej alei Winter Harbor. Nie patrzyła w stronę aparatu, co oznaczało, że nie wiedziała, że jest fotografowana.

- Nie byłem pewien, kim była twoja siostra - wyjaśnił przepaszająco. - Kiedy zapytałem jednego z kumpli, powiedział mi i pokazał to. Miał na jej punkcie fioła i zrobił to

zdjęcie z ukrycia, gdy tam pojechaliśmy latem zeszłego roku.

- Nie pamiętam, żebym cię kiedykolwiek widziała w miasteczku - odparłam, wyjmując mu zdjęcie z dłoni.

- To dlatego, że nie bywam tam zbyt często. Tamtego lata przyjechałem po raz pierwszy. Zostaliśmy tylko tydzień. W ubiegłym roku rodzice kupili tam domek letniskowy, ale ojciec był zawsze zbyt zajęty i jakoś nigdy nie udało nam się przyjechać. - Zawahał się, zanim podjął dalej. - W każdym razie kilka dni temu, kiedy zapytałem, czy się dobrze czujesz, to dlatego, że wyglądałaś na bardzo rozgrzaną, jakbyś miała gorączkę. Ale to była z mojej strony głupota, że nie wiedziałem, co się stało. I pomyślałem, że dając ci to zdjęcie, zrobię mały dobry uczynek i jakoś ci to wynagrodzę.

- Nie musiałaś nic robić - odparłam. - Szczerze mówiąc, samo to, że był ktoś, kto o tym nie wiedział, podziało na mnie pokrzepiająco.

Albo raczej podziałałoby, gdyby jego nagle zainteresowanie nie zbiło mnie z tropu.

- Tak samo jak wizyta u szkolnej pielęgniarki, co? Zrobiłem, co mogłem, nie mając wiele do dyspozycji, ale kilka minut temu byłaś naprawdę w kiepskim stanie.

- Dzięki, ale nic mi nie jest. Zawsze robi mi się słabo na widok krwi.

- W porządku - odparł bez przekonania. - Ale nalegam, żebyś pozwoliła mi odprowadzić się do szkoły.

- To nie będzie konieczne. - Szybko wstałam i poczułam, jak zawiroowało mi w głowie.

Złapał mnie pod rękę, kiedy zarzuciło mnie na bok. Zamknęłam oczy i odczekałam, aż wirowanie ustąpi. Kiedy znów je otworzyłam, Parker spoglądał na mnie wyczekująco.

- Sama poniosę swój plecak - zastrzegłam.

- Zgoda.

Idąc przez łąkę, nie rozmawialiśmy. Byłam wdzięczna za milczenie; dzięki niemu mogłam spokojnie ustalić, co się właściwie stało. Parker wydawał się szczerzy i miałam wrażenie, że zależy mu tylko na tym, żeby jakoś wynagrodzić mi to, że nie wiedział o Justine. Był autentycznie zaniepokojony i zaopiekował się mną, kiedy o mały włos nie zemdlałam. Ale czy robił tak tylko dlatego, że było mu głupio? Czy może już działał pod moim wpływem?

Byliśmy w połowie drogi przez park, kiedy zabrzączał mój telefon. Wyciągnęłam go z kieszeni spodnicy i otworzyłam nową wiadomość.

„Tęsknię. Pomyślałem, że powinnaś wiedzieć. - S.”

Zerknęłam na Parkera. Patrzył wprost przed siebie i zdawał się nawet nie zauważać, że odczytuje wiadomość w telefonie... ale była to świetna okazja.

- Właśnie dostałam wiadomość - oznajmiłam. - Od Simona. Mojego chłopaka.

Wypatrywałam na jego twarzy jakiejś oznaki rozczarowania czy zazdrości: grymasu, nerwowego zaciskania szczęki, zmarszczonych brwi. Ale nic takiego nie dostrzegłam. I to nie wszystko. Zajęło mu dobrą chwilę, zanim zebrał się na odpowiedź, jakby był rozkojarzony. Jakby wcale o mnie nie myślał.

- Spoko. - Posłał mi krótki uśmiech, potem znów spojrzał przed siebie.

Gapiałam się na ekran telefonu, nie widząc słów Simona. To była dobra wiadomość. Cokolwiek działo się z Parkerem, jego uczucia do mnie wciąż były tylko platoniczne.

Choć to oznaczało, że wiem o swoim stanie jeszcze mniej, niż mi się początkowo wydawało.

Jedyną rzeczą, której pragnęłam, kiedy tego dnia wróciłam po szkole do domu, było zanurzenie się w zimnej kąpiel. Na każdej przerwie odwiedzałam wodotrysk i napełniałam butelkę wodą. Chociaż pragnienie i ból głowy osłabły, skóra sprawiała wrażenie zbyt ciasnej, jakby była za mała, by pomieścić moje ciało.

Ale gdy tylko otworzyłyśmy drzwi frontowe domu, wiedziałam, że kąpiel będzie musiała jeszcze chwilę poczekać.

- Czyżbym pospieszyła się z rozpakowywaniem? - zdziwiła się Paige.

- Nic się nie martw. - Zamknęłam drzwi i zrobiłam wielki krok, przechodząc nad dużym kartonowym pudłem. - Nie wyprowadzamy się. To tylko przejściowy kryzys.

- Dobrze, że jesteście, dziewczynki! - zawołała mama ze schodów prowadzących do piwnicy. - Vanesso, skarbie, nie wiesz czasem, co zrobiłam z gadającą wiedźmą? - Pytanie przebrzmiało, gdy odeszła w głąb piwnicy, nie czekając na odpowiedź.

- Kiedy jest zdenerwowana, zabiera się za „porządki” - wyjaśniłam, gdy z dołu dobiegł donośny łoskot.

- To może ja przekręcę do babci Betty - zaproponowała Paige. - No chyba że chcesz, żebym...?

- Nie. - Zerknęłam na drzwi do piwnicy. - Ale dzięki.

Kiedy ruszyła w stronę kuchni, raz jeszcze rozejrzałam się po salonie. Na podłodze i na meblach zalegały dziesiątki kartonowych pudeł. Podłużne plastikowe pojemniki stały poukładane jedne na drugich w wieże wyższe ode mnie. W przejściach zalegały czarne worki na śmieci. W powietrzu unosił się kurz.

Mama lubiła, gdy jej dom był w nieskazitelnym stanie, więc to, co wytrąciło ją z równowagi tym razem, musiało być poważne.

- Z gadającą wiedźmą? - zapytałam, dotarłszy na podest schodów prowadzących do

piwnicy.

Przerwała wywlekanie z półki moich starych pluszowych maskotek i obróciła się.

- Co ty robisz tu na dole?

- Myślałam, że potrzebujesz pomocy.

- A ja myślałam, że krzykniesz do mnie z góry. - Postąpiła w moją stronę, trzymając w ręce skołtunionego kraba, którego tato kupił mi dawno temu w akwarium w Nowej Anglii. - Przecież nie znosisz chodzić do piwnicy.

Miała rację: nie znosiłam chodzić do piwnicy. Ale teraz to się zmieniło. Głównie dlatego, że wiedziałam, iż najstraszniejsze potwory wcale nie czają się w mroku, czekając, aż do nich przyjdiesz. Jeśli zechcą, same po ciebie przyjdą.

- Za trzy tygodnie Halloween. - Odwróciła się do półki i przystąpiła do układania zabawek. Jej ręce trzęsły się tak mocno, że za każdym razem, kiedy dokładała jednego pluszaka, strącała innego.

- No i? - zapytałam, zbierając zabawki z podłogi.

- Nie mamy za wiele czasu na udekorowanie domu. - Ruszyła prosto w kierunku sterty pudeł.

Podążyłam za nią powoli, nie wiedząc, co właściwie mam na to odpowiedzieć.

- Mamo... nie dekorowałaś domu na Halloween, odkąd skończyłam gimnazjum.

Wyprostowała się, przyciskając do piersi mieniącą się brokatem bożonarodzeniową gwiazdę.

- To dlatego, że byłam zajęta pracą. Teraz już nie jestem. Ale nic się nie martw: gadająca czarownica będzie najstraszniejszą ozdobą. Oprócz niej planuję tylko latarnie z wydrążonej dyni, strachy na wróble i czarne koty. Wskazała palcem szeroką szafę na dokumenty po drugiej stronie pomieszczenia.

- Mogłabyś do niej zajrzeć? Tam powinny być tylko jakieś stare papiery twojego ojca, ale z nim to nigdy nic nie wiadomo.

Puls mi przyspieszył. Ponieważ nigdy nie zapuszczałam się do piwnicy na dłużej, nie miałam okazji sprawdzić, co w niej przechowywano. Ale mama i tato przeprowadzili się do tej kamienicy zaraz po ślubie - na dużo wcześniej, zanim Justine i ja przyszłyśmy na świat - co znaczyło, że mogą tu być rzeczy sprzed dwudziestu lat. A skoro oboje wiedzieli, jakim przerażeniem napawają mnie ciemne i ciasne zakamarki, może nie byli zanadto ostrożni, ukrywając tu tajemnice, których nie zamierzali nigdy ujawnić.

Kiedy wysunęłam pierwszą szufladę, pisnęła. Wstrzymałam oddech w oczekiwaniu, ale mama nadal przeglądała rupiecie, niewzruszona.

Wyjęłam pierwszą teczkę, nie mając pewności, co właściwie chciałabym tu znaleźć. Stare zdjęcia? Listy miłosne? Rachunki za pokój w motelu? Z albumu Rainy wynika, że Charlotte umarła w połogu, dlatego tato nie miał innego wyboru, jak się mną zaopiekować. Nie było wiele do odkrycia poza szczegółami wspólnie spędzonego czasu, wskazówkami dotyczącymi ich pierwszego spotkania... ale może to, co mogłabym znaleźć, pozwoliłoby mi zrozumieć, jak do tego doszło.

Bo przecież tato miał fioła na punkcie mamy - a raczej kobiety, którą do ostatnich wakacji uważałam za matkę. Widać to było po tym, jak na nią patrzył, kiedy nie widziała, jak próbował ją rozśmieszyć, kiedy akurat wygłaszała nerwową tyradę, jak w zamyśleniu sięgał po jej dłoń, kiedy czytali razem „Sunday Timesa”. I jeżeli śmierć Justine nauczyła mnie czegokolwiek, to tego, że istnieje siła, z którą syreny nie mogą zadzierać, jedyna przeszkoda, której nie są w stanie pokonać, bez względu na to, jak usilnie będą się starać.

Miłość.

To dzięki niej Caleb zdołał oprzeć się Żarze. To dzięki niej tato powinien był oprzeć się Charlotte, ale się nie oparł. Chciałam wiedzieć dlaczego.

Niestety, w pierwszej otwartej teczce nie znalazłam wskazówek. Ani w żadnej następnej wyciągniętej z górnej szuflady. Pozostałe szuflady okazały się również ślepyimi tropami, oferowały bowiem jedynie żółknące notatki z angielskiego i programy nauczania. Zanim uporałam się z ostatnią szufladą, mama zdążyła przejść do kolejnej góry pudeł. Zaczekałam, aż odwróci się do mnie plecami, po czym dałam nura za stalowy regał.

Najwyraźniej jeszcze nie dotarła do tego kąta piwnicy, bo szafki wciąż były zagracone, a ich zawartość szara od kurzu. Mój wzrok przesuwiał się po starych książkach i winylowych płytach w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby sugerować istnienie sekretnego życia toczącego się poza tym domem.

Kiedy wkroczyłam w głąb korytarzyka i znalazłam się z dala od lampy zwisającej ze środka sufitu, światło osłabło. Było tu tak ciemno, że po dotarciu do betonowej ściany o mały włos na nią nie wpadłam. Tak nieoczekiwany kontakt zaskoczył mnie i wywołał dobrze znane uczucie, które towarzyszyło mi zwykle wtedy, gdy tylko przekraczałam próg piwnicy. Czując łomotanie serca i mrowienie w kończynach, obróciłam się na pięcie i szybko się wycofałam.

Byłam w połowie drogi, kiedy lewą stopą nastąpiłam na wrotkę. Chwyciłam się szafki, żeby nie upaść, przez co na podłogę runęło kartonowe pudło.

Mój wzrok zastygł na ręcznie zapisanej etykiecie: „Justine 0-2”.

Podczas upadku z pudła spadło wieczko, a gdy odwracałam je do pionu, ze środka wysypały się maleńkie różowe sukieneczki i fioletowe śpioszki. Natychmiast rozpoznałam

część dziecięcych ubranek ze starych zdjęć porozwieszanych w całym domu i wyobraziłam sobie Justine uśmiechającą się ze swojej spacerówki albo chichoczącą w dziecięcym foteliku.

Pozbierałam rozsypane ubranka, przebiegając palcami po perłowych guziczkach i koronkowych krawędziach w kolorze kości słoniowej. Zacisnęłam powieki, by powstrzymać łzy, i poskładałam je, a później ostrożnie umieściłam z powrotem w pudle. Kiedy się wyprostowałam, żeby odstawić je na półkę, zauważyłam więcej podobnych pudeł: „Justine 3-5”, „Justine 5-7”, „Justine 8-10”.

Zrobiłam krok wstecz i zadarłam głowę do góry. Ponieważ mama nie należała do osób wielokrotnie używających czegoś, co z łatwością można zastąpić czymś nowym, nigdy nie nosiłam ubrań po starszej siostrze. To znaczyło, że powinnam mieć własną kolekcję pudeł.

Znalazłam je na najwyższej półce, z etykietami ledwie widocznymi w panującym tu półmroku. Jednak w przeciwieństwie do ubrań Justine, które były posegregowane według dwuletnich okresów, począwszy od jej narodzin, moje ubranka pogrupowano w ten sam sposób, ale dopiero od pierwszego roku życia.

Wyciągnęłam rękę i powoli zdjęłam pudło oznaczone etykietą: „Vanessa 1-3”.

Te ubranka także rozpoznawałam: oglądałam je wszystkie na niezliczonych zdjęciach i w albumach na przestrzeni wielu lat. Ale najmniejsze pochodziły z okresu, kiedy miałam 12-18 miesięcy.

Nagle przypomniałam sobie, co rodzice mówili o brakujących zdjęciach dokumentujących mój pierwszy roczek życia. Pierwszy uśmiech i pierwsze kroki Justine zostały starannie zachowane w grubym haftowanym albumie, natomiast moje zarejestrowane wspomnienia zaczynały się dopiero od momentu, gdy skończyłam rok. Zdaniem mamy powodem było to, że tato właśnie na zdjęciach z tego okresu, postanowił pobawić się w zawodowego fotografa i że m o j e pierwsze uśmiechy i pierwsze kroki zostały utracone w wyniku serii niefortunnnych eksperymentów w ciemni. Trzymali nawet pudło z rozmazanymi zdjęciami na dowód.

Ale przecież wszystko może tak wyglądać, jeśli zostanie źle wywołane, prawda?

Dłonie miałam spocone, a gardło wyschnięte, kiedy raz jeszcze ruszyłam w głąb korytarza, jednak dyskomfort fizyczny był niczym w porównaniu z tym, co działo się w mojej głowie.

## 8

- Spójrz, co znalazłam.

Mama podniosła wzrok znad plastikowego kubła z ozdobami.

- Ubranka dziecięce - oznajmiłam radośnie.

Wyprostowała się i uniosła obie dłonie do twarzy.

- Jest tam twój ulubiony żółty sweterek? Ten z motylkami?

Wyciągnęłam sweterek i uniosłam do góry, żeby mogła zobaczyć, po czym umieściłam pudło między nami, na metalowym składanym krześle.

- Kiedy urodziła się Paige, zabierali ją ze szpitala do domu w samym środku zamieci śnieżnej - powiedziałam, przyglądając się, jak przekopuje zawartość pudła. - Tyle tylko, że to było w maju i jej mama, przekonana, że będzie ciepło, spakowała jedynie sukieneczkę i cieniutki sweterek.

- Daleka północ... tam to potrafi sypnąć jeszcze w lipcu.

- No właśnie. - Patrzyłam, jak bierze do rąk dżinsową spódniczkę i turkusowe rajstopki. - W każdym razie na zdjęciach wygląda precudnie. Paige w letniej sukieneczce, owinięta w kocyk, który dostały od pielęgniarek w szpitalu, otoczona wirującymi płatkami śniegu.

- Rzeczywiście, brzmi przepięknie.

Na razie szło gładko. Nigdy nie widziałam zdjęć Paige niesionej ze szpitala do domu; nie wiedziałam nawet, czy ma takie zdjęcia. Ale mama mi uwierzyła i to się liczyło.

- Nie pamiętam, co miałam na sobie, gdy zabieraliście mnie ze szpitala.

Jej ręce znieruchomiały.

- Wiem, że opowiadałaś mi to z milion razy... ale zwyczajnie zapomniałam. Zrobiłam krok w stronę pudła. - Czy te ubranka są tutaj?

Otworzyła usta.

- Oddałam je - oznajmiła kilka sekund później. - Znajomej z biura. Urodziła kilka miesięcy po twoich narodzinach, a kiedy później organizowałyśmy przyjęcie powitalne dla maluszka, nalegała, żeby przynosić tylko używane ubranka.

Musiałam przyznać: była niezła. Jeszcze rok temu mogłabym w to uwierzyć.

- Jak wyglądały? - zapytałam.

- Co jak wyglądało? - odparła, myśląc już o czymś innym.



- Ubranka. Te, które miałam na sobie w dniu wyjścia ze szpitala.

Upuściła trzymane ciuszki do pudła i spojrzała mi w oczy. Usta miała proste, czoło gładkie. Pomyślałam, że chce wyjawić mi prawdę, i przygotowałam się, by to usłyszeć... ale wtedy uśmiechnęła się.

- Różowe kraciaste śpioszki. Od Ralpa Laurena. - Wyciągnęła dłoń. - Pielęgniarki mówiły, że nigdy jeszcze nie widziały tak ślicznego dzidziusia.

Wsunęłam dłoń w jej rękę. Uniosła ją do ust i pocałowała. Potem znów zabrała się za przetrząsanie świątecznych dekoracji.

- Przyniosłabys mi kilka worków na śmieci z góry? Skoro już tu jestem, równie dobrze mogę posprzątać.

Otworzyła nowe pudło i wyciągnęła mieniącą się brokatem girlandę.

Piękne, żywe srebro... Magiczne... Jak w ozdobach choinkowych...

Tak właśnie kelnerka opisała oczy Zary, kiedy razem z Simonem weszliśmy do baru „Wściekły Łoś” w poszukiwaniu Caleba. To wspomnienie sprawiło, że wybiegłam z piwnicy jak poparzona.

Wpadając do salonu, zrobiłam kilka susów nad pudłami i słalom między workami. W ustach i w gardle czułam piekący ból, jakbym dopiero co wychyliła butelkę piasku, ale zamiast pobiec sprintem do kuchni, żeby napić się wody, ruszyłam w przeciwnym kierunku.

Do gabinetu taty.

Była trzecia. Wiedziałam, że jest na wykładzie i nie wróci wcześniej niż za dwie godziny.

Dotarłam na górę i szarpnięciem otworzyłam drzwi, chcąc z impetem wpaść do środka, jednak z każdą kolejną sekundą moje ciało słabło, jakbym ciągnęła na wyczerpującej się baterii. Gdy wlekłam się przez maleńki pokoik, kolana mi drżały, a nogi zaczęły się plątać. Zamiast przejść nad barykadą papierów otaczających biurko, resztkami sił wybiłam się z miejsca i rzuciłam na fotel. Stopy zawadziły o stos papierów i tam utknęły.

Poruszyłam myszą i wybudziłam komputer ze stanu uśpienia. Wklepując literki hasła, wpatrywałam się w klawiaturę, bo nie wierzyłam, że drżące palce odnajdą właściwe klawisze bez wzrokowego nadzoru. Kiedy skończyłam, wcisnęłam „Enter” i spojrzałam na ekran.

Wstrzymałam oddech, gdy maleńka klepsydra obróciła się. Raz. Drugi. Trzeci.

Hasło nieprawidłowe.

Raz jeszcze wklepałam trzynaście liter. Po tym, jak hasło znów zostało odrzucone, spróbowałam znowu. I znowu. Aż wreszcie straciłam czucie w palcach i przestałam widzieć klawisze.

Moje ciało nie było jednak kompletnie pozbawione wody. Kiedy wreszcie opadłam na oparcie, wyczerpana i pokonana, wystarczyło jej, by wezbrała w oczach i potoczyła się po policzkach.

W albumie Rainy był błąd. Charlotte Bleu nie umarła w połogu. Urodziła mnie i przez pierwszy rok życia się mną zajmowała. Byłam o tym przekonana, tak samo jak byłam pewna, że tato zmienił hasło w komputerze, żebym nie dowiedziała się tego, co chciał przede mną ukryć.

Nie wiedziałam tylko dlaczego. Dlaczego Charlotte mnie oddała? Dlaczego po roku, a nie wcześniej albo później? Co takiego się wydarzyło? Czy umarła w czasie moich pierwszych urodzin? Czy Raina pomyliła się tylko w kwestii czasu?

Były to pytania, które zadawałam sobie w myślach, odkąd znalazłam pudła z dziecięcymi ubrankami. I kiedy prawie tydzień później razem z Paige dotarliśmy nad przystań w Winter Harbor na urodziny Caleba, wciąż nie znałam na nie odpowiedzi.

- Ja chyba nie mogę.

Gwałtownie wyrwana z zamyślenia, zerknęłam na Paige, która sięgnęła do papierowej torby leżącej u jej stóp i wyciągnęła płytę CD.

- Czego nie możesz? Słuchać starego dobrego grunge rocka? - zapytałam, parkując samochód.

- Nie mogę dać tego Calebowi. - Opuściła szybę i przechyliła głowę w stronę, skąd dobiegały odgłosy imprezy.

- Brzmi jak Pearl Jam.

- Bo to jest Pearl Jam. - Pomachała płytą. - Tak samo jak to.

- No i?

- To ulubiony zespół Caleba. Dowiedziałam się o tym w zeszłym roku, bo kiedy chodził po szkole ze słuchawkami na uszach, ich muzykę słycać było z odległości półtora kilometra. Na pewno ma wszystkie kawałki, jakie nagrali.

- I dlatego właśnie wybrałaś niskonakładową płytę z koncertu na żywo, który zagrali w małym bostońskim klubie dziesięć lat temu. Ta płyta jest do kupienia tylko u nich.

Paige zapatrzyła się na coś przez sobą, a ja podążyłam wzrokiem za jej spojrzeniem. Impreza rozkręciła się na dobre. Parking obok przystani i doki wypełniły dziesiątki osób - wszyscy rozmawiali, śmiali się i tańczyli. W tle za nimi łódki podrygiwały na wodzie.

- W strefie doków jest dość płytko - powiedziałam cicho, odgadując, że prawdziwy problem nie ma nic wspólnego z prezentem dla Caleba. - Dlatego lód zaczyna tutaj topnieć.

Ale Simon mówił, że głębsze partie nadal są zamrożone na kamień.

Uniosła głowę, spotykając się ze mną wzrokiem.

- Jak u podnóża urwiska Chione?

Poczułam pulsowanie w skroniach, które zaraz ustało.

- Tak. Tak samo jak u podnóża urwiska Chione.

- Ahoj, piękne dziewczęta!

Obie podskoczyłyśmy na dźwięk głosu Riley'a stojącego przy otwartym oknie Paige.

- Przepraszam. Nie chciałem was wystraszyć - zreflektował się. - Ale zostałem skazany na spacer po lodzie i postanowiłem pożegnać się ze wszystkimi, zanim pożegnam się ze światem.

- Jasne - rozległ się głos Simona, który podszedł do samochodu. - Zostałem skazany, zgłosiłem się na ochotnika. Jedno i to samo.

- Zgłosiłeś się na ochotnika, żeby przejść po lodzie? - zdziwiła się Paige.

- I to samo wyzwanie rzuciłem pozostałym gościom. To taka zabawa jak w krzeselka do wynajęcia albo przypinanie ogona osiołkowi, tylko że w stylu Winter Harbor. - Otworzył drzwi od strony pasażera. - A swoją drogą, wyglądasz zjawiskowo.

Uśmiechnęłam się, widząc, jak Paige się rumieni. Niezależnie od tego, czy Riley jej się podobał, najwyraźniej miał na nią dobry wpływ. Wrzuciła płytę do torebki i wysiadła z samochodu.

- To samo powiedziałbym o tobie - stwierdził Simon, opierając ramię na otwartych drzwiach samochodu i zniżając głowę, by zajrzeć do środka - z tym że określenie „zjawiskowo” w twoim przypadku to o wiele za mało.

Serce mi załomotało.

- Cześć.

- Cześć. - Uśmiechnął się. - Masz ochotę coś przekąsić?

- Chodzi ci na przykład o wykwinne specjały miejscowej kuchni?

- Znane również jako wykwinne zwęglone cheeseburgery w wykonaniu mojego ojca?

- Jasne.

Zanim odpięłam pasy, stał już po mojej stronie samochodu. Otworzył drzwi i wyciągnął dłoń, żeby pomóc mi wysiąść.

Nasze palce ledwie się zetknęły, gdy podskoczyłam w górę i zarzuciłam mu rękę na szyję.

W przerwach między rozważaniami o Charlotte Bleu podczas drogi na północ doszłam do wniosku, że dam sobie dzień, zanim postanowię, jak powiedzieć Simonowi

prawdę. W końcu przyjechałyśmy tu świętować, a ja nie chciałam psuć zabawy Simonowi, Calebowi ani nikomu innemu.

Poza tym, podobnie jak Paige, nie byłam zachwycona bliskością rozmarzającego portu. To, co powiedziałam jej o zmrożonych wodach w głębinach, odpowiadało faktom, ale wcale nie dodawało otuchy. Z powodu tego, czego właśnie dowiedziałam się o pierwszym roku mojego życia, i konieczności nieustannego nawadniania się, by nie upaść na oczach całego miasteczka, mój umysł był zbyt przytłoczony, by spierać się z sercem.

Dlatego kiedy Simon otoczył mnie ramieniem, ja objęłam go w pasie.

- Jesteś rozgrzana - zauważył, gdy skręciliśmy w stronę bawiących się gości. - Chcesz, żebym poniósł ci kurtkę?

- Nie, w porządku - odparłam szybko. - Ale dzięki.

Tego ranka miałam trudności z wyborem ubrania. Ostatnio, kiedy akurat nie miałam na sobie szkolnego mundurka i luźnej bluzy z kapturem, nosiłam džinsy i tę samą luźną bluzę z kapturem, ale dla Simona chciałam wyglądać ładnie. Nie byłam tylko pewna, jak to zrobić, by nie przyciągać jednocześnie uwagi wszystkich innych mężczyzn, którzy przypadkiem spojrzeliby w moją stronę. Wreszcie zdecydowałam się na džinsy, jasnobrązową bluzkę z dekoltem w serek i brązową sztruksową kurteczkę. Nie mogłam ukryć się pod ubraniem, ale miałam nadzieję, że neutralne kolory pomogą mi zgubić się w tłumie.

Mój strój skrajnie kontrastował z kreacją Paige. Wykorzystała okazję, by się wystroić, i założyła ciemnopomarańczową minispódniczkę, džinsową kurteczkę i kowbojki. Miała odsłonięte nogi, tak samo jak dekolt i kark, ponieważ upięła włosy w wysoki koński ogon.

Riley miał rację: wyglądała zjawiskowo. I kiedy szli przed nami, każdy mijany chłopak powinien oglądać się za nią tęsknym wzrokiem.

Ale tak nie było. Kilku popatrzyło na nią i uśmiechnęło się, ale potem ich spojrzenia przenosiły się dalej... na mnie.

- Nie przejmuj się - uspokoił mnie Simon, widząc, że je dostrzegam. - Im więcej piją, tym mniej uwagi zwracają na innych. Najdalej za dziesięć minut powinniśmy stać się praktycznie niewidzialni.

Zeszłego wieczoru Simon powiedział mi przez telefon, że jeśli sytuacja stanie się zbyt krępująca, zawsze możemy na jakiś czas zniknąć, na przykład wymknąć się na przejażdżkę. Uważał, że ludzie mogą być zaskoczeni, widząc mnie znowu w mieście poza sezonem - i widząc nas, zachowujących się trochę inaczej niż dwoje przyjaciół. Nie w pełni się z nim zgadzałam, bo razem z Justine i Calebem spędzaliśmy tak dużo czasu, że już długo przed ostatnimi wakacjami można nas było wziąć za parę. Jednak zachowałam tę myśl dla siebie.

Wolałam, żeby Simon to właśnie uważał za powód, dla którego ludzie mi się przyglądają.

- Oto i ona! - rozległ się znajomy głos, kiedy podchodziliśmy do stołu z jedzeniem.

- Dzień dobry, pani Carmichael - przywitałam się z uśmiechem.

Wyciągnęła ramiona, a ja niezbyt chętnie puściłam Simona, żeby ją uściskać.

- Jak się czujesz, kochanie? - szepnęła mi do ucha. - Jak twoi rodzice?

- Wszystko w porządku. Jakoś sobie radzimy.

- Przekaż im, proszę, nasze serdeczne pozdrowienia. I powiedz, że dbamy o wasz domek.

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć, ale wtedy spostrzegłam Caleba idącego w naszą stronę z tacą pełną hot dogów.

- Tylko mi nie mów, że już łamiesz urodzinową obietnicę, którą mi złożyłaś - zawołał do matki.

Pani Carmichael ścisnęła mnie raz jeszcze, po czym puściła.

- Ależ skąd - zaprzeczyła, pociągając nosem.

Caleb odstawił tacę na stolik, który stał obok, i wziął z niego łyżkę. Dołączając do nas, skierował ją niczym latarkę prosto w zażawione oczy matki.

- Rozkleja się od tygodnia, bo - pozwolę sobie zacytować - „jej kochany synek jest już dużym chłopcem”... ale zapowiedziałem mamie, że jeśli tylko powstrzyma się od ataków hysterii dziś wieczorem, może zatrzymać nowe auto dla siebie.

- Kupiliście mu nowy samochód? - zapytał Simon.

Pani Carmichael otarła oczy i roześmiała się.

- Mógłby zdmuchnąć milion świeczek, a to życzenie i tak by się nie spełniło.

- Każdemu wolno marzyć - stwierdził Caleb, odwracając się do mnie. - Prawda?

Tym razem to ja zainicjowałam uścisk. Przez kilka sekund trzymałam Caleba mocno, mając nadzieję, że jakimś cudem poczuje się w moich ramionach jak w ramionach Justine. Na początku znieruchomiał, a mnie przeszło przez myśl, że to dla niego zbyt wiele, ale potem rozluźnił się i odwzajemnił uścisk.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin - szepnęłam.

- Cieszę się, że przyjechałaś, Vanesso.

Minęło zaledwie kilka tygodni, odkąd wyjechaliśmy z Winter Harbor, ale mnie się wydawało, że nie widziałam Caleba całą wieczność. Od tamtej nocy, podczas której zamarzył port, Caleb nie był zbyt towarzyski i przez resztę lata rozmawiałam z nim tylko wtedy, gdy udało mi się go spotkać idącego do pracy lub wracającego do domu. Uznałam, że unikanie kontaktów to jego sposób na zaleczenie ran, dlatego się nie narzucałam... ale teraz

zachowywał się prawie jak dawniej. A to uszczęśliwiło mnie tak bardzo, jak uszczęśliwiłoby Justine.

- Uwaga!

Rozstąpiliśmy się, a u naszych stóp wylądowało czerwone nadmuchiwane koło ratunkowe.

- Chyba mnie wołają. - Caleb podniósł koło i zerknął w stronę wody, skąd grupka chłopaków machała i nawoływała, żeby do nich dołączył.

- Baw się dobrze - powiedziałam. - Pogadamy później.

Gdy ruszył w stronę przyjaciół, a pani Carmichael odeszła, by pomóc mężowi przy grillu, Simon złapał mnie za rękę. Znaleźliśmy Paige i Rileya, którzy wmieszali się w tłum i zbierali ochotników do zabawy. Powiedzieliśmy im, że idziemy się przejść, po czym wybraliśmy się na spacer wokół przystani. Muzyka i hałasy ucichły, kiedy idąc wzdłuż brzegu, dotarliśmy na skraj przystani, gdzie szeregi łódek trwały w oczekiwaniu, aż zostaną schowane na zimę.

- Wygląda inaczej - stwierdziłam.

- Zwykle o tej porze roku już cię tu nie ma - zauważył Simon. - Z drzew spadają liście, a port prawie całkiem pustoszeje.

- Nie chodzi tylko o to. - Przystanąłam przy doku i obejrzałam się na światła imprezy skrzące się niedaleko. - Chodzi o lód. O to, jak topnieje w pewnych miejscach, a w innych nie. To jest tak, jakby całe miasteczko zostało uwięzione w miejscu i czekało na oswobodzenie.

Stojąc z tyłu, objął mnie w pasie i zamknął w uścisku.

- Już niedługo. To tylko kwestia czasu.

Oparłam się o niego i powoli skanowałam oblodzoną powierzchnię. Nie wiedziałam, czego tak wypatruję. Snopów światła wystrzelających wprost do nieba? Pięknych kobiet w zwiewnych białych sukniach? Przyjaciół Caleba zmierzających w ich kierunku z nieobecny wzrokiem i szerokim uśmiechem?

Na pewno nie spodziewałam się ujrzeć... łódki mojej i Justine... tutaj w porcie zamiast w szopie z tyłu domku nad jeziorem.

- Simon. - Zrobiłam krok naprzód, wymykając się z jego objęć. - Czy to...? Czy Caleb...?

Zawahał się, najwyraźniej próbując pojąć, o czym mówię, gdy z trudem próbowałam się wysłowić.

- Chodzi ci o czerwoną łódź? - zapytał wreszcie. - Niemożliwe. Gdyby Caleb chciał ją

pożyczyć, na pewno by zapytał.

- Ale tam na rufie jest zielony odprysk, tam gdzie łuszczy się farba. A dziób jest zaokrąglony, a nie spiczasty, zupełnie jak...

- Jak dzioby wszystkich tego typu łodzi po roku użytkowania?

Obejrzałam się na niego.

Jego twarz złagodniała.

- Przepraszam. Rzeczywiście przypomina waszą łódkę... ale dzieli nas od niej jakieś trzydzieści metrów. A poza tym robi się ciemno. W tych warunkach ciężko byłoby odróżnić łódź wiosłową od kajaka.

Odwróciłam się w stronę wody i podeszłam do krawędzi doku, żeby lepiej się przyjrzeć.

- Utknęła w lodzie - powiedział cicho Simon, stając obok. - Musiała być na wodzie, kiedy port zamarzał.

- W takim razie dlaczego nie została odprowadzona na przystań? Wszystkie inne łódki, które były na wodzie tamtej nocy, zostały wykute z lodu i odholowane do portu.

- Taka usługa u Montyego nie należy do najtańszych. Może właściciele machnęli na nią ręką. Może nie przejmowali się, że nie odzyskają jej, dopóki lód nie stopnieje.

Wiedziałam, że chce mnie pocieszyć, i choć to, co mówił, miało sens, nie dałam się przekonać.

- Możemy to sprawdzić? - zapytałam.

- Jak?

- Idąc tam. - Posłałam mu nieśmiały uśmiech. - No wiesz, chodzenie po lodzie, taka zabawa w stylu Winter Harbor.

Zerknął na oddaloną łódź, potem rozejrzał się - najwyraźniej szacował grubość lodu i określał potencjalne ryzyko załamania się tafli w tamtym miejscu. Czułam się niekomfortowo, stawiając go w takiej sytuacji; wiedziałam, że zrobi wszystko, co można, żeby mi nie odmawiać, ale wiedziałam też, że nie będę w stanie odprężyć się, dopóki nie dowiem się, że to na pewno nie nasza łódź.

- Od strony północnej lód ani trochę nie stopniał - stwierdził. - Powinien utrzymać moją masę.

- Jestem lżejsza - zauważyłam szybko.

- A ja silniejszy. Jeśli lód pęknie, zdołam się podciągnąć na krawędzi.

Gdyby lód pękł pode mną, mogłabym oddychać pod wodą tak długo, dopóki by mnie nie wyciągnęli. Ale o tym Simon nie wiedział. Zanim udało mi się znaleźć inny powód, dla



którego to ja powinnam wejść na lód zamiast niego, podszedł do mnie i musnął kciukiem mój policzek.

- Jeśli to dla ciebie takie ważne, również ważne jest dla mnie - zapewnił. - Ani się obejrzysz, a będę z powrotem.

- Zaczekaj...

Ale on potruchtał już na skraj doku. Patrzyłam, jak zeskakuje z podestu, a potem biegnie przez zarośla rosnące nad brzegiem. Zwolnił i badał stopą wytrzymałość lodu, szukając najpewniejszego miejsca. I wtedy przed oczami błysnęła mi wizja niczym kula z pistoletu.

Parking. Przyćmione światło latarni. Simon z twarzą pozbawioną wyrazu i bezwładnymi ramionami. Bezbronny wobec potężnej siły przyciągającej go bliżej i bliżej.

Zara.

Gwałtownie potrząsnęłam głową i pomknęłam na skraj doku.

- Simon! - krzyknęłam. - Stój!

Ale mnie nie usłyszał. A może tak naprawdę zamiast wykrzyzczyć ostrzeżenie, wyszeptałam je. Nie umiałam tego stwierdzić z powodu łomotania serca. Spróbowałam raz jeszcze, ale nawet nie spojrzał w moją stronę, gdy wstępował prosto na lód.

Biegłam szybciej, ignorując schnące gardło i słabnące nogi. Przed moimi oczami pojawiły się białe plamy, więc potarłam powieki, żebym cały czas mogła go obserwować. Poruszał się z łatwością i determinacją, jakby wszystko miał pod kontrolą...

A co jeśli jednak byliśmy w błędzie?

Przekonanie się o tym nie było warte ryzyka, jakiego wymagało dotarcie do łodzi. Staralam się krzyknąć jeszcze raz, ale poczułam, jakby ten wysiłek spowodował, że zerwały się moje wyschnięte struny głosowe. Chwyając z bólu za gardło, zeskoczyłam z podestu, wpadłam w zarośla i wbiegłam na lód.

Gwałtowny chłód pod stopami zatrzymał mnie w pół kroku. Powietrze tuż nad wodą było zimniejsze niż powietrze w porcie i mój szybki urywany oddech formował się teraz w małe, szybko znikające obłoczki. Chciałam opuścić wzrok, żeby sprawdzić, czy ktoś lub coś spogląda na mnie spod pokrywy lodowej, ale nie zdobyłam się na to. Za bardzo przerażała mnie myśl o tym, co mogłabym ujrzeć tam w dole.

Utkwiłam więc wzrok w Simonie. Był teraz w połowie drogi do łodzi, ale biegnąc na wprost z miejsca, w którym się znajdowałam, wciąż miałam szansę go dogonić. Rozpaczliwie potrzebowałam energii i aby ją uzupełnić, nie pochylając głowy, ugięłam kolana i przykucnęłam na lodzie. Przyłożyłam obie dłonie do zamarznętej powierzchni, która pod

dotykem rozgrzanej skóry natychmiast stała się wilgotna, a wtedy słona woda przeniknęła w głąb mojego ciała, jakbym została rażona prądem.

To wystarczyło, żeby nogi znów nabrały sił. Zaczęłam iść powoli, ale po kilku sekundach mknęłam po lodzie zupełnie tak, jakbym do podeszew butów miała przymocowane cienkie metalowe ostrza.

Odległość między Simonem a mną malała. Najwidoczniej słysząc, jak się zbliżam, przystanął i obrócił się w moją stronę. Poczułam wielką ulgę, że zdołam do niego dotrzeć, zanim cokolwiek się stanie, a kiedy uniósł ramiona, pomyślałam, że chce, żebym wbiegła prosto w jego objęcia.

Ale wtedy spotkaliśmy się wzrokiem - w jego oczach ujrzałam strach.

- Vanesso! - zawołał głośno, ale z opanowaniem. - Nie ruszaj się!

Zatrzymałam się z poślizgiem.

- Lód pęka! - krzyknął. - Za tobą!

Niemalże w tej samej chwili usłyszałam trzaski i odgłosy pęknięcia przypominające dźwięk gałęzi łamiących się pod naporem śniegu.

- Nie wolno ci się poruszyć. - Opuścił ręce i zaczął się wycofywać, z dala ode mnie.

Posuwał się w stronę łodzi. Instynktownie zrobiłam krok naprzód, by zbliżyć się do niego, ale zastygłam w bezruchu, gdy lód zajęczał pode mną. Wstrzymując oddech, widziałam wyraźnie, jak Simon sięga przez burtę łodzi i przez chwilę waha się, czy wyciągnąć coś z jej środka.

Wiosło. Ozdobione szlaczkiem czerwonych błyszczących kotwic wzdłuż uchwytu.

To była ostatnia rzecz, jaką dostrzegłam, zanim lód rozstał się pod moimi stopami i runęłam w głąb lodowatych wód portu.

## 10

- Jesteś pewna, że nie chcesz wymknąć się do waszego domu? - zapytała Paige później tej samej nocy. - W naszym jest taki przeciąg, że już cieplej byłoby w namiocie.

- Masz rację. - Jednak to nie przeciągi martwiły mnie najbardziej. Martwiło mnie to, co jeszcze oprócz zaginięcia łódki mogłabym odkryć w domku nad jeziorem. Zostałam zmieciona z tafli zbyt szybko i nie zdołałam dokładnie przyjrzeć się łódce, ale Simon przyznał, że zdecydowanie przypominała naszą, a ta powinna znajdować się w zamkniętej na kłódkę szopie. - Ale jeśli tobie jest zbyt niewygodnie, możemy zawsze wrócić na noc do Bostonu.

- O tej porze? - Zerknęła na mnie z małego otworu w kołdrze, w którą była opatulona.  
- Już prawie północ.

- Mogę prowadzić. Czuję się dobrze.

- Dopiero co przestałaś się trząść, góra dziesięć minut temu.

Zgodziłam się z nią, ale to nie miało nic wspólnego z uczuciem zimna.

- A swoją drogą - mówiła dalej, wyciągając się na kanapie w przeciwległym końcu pokoju - nie uważasz, że to niesamowite, że babcia Betty i Oliver akurat przejeżdżali obok przystani samochodem pełnym koców i suchych ubrań? Pięć minut po tym, jak wpadłaś do wody?

- Niespecjalnie, zważywszy, że Betty uchodzi w Winter Harbor za superseniorkę.

Paige uśmiechnęła się.

- Słuszna uwaga. Założę się, że odgłos pękającego lodu dotarł do niej, jeszcze zanim Simon go usłyszał.

Odkąd babcia Paige dwa lata wcześniej wybrała się popływać podczas rozszalałej burzy z piorunami, miała nadprzyrodzone zdolności zmysłowe - poza wzrokiem, który wtedy straciła. Podobno słyszała kwitnące pąki kwiatów, śpiew wielorybów czy bicie serca z odległości wielu kilometrów. Po dotarciu nad przystań wyjaśniła zgromadzonemu wokół nas gapiom, że wraz z Oliverem (jej ulubionym towarzyszem płci męskiej, jak sama go nazywała) wybrali się do sklepu z artykułami używanymi ofiarować datek, kiedy spostrzegli całe to zamieszanie... Z tym że koce były ciepłe, jakby kilka chwil wcześniej wyciągnięto je z suszarki, a ubrania dokładnie w moim rozmiarze. Dzięki Betty rozgrzałam się dostatecznie szybko, by skutecznie przekonać Simona, że nie trzeba mnie zabierać na pogotowie.

- Widziałaś coś? - zapytała cicho Paige po chwili.

Skupiłam wzrok na płomieniach drgających w kominku.

- Co masz na myśli?

- Wiem, że wpadłaś do wody wiele kilometrów od urwiska Chione... ale coś żyje pod wodą, pływa pod wodą, mam rację?

Spojrzałam na nią i posłałam jej wymuszony uśmiech.

- Byłam pod wodą tylko kilka sekund. Widziałam lód, ciemność i Simona. To wszystko.

Głośno odetchnęła.

- Całe szczęście. Może jednak uda mi się zasnąć tej nocy.

Między nami zapadło niekrępujące milczenie. Żeby odwrócić uwagę od własnych myśli, skupiłam się na odgłosach drewna trzaskającego w kominku, wiatru wyjącego za oknem, a wkrótce delikatnego pogłębionego oddechu Paige.

Zamknęłam oczy i czekałam na sen. Dziesięć minut później, kiedy wpatrywałam się w sufit, w kieszeni bluzy zabrzączał mój telefon. Ucieszyłam się, że będę miała coś do roboty.

„Śpisz? - S.”

„Jasne, że nie”, odpisałam.

„Dobrze się czujesz?”

Pytał już o to wcześniej, ale nie miałam okazji, by udzielić mu szczerzej odpowiedzi. Gdy Simon wyciągał mnie z wody, był z nim Caleb, byli też kapitan Monty, Riley, Paige i pozostali goście, a wszyscy nam się przyglądali i przysłuchiwali z łodzi rybackiej, którą kapitan Monty zdołał przebrnąć poprzez zmrożoną kaszkę i lód niedaleko miejsca, gdzie wpadłam do wody.

„Trochę roztrzęsiona, ale poza tym w porządku”. Zawahałam się, zawieszając kciuki nad klawiszami, po czym dopisałam: „Tęsknię”.

Ledwie zdążyłam nacisnąć przycisk „Wyślij”, kiedy przyszła kolejna wiadomość.

„Chcesz, żebym przyjechał?”

Wpatrywałam się w ekran. Niczego nie pragnęłam bardziej, niż się z nim teraz zobaczyć. Zanim doszło do mojego nieoczekiwanego nurkowania dzisiejszego wieczoru, plan był taki, że Paige spędzi noc u babci Betty, ja pojedę do domku nad jeziorem, a Simon przyjdzie do mnie, jak jego rodzice położą się spać. Ale potem babcia Betty uznała, że najlepiej będzie, jeśli zostanę z nimi, a ja, zbyt wystraszona, nie obstawałam przy swoim.

„Już późno”, wystukałam. „Co powiesz na wspólne śniadanie?”

„»Portowe Frykasy«, 8 rano?”, zaproponował.

Przystąpiłam na spotkanie, potem zamknęłam klapkę telefonu i zerknęłam na Paige. Nie było jej widać, bo cała zakryła się kocem, ale biały kopiec miarowo unosił się i opadał. Zadowolona, że już zasnęła, odsunęłam kołdrę na bok, wstałam i przeszłam przez salon.

Paige nie chciała spać w swoim pokoju, ani też w żadnym innym na piętrze - a ja nie mogłam się jej dziwić. W naszym domu w Bostonie zaproponowałam, że przeniosę się do pokoju Justine, żeby Paige mogła zamieszkać w moim, i choć momentami było to dla mnie dziwne, a czasem wręcz uzmysławiało mi, jak słabo znałam Justine, jedno wiedziałam na pewno: moja siostra nie była morderczynią. Sytuacja Paige wyglądała zgoła inaczej, a ja rozumiałam, że może chce zachować dystans.

Ale to nie znaczyło, że ja też muszę.

Jedyne światło dobiegało z kominka i bladło, w miarę jak wspinałam się po schodach. Kiedy dotarłam do ostatniego stopnia, okazało się, że panuje tu tak nieprzenikniona ciemność, że nie widzę własnej dłoni na poręczy. Pomacałam ścianę w poszukiwaniu włącznika światła, ale go nie znalazłam.

Zwykle byłby to moment, w którym zbiegłabym sprintem po schodach, pod warunkiem że w ogóle dotarłabym tak daleko. Ale czułam się zadziwiająco dobrze. Silna. Opanowana. Uczucie to spłynęło na mnie z chwilą, gdy wpadłam do wody, i szybko się nasilało. Pod powierzchnią spędziłam nie dłużej niż minutę, ale kiedy znów znalazłam się na suchym lądzie, a moje ciało zaabsorbowało naturalną sól, fizycznie czułam się lepiej, niż przez cały ten czas, odkąd skoczyłam z urwiska Chione.

Zdażyłam zrobić nie więcej niż dwa kroki w głąb korytarza, kiedy dobiegł mnie znajomy głos.

- Nie możesz spać, Vanesso?

Zamarłam, po czym odwróciłam się powoli, by ujrzeć Betty stojącą w otwartych drzwiach sypialni.

- Myślałaś, że to twoja łódź, prawda? - zapytała.

Zrobiłam krok w jej stronę.

- Ja wiem, że to moja łódź.

- Przecież one nie żyją.

Nasze spojrzenia spotkały się. Jej niewidzące oczy, zwykle utkwione w punkt nad moją głową, teraz odnalazły moje oczy i znieruchomiały. W panującym tu półmroku ich mętna szarość zdawała się kłębić i wzbierać niczym chmury na niebie.

- Skąd wiesz? - zapytałam.

Odstąpiła na bok i zaczekała, aż wejdę do jej pokoju. Kiedy przekroczyłam próg, moje

pluca wypełniło słone oceaniczne powietrze wpadające do środka przez szeroko otwarte okna. Ostatni raz byłam w pokoju Betty rankiem w dniu Festiwalu Świąteł zeszłego lata i od tamtej pory wiele się tu zmieniło. Ściany, które niegdyś pokrywały dziesiątki wyszywanek przedstawiających urwisko Chione, teraz były nagie. W kominku nie płonął ogień..Dywan zdjęto, odsłaniając parkiet z ciemnego drewna. Poza samą Betty jedynym elementem, który wskazywał, że pokój należy do niej, był purpurowy kostium kąpielowy wiszący na wieszaku na drzwiach łazienki.

Razem z Betty w pokoju znajdował się starszy, sprawiający wrażenie zmęczonego, mężczyzna, który siedział w bujanym fotelu przy oknie.

- Dobry wieczór, Ohverze - przywitałam się.

Podniósł wzrok znad otwartego zeszytu spoczywającego na jego kolanach. Przeszło mi przez myśl, że może opracowuje kolejny tom Kompletnej historii Winter Harbor. W ciągu ostatnich trzydziestu lat napisał ich już kilka, głównie po to, jak twierdził, by odwrócić uwagę Betty od jej lęków związanych z miejscem, które wybrała na nowy dom i pokochała.

- Vanesso - odezwał się szorstko i skierował wzrok na zeszyt.

To było dziwne. Kiedy pierwszy raz spotkałam Olivera, był chłodny, a nawet zrzędlawy. Jednak stopniowo nabrał ogłady i wreszcie pomógł nam zrozumieć, co wydarzyło się w Winter Harbor, a po tym, jak on i Betty wrócili do siebie po wielu latach rozłąki, nie mógł być miłszy. To oschłe powitanie, bez żadnego „Witaj!” ani uśmiechu, było czymś, co pasowało do dawnego Olivera.

Zanim zdążyłam zapytać, czy nie przeszkadzam, Betty rozsiadła się w aksamitnym fotelu przy kominku i podjęła rozmowę.

- Słyszałam je - wyjaśniła. - Ich głosy umilkły z chwilą, gdy wodę skuł lód, i od tamtej pory ani razu nie przemówiły.

Nie chcąc przeszkadzać piszącemu Oliverowi, zbliżyłam się do niej i zniżyłam głos.

- Ale to była moja łódka. Moja i Justine. Miała ślady zużycia w tych samych miejscach, a na wiosle widać było...

- Naklejki z czerwonymi kotwicami? - Betty przechyliła głowę. - Te same, które można kupić w kasie apteki w Winter Harbor? Te, o które każde dziecko błaga rodziców? Jeśli się dobrze przyjrzyysz, znajdziesz je w całym mieście - na kontenerach na śmieci, skrzyniach z prasą, znakach drogowych.

Zmarszczyłam brwi. Teraz, kiedy o tym wspomniała, potrafiłam je sobie zwizualizować. Tak samo jak aptekę, w której Justine kupiła swoje naklejki tego dnia, gdy postanowiła ozdobić wiosła.

- Gdyby Raina i Zara żyły - mówiła dalej Betty - i gdyby planowały jakąś zemstę, wiedziałabym o tym.

- Ale one na pewno próbowałyby zataić to przed tobą, nie uważasz? Wiedziałyby, że słuchasz ich myśli, i starałyby się je kontrolować.

- Mimo to słyszałabym nawet ich próby koncentrowania się na czymś innym. Wszystkie syreny łączy pewna więź, więc jeśli bardzo się postarasz, możesz usłyszeć myśli nawet kogoś obcego, choć to niełatwe. Jednak te, z którymi jesteś spokrewniona, usłyszysz zawsze. Nawet jeśli tego nie chcesz.

Odwrociłam głowę, choć przecież Betty nie była w stanie zobaczyć wątpliwości na mojej twarzy. Mój wzrok spoczął na łóżku w drugim końcu pokoju; ono też wyglądało inaczej, pokryte cienkim prześcieradłem zamiast kołdrą i narzutą, jakby Betty nie spała w nim od tego czasu, kiedy ją tu znalazłam wycieńczoną, z łuszczącą się wyschniętą skórą, tak spragnioną, że nie mogła mówić.

- Miała dobre serce.

Spojrzałam na Betty. Dłonią wskazała, żebym usiadła na krześle naprzeciw niej.

- Twoja matka, Charlotte Bleu, prowadziła niewielką księgarnię na obrzeżach miasta. Pozwalała ludziom czytać godzinami. Nie miała nic przeciwko temu, gdy kończyli książki i ich nie kupowali. Zresztą posiadała imponującą kolekcję: mnóstwo białych kruków i pierwodruków, z których każdy mogłaby sprzedać za ogromną sumę. Jeśli ktoś bardzo chciał kupić jakąś książkę, ale nie był w stanie zapłacić żądanej ceny, potrafiła ją podarować.

Minęło kilka chwil, zanim znalazłam odpowiednie słowa, by zadać następne pytania.

- Czy to tam się spotkali? Ona i mój tato? W tej księgarni?

Betty milczała przez moment, po czym odparła:

- Nie wiem.

- Widziałaś ich razem? Czy kiedykolwiek przychodzili do restauracji?

- Nie. Ale z tego, co zrozumiałam, nie byli ze sobą długo.

Teraz, kiedy faktycznie zaczęłyśmy o niej mówić, pytania rodziły się w mojej głowie szybciej, niż mogłam je zadać.

- Czy Raina mówiła coś więcej? To oczywiste, że o nich wiedziała, skoro w albumie miała ich zdjęcie. Czy to ona je zrobiła? Jeżeli nie, ten, kto jest jego autorem, musi wiedzieć o wiele więcej...

- Vanesso, obawiam się, że powiedziałam ci wszystko, co wiem. Jeśli Raina wiedziała więcej, no cóż...

Opadłam na oparcie. Jeśli Raina wiedziała więcej, nigdy się o tym nie dowiemy.

Przez dłuższą chwilę milczyliśmy. Słyszeć było jedynie lekkie poruszenie zasłon unoszących się na wietrze i szelest kartek obracanych przez Olivera. Miałam niezliczoną ilość pytań dotyczących Charlotte, taty, pierwszego roku mojego życia, trudnych do przewidzenia reakcji mojego organizmu, które były skutkiem nowych zdolności. Ale było jedno pytanie, które musiałam zadać; ważniejsze od wszystkich pozostałych. Pytanie, na które w tym momencie mogła odpowiedzieć tylko Betty.

Spojrzałam na Olivera. Był pochłonięty pracą i wydawało się, że nie zwraca na nas uwagi, mimo to pochyliłam się w stronę Betty i ściszyłam głos do szeptu.

- Piję słoną wodę - wyznałam. - Bez przerwy. Codziennie biorę dwie słone kąpiele. To pomaga, ale wciąż jestem bardzo spragniona i rozgrzana. A teraz mam te okropne bóle głowy, które nie mijają niezależnie od tego, ile tabletek aspiryny wezmę.

Zrobiłam pauzę, dając jej szansę, by powiedziała to, co powinnam wiedzieć, i nie kazała mi pytać. Ale ona się nie odezwała. Jej twarz, podobnie jak oczy, pozostała bez wyrazu.

- Betty - mówiłam dalej drżącym głosem - jak ty to robisz? Jak ja mam to robić?

Za nami rozległo się donośne stuknięcie. Podskoczyłam, Betty nawet nie drgnęła.

- Już późno - stwierdził Oliver, który nagle znalazł się tuż przy nas. Bujany fotel, który najwyraźniej huknął o ścianę, kiedy Oliver wstał, kiwał się do przodu i do tyłu, jakby ktoś wciąż na nim siedział. - Wszystkim nam dobrze zrobi odrobina snu.

Twarz miał zwróconą do mnie, ale jego oczy były utkwione w punkt nad moim ramieniem.

- Paige się budzi - dodała chłodno Betty. - Zmartwi się, jeśli zobaczy, że cię nie ma.

Rozdarta pomiędzy głodem wiedzy a chęcią wydostania się stamtąd jak najszybciej, w końcu wstałam i przesłam przez pokój. Przy drzwiach obróciłam się, żeby coś powiedzieć - podziękować Betty, zapewnić ją, że Paige świetnie sobie radzi, albo zaoferować coś innego, co uchroniłoby tę krótką wizytę od niezręcznego zakończenia - ale wtedy ujrzałam ją stojącą nieruchomo przed otwartym oknem, z długimi siwymi włosami tańczącymi wokół jej głowy na wietrze. Jak gdyby nasłuchiwała uważnie czegoś, co tylko ona mogła usłyszeć.

- Dobranoc, Vanesso - powiedział bezbarwnie Oliver.

Wysłam na korytarz i zamknęłam za sobą drzwi tak szybko, jak się dało, żeby przy tym nie trzasnąć. Jedną rękę położyłam na poręczy schodów i już miałam zacząć schodzić, kiedy do mnie dotarło, że nie powinnam w ogóle widzieć poręczy. Na korytarzu było jaśniej, niż kiedy wchodziłam na górę, a nowe źródło światła najwyraźniej dobiegało zza moich pleców.



To lampa albo świeca, pomyślałam. Po prostu wcześniej nie zwróciłaś na nią uwagi...

Ale to nie była ani lampa, ani świeca. To był jarzący się srebrzysty strumień światła, który rozchodził się falami po podłodze na drugim końcu korytarza.

Zerknęłam w stronę sypialni Betty: drzwi były zamknięte. Nasłuchiwałam, czy Paige się obudziła, ale na dole panowała cisza; tak jak w pozostałej części domu. Wydawało się nawet, że wiatr ustał. Jedyne, co słyszałam, idąc powoli w głąb korytarza, to skrzypienie wiekowych desek podłogowych pod stopami.

Dotarwszy do dawnej sypialni Zary, przystanąłam i opuściłam wzrok. Zimne srebrzyste światło sączyło się przez szparę pod drzwiami i obmywało moje gołe stopy jak woda na plaży. Ostatni raz, kiedy stałam w tym miejscu, głos Justine nakłonił mnie, bym weszła do środka. Czekałam teraz na podobną zachętę, ale nie nadeszła.

Chwyciłam za jarzącą się gałkę, po czym gwałtownie odsunęłam dłoń, bó mosiężna gałka poparzyła mi skórę. Poczułam, jakbym wsunęła rękę w otwarty ogień, z tym że gałka wcale nie była gorąca. Była lodowato zimna. Jarzyła się niebieskawym blaskiem i zdawała się pulsować w rytmie uderzeń mojego serca.

Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie wnętrze pokoju, tak jak je zapamiętałam. Białe meble. Kryształowe buteleczki perfum. Milion eksplodujących świateł odbijających się w lustrach, które sięgały od podłogi po sam sufit.

Chwyciłam za gałkę, przekręciłam ją i pchnęłam drzwi.

Srebrzyste światło zgasło.

Wyciągnęłam z kieszeni bluzy komórkę i otworzyłam klapkę. Skierowałam telefon na środek pokoju, ale niemrawa poświata ekranu została pochłonięta przez ciemność.

Zerknęłam za siebie na pusty korytarz. Światło, które jeszcze kilka sekund temu sączyło się przez szparę pod drzwiami pokoju Betty, teraz też zgasło.

Odetchnęłam. Najwyraźniej nastąpiła awaria prądu. W pokoju Zary pewnie świeciła się lampka, a moja wybujała wyobraźnia przemieniła zwykłe światło w srebrzystą pulsującą poświatę. Co w zasadzie było całkiem zrozumiałe, biorąc pod uwagę wszystko, czego dowiedziałam się w domu Marchandów, tym bardziej że byłam tu po raz pierwszy, odkąd Winter Harbor skuł lód.

Żeby nabrać pewności, weszłam w głąb pokoju. Z każdym krokiem powietrze stawało się gęstsze, cięższe. Czułam zapach stęchlizny, jakby nie wietrzono tu od miesięcy. W miarę jak zbliżałam się do rzędu okien, robiło się coraz jaśniej dzięki pełni księżyca. Dotarwszy do pierwszego okna, wyjrzałam na ocean smagający falami brzeg znajdujący się trzydzieści metrów niżej, po czym odwróciłam się i rozejrzałam uważnie po pokoju.

Mój wzrok dostosował się do mroku na tyle, że widziałam na odległość kilku metrów przed sobą, i kiedy stwierdziłam, że pokój jest pusty, nie wiedziałam, czy czuję się pokrzepiona czy zawiedziona. Nie było w nim mebli, nie było komody z poustawianymi równo kryształowymi buteleczkami perfum. Lustra zdjęto ze ścian, odsłaniając łuszczącą się tapetę. I tak samo jak w pokoju Betty usunięto dywan, obnażając nieefektywne deski.

Jeśli Zara jakimś cudem wróciła do życia, z pewnością nie ukrywała się tutaj.

- Spać - powiedziałam cicho i ruszyłam w stronę drzwi. - Muszę się przespać. Teraz.

Idąc, patrzyłam na drzwi, przez co nie dostrzegłam lampy stojącej na środku pokoju, dopóki nie uderzyłam w nią stopą i nie przewróciłam z łoskotem na podłogę. Nagły hałas przerwał ciszę, a ja rzuciłam się po lampę, żeby nie potoczyła się po podłodze i nie obudziła śpiącej na dole Paige. Chwyciłam za podstawę, ostrożnie obróciłam lampę do pionu i odstawiłam na podłogę.

Każdą cząsteczką ciała pragnęłam zbiec na dół, ale coś mnie podkusiło, żeby zostać jeszcze chwilę i pociągnąć za krótki, cienki łańcuszek.

Żarówka błysnęła jaskrawo. W kręgu światła zobaczyłam przewód biegnący od podstawy lampy aż do gniazdka w najbliższej ścianie.

Na podłodze obok leżało wiosło ozdobione szlaczkiem czerwonych kotwic, które połyskiwały w jasnym świetle niczym kamienie granatu.

- Rzuca wszami i pajakami.

Wpatrywałam się w przednią szybę. Wycieraczki strzelały w lewo i w prawo, a mimo to strugi deszczu spływały po szklanej tafli zupełnie tak, jakby ich tam nie było.

- Wszami i pajakami? - zdziwiła się Paige.

Tato uśmiechnął się do niej, patrząc w lusterko wsteczne.

- Gdy Vanessa była jeszcze dziewczynką, nie podobało jej się, że z nieba miałyby spadać biedne żabki. Jednak wstrętne owady i pajęczaki były jej zupełnie obojętne. Od tamtej pory, kiedy pada, zamiast „rzuca żabami” mówimy „rzuca wszami i pajakami”. - Zrobił pauzę. - Prawda?

Wiedziałam, że chce, żebym opowiedziała Paige historię o tym, jak ostatecznie podjęliśmy decyzję, że mają to być wszy i pająki, że cała rodzina zaangażowała się w długi proces eliminacji obejmujący tworzenie wykresów i list i trwający przez dwa wieczory, podczas których zjedliśmy mnóstwo chińszczyzny, ale nie byłam w nastroju. Czulałam się zmęczona, obolała i wciąż próbowałam poukładać w głowie wydarzenia minionego weekendu.

- Prawda - przytaknęłam.

- Trzeba przyznać, że to określenie całkiem nieźle oddaje to, co dzieje się na zewnątrz  
- przyznała Paige. - Dziękuję za podwiezienie, panie Sands.

- To ja dziękuję, że wybrałyście się ze mną tą malowniczą trasą, przynajmniej miałem okazję podrzucić książki koledze. A jeśli pogoda będzie równie kiepska po szkole, po prostu dajcie znać. Chętnie...

Nagle z całych sił wdepnął hamulec. Zarzuciło mnie do przodu na tyle mocno, że pas bezpieczeństwa zablokował się i odrzucił mnie w tył.

- Tato, co...

Samochód zatańczył na jezdni tak gwałtownie, że mnie zatkało. Odbiliśmy w lewo, potem w prawo i znów w lewo. Kiedy tato kręcił kierownicą, próbując odzyskać panowanie na śliskiej nawierzchni, wbiłam stopy w podłogę i uczepliłam się sufitowego uchwyty. Paige pisnęła na tylnym siedzeniu. Zerknęłam w boczne lusterko i zobaczyłam, że zakrywała twarz obiema dłońmi.

Kilka sekund później przednie lewe koło uderzyło w krawężnik. Samochód zakołysał się i stanął.

- O nie - wysapała Paige.

Dłonie mi drżały, gdy próbowałam odpiąć pas bezpieczeństwa. Sprzączka puściła podczas trzeciej próby, a wtedy obróciłam się na siedzeniu pasażera, by spojrzeć na tylną kanapę.

- Nic ci nie jest?

Paige też odwróciła się za siebie i patrzyła przez tylną szybę.

- Paige, co się dzieje?

- Nie jest dobrze - stwierdził tato. - Dzwoń po pogotowie. Zaraz wracam.

- Zaczekaj...

Ale już go nie było.

Kiedy Paige odwróciła się do mnie i opadła na oparcie siedzenia, jej oczy były szeroko otwarte.

- Tam leży autobus. Bokiem. Na moście. Jego przód wygląda jak gigantyczna harmonijka.

- Widziałaś, co się stało?

Potrząsnęła głową.

- Za bardzo łało.

- Czy mogłabyś mieć oko na mojego tatę? - poprosiłam i pochyliłam się, by pogmerać w plecaku. Odszukałam telefon i zgłosiłam wypadek. Rozłączyłam się, po czym wspięłam się

na tylne siedzenia, klękając bliżej Paige.

Tył autobusu wystawał poza krawędź mostu przy budynku akwarium. Trudno powiedzieć, co było przyczyną wypadku, ponieważ teraz drogę przed mostem wypełniały dziesiątki samochodów. Wiele osób podchodziło do autobusu, chcąc pomóc, inni czekali w zaparkowanych nieopodal samochodach, rozmawiali przez telefony komórkowe i żywo gestykulowali.

Wkrótce zjawiała się policja. Po niej przyjechała karetka. A na końcu wozy strażackie. Tato rozmawiał z kilkoma funkcjonariuszami, pewnie zgłaszając im to, czego był świadkiem. Paige i ja wyglądałyśmy przez szybę, dopóki z autobusu nie wyłonili się ratownicy z pierwszym pasażerem na noszach. Z naszego miejsca, znajdującego się piętnaście metrów dalej, nie sposób było stwierdzić, czy niesiona osoba to mężczyzna czy kobieta, ale jedno było pewne: pasażer się nie poruszał.

Tato wrócił kilka chwil później, całkiem przemoczony, uruchomił wóz i szerokim łukiem powoli objechaliśmy miejsce wypadku. Kiedy dotarliśmy do Hawthorne, kończyła się połowa pierwszej lekcji.

- Jeśli się pospieszymy, jeszcze zdążymy na zebranie absolwentów. Paige otworzyła drzwi od swojej strony i pomknęła przez deszcz, używając egzemplarza Zimowej opowieści Szekspira jako parasola.

- Vanesso...

Zamierzałam już wysiąść, ale na dźwięk głosu taty zatrzymałam się.

- Będziesz uważać? - zapytał.

Spojrzałam na niego.

- Na co?

- Na... - Pochylił głowę i zerknął na budynek szkoły, po czym znów na mnie. - Nie wiem. Nieważne. Miłego dnia.

Wysiadłam z samochodu i zatrzasnęłam drzwi. Stojąc na chodniku, patrzyłam, jak odjeżdża. Ledwie czułam, że deszcz moczy moje włosy, ubrania i buty.

Czyżby coś wiedział? Czyżby wiedział, że ja coś wiem? A może jego prośba o ostrożność zwyczajnie wynikała z tego, że zobaczył zawieszony na krawędzi autobus pełen ludzi, którzy mieli matki, ojców i rodziny troszczące się o nich?

- Vanesso! - zawołała Paige. - No, chodź!

Zaczekałam, aż volvo taty zniknie za rogiem, a wtedy odwróciłam się i wbiegłam po schodach. Paige przytrzymała mi drzwi, po czym popędziła w głąb korytarza. Chciałam zapytać, po co ten pośpiech, ale była zbyt szybka. Odległość między nami zwiększała się, gdy

zbliżałyśmy się do auli, a kiedy ona dotarła do wejścia, ja zostałam tak daleko w tyle, że palcem pokazała, że wchodzi, pomachała mi i zniknęła.

Od wejścia wciąż dzieliło mnie kilka metrów i zastanawiałam się, czy nie spędzić reszty pierwszej lekcji w toalecie dla dziewcząt, kiedy z auli głowę wystawiła pani Mulligan.

- Vanesso - powiedziała ściszym głosem. - Jesteś w samą porę!

Usiłując uniknąć kontaktu wzrokowego, natrafiłam na ulotkę zawieszoną tuż przy drzwiach auli.

- Doroczne rozmowy z absolwentami? - odczytałam na głos.

- Najbardziej wyczekiwane wydarzenie całego sezonu kwalifikacyjnego - dodała pani Mulligan.

- Brzmi wspaniale - stwierdziłam, wycofując się - ale szczerze mówiąc, mam dzisiaj duży test z rachunków, na który muszę się jeszcze trochę pouczyć. Powinnam dbać o oceny, jeśli chcę się dostać na dobrą uczelnię, prawda?

- Chętnie pomogę.

Obróciłam się i zobaczyłam nieznanego chłopaka stojącego przy wodotrysku. Brzegiem krawata otarł usta, po czym uśmiechnął się do mnie.

- Na tej godzinie lekcyjnej mam do dyspozycji salę nauki własnej, a jestem doskonałym korepetytorem - zadeklarował. - Rachunkiem różniczkowym zajmuję się od ostatniej klasy podstawówki.

- To znaczy od kiedy? - zapytałam.

- Od trzech lat.

A zatem, licząc trzy klasy gimnazjum, był to pierwszorzecznik. Nie mógł znać Justine, więc nie proponował tego ze współczucia. Nigdy wcześniej go nie widziałam, nie wspominając już o rozmowie, więc było mało prawdopodobne, że mylił mnie z kimś innym, kogo faktycznie znał.

- Posługuję się też płynnie czterema językami - ciągnął, robiąc krok w moją stronę. - Uczysz się francuskiego? Hiszpańskiego? A może...

- Dzięki, ale dam sobie radę. Zresztą powinienam choć przez kilka minut posłuchać rozmów z absolwentami.

Posmutniał. Ja natomiast, pocieszona faktem, że od uczniów podczas zebrań oczekuje się ciszy i skupienia - co znaczyło, że będę mieć trochę czasu na poukładanie myśli i zapisanie ich w notesie - podążyłam za panią Mulligan do auli.

- Zajęłam ci miejsce. - Chwyciła mnie za łokieć i pokierowała w stronę sekcji dla nauczycieli i pracowników administracji.

Mając nadzieję na nieco inne rozwiązanie, przeskanowałam pomieszczenie w poszukiwaniu Paige, aż wreszcie dojrzałam ją w pierwszym rzędzie, siedzącą sztywno, jakby była sparaliżowana. Kilka miejsc obok było pustych, ale nie zamierzałam siadać tak blisko sceny ani tak bardzo na widoku reszty uczniów ostatnich klas. Ostatni rząd byłby w sam raz, ale jeden rzut oka wystarczył, bym się przekonała, że zostało tam tylko jedno wolne miejsce.

Obok Parkera Kinga.

- Usiądę razem z przyjaciółmi - wyszeptałam, odsuwając się od niej. - Ale dziękuję.

Nie chciałam patrzeć, czy jest rozczarowana, zaskoczona czy może jedno i drugie. Zamiast tego odbiłam w kierunku ostatniego rzędu, by nie zmienić zdania. Przepraszając, przestępowałam nad dziesiątkami par stóp i ignorowałam rozdrażnione spojrzenia koleżanek z klasy. Całe szczęście były to dziewczyny, a zatem siadanie obok Parkera miało przynajmniej jedną zaletę.

- Cześć - powiedziałam, kiedy wreszcie dotarłam do wolnego miejsca.

- Cześć - odparł, nie podnosząc głowy znad iPod'a.

- Wolne...?

Zerknął na mnie, potem na krzesło.

- Tak - mruknął, wzruszając ramionami. - Siadaj, jak chcesz.

Nieco zbity z tropu, usiadłam. Z jednej strony odczuwałam ulgę, że Parker od razu nie stracił dla mnie głowy, jak najwyraźniej wielu innych... ale z drugiej strony byłam zdezorientowana. Rozmawiał ze mną pierwszego dnia szkoły, podobno nic nie wiedząc o śmierci Justine. Potem próbował mnie znaleźć, żeby oddać mi jej zdjęcie. No i w zeszłym tygodniu spędziliśmy razem trochę czasu w parku.

Niepadanie do moich stóp to jedno, ale zachowywanie się po tych wszystkich spotkaniach tak, jakby nawet nie wiedział, kim jestem, to już co innego.

Oparłam się i patrzyłam, jak jego kciuk porusza się po małym białym kółku iPod'a, podkręcając głośność. Caleb muzyką próbował zagłuszyć nawoływania Zary i Simonowi radził to samo. Czyżby Parker korzystał teraz z tego sposobu? Czyżby próbował zagłuszyć jakiegoś rodzaju sygnał, który nieświadomie do niego wysyłałam albo którego nie potrafiłam kontrolować?

Wyciągnęłam z plecaka zeszyt i otworzyłam na czystej stronie. Udując, że uważnie słucham zaproszonych mówców i robię notatki, raz po raz rzucałam ukradkowe spojrzenia na Parkera. Jego dłonie nie trzęsły się. Kolana nie drżały. Na czoło nie występował pot. Jeżeli nawet moja bliskość była dla niego tak przykra, że musiał podkręcać głośność do tego stopnia, że ze słuchawek, które miał na uszach, dobiegały dźwięki, nie dawał tego po sobie

poznać.

- Pierwszy rok studiów to mnóstwo przeżyć.

Moją uwagę przykuł znajomy głos. Podniosłam wzrok i przy podium na scenie zobaczyłam Natalie Clark, koleżankę Justine, na którą Paige i ja wpadłyśmy pierwszego dnia szkoły w parku Common.

- Jest zabawa.

Uśmiechnęła się i rozejrzała po twarzach zebranych, a ja osunęłam się niżej na krześle.

- Są emocje. Bódźce intelektualne.

Uniosłam zeszyt, żeby się za nim ukryć.

- Bywa też bardzo ciężko. Zwłaszcza gdy przychodzi nam zmagać się z trudnościami, które nie są zależne od nas.

Spóźniłam się. Wypatrzyła mnie. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, przechyliła głowę.

- Już sama uczelnia potrafi dać wycisk, ale gdy oprócz zajęć i zadań domowych człowiek zmagają się z problemami natury osobistej, tak jak ja i pewnie tak jak wszyscy obecni teraz na tej sali, ciężar potrafi być nie do zniesienia.

Mówiąc to, nie patrzyła już na nikogo innego, stąd wiedziałam, że te słowa kieruje do mnie. Opuściłam wzrok na zeszyt i prędko zaczęłam coś bazgrać w nadziei, że pomyśli, iż z wdzięcznością zapisuję słowa jej jakże pomocnego przemówienia.

- Hej.

Miałam tak silne postanowienie, by unikać pełnego współczucia spojrzenia Natalie, że nie zauważyłam, że Parker coś do mnie mówi, dopóki jego kciuk nie znalazł się na mojej dłoni. Ten gest natychmiast zatrzymał rozbiegany długopis.

- Masz ochotę stąd prysnąć? - Jedną słuchawkę miał wyciągniętą z ucha i pochylał się ku mnie z obojętnym wyrazem twarzy.

- W sumie tak.

Ominął mnie wzrokiem, by spojrzeć na grono nauczycieli i pracowników administracji siedzących kilka rzędów niżej. Kiedy uznał, że są wystarczająco zaabsorbowani, wspiął się na krzesło i przeskoczył nad oparciem. Przez chwilę wahałam się, po czym zrobiłam to samo, oparłam się na jego dłoń, gdy mi ją podsunął. Stopami dotknęłam podłogi, a wtedy on puścił moją dłoń i zdenerwowanie ustąpiło. Kiedy jego wielbicielki zdały sobie sprawę, co robimy, zaczęły szeptać między sobą, ale nawet jeżeli ich dezaprobata zwróciła uwagę pani Mulligan albo kogokolwiek innego z jej sztabu doradców zawodowych,

wymknęliśmy się z auli za szybko, żeby się o tym przekonać.

Na korytarzu Parker siedł przede mną, nie zadając sobie trudu, by sprawdzić, czy idę za nim. Zamierzałam pójść w swoją stronę: kiedy zbliżaliśmy się do biblioteki, miałam ochotę wejść do środka, nie uprzedzając go o tym, ale ciekawość zwyciężyła. Chciałam wiedzieć, dokąd idzie, dlaczego poprosił, żebym do niego dołączyła i dlaczego zachowuje się przy mnie w taki sposób. Dlatego szłam jego śladem kolejnymi korytarzami i holami, aż do szerokich drzwi z ciemnego drewna.

- Sala obserwacji sportów wodnych imienia Erika C. Kinga? - odczytałam napis nad drzwiami.

- Teraz powinna być pusta. - Wyciągnął klucz z kieszeni spodni i otworzył drzwi. - Panie przodem.

Weszłam do dużego pomieszczenia. W środku stały skórzane kanapy i fotele, eleganckie srebrne stoliki i telewizor płaskoekranowy szeroki na całą ścianę. Okna sięgające od podłogi po sufit wychodziły na kryty basen. Salę zdobiły banery, trofea i zdjęcia drużyny sportowej.

- Twój ojciec musi być dumny - stwierdziłam, podchodząc do oprawionego w ramkę zdjęcia Erika C. Kinga we własnej osobie. Na zdjęciu przecinał satynową wstążkę zawieszoną w tych samych drzwiach, przez które właśnie przeszliśmy.

Parker zignorował pytanie.

- Wiesz, że jesteś drugą dziewczyną, którą tu przyprowadziłem?

Posłałam mu wymowne spojrzenie.

- Nie w tym sensie. Słowo honoru. Wbrew powszechnemu mniemaniu wcale nie spędzam każdej wolnej chwili na obściskiwaniu się z dziewczynami - zrobił pauzę. - Znasz Felicję May?

- Tę gimnastyczkę?

- Tak. Po obejrzeniu jednego z naszych meczów w zeszłym roku nie dawała mi żyć. Wypisywała ze dwadzieścia emaili dziennie i chodziła za mną krok w krok po całej szkole.

- Współczuję.

- Dzięki. Nie wszyscy są tak wyrozumiali. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - W każdym razie pewnego marcowego ranka ubiegłego roku Felicja śledziła mnie aż do tego miejsca, będącego dotychczas schronieniem tylko dla chłopaków. Próbowałem ją wyprosić, ale nie chciała wyjść, więc kiedy już znaleźliśmy się w środku, musiałem wezwać posiłki. Nie wytrzymała tu zbyt długo z całą resztą chłopaków z drużyny piłki wodnej, przyglądającym się i prowadzącym analizę krytyczną dziewcząt z drużyny pływackiej, które ćwiczyły w basenie.



- Analizę krytyczną?

- Po tak wielu godzinach spędzonych w wodzie okazuje się, że jesteśmy doskonałymi fachowcami i potrafimy ocenić ich formę.

Przewróciłam oczami, a on wyciągnął dwie butelki wody z lodówki. Podał mi jedną, potem zwałił się na kanapę i włączył telewizor. Nadal nie wiedziałam, dlaczego chciał, żebym z nim tu przysła, ale z jego zachowania z pewnością nie wynikało, że zrobił to, bo nie mógł się doczekać, aż znajdziemy się sam na sam w ustronnym miejscu.

- Spotykasz się z kimś? - To pytanie padło, zanim zorientowałam się, że chcę je zadać.

Na jego twarzy pojawił się przelotny wyraz rozczarowania, może żalu. Jednak po chwili zniknął, a Parker mrugnął do mnie okiem i zapytał:

- A co? Jesteś zainteresowana?

- Mam chłopaka - przypomniałam mu, rumieniąc się.

- No i?

- No i... mam szafkę tuż obok szafki Sary Tepper. Któregoś dnia przypadkiem usłyszałam, jak o tobie opowiadała, i zwyczajnie się zastanawiałam, czy jesteście parą.

- Nic z tych rzeczy. - Wziął pilot i zmienił kanał. - Nie spotykam się z Sarą Tepper ani z nikim innym. Zresztą nawet nie chcę. Możesz śmiało opublikować to oświadczenie na stronie internetowej naszej szkoły. Może wtedy wreszcie dadzą mi święty spokój.

Powiedział to całkiem od niechcenia, swobodnie, nie jakby żywił do kogoś głęboko skrywane uczucie. A jedynie stan zakochania mógłby go uodpornić - jakkolwiek by to nazwać - na sygnały, na które reagowali inni mężczyźni.

I tyle z mojej teorii.

- Wow.

Podążyłam wzrokiem za jego spojrzeniem utkwionym w telewizorze; pokazywano właśnie relację na żywo z wypadku: przewrócony autobus z przodem zmiądzonym niczym harmonijka.

- Kierowca nie żyje - oznajmił Parker, odczytując informacje z paska komentarzy biegnącego u dołu ekranu. - Cztery osoby zaginęły, a osiem innych jest w stanie krytycznym. Paskudna sprawa.

Podniósł pilot i zmienił kanał.

- Zaczekaj - powiedziałam, czując, jak dudni mi w uszach. - Przełącz z powrotem.

Spojrzał na mnie z zaciekawionym, ale zrobił to, o co prosiłam. Przemierzyłam pokój, słysząc bicie serca w uszach.

- Vanesso - odezwał się, kiedy przystanąłam kilka centymetrów od ekranu. - O co

chodzi?

Chodziło o dziewczynę rozmawiającą z jednym z funkcjonariuszy policji. Dziewczynę o długich ciemnych włosach. W białej sukience.

O srebrzystych oczach.

- Co sądzisz o Chicago? Albo o Denver? Albo o Honolulu?

Podniosłam wzrok znad „Boston Globe”.

- O Honolulu?

Paige sięgnęła po broszurkę leżącą na stosie na stoliku znajdującym się między nami.

- Uniwersytet Hawajski. Drzewa palmowe, tęcze, turkusowa woda. - Otworzyła broszurkę i zmarszczyła brwi. - Szczerze mówiąc, niewielka odległość uczelni od oceanu, niezależnie od jego barwy, to wielki minus.

Od naszego przyjazdu do Bostonu nieustannie wertowałam informacje w gazetach na temat wczorajszego wypadku autobusowego, przypatrując się załączonym zdjęciom w poszukiwaniu dziewczyny z wiadomości, ale wzmianka o wodzie przypomniła mi, że chce mi się pić. Znowu. Niecały tydzień od nieoczekiwanej kąpieli w wodach portowych Winter Harbor ogromna siła, jaką wtedy poczułam, szybko mnie opuszczała.

- Pani Mulligan musi być wniebowzięta, że tak szybko uległaś jej urokowi - stwierdziłam i przysłałam się do mrożonej herbaty.

- Po prostu nigdy wcześniej tak naprawdę się nad tym nie zastanawiałam, wiesz? Dla młodzieży z mojego miasteczka, studia to jedna z opcji. Ci, którzy się na nie decydują, nie wyjeżdżają daleko, a po ich ukończeniu zwykle wracają i tak czy inaczej zabierają się za to, czym by się zajmowali, gdyby nigdy nie wyjechali.

- Na przykład prowadzeniem popularnej wśród turystów restauracji? - odpowiedziałam.

Wzruszyła ramionami.

- Po prostu doszłam do wniosku, że skoro i tak miałabym skończyć na prowadzeniu restauracji, to po co tracić czas, udając, że mam inne wyjście.

- Ale przecież masz inne wyjście. I to nie jedno.

- To prawda. Mogłabym być architektem. Albo grafikiem. Albo lekarzem - uśmiechnęła się. - No może lekarzem niekoniecznie. Za dużo nauki... i krwi.

Pociągnęłam długi łyk przez słomkę, aż zacharczało w pustej szklance.

- To świetnie, Paige. Poważnie. Ale nie sądzisz, że Honolulu to trochę za daleko?

- To tylko jedna z opcji. - Przerzucała kolejne broszury. - Są jeszcze Phoenix, Des Moines i Houston, które znajdują się...

- Blżej, ale ciągle bardzo daleko. - Pochyliłam się w jej stronę. - Nowa Anglia jest uniwersytecką stolicą Stanów. Nie pasuje ci żadna z tutejszych uczelni?

Jej uśmiech osłabł.

- Tu jest za duża rywalizacja. Moje oceny są na tyle przyzwoite, że przyjęli mnie do Hawthorne, ale nie jestem wystarczająco zawzięta, żeby znieść cztery lata szalonej akademickiej presji.

Wiedziałam, że jej obecne preferencje wynikają z czego innego - a mianowicie z chęci zwiększenia o tysiące kilometrów dystansu między sobą a wszystkim, o czym pragnie zapomnieć - ale rozmowa na ten temat musiała zaczekać.

- Już prawie pora - zauważyła. - Zaraz wracam.

Podniosła kubek.

- Idę po dolewkę. Też chcesz?

- Tak, poproszę. Dzięki.

Wstała i ruszyła w stronę lady, a ja podniosłam z podłogi plecak i lawirując między stolikami i krzesłami, przemierzyłam ciasne wnętrze kawiarenki. Jedyne toaleta znajdowała się na samym końcu lokalu i kiedy do niej dotarłam, była zajęta.

Oparłam się o ścianę, czekając i zastanawiając się, jak bardzo będę musiała kłamać w ciągu kolejnych trzydziestu minut. Myślałam, czy nie wykręcić się jakoś z tego spotkania, ale wiedziałam, że pani Mulligan po prostu przełożyłaby, je na inny dzień, żeby sama również mogła w nim uczestniczyć. Kompletnie nie miałam ochoty udawać entuzjazmu ani zachwalać samej siebie, a tym bardziej nie życzyłam sobie zostać po wszystkim przeanalizowana.

Minęły dwie minuty, potem trzy, cztery. Po pięciu minutach zapukałam lekko do drzwi. Nie było odpowiedzi, więc podeszłam bliżej i przyłożyłam do nich ucho. Trudno było cokolwiek usłyszeć pośród gwaru rozmów rozbawionych gości, ale odniosłam wrażenie, że słyszę szum odkręconej wody. Chwilę później zapukałam znowu, tym razem mocniej.

Żadnej odpowiedzi.

Obróciłam się, żeby zaczepić kogoś z obsługi i zapytać, czy łazienka nie została przypadkiem zamknięta na klucz, gdy nagle rozległ się odgłos zakręcania kurków, a szmer ustał.

- Przepraszam. - Drzwi otworzył chłopak. Nie rozpoznałam go, ale miał na sobie mundurek naszej szkoły, mniej więcej tak samo pomięty jak mój własny. Jego oczy były zaczerwienione. Zanim wyszedł z łazienki, zanurkował jeszcze do środka i wyszarpnął plik papierowych ręczników z podajnika.

- Nie ma sprawy - odparłam.

Wysmarkał nos i minął mnie, powłócząc nogami. Opadł na krzesło przy stoliku tuż obok wejścia, złożył głowę w dłoniach i wpatrywał się w ekran otwartego laptopa. Raz po raz odrywał głowę tylko po to, żeby osuszyć łzy i wysmarkać nos. Nie chciałam być jedną z osób, które rzucając ciekawskie spojrzenia, mogłyby przyczynić się do pogorszenia jego samopoczucia, więc wślizgnęłam się do łazienki, po czym zamknęłam drzwi na zasuwkę.

Pomieszczenie było maleńkie. Między sedesem a umywalką ledwie starczało miejsca na stopy. Oparłam plecak o brzeg umywalki i wyjęłam ze środka ubrania, które zapakowałam dziś rano.

„To twoja szansa!”, deklarował ostatni email od pani Mulligan. „Wyróżnij się na tle innych kandydatów i pokaż temu wychowankowi Bates College, jaką jesteś wspaniałą i niezwykłą osobą. Proponuję założyć coś dojrzałego i wpadającego w oko (zapomnij o szkolnym mundurku). Niech padnie trupem!”

Minutę później przysła kolejna wiadomość:

„Vanesso, przyjmij moje najszczerze przeprosiny za pełne dobrych intencji, ale absolutnie niestosowne słowa zachęty. Nie wiem, gdzie miałam głowę. Życzę szczęścia! - K.M.”.

Nie potrzebowałam szczęścia. Potrzebowałam żyć życiem kogoś innego. Ale skoro na to nie mogłam liczyć, postanowiłam zrobić dobrą minę do złej gry i spróbować może nie tyle wpaść w oko, ile przynajmniej godnie się zaprezentować. Nie robiłam tego z nadzieją, że zostanę przyjęta do Bates, ale że wywrę na osobie przysłanej przez panią Mulligan korzystne wrażenie i że napisze ona o mnie dobre sprawozdanie, a pani Mulligan trochę odpuści. Zawsze mogłam później znaleźć jakiś powód, żeby wycofać podanie.

Szybko przebrałam się w czarną ołówkową spódnicę, świeżo wyprasowaną białą koszulę z żabotem i dopasowany czarny kaszmirowy kardigan z perłowymi guzikami. Poskładałam mundurek i bluzę i wepchnęłam je do plecaka, poprawiłam kucyk i odwróciłam się do umywalki.

„Wybacz... Przykro mi, że to piszę...”

Pochyliłam się, żeby opryskać twarz wodą, gdymój wzrok zatrzymał się na czymś, co wyglądało na wydrukowany email. Kartka leżała zgięta na brzegu umywalki, cienka i wymiętoszona.

„Żałuję, że nie jest inaczej... po prostu do siebie nie pasujemy...”

List musiał należeć do chłopaka, który korzystał z łazienki przede mną. Najwyraźniej to było powodem jego smutku. Czując się winna mimowolnego wtargnięcia w jego prywatność, odwróciłam wzrok i osuszyłam twarz papierowym ręcznikiem.

Rozległo się pukanie. Podniosłam plecak, złożyłam kartkę z wiadomością zapisaną stroną do środka i wetknęłam ją za dozownik mydła. Uznałam, że w ten sposób list nie będzie tak łatwo zauważalny dla niepowołanych oczu, a jednocześnie adresat znajdzie go bez trudu.

Po wyjściu z łazienki serce mi zamarło. Przy jednym ze stolików siedział mężczyzna, a przed nim leżała ruda teczka z logo Bates College. W przerwach między zerkaniem na ekran smartfona „BlackBerry” podnosił wzrok i rozglądał się po sali.

Osoba mająca przeprowadzić ze mną rozmowę kwalifikacyjną okazała się mężczyzną. Z jakiegoś powodu, kiedy wcześniej ćwiczyłam odpowiedzi na potencjalne pytania, wyobrażałam sobie, że będzie to kobieta. Na domiar złego mężczyzna był dość młody. Rozmowa z mężczyzną w starszym wieku byłaby do przejścia, ale ten facet, ubrany w stylowe ciemne dżinsy i jasnobrązową wełnianą marynarkę, wyglądał mniej więcej na trzydzieści parę lat.

Idąc w stronę stolika, starałam się przyjrzeć jego dłoniom. W najlepszym wypadku mogłam teraz liczyć na to, że jest żonaty i po uszy zakochany w swojej żonie.

- Vanessa? - Kiedy podeszłam, wstał i wyciągnął rękę na powitanie.

Nie miał obrączki.

- Nazywam się Matt Harrison. - Wymieniliśmy uścisk dłoni, po czym wysunął dla mnie krzesło, uderzając o oparcie krzesła stojącego za nim. Siedząca na nim młoda kobieta posłała mu pełne dezaprobaty spojrzenie, zanim przesunęła się do przodu, ale on nawet tego nie spostrzegł. - Tak się cieszę, że mogę cię poznać.

- Wzajemnie. - Usiadłam, czując się idiotycznie w swoim dojrzałym, wpadającym w oko stroju.

- Masz na coś ochotę? Na kawę? Herbatę? Babeczkę?

- Nie, dziękuję. - Spotkałam się wzrokiem z Paige w drugim końcu sali. Nadal stała przy ladzie i czekała na swoje zamówienie. Kiedy mnie zobaczyła, wystawiła oba kciuki do góry.

- No proszę - zaczął, siadając i krzyżując ręce na blacie. - Ostatni rok szkoły. - Wpatrywał się we mnie wyczekująco, jakby zakładał, że rozwinę temat.

- Zgadza się.

- Kathryn wspominała, że jesteś świetną uczennicą.

- Jakoś sobie radzę.

- Do tego skromną. Miło to słyszeć.

Stolik był mały i Matt siedział tak blisko mnie, że czułam zapach jego wody po goleniu. Spróbowałam się odchylić, ale stoliki i krzesła były tak ciasno poustawiane, że nie

udało mi się zwiększyć dystansu.

- Może na początek opowiem ci o swoich doświadczeniach z Bates - zaproponował. - Potem postaram się odpowiedzieć na twoje pytania, jeśli jakieś ci się nasuną, a dalej zobaczymy.

- Brzmi świetnie, panie Harrison.

- Mów mi Matt. Proszę. Pan Harrison to starszy facet, który wypełnia dom moich rodziców pamiątkami z wojny o niepodległość Stanów.

Jednym uchem słuchałam, jak opowiada o procesie rekrutacji, wykładach, dostępnych kierunkach i możliwościach zatrudnienia. Nie żeby to miało jakieś znaczenie, ale nie powiedział mi nic, czego nie wiedziałabym już od Simona. Jednak jego monolog zwolnił mnie z konieczności zabierania głosu, za co byłam mu wdzięczna.

- Jakie są twoje oczekiwania? - zapytał dwadzieścia minut później.

Znow się włączyłam.

- Słucham?

- O ile wiem, dla Bates to będzie zaszczyt przyjąć cię do grona studentów. Zrobię co w mojej mocy, abyś miała pewność, że jeśli złożysz do nas papiery, niczego ci nie zabraknie. Pomoc finansowa, własny pokój w akademiku, zakwaterowanie poza kampusem... wszystko jest do zrobienia.

Mówił tak, jakbym już została przyjęta, mimo że decyzja należała do działu rekrutacji, nie do niego. Zresztą ta rozmowa była tylko jednym z wielu etapów procesu aplikacji, a ja nie powiedziałam więcej niż dziesięć słów. Co oznaczało, że według Matta Harrisona Vanessa syrena, nie Vanessa uczennica, doskonale nadawałaby się do Bates.

- Paige - oznajmiłam, spotykając się z nią wzrokiem.

- Słucham?

- Moja najlepsza przyjaciółka. - Posłałam mu najśłodszy uśmiech, na jaki mogłam się zdobyć. - Ona też jest w ostatniej klasie w Hawthorne. Jeśli dostanę się do Bates, zależy mi, żeby i ona została przyjęta.

Gdy Paige podeszła do stolika i wysunęła wolne krzesło, Matt opadł na oparcie. Już wcześniej zauważyła, że rozmowa kwalifikacyjna nieszczególnie przypadła mi do gustu, dlatego zaproponowała, że jeśli będę potrzebowała wsparcia albo pretekstu do zakończenia spotkania, przyjdzie mi z odsieczą.

- Paige jest wybitną uczennicą - zapewniłam. - Dopiero przeniesiono ją do Hawthorne ze szkoły średniej w Winter Harbor w stanie Maine, a już nadrobiła zaległości.

- To nic wielkiego - stwierdziła Paige, bez trudu włączając się do rozmowy, ale nie

wiedząc, ani dokąd ona zmierza, ani w jakim celu. - W programie nauczania wcale nie było tak wielu różnic.

- Przeciwnie. To jest coś wielkiego. Harvard już teraz się o nią upomina. Tak samo zresztą jak Yale i uniwersytet Browna. Spojrzałam na Paige. - Możesz mi przypomnieć, co ci zaferowali? Pokrycie całości czesnego? Umeblowane mieszkanie?

- Z dwiema sypialniami - dodała, potakując. - I wannę z jacuzzi.

Matt zerknął na mnie, a ja posłałam mu uśmiech. W tej chwili, kiedy mój urok sprawił, że bardziej interesowały go moje potrzeby niż potrzeby jego Alma Mater, chwycił smartfon i wystukał coś na klawiaturze.

- Nie wiem, czy Bates kiedykolwiek przyznało taki pakiet świadczeń, ale pozwól, że sprawdzę, co da się zrobić. - Przerwał pisanie i spojrzał na ekranik smartfona. Chwilę później wstał i wycofał się w stronę wyjścia. - Zaraz wracam - zapewnił, podnosząc telefon do ucha.

- Dzięki - odparłam, kiedy był już na zewnątrz.

- Musiał cię niezłe przemaglować - stwierdziła Paige.

- Nieszczególnie. Po prostu potrzebuję przez chwilę znaleźć się poza centrum uwagi.

- To dlatego pocisz się, jakbyś właśnie ukończyła bostoński maraton?

Uniosłam dłoń do czoła; było rozgrzane i wilgotne. Tak samo jak pozostała część twarzy i kark. Przyłożenie papierowych serwetek do czoła tylko spowodowało wystąpienie nowej warstewki potu.

- Może poszłabyś się czegoś napić i zebrać siły, co? - zaproponowała Paige. - Jeśli potrzebujesz więcej czasu, poproszę o prywatny odrzutowiec i własne mikrozoo albo coś w tym stylu, żeby zająć pana z Bates. - Zrobiła pauzę. - Swoją drogą... po co właściwie stawiam tak kosmiczne wymagania?

Zaimprovizowałam:

- Sądzę, że doskonały student Simon musiał przedstawić mnie w wyjątkowo korzystnym świetle, bo najwyraźniej już zostałam przyjęta. A wychowankowie Bates College, którzy wywodzą się z liceum przygotowawczego Hawthornea, dostają chyba grubą prowizję, bo Mattowi bardzo zależało, żeby wciągnąć mnie na listę i uszczęśliwić. Ale powiedziałam mu, że bez ciebie nigdzie nie idę.

- Czy Bates College dysponuje przyuczelnianym kampusem, jak - powiedzmy, San Diego?

- Ma dwa takie kampusy. Będziesz mogła wybrać.

- Bosko - stwierdziła, a ja podniosłam z podłogi plecak i wstałam. - Aha, możesz przy okazji przywitać się ze swoją znajomą.



- Z jaką znajomą?

- Z tą, która tu pracuje.

Rozejrzałam się po sali.

- Nie znam nikogo, kto tu pracuje.

- No cóż, ktoś, kto tu pracuje, zna ciebie. Nie zapamiętałam jej imienia, ale zadawała całe mnóstwo pytań, włącznie z pytaniem o twoje samopoczucie, jakby słyszała, że jesteś chora czy coś takiego.

Przed ladą stał szereg stołków barowych, z których każdy był zajęty. Spośród tłumu udało mi się wyłowić tylko jednego pracownika: młodego chłopaka, który w przerwach między kursami do ekspresu biegał z jednego końca lady na drugi.

- Przywitam się - powiedziałam, chcąc zniknąć przed powrotem Matta. Pochyliłam się i szybko uściskałam Paige. - I jeszcze raz dziękuję. Jesteś niezastąpiona.

Podeszłam do zajmowanego przez nas wcześniej stolika, wyciągnęłam z plecaka bluzę, założyłam ją na ubranie i naciągnęłam na głowę kaptur. Dodatkowa warstwa sprawiła, że zaczęłam pocić się jeszcze mocniej i musiałam ścisnąć szklanę z mrożoną herbatą w obu dłoniach, żeby się nie wyslizgnęła.

Zimny płyn był tak smaczny, że z trudem powstrzymywałam się, żeby nie wypić go duszkiem. Dopiero kiedy przełknęłam ostatnią kroplę, zdałam sobie sprawę, że ta mrożona herbata smakowała inaczej od poprzedniej, którą wypić, zanim przebrałam się w toalecie.

Ta była słona. Do pierwszej nie dodałam soli, bo wcześniej skończył mi się zapas.

W kapturze zaciągniętym nisko na oczy, obróciłam się przez ramię. Nawet jeśli to Paige wsypała mi sól do napoju, widząc, jak często dodaję ten sekretny składnik do wszystkiego, co spożywam, nie czekała na moją reakcję. Pochłonięta pogawędką, prawdopodobnie odklepywała dalsze wymagania Mattowi, który zdążył już wrócić do stolika i teraz zapisywał coś w notatniku.

Odwróciłam się z powrotem i musnęłam palcami pacuszki w ceramicznej miseczce stojącej na środku stolika. Brązowy cukier, słodziki.

Podeszłam do lady, wcisnęłam się pomiędzy dwie klientki i pomachałam, by zwrócić uwagę chłopaka z obsługi. Zauważył mnie dopiero po kilku próbach, ale w końcu podszedł.

- Poproszę mrożoną herbatę - złożyłam zamówienie.

- Słodzoną czy niesłodzoną?

Zawahałam się.

- Jedną i drugą.

Otworzył lodówkę pod przeciwległą ladą i wyciągnął dwa dzbanki. Nappełnił dwie

szklanki i wrócił do mnie.

- Ile płacę? - zapytałam, sięgając do kieszeni bluzy.

- Nie ma sprawy.

- Słucham? Ale przecież...

Urwałam, bo obrócił się na pięcie i czmychnął w stronę syczącego ekspresu. Kiedy podszedł do następnego klienta i było pewne, że nie zamierza wrócić, położyłam na blacie banknot dziesięciodolarowy, po czym wzięłam po łyku z każdej szklanki.

Żaden z napojów nie był słony.

- Twoja znajoma prosiła, żeby cię nie kasował.

Tuż przy uchu zabrzmiał niski głos. Obróciłam się i przyłgnęłam plecami do lady, tylko nieznacznie się rozluźniając, gdy rozpoznałam smutnego ucznia z Hawthorne, którego spotkałam przy toalecie. Stał kilkanaście centymetrów ode mnie, w jednej ręce trzymając pusty talerz, a drugą ocierając oczy.

- Jaka znajoma? - zapytałam.

- Kobieta, która tu pracuje. Powiedziała mu, że za ciebie zapłaci.

Obrzuciłam wzrokiem salę, potem wyciągnęłam szyję, żeby zajrzeć za ladę i zerknąć w głąb kuchni. Oprócz chłopaka z obsługi zobaczyłam jedynie pomywacza i kuchcika. Obaj byli mężczyznami.

- Wspomniała może dlaczego?

Zanim zdążył odpowiedzieć, głowę przeszył mi rozdzierający ból, jakby czaszkę przestrzeliła kula z pistoletu.

Z trudem powstrzymałam się, żeby nie zamknąć oczu, które dziwnym trafem spotkały się z odbiciem w szklanym kloszu na babeczki innej pary oczu połyskujących niczym powierzchnia oceanu w blasku słońca. Kiedy oczy te odnalazły moje, z głębi czaszki trysnęło nowe źródło pulsującego bólu, który nie słabł.

Nie musiałam nawet obracać się, żeby wiedzieć, kto mi się przygląda.

- Zara - wydyszałam, po czym osunęłam się na podłogę.

## 13

Następnego ranka w sobotę leżałam w łóżku z kołdrą zaciągniętą na głowę i nasłuchiwałam. Zary i Rainy. Justine i Betty. Kogokolwiek, kto zechciałby mi wyjaśnić, co się dzieje.

Ale jedyne, co słyszałam, to muzykę dobiegającą z mojej dawnej sypialni, tatę śpiewającego gdzieś na parterze i mamę stukającą garnkami w kuchni.

Poddałam się. Odrzuciłam kołdrę i sięgnęłam po wodę stojącą na nocnym stoliku. Przez całą noc pragnienie doskwierało mi silniej niż zwykle i przed świtem zdążyłam czterokrotnie opróżnić butelkę. Teraz znów była prawie pusta, więc dopiłam resztkę wody, która w niej została, i poszłam do łazienki po kolejną dolewkę. Następnie podążyłam za głośną muzyką country rozlegającą się w głębi korytarza. Drzwi do mojej dawnej sypialni były zamknięte. Zapukałam, ale odgłos zanikł pośród dźwięków po drugiej stronie. Spróbowałam znowu, tym razem głośniej.

- Paige? - zawołałam. - Mogę wejść?

Żadnej reakcji: nie padła odpowiedź ani nie przycichła muzyka. Pukając, uchyliłam drzwi. Paige siedziała pochylona przy biurku tyłem do mnie. Zawołałam ją po imieniu, ale nie poruszyła się. Zakładając, że jest zajęta wypełnianiem podań na studia - choć trudno było mi sobie wyobrazić, jak udaje się jej skoncentrować w takim hałasie - przeszłam przez pokój i klepnęłam ją w ramię.

- Vanessa?! - Podskoczyła na krześle. Jedną dłoń przyciągnęła do piersi, drugą zasłoniła otwarty zeszyt, który leżał przed nią.

Wskazałam na stację dokującą do iPod'a stojącą na komodzie. Kiedy pokiwała głową, wyciągnęłam rękę i ściszyłam muzykę.

- Przepraszam - powiedziałam. - Pukałam, ale mnie nie słyszałaś.

- Nie, nie, to ja przepraszam. Niepotrzebnie włączyłam tak głośno. - Rozejrzała się szybko, jakby coś zapodziała, potem podniosła z podłogi przy krześle swoją torbę listonoszkę i położyła ją na zeszycie. Zanim jednak zdążyła go zakryć, mignęło mi przed oczami drobne, staranne odręczne pismo i biel okładki.

- Co słyhać? - Uśmiechnęła się do mnie, ale raz po raz nerwowo zerknęła w stronę torby, jakby ta nagle miała zsunąć się z biurka i odsłonić zeszyt.

- Wszystko gra? - zapytałam.

- No jasne. - Machnęła ręką. - Właśnie sobie coś bazgrałam. Dużo się dzieje: szkoła, Riley... sama rozumiesz.

Domyślając się, że Paige poczuje się bezpieczniej, kiedy dystans między nami będzie większy, powędrowałam w drugi kąt pokoju i usiadłam na łóżku.

- Skoro już mowa o tym, jak dużo się dzieje - zaczęłam ostrożnie - nie daje mi spokoju to, o czym wspominałaś parę tygodni temu. O Rainie i Żarze.

Na ułamek sekundy jej twarz znieruchomiła. Po chwili Paige wstała i przysiadła się do mnie na łóżku.

- Mówisz o tamtym dniu w parku? Gdy wyobraźnia spletała mi nieznośnego figła?

Przytaknęłam.

- Właśnie o tym. Wiem, że naprawdę ich tam nie było, bo nie było szans, żeby zdołały przeżyć w zamrzniętych wodach portowych... - Zawahałam się, rozważając, jak daleko mogę się posunąć. - Ale czasem, wbrew własnej woli, zastanawiam się...

- A co jeśli...? - dokończyła.

- No właśnie. - Oczywiście miałam w tej sprawie coś więcej do powiedzenia, ale wolałam pomówić o tej ewentualności bez ujawniania, co lub kogo widziałam wczoraj w kawiarni.

- Ja też się nad tym zastanawiam. - Wyciągnęła rękę na łóżku, przytulając poduszkę do piersi. - Czasem ta myśl przeraża mnie do tego stopnia, że leżę tu całkiem rozbudzona i tylko czekam, aż zjawią się w oknie albo wyleżą z szafy.

Zmarszczyłam brwi, przypominając sobie niezliczone noce, kiedy robiłam dokładnie to samo w tym właśnie pokoju. Z tą różnicą, że wtedy obawiałam się duchów i straszylek, a Justine była obok i starała się pomóc mi zasnąć.

- Ale wiesz, co sobie powtarzam? - odezwała się Paige.

Potrząsnęłam głową.

- Że babcia Betty by wiedziała. Usłyszałyby je albo wyczuła, albo w jakiś inny sposób odkryła ich obecność i powiedziałyby mi o tym wcześniej, zanim cokolwiek mogłoby się stać. A mówiła, że nic nie słyszy...

- Odkąd wody portu zamarzyły - dokończyłam. - Rozmawiałam z nią o tym przez chwilę, kiedy razem z Oliverem wyszliśmy kupić coś na śniadanie. Powiedziała mi dokładnie to samo - dodałam, widząc zaskoczenie na jej twarzy.

- Aha. - Opuściła poduszkę na kolana i wodziła palcem po haftowanym kwiatowym wzorze. - Rozmawiałyście może o czymś jeszcze?

- Właściwie nie. - To nie był odpowiedni moment, żeby zdradzać, czego jeszcze

chciałam dowiedzieć się od Betty.

- Szczerze mówiąc, wydawała się trochę... dziwna.

Oczy Paige i moje spotkały się.

- Dziwna? W jakim sensie?

- Nie wiem... jakby zmęczona. Nieobecna. Jakby nie była do końca sobą. Nie zauważyłaś?

- Nie. Ale to chyba normalne. Próbuje wrócić do siebie i fizycznie, i emocjonalnie, a w jej życiu wciąż tak wiele się dzieje.

- Paige zamilkła na moment, po czym dodała lekko: - Może to ona powinna prowadzić dziennik.

Uśmiechnęłam się.

- A Oliver zachowuje się twoim zdaniem normalnie? Nie wydaje ci się szczególnie zamknięty w sobie czy coś w tym rodzaju?

Zastanowiła się nad pytaniem.

- Odniosłam wrażenie, że strzeże jej bardziej niż zwykle, ale uznałam to za coś pozytywnego, nie dziwaczego.

- Masz rację. To wspaniale, że troszczą się o siebie nawzajem. A Betty wydaje się być w doskonałej kondycji fizycznej. W ostatni weekend wyglądała na sto razy silniejszą niż pod koniec lata.

- No wiesz, w końcu nie przypadkowo jest ulubioną superseniorką Winter Harbor.

Zmusiłam się, żeby zadać kolejne pytanie, zanim mogłabym stchórzyć. - Wiesz może, czy robi coś szczególnego, żeby odzyskać siły? Poza pływaniami?

- Osiem razy dziennie? Nie sądzę. Nie zostaje jej zbyt wiele czasu na jogę ani ćwiczenia na siłowni.

- Nie stosuje żadnej specjalnej diety? Witamin czy suplementów?

Miałam nadzieję, że usłyszę jakieś wskazówki, jak sama mogłabym się wzmocnić, ale zapędziłam się. Paige zmarszczyła brwi, przechylając głowę na bok.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparła. - Dlaczego pytasz?

Moja twarz pokryła się rumieńcem.

- Bez powodu. Po prostu chciałam...

- Puk, puk!

Tym razem i Paige, i ja podskoczyłyśmy. Najwidoczniej nie zamknęłam za sobą drzwi, bo mama, nie pukając ani nie czekając na odpowiedź, wetknęła głowę do pokoju.

- Dzień dobry, dziewczęta! - zaświergotała. - Chciałam tylko powiedzieć, że na dole

czekają na was świeże pyszności i mnóstwo zabawy.

- Dzięki, mamó. Zaraz zejdziemy. - Zaczekałam, aż zniknie w głębi korytarza, zanim znów odwróciłam się do Paige. Byłam gotowa wymamrotać jakieś wyjaśnienie, dlaczego ciekawi mnie sekret sukcesu zdrowotnego Betty, ale ona już zsunęła się z łóżka i sięgała po szlafrok.

- Umieram z głodu. Nie pogniewasz się, jeśli najpierw coś zjemy, a potem dokończymy rozmowę?

Przełknęłam westchnienie rozczarowania.

- Nie ma sprawy.

Na korytarzu popędziła w stronę schodów prowadzących bezpośrednio do kuchni. Poszłam za nią, ale coś przy oknie w przeciwległym krańcu korytarza mnie zatrzymało.

Przelotny srebrny błysk.

- Vanesso, idziesz?

Posłałam Paige krótki uśmiech i ruszyłam w stronę łazienki.

- Daj mi chwilkę.

Kiedy jej kroki na schodach ucichły, pobiegłam w kierunku, skąd dobiegło światło. Wmawiałam sobie, że to tylko słońce odbiło się od karoserii przejeżdżającego samochodu, ale nie mogłam pozbyć się wizji, o której wspomniała niedawno Paige. Wizji Rainy i Zary zjawiających się niespodziewanie w oknie sypialni.

Dotarłszy do końca korytarza, wstrzymałam oddech, powoli odsunęłam cienką białą zasłonę... i odetchnęłam z ulgą na widok kiści srebrzystych baloników przywiązanych do słupa po drugiej stronie ulicy. Urodziny u sąsiadów nie były powodem, żeby fiksować.

Ale Simon był.

Stał na chodniku tuż przed naszym domem, rozglądając się wokół, jakby nie bardzo wiedział, gdzie jest.

Serce łomotało mi w piersi, a całe ciało płonęło, kiedy zbiegłam po schodach, przemknęłam przez salon i dopadłam drzwi wejściowych. Simon patrzył uważnie na rzędy kamienic. W dzinsach, szarym swetrze i granatowej dwurzędowce wyglądał jakby lepiej niż zwykle. Na nogach miał porządne buty z brązowej skóry ze sznurowadłami zamiast nieodłącznych tenisówek, a jego ciemne włosy były krótsze, niż wtedy gdy widziałam go po raz ostatni. Były też bardziej lśniące, jakby użył żelu lub jakiejś pianki do ich ułożenia.

Te zmiany w wyglądzie dawały już wystarczająco dużo do myślenia, ale jedna rzecz szczególnie zwróciła moją uwagę.

- Gdzie twoje okulary? - zapytałam.

Gwałtownie odwrócił głowę w moją stronę. Kiedy mnie zobaczył, na jego twarzy pojawiła się ulga. Wsunął do kieszeni kartkę papieru (domyśliłam się, że to wskazówki dojazdu, bo nigdy przedtem nie odwiedzał mnie w Bostonie) i ruszył w stronę schodów. Zatrzymał się przed pierwszym stopniem.

- Teraz noszę soczewki - wyjaśnił.

- Ale po co?

- Żeby o tych parę centymetrów zbliżyć się do mikroskopu.

Uśmiechnęłam się. To mógłby być prawdziwy powód.

- Dostałem twoje wiadomości. Przepraszam, że nie odpisywałem, ale pracowałem w laboratorium, odebrałem je dopiero wczoraj późnym wieczorem i uznałem, że na pewno już śpisz, więc...

- Więc postanowiłeś wsiąść w samochód i przejechać dwieście pięćdziesiąt kilometrów?

Opuścił wzrok na buty, potem znów spojrzał na mnie.

- Żeby cię zobaczyć, Vanesso... pojechałbym o wiele dalej, i to bez chwili namysłu.

Zbiegłam po schodach, wpadając mu w ramiona.

- Zrobisz coś dla mnie? - szepnęłam mu do ucha. - Na rogu ulic Newbury i Exeter jest kawiarnia. Spotkajmy się tam za dwadzieścia minut.

Simon uściskał mnie mocniej i już wiedziałam, że martwi się, iż coś jest nie w porządku.

- Dzisiaj wszyscy są w domu. Wolałabym mieć cię tylko dla siebie.

Ucałował mnie w czoło.

- Za dwadzieścia minut.

Patrzył, jak wbiegam po schodach. Pomachałam mu, stojąc w drzwiach, po czym zerknęłam przez zasłony, żeby się upewnić, czy poszedł we właściwym kierunku.

Nigdy wcześniej nie brałam prysznicza w takim tempie; nawet nie zwracałam sobie głowy solą. Znalazłam jednak czas, żeby nakremować ciało, wysuszyć włosy i wybrać odpowiedni strój. Ostatnie zadanie okazało się najbardziej wymagające, jak zwykle, ponieważ chciałam wyglądać ładnie dla Simona, nie rzucając się w oczy innym. Przebierałam w ciuchach wysypujących się z czerwonej walizki na dywan, ale wszystkie były zbyt przeciętne i wymiętoszone.

Serce mi przyspieszyło, kiedy podeszłam do szafy Justine, która nadal była pełna szortów i bluzeczek bez rękawów w żywych kolorach, spódniczek i letnich sukienek. Gdyby tu była, nie miałaby oporów, żeby pożyczyć mi swoje ubrania, prawdę mówiąc, pewnie by na

to nalegała. Zwykle zachęcała mnie do noszenia ubrań w żywszych kolorach zamiast pastelowych, do których zawsze miałam upodobanie. Mimo to czułam się dziwnie, otwierając drzwi jej szafy, zwłaszcza że nikt tego nie robił, odkąd wszyscy wyjechaliśmy do Winter Harbor na początku ubiegłego lata.

Złapałam za wąski uchwyt i pociągnęłam delikatnie, potem mocniej. Moim oczom ukazała się zawartość szafy, na którą gapiałam się, nie mogąc zrozumieć, co widzę.

Letnich ubrań Justine tu nie było. Zamiast nich szafę wypełniały wełniane spódnice, płócienne spodnie i kaszmirowe swetry. Były poukładane według typów i kolorów, od czerwieni i pomarańczy po lewej, po coraz bledsze beże i kremowe odcienie po prawej.

Nikt poza mną do tego pokoju nie wchodził. Czyżby mama, nie uprzedzając nikogo, poprosiła gosposię, żeby zabrała letnie ubrania Justine? Jeśli tak, czyżby gosposia się pomyliła i przez przypadek wypakowała jej zimową garderobę?

A może mama wypakowała ją sama?

Znów zrobiło mi się gorąco i oblał mnie pot. Zamknęłam szafę, wytarłam twarz i dłonie w ręcznik, którego użyłam po kąpieli, i poprawiłam makijaż. W walizce znalazłam czystą parę dżinsów i biały, niezbyt wygnieciony podkoszulek, czerwoną dopasowaną aksamitną marynarkę, która kilka dni temu w cudowny sposób pojawiła się w papierowej torbie z logo sieci „Nordstrom” u stóp mojego łóżka. Uznałam, że mama musiała znaleźć ją w jednym z pudeł pełnych starych, ale prawie nienoszonych rzeczy podczas przeszukiwania piwnicy.

- Wyglądasz ślicznie - zauważyła, kiedy minutę później zjawiłam się w kuchni. - Wiedziałam, że ta marynarka będzie jak na ciebie skrojona.

- Dlaczego nie są w piwnicy? - zapytałam.

Mój ton sprawił, że uśmiech spelzł z jej twarzy, która po chwili znieruchomiała.

- Dlaczego co nie jest w piwnicy?

- Zimowe ubrania Justine. Wiszą w jej szafie.

Mama odwróciła się do Paige.

- Czy ten nóż jest dość ostry, kochanie?

- To ty je wypakowałaś? - Podeszłam do stołu i stanęłam tuż obok niej. - Czy gosposia?

- Masz ochotę na ser? - Wstała od stołu, jakby mnie tam nie było. - Może krakersy? Kupiłam na targu doskonały brie...

Spojrzałam na Paige, która siedziała przy stole, w jednej ręce trzymając miniaturową dynię, a w drugiej nóż do mięsa, i najwyraźniej nie była pewna, co ma robić. Spróbowałam



uspokoić ją przelotnym uśmiechem, zanim ruszyłam w stronę lodówki.

- To całkiem łatwe pytanie, mamó. Po prostu chcę wiedzieć...

Mama wysunęła nagle głowę z otwartej lodówki i zatrzasnęła drzwi.

- Tak, to ja wywiesiłam jej zimowe ubrania. Poszłam na górę i wyjęłam letnie rzeczy, ale nie mogłam tak zwyczajnie odejść, nie wkładając czegoś na ich miejsce. Nie mogłam zostawić jej szafy tak... pustej, tak...

Głos uwiązł jej w gardle, a oddech przyspieszył. Oczy miała szeroko otwarte i szkliste od łez, dłonie zaciśnięte na trójkącie sera. Ścisnęła go tak mocno, że gładka biała masa wypłynęła spomiędzy palców.

- Już dobrze. - Postąpiłam w jej stronę, wyciągając ramiona, by ją przytulić. - Ciężko ci, wiem. Nie chciałam...

- Kalafior.

Przystanąłam w pół kroku. Mama podniosła wzrok na tatę.

- Na włosy. Do lampionu z wydrążonej dyni. - Trzymał kalafior obok swojej głowy, żebyśmy mogły zobaczyć podobieństwo. - Co wy na to?

- Tato, to nie jest odpowiedni moment...

- Doskonale!

Chwyciłam się blatu, żeby nie rzucić się na mamę. Ona z kolei, wciąż ściskając brie, odwróciła się ode mnie i dołączyła do taty, który znajdował się teraz przy zlewie.

- Naszym zdaniem są doskonale. - Spojrzała na niego z promiennym uśmiechem. - Wspaniale to wymyśliłeś.

Ucałował ją w koniuszek nosa, potem odłożył kalafior do zlewu i delikatnie wyjął z jej ręki ser.

Patrzyłam, jak podkłada dłonie mamy pod kran i odkręca wodę. Powiedział coś cicho, a ona się roześmiała. Mój wzrok powędrował od nich do kubków po cydrze stojących na blacie, potem do dyń na stole, wreszcie do Paige trzymającej w dłoni nóż do mięsa.

I zdałam sobie sprawę, że tak było zawsze. Wakacje, wieczory gier i zabaw, rodzinne kolacje. Chodziło o to, żeby odsunąć nas od prawdziwych problemów. Żeby odwrócić naszą uwagę od tego, że mama pracowała po sto godzin tygodniowo, a tato w przerwach między wykładami i czytaniem książek innych osób poświęcał się pisaniu. Jak najmniej czasu miało pozostać na kłamstwa.

Przez wszystkie te lata tylko udawali. Chciałam, by wreszcie skończyła się ta gra, a mama i tato najwyraźniej nie.

- Wychodzę - oznajmiłam, wycofując się z kuchni. - Mam przy sobie komórkę,

gdybyście jednak zdecydowali się porozmawiać.

W drodze do kawiarni „Bostońska Świeżo Palona” doszłam do wniosku, że potrzebuję konfrontacji z ojcem. To on spowodował tę uciążliwą, krępującą sytuację, którą wspólnie z mamą starał się ignorować. Gdyby, rzecz jasna, nie wdał się w romans, nie byłoby mnie na świecie, ale biorąc pod uwagę wszystko, co się wydarzyło, uznałam, że taki stan rzeczy stanowiłby sprawiedliwy kompromis. Gdybym nie przyszła na świat, mama i tato mogliby być normalnym, szczęśliwym małżeństwem. Justine nadal by żyła. A gdyby wciąż każdej jesieni wydrążali dynie, robiliby to dlatego, że szczerze pragnęliby spędzać razem czas, a nie ponieważ czuliby, że muszą stwarzać pozory rodzinnego szczęścia.

Chciałam, by cała prawda wyszła na jaw. Nic więcej. Chciałam mu powiedzieć, że wiem, i skłonić go, żeby wreszcie zaczął mówić o tym, co ukrywał przez siedemnaście lat.

Ale najpierw Simon.

Siedział w kawiarni przy narożnym stoliku, plecami do wejścia. Przyspieszyłam kroku, doznawszy ulgi, że w środku jest niewiele osób. Kiedy się zbliżyłam, otoczyłam go ramionami i przytuliłam policzek do jego policzka.

- Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszę, że cię widzę - oznajmiłam.

Gdy siadałam do stolika, uśmiechał się, ale chwilę później na jego twarzy pojawił się niepokój.

- Wszystko w porządku? - zapytał, wędrując wzrokiem od mojego wilgotnego czoła do jeszcze wilgotniejszego podbródka.

Żeby opanować nagle skrępowanie, sięgnęłam po serwetkę i otarłam nią twarz.

- Teraz już lepiej. - Simon zmarszczył brwi jeszcze bardziej, a ja dodałam: - Kłopoty rodzinne. Mama próbuje wskrzesić przeszłość, wracając do tradycyjnych przepisów na jesienne przetwory, a tato jej na to pozwala, zamiast pomóc jej zostawić to za sobą. No wiesz, typowa sobota w domu rodziny Sandsów.

Położył dłoń na mojej drugiej wolnej ręce spoczywającej na stoliku. Jego palce owinięły się wokół moich, a kciuk głaskał wierzch mojej dłoni.

- Zgrzałaś się.

Te słowa nie oddawały w pełni stanu faktycznego. Czułam się tak, jakby moje ciało przetoczono po łożu rozżarzonych węgli.

- Tak bardzo się cieszyłam, że cię zobaczę, że biegłam praktycznie przez całą drogę z

domu do kawiarni.

Kącki jego ust uniosły się nieznacznie, po czym opadły.

- Paige mówiła mi, co się niedawno wydarzyło.

- Kiedy?

- Kiedy zemdląłeś. - Spojrzał mi prosto w oczy. - Domyślałem się, że mi nie mówiłeś, bo nie chciałeś mnie martwić. Zamierzałem cię o to zapytać podczas weekendowej wizyty, ale odwołałeś przyjazd, a ja zaniepokoiłem się jeszcze bardziej, niż gdybyś powiedziała mi wprost. Stąd te niezapowiedziane odwiedziny.

- Przepraszam. - Opuściłam wzrok na nasze dłonie. - To nic takiego. Ocknęłam się, gdy tylko upadłam na podłogę.

- Ludzie zwykle nie mdleją bez powodu.

Jak przez mgłę usłyszałam brzęk dzwonka przy kawiarnianych drzwiach.

- Byłam po prostu trochę zmęczona - wyjaśniłam, ciągle skupiona na naszych dłoniach. - W szkole miałam mnóstwo pracy i całe to zamieszanie z podaniami na studia to...

- Bułka z masłem - dokończył znajomy męski głos.

- Parker? - Zdumiona, widząc go tuż przy naszym stoliku, opadłam na oparcie i odsunęłam dłoń od dłoni Simona. - Co ty tu robisz?

- Przyszedłem na poranną kawę przed spotkaniem. - Kiwnął w stronę Simona. - Cześć. Nazywam się Parker King. Kolega Vanessy ze szkoły.

- Simon Carmichael. Chłopak Vanessy.

Parker nawet nie mrugnął, kiedy zwrócił się do mnie ze słowami:

- Matt wspominał, że go po prostu rozwaliłaś podczas rozmowy.

Nowe kropelki potu wystąpiły mi na czoło pod ogniem pytającego spojrzenia Simona.

- Skąd znasz Matta? - zapytałam.

- Kim jest Matt? - Simon skierował to pytanie do mnie. - O jaką rozmowę chodzi?

- Matt Harrison - odpowiedział Parker. - Absolwent Bates College, rocznik 2000. Spotyka się ze wszystkimi kandydatami z Hawthorne. Mój ojciec jest dość mocno zaangażowany we wszystkie wydarzenia związane z tą uczelnią. To od niego dowiedziałem się o spotkaniu Vanessy.

- Składasz papiery do Bates? - Simon zapytał tak cicho, jakby chciał, żeby Parker nas nie usłyszał.

Zaczęłam potrząsać głową, ale zamarłam, gdy na ramieniu poczułam rękę Parkera.

- Samo podanie to nieistotny szczegół - oznajmił. - Przynajmniej dla garstki szczęśliwców, w tym dla naszej ślicznej Vanessy. Podobno Matt mówił, że jest pod

ogromnym wrażeniem bystrości i urody kandydatki.

- Dobra - powiedział Simon, a oczy utkwił w moim ramieniu - po pierwsze to nie jest nasza Vanessa. A po drugie...

- Przepraszam na chwilę. - Poderwałam się i odsunęłam od stolika tak szybko, że nogi krzesła zapisały na podłodze. - Przepraszam. Zaraz wracam.

Wiedziałam, że obaj patrzą, jak się oddalam, ale nie obróciłam się za siebie. Czułam pulsowanie w skroniach i suchość w gardle. Moje nogi poruszały się z takim oporem, jakbym brnęła przez morze zastygającej galaretki owocowej. Zdołałam dotrzeć do baru, nie upadając na podłogę, co byłoby dla Simona wystarczającym dowodem, że coś jest naprawdę nie w porządku.

- Poproszę o wodę - niemal wyszeptałam. - I sól.

Chłopak z obsługi zawahał się, najwyraźniej zaskoczony moją drugą prośbą, ale odstawił szklankę, po czym zniknął w kuchni. Obejrzałam się za siebie i zobaczyłam, że Parker odszedł od naszego stolika i właśnie zagadywał grupkę nastolatek siedzącą obok, a Simon w zamyśleniu bawił się saszetkami z cukrem.

Obróciłam się w stronę lady, gdy chłopak z obsługi wyłonił się z kuchni z dwiema szklankami: jedną wysoką, drugą małą, wielkości kieliszka do wódki.

- Masz szczęście - oznajmił. - Willa powiedziała, że wie dokładnie, czego ci trzeba.

- Willa? - wychrypiałam.

- Twoja przyjaciółka. Moja szefowa. - Postawił obie szklanki na ladzie przede mną. - To zielone to, zdaje się, trawa pszeniczna.

Ruszył do klientów przy drugim końcu lady, zanim zdążyłam o cokolwiek zapytać. Co nie znaczy, że byłabym w stanie to zrobić, nawet gdyby nie odszedł. Miałam wrażenie, że w moim ciele, od podbródka w dół, cały płyn zastąpił piasek. Nie mogłam mówić.

Opróżniłam szklankę ze słoną wodą w trzech łykach. Oczy zaszyły mi łzami, kiedy zimny płyn spłynął przez gardło aż do żołądka. Natychmiast czując, jak wzbiera we mnie siła, sięgnęłam po kieliszek. Nie miałam pojęcia, kim jest Willa, ale ona najwidoczniej mnie знаła - a przynajmniej coś o mnie wiedziała. Gdyby zamierzała mnie skrzywdzić, nie dodałaby z własnej inicjatywy soli do mrożonej herbaty kilka dni wcześniej.

Uniosłam więc kieliszek, przechyliłam głowę i przełknęłam zielony płyn. Smak był tak nieoczekiwany, tak odmienny od świeżego, łagodnego smaku, jaki zgodnie z moim wyobrażeniem miałyby trawa pszeniczna, że nieomal wszystko wyplułam. Ale wtedy zdałam sobie sprawę, co to takiego.

Morskie glony.

Próbowałam wodorostów tylko raz w życiu, gdy Paige uparła się, żebym skosztowała słynnego dania Betty pod nazwą „Czarownica z morskich głębin”. Biorąc paskudne zielone strąki za szpinak, przełknęłam wielki kęs bez wahania i tak mocno zakrztusiłam się tą gorzką rośliną, że Louis, szef kuchni, zaczął okładać mnie po plecach kuchenną łąpatką. Ten zielony płyn smakował dokładnie tak jak tamte glony, z tym że był intensywniejszy i bardziej słony.

Skąd Willa o tym wiedziała? Czyżby była jedną z nich

- jedną z nas? Czy może było to coś w rodzaju przynęty, która miała uspić moją czujność?

Serce zabiło mi szybciej, a dłonie zadrżały. Z jednej strony korciło mnie, żeby przeskoczyć przez ladę i wparować do kuchni, z drugiej - żeby prysnąć z kawiarni.

- Willa jest na zapleczu? - zapytałam chłopaka z obsługi.

- Mogę z nią pogadać?

- Już wyszła - odparł, wyciągając miotłę z wąskiej szafki.

- Będzie jutro?

Zamiatając, skinął głową na stojący na ladzie prawie pusty dzbanek na napiwki. Widniał na nim napis: „Datki dla biednych studentów”.

- To powinno załatwić sprawę.

Opuściłam wzrok na dłoń spoczywającą na mojej ręce i na dwa pulchne palce trzymające pięćdziesięciodolarowy banknot.

- Dobre napiwki dają dobre wyniki - mruknął mężczyzna siedzący obok na stołku, lekko klepiąc mnie w ramię. Był starszy, mniej więcej po czterdziestce, a jego czoło lśniło pod daszkiem poplamionej czapki bostońskiej drużyny baseballowej Red Sox. Kiedy nasze spojrzenia spotkały się, mrugnął.

Poczułam ucisk w żołądku. Zerknęłam na chłopaka z obsługi, który wzruszył ramionami, jakby było mu wszystko jedno, po czym się wycofał.

- Dzięki... ale po prostu wstąpię tu i sama się przekonam. Niezależnie od powodu, dla którego mi to podano, słona woda i zastrzyk morskich glonów musiały działać szybko, bo wracając do Simona, całkowicie odzyskałam jasność myśli. Kiedy usiadłam naprzeciw niego i zobaczyłam malującą się na jego twarzy mieszaninę uczuć - niepokoju, zazdrości, miłości - zaczęłam mówić, żeby obawa przed jego reakcją nie zdążyła mnie powstrzymać.

- Widziałam ją.

- Ją? - Uniósł brwi. - To znaczy?

- Zarę.

Podbródek opadł mu na pierś.

- Vanesso...

- Wiem, myślisz, że to niemożliwe - pochyliłam się ku niemu - jesteś przekonany, że one nie żyją, że już nigdy nie będziemy musieli się tym martwić. Ale Simon... Widziałam ją. Tutaj. W tej kawiarni. To dlatego zemdlałam. Bo w jednej chwili jej tu nie było, a w następnej nagle się pojawiła.

Sięgnęłam po jego dłoń. Nie odsunął jej, ale gdy musnęłam skórę palcami, jego palce pozostały nieruchome.

- To nie był pierwszy raz, kiedy ją widziałam. Zdarzył się wypadek, a w wiadomościach pokazywanych w telewizji, przysięgam, widziałam, jak rozmawiała z funkcjonariuszem policji. I jeszcze ta łódka w porcie i wiosło w jej dawnej sypialni, i...

Zamilkłam, kiedy wysunął dłoń spod mojej... Sięgnął do skórzanej torby, której wcześniej nie zauważyłam, i wyciągnął złożoną gazetę. Rozłożył ją na stoliku, a ja natychmiast rozpoznałam charakterystyczną literę W w kształcie kotwicy.

-, „Winter Harbor Herald”? - zapytałam, czując łomotanie serca. Od wielu dni nie zaglądałam na stronę internetową tygodnika, bo bałam się tego, czego mogłabym się dowiedzieć.

Ta gazeta stała się czymś w rodzaju muru między nami. Nie wykonał ani jednego ruchu, żeby go przekroczyć, ja też nie zrobiłam nic. Nie mogłabym, nawet gdybym próbowała; byłam równie zmrózona jak przykryte ciała na czarnobiałych zdjęciach na okładce.

- Z artykułu wynika - zaczął Simon, a jego głos wydawał się zmęczony i pełen rezygnacji - że dwaj nurkowie amatorzy znaleźli szczelinę w lodzie nieopodal urwiska Chione i dopłynęli nią do „podwodnej zagrody”. To słowa reportera, nie moje.

- Zagrody? Jakiej zagrody? - zapytałam, a przynajmniej wydawało mi się, że to zrobiłam. Moje myśli znów zaczynały wirować i nie byłam pewna, czy pytanie przedarło się przez cyklon w głowie i wydostało przez usta.

- Co najmniej osiem martwych kobiet zostało uwięzionych pod lodem, a może i więcej. Tlen w butlach nurków zaczął się kończyć, więc musieli przerwać swoją wyprawę.

- A one... te kobiety... były...? Czy to były...?

- Nie wiem. Ciała nie zostały zidentyfikowane. Przynajmniej nie publicznie.

Zamknęłam oczy, próbując przyswoić nowe informacje. Kiedy znów je otworzyłam, gazeta zniknęła. W jej miejscu spoczywały dłonie Simona, wewnętrzną stroną do góry. Ułożyłam na nich swoje dłonie, a jego palce tym razem automatycznie zacisnęły się wokół moich.

- Kocham cię.

Te słowa były niczym sztylety wbijane w moją pierś.

- Simon...

- Proszę. - Kącik jego ust uniósł się w przelotnym smutnym uśmiechu. - Tak długo czekałem, żeby powiedzieć to znowu. Nie musisz nic odpowiadać... ale pozwól, by te słowa trwały między nami choć przez chwilę. Nie odsuwaj ich od razu od siebie, dobrze?

Wcale nie chciałam ich odsuwać. Chciałam powiedzieć to samo, bo ja też go kochałam, i to bardziej, niż przypuszczałam, że kiedykolwiek kogoś pokocham. Pragnęłam, żebyśmy wyjechali gdzieś, gdzie nikt nie mógłby nas znaleźć, rozmawiali i śmiali się całymi dniami, każdego dnia, do końca życia. Ale nie mogłam. Nie mogliśmy. To, co czuł, co wydawało mu się, że czuje... nie było prawdziwe. A mnie zależało na nim za bardzo, żeby pozwolić mu marnować życie w ten sposób.

- Jest coś jeszcze, o czym chciałem z tobą porozmawiać w ten weekend - oznajmił.

Uniosłam wzrok znad naszych złączonych w uścisku dłoni. Bez okularów jego brązowe oczy były ciemniejsze, miały więcej ciepła...

- Na uniwersytecie bostońskim mają świetny wydział naukowy.

Nie wiedziałam, czego się spodziewać, ale z pewnością nie tego, co za chwilę usłyszałam.

- Tak, no i...?

- Wykładowcy są świetni, a prowadzone przez nich badania imponujące.

To zabrzmiało jak coś, co mógłby powiedzieć podczas jednej z naszych pozorowanych wycieczek poznawczych po kampusie.

- Chcesz, żebym składała papiery na uniwersytet bostoński?

- Tylko jeśli ty tego chcesz. - Zamilkł na chwilę, po czym dodał: - Ja już to zrobiłem.

Zacisnął palce na moich dłoniach i zwolnił uścisk. Wyciągnął z torby czerwony segregator i położył go w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą leżał egzemplarz „Winter Harbor Herald”. Przerzucał broszury i prospekty, aż dotarł do białej kartki.

165

- To wniosek o przeniesienie. - Przyglądał mi się uważnie.

- Mój wniosek o przeniesienie.

Na czoło znów wystąpiły mi kropelki potu, które spływając po twarzy, zamieniły się w cieniutkie słone strużki. Skóra pod ubraniem rozgrzała się i zwilgotniała. Gardło zaczęło się zaciskać.

- Przecież ty kochasz Bates. - Próbowałam wymówić to zdecydowanym tonem, ale



tylko wyszeptalam.

- Ciebie kocham - poprawił. Pochylił się i sięgnął po moje dłonie, które poruszały się bezwiednie, powoli odsuwając się od jego rąk. - Nigdy nie byłem równie szczęśliwy jak wtedy, gdy znajdowałaś się przy mnie. Myślę o tobie bez przerwy. Kiedy cię nie ma, tęsknię tak bardzo, że nie mogę zebrać myśli. W zeszłym tygodniu oblałem nawet ważny test, bo całkiem o nim zapomniałem... zwyczajnie wypadło mi z głowy. To nie przytrafiło mi się nigdy wcześniej.

- A zatem chcesz się przenieść, żeby podnieść swoją średnią?

- próbowałam zażartować. Tyle tylko mogłam zrobić.

- Chcę się przenieść, żebyśmy mogli widywać się po zajęciach. Chcę odprowadzać cię do domu po szkole. I spotykać się z tobą w weekendy bez konieczności przemierzania setek kilometrów przez któreś z nas. Chcę być przy tobie, Vanesso, tak często, jak się da, tak długo, jak się da. Po tym wszystkim, co wydarzyło się zeszłego lata... po prostu nie chcę stracić ani jednej sekundy, jeżeli mogę temu zaradzić. A mogę. Przenosząc się do Bostonu.

W mojej głowie rozpętała się burza „gdybania”. Gdybym tylko była normalna. Gdyby tylko jego uczucia były autentyczne. Gdybyśmy tylko mogli zaplanować przyszłość jak każda inna młoda, szczęśliwie zakochana para.

Gdyby, gdyby, gdyby.

- Wiem, że to za wiele na raz - ciągnął dalej, kiedy nie odezwałam się ani słowem - i pewnie wydaje ci się tak niespodziewane. Przepraszam cię za to. Wiesz, że nie zrobię nic, czego nie będziesz sobie życzyła.

Pokiwałam głową, mrugając, by powstrzymać łzy.

- I nie musisz udzielać ostatecznej odpowiedzi teraz... ale może dałabyś mi jakiś znak? Jeden mały, niewinny znak, dzięki któremu miałbym jakieś wyobrażenie o tym, co myślisz?

Gorące łzy potoczyły się po moich policzkach. Otarłam je dłonią, ale to jedynie sprawiło, że popłynęły szybciej. Nie mogąc znieść jego pełnego nadziei spojrzenia, odwróciłam głowę do okna. Trzy pary oczu przepalały moje ubranie; nie musiałam się oglądać, by wiedzieć, że oprócz Simona obserwowali mnie i czekali na moją odpowiedź fan Red Soksów przy barze i Parker King.

Skupiając uwagę na poszarpanych pomarańczowych liściach opadających z drzew na chodnik, wzięłam głęboki oddech i odpowiedziałam na jego pytanie.

- Myślę, że powinniśmy się rozstać.

- „Emily Dickinson jest nie od macochy”.

Podniosłam wzrok znad podręcznika do historii. Tato siedział przy stole ogrodowym w drugim końcu małego podwórka na tyłach domu i zerkał na ekran laptopa.

- Jak myślisz, co to może znaczyć? - zapytał.

- Czy ten, kto to napisał, jest stąd?

- Uczę w collegeu przygotowawczym Newtona - przypomniał.

- W takim razie „nie od macochy” znaczy, że jest niekiepska.

„Westchnął.

- Niekiepska? Jak można mówić coś takiego o jednej z najwspanialszych amerykańskich poetek?

- Jak brzmi następne zdanie?

Opuścił wzrok na ekran.

- „Pisze z totalną wczutą”, wczutą. Cokolwiek to znaczy.

- Z wczutą, czyli z sercem - wyjaśniłam. - „Nie od macochy” w pierwszym zdaniu znaczy, że jest świetna. Ten, kto to pisał, jest fanem Emily Dickinson.

Opadł na oparcie krzesła, otwierając szeroko oczy, jakby wyrazy na ekranie właśnie uformowały się w małą armię i przypuściły atak na jego akademicki zasób słów.

- W takim razie dlaczego nie napisze tego wprost?

Ukryłam uśmiezek za podręcznikiem. Dołączyłam do taty na podwórzu, bo mama znów wzięła się za wypieki i tak rozgrzała piekarnik, że nie dało się odrabiać lekcji w domu, ale nie staliśmy się przez to kumplami do wspólnej nauki.

- Idę po herbatę. - Wstał i przeciągnął się. - Przynieść ci coś? Może sweter?

To pytanie było jak najbardziej na miejscu. Na dworze temperatura nie mogła wynosić więcej niż dziesięć stopni i podczas gdy on siedział w grubym wełnianym swetrze i spodniach z grubego sztruksu, ja miałam na sobie cienki podkoszulek i dzinsy z nogawkami podwiniętymi aż do kolan.

Już zamierzałam podziękować, ale wtedy usłyszałam kliknięcie.

To był jego laptop. Szedł tylko po herbatę, więc założyłam, że potrwa to nie dłużej niż pięć minut, łącznie z zagotowaniem wody... a tato zamykał komputer.

- Byłoby super, gdybyś przyniósł mój niebieski polar.

- Opuściłam podręcznik i posłałam mu szeroki uśmiech.

- Znajdziesz go w szafie w moim... w pokoju Paige.

Rozpromienił się, jakby właśnie przyznano mu stały etat na Harvardzie. Fakt, że poprosiłam go o cokolwiek, bardzo go uszczęśliwił, a mnie niemal ogarnęło poczucie winy - zwłaszcza że mój niebieski polar wcale nie wisiał w szafie w pokoju Paige, tylko leżał w koszu na brudną bieliznę i czekał na wypranie, a wiedziałam, iż tato nie będzie chciał wrócić z pustymi rękami.

Ale czym było jedno kłamstwo więcej na tym etapie?

Patrzyłam, jak mozolnie wspina się po stopniach i otwiera drzwi. Kilka sekund później zapaliło się światło na schodach z tyłu domu. Kiedy przechodził obok okna, udałam, że czytam, i odczekałam kolejną minutę, żeby mógł dotrzeć na piętro i ruszyć w głąb korytarza.

Wtedy zesłam z hamaka i rzuciłam się w stronę stolika.

Jego laptop był leciwy i zamykanie systemu trochę trwało, więc kiedy podniosłam klawisz, od razu wyświetlił się pulpit, bez okienka wzywającego do podania hasła. Najechałam kursorem na przycisk Start i obejrzałam się za siebie, żeby sprawdzić, czy mama nie obserwuje mnie przez okno w kuchni. Gmerając przy piekarniku, stała odwrócona do mnie plecami, więc spojrzałam znów na ekran laptopa i przeszłam do menu „Moje bieżące dokumenty”.

Lista była krótka. Wyświetlił się tylko jeden dokument zatytułowany W1011. Kliknęłam szybko w ikonę, obawiając się, by nie stracić zimnej krwi.

Biorąc pod uwagę wysiłki taty, by ukryć wszystko, nad czym pracował, nie spodziewałam się, że W1011 będzie wypracowaniem studenta na temat Emily Dickinson. Ale nigdy bym nie odgadła, czym naprawdę okaże się ten dokument.

Był to dziennik. Dwadzieścia stron oznaczonych datami wpisów, wiele tygodni wstecz. Niektóre wpisy składały się z zaledwie kilku zdań, inne miały po kilka akapitów.

A wszystkie były o mnie.

Raz jeszcze zerknęłam na okna. Mama przeszukiwała kuchenne szafki, a światło na schodach nadal się świeciło, co znaczyło, że tato wciąż jest na górze.

Przebiegłam wzrokiem po ostatnim wpisie:

Obawiam się, że moje stosunki z Vanessą ciągle jeszcze nie wróciły do normy. Wciąż staram się, by miała dużo swobody, i usiłuję dać jej do zrozumienia, że jestem dostępny, gdyby mnie potrzebowała, ale w odpowiedzi otrzymuję tylko szorstkie rozmowy i od czasu do czasu błdy uśmiech. A w jej twarzy, która niegdyś mogłaby rozświetlić cały Boston w

samym środku awarii zasilania, widzę rozczarowanie. Smutek. Urazę. Wiem, że cierpi, bo jakże miałyby nie cierpieć? W krótkim czasie spędzonym razem ona i Justine stały się sobie bliższe niż siostry mające za sobą całe dziesięciolecia wspólnych doświadczeń i wspomnień.

Mój wzrok zatrzymał się na ostatnim zdaniu. On niczego nie rozumiał. Gdybyśmy z Justine były sobie tak bliskie, ona ciągle by żyła.

Gdzieś w górze usłyszałam głos taty wołającego mamę. Po chwili rozległy się lekkie, stłumione kroki stąpające po schodach na górę. Uznałam, że zostało mi parę minut, zanim zarzucą poszukiwania polaru, i wróciłam do czytania.

Pragnę tylko, żeby dała mi szansę. Żeby zaczęła rozmawiać ze mną tak jak dawniej. Gdyby tylko zechciała, jestem pewien, że to bardzo poprawiłoby nasze stosunki. Niestety, nie mogę poruszyć tego tematu z Jacqueline. Ona ledwie sobie radzi, topiąc smutek w nic nieznaczących pracach domowych i obowiązkach, a ja boję się, by nie pogorszyć tej i tak już kiepskiej sytuacji. Bóg jeden wie, jak by zareagowała, gdyby zdała sobie sprawę, że tracimy naszą drugą, żyjącą córkę.

Jestem zdesperowanym ojcem, któremu zaczyna brakować pomysłów. Jeśli masz jakąś radę, proszę, powiedz, a raczej napisz.

To co przeczytałam nasunęło mi niezliczoną ilość pytań, jak choćby, dlaczego tato prowadził ten dziennik, pamiętnik czy cokolwiek to było. Czy pisał do prawdziwej osoby, co można było wywnioskować z prośby o radę, i opowiadał o naszych, moich, prywatnych problemach komuś, kto nie miał pojęcia, kim jestem ani co naprawdę się dzieje? Wyglądało na to, że mama nie wiedziała, czym ojciec się zajmuje, kiedy twierdzi, że ocenia wypracowania albo pracuje nad swoją książką, więc dlaczego miałyby kłamać? Jeśli był to po prostu jego sposób na poukładanie myśli, co wydawało się jedynym logicznym wyjaśnieniem, jakie przychodziło mi na myśl, po co utrzymywałyby to w takiej tajemnicy? Po co uciekałby się do takich środków, żeby ukrywać coś, co powinien być w stanie wypowiedzieć na głos, gdyby naprawdę zależało mu na naszej rodzinie?

I czy naprawdę mógł nie wiedzieć, dlaczego patrzę na niego z rozczarowaniem? Smutkiem? Urazą?

Odpowiedź musiała poczekać. Szybkie spojrzenie za siebie pozwoliło mi się przekonać, że światło na schodach zgasło, za to paliło się w pralni.

- No dalej - wyszeptałam, klikając ikonę przeglądarki internetowej. Niebieskie Internet Explorera wyświetliło się leniwie, jakby program budził się po długiej drzemce. - No dalej, no budź się.

Wreszcie na ekranie pojawiło się nowe okno. Automatycznie kliknęłam w pasek adresu i zaczęłam wpisywać adres witryny szkoły im. Hawthorne'a. Miałam około trzydziestu sekund na zalogowanie się do szkolnego serwera, wejście na pocztę, wysłanie dziennika taty na swój adres i wymazanie historii w przeglądarce. To byłoby ciężkie zadanie na zupełnie nowym, i - superszybkim laptopie, a na tym złomie było praktycznie niemożliwe.

Miałam zamiar zaryzykować... ale wtedy otworzyła się strona startowa przeglądarki. trzeba podać nazwę użytkownika i hasło, ale skrzynka z odebranymi wiadomościami, jakby tato zapomniał się wylogować albo nie zadał sobie trudu, żeby to zrobić, bo planował za chwilę wrócić.

Wpatrywałam się w ekran. Nigdy nie mówił, że ma prywatny adres emailowy, a przecież to mogłoby okazać się ważną informacją na wypadek awarii serwera collegeu Newtona.

Ale może nie powinnam czuć się urażona. Przecież to nie było tak, że wiedzieli o tym wszyscy poza mną. Długa lista odebranych wiadomości wskazywała, że wiedziała o tym tylko jedna osoba. Jedna osoba, która najwyraźniej pisała do niego każdego dnia. Która napisała do niego niecałe dwadzieścia minut temu.

Osoba o inicjałach W.B.D.

- Co ty przede mną ukrywasz?

Zatrzasnęłam ekran laptopa.

- Paige! - Chwyciłam się za serce, a Paige obeszła stół i usiadła naprzeciw mnie. - Nie strasz mnie w ten sposób.

- Przepraszam. Nie zrobię tego więcej pod warunkiem, że mi powiesz, co się dzieje.

Ja szpieguję. Tato wyjawia rodzinne sekrety obcym. Mama nie ma o niczym pojęcia. Aha, a tak przy okazji... ona wcale nie jest moją prawdziwą matką, a ty i ja jesteśmy bardziej jak siostry, niż mogłybyśmy przypuszczać.

- Co masz na myśli? - Odepchnęłam od siebie laptop.

Podstawiła mi pod nos telefon z otwartą klapką. Zatrzymałam wzrok na znajomym

numery, po czym odczytałam resztę wiadomości na małym ekranie.

„V. nie odpowiada na telefony ani SMSy. Czy z nią wszystko OK?”

- Zostawił też trzy wiadomości na poczcie głosowej, pytając o to samo. Zatrzasnęła kławkę telefonu i sięgnęła do kieszeni dzinsów. - Nie chciałam odpowiadać, bez porozumienia z tobą, więc poszłam do twojego pokoju, a tam usłyszałam dziwne brzęczenie. Zajęło mi chwilę, zanim odgadłam, skąd ono dobiega, ale w końcu mi się udało: z tenisówki na samym dnie walizki.

Podsunęła mi pod nos moją komórkę. Czerwony punkcik informujący o nowych wiadomościach migał jak policyjny radar.

- Od soboty Simon dzwonił do ciebie dwadzieścia cztery razy i wysłał trzydzieści jeden SMSów. Ale skąd ty mogłaś o tym wiedzieć, skoro jakimś cudem zapodziałaś telefon w starym bucie. - Kiedy zrozumiała, że nie zamierzam wziąć z jej rąk telefonu, odłożyła go na stół. - Co się stało? Pokłóciliście się?

- Tak jakby. - Spojrzałam na ręce, wyobrażając sobie, że Simon trzyma je w swoich ciepłych dłoniach.

- Tak jakby? Co to ma niby znaczyć? To tak czy nie?

Zamknęłam oczy i wzięłam głęboki oddech. Przez ostatnie trzy dni powtarzałam te słowa w myślach niezliczoną ilość razy, przygotowując się na moment, kiedy będę zmuszona wypowiedzieć je na głos... ale niczego mi to nie ułatwiało.

- Rozstaliśmy się.

Paige oniemiała.

- Co takiego?! Dlaczego?

- To po prostu było za trudne. Chodzi o odległość.

- Odległość? - powtórzyła, rozdrażniona. - A co w tym trudnego?

- Jak to? Ludzie bez przerwy rozstają się z tego powodu.

- Niektórzy ludzie, owszem. Ci, którzy w ogóle nie powinni być razem. Ale nie ty i Simon. Nazwij to przeznaczeniem, porozumieniem bratnich dusz, boską interwencją, nazwij to, jak chcesz, ale ty zostałeś stworzona dla niego, a on dla ciebie! Odrobina kilometrów tego nie zmieni.

Nie odpowiedziałam. Bałam się, że jeśli coś powiem, rozkleję się.

- Nie mogę w to uwierzyć - stwierdziła wreszcie Paige, opierając łokcie na stole, a czoło na dłoniach. - Przecież byliście tak wspaniałą parą. Kiedy byłam z Jonathanem... kiedy wspominam te chwile, które spędziliśmy razem... myślę, że to było najbliższe temu, co łączy ciebie i Simona - Zrobiła pauzę. - Co... łączyło ciebie i Simona.

Co nas łączyło. Czas przeszedł. Koniec i kropka.

- Może to tylko przejściowe? - odpowiedziała. - Może to tylko krótki etap, który prędzej czy później minie? Żeby on mógł się skoncentrować na muszkach owocówkach i laboratoryjnych szczurach, żebyś ty mogła się wyluzować w ostatniej klasie szkoły i żeby następnego lata, kiedy oboje wrócicie do Winter Harbor, nastąpiło namiętne pojednanie, które będzie trwać już zawsze.

Czułam ulgę, że światła w ogrodzie świecą za moimi plecami, bo Paige nie mogła zobaczyć, jak w moich oczach wzbierają łzy. Zbierało mi się na płacz każdego ranka i wieczoru, a czasem też popołudnia, zwykle kiedy mijałam szkolne laboratoria naukowe. Łzy ani razu nie popłynęły mi po policzkach, więc tak naprawdę nie płakałam i chyba po raz pierwszy cieszyło mnie to, że moje ciało zagarnia każdą kroplę słonej wody, by funkcjonować.

- To piękna wizja - odparłam cicho. - Ale raczej nic z tego.

Paige pociągnęła nosem i obiema rękami powachlowała szklące się oczy.

- Pojedź ze mną do Winter Harbor w ten weekend.

- Słucham?

- Babcia Betty prosiła, żeby ją odwiedzić. Zamierzam pojechać autobusem do Portland i tam spotkać się z Rileyem, który zawiezie mnie na miejsce. - Zrobiła pauzę. - Jeśli się zdecydujesz, spróbuj zadzwonić do Simona, może się z tobą spotka. A wtedy będziecie mogli pogadać i znaleźć jakieś inne wyjście niż rozstanie.

Pomijając Simona, propozycja wyjazdu poza miasto brzmiała zachęcająco; gdybym miała zostać tu sama na weekend, wiem, że odtwarzałabym w myślach tysiąc razy wszystkie wydarzenia ubiegłego tygodnia.

- Udało się!

Podskoczyłam, słysząc głos taty. Obróciłam się na ławce i zobaczyłam go na werandzie na tyłach domu, trzymającego nad głową mój niebieski polar niczym trofeum.

- To dopiero było wyzwanie - stwierdził, schodząc po schodkach. - Gdybym musiał zmierzyć się z nim w pojedynkę, zmieniłabyś się w sopelek lodu.

Zerknęłam na Paige. Spojrzała na swój telefon.

- Ale twoja matka, ta wszystkowiedząca kobieta, natychmiast odnalazła twój ulubiony niebieski polar zakopany pod stertą ubrań.

Podszedł do stołu ogrodowego i podał mi polar. Spojrzałam na niego, później w górę na dumną, uśmiechniętą twarz taty i w końcu na mamę. Widziałam ją przez okno w kuchni - zmywała naczynia, jakby wszystko było w porządku. Jakby to był zwykły wieczór, jak każdy

inny. Jakby jej mąż, wdając się w romans przed siedemnastu laty, nie zmarnował życia rodzinie i nie opowiadał o niej zupełnie obcym ludziom.

- Szczerze mówiąc - spojrzałam na Paige - myślę, że wycieczka do Winter Harbor doskonale mi zrobi.

Następnego ranka wybrałyśmy się do szkoły wcześniej niż zwykle. Paige chciała zapytać panią Mulligan o nowy program zarządzania restauracją, o którym poprzedniego wieczoru przeczytała w internecie, a ja chciałam przejrzeć stronę tygodnika „Winter Harbor Herald” w zaciszu prawie pustej biblioteki.

Gdy tylko wkroczyłyśmy do holu głównego, stało się jasne, że tego dnia nie jesteśmy jedynymi rannymi ptaszkami.

- Coś się kroi - stwierdziła Paige, kiedy dwoje nauczycieli minęło nas, jakbyśmy nie istniały. Szli szybkim krokiem, blisko siebie, rozmawiając przyciszonymi głosami. - Czy w Hawthorne zdarzają się czasem niezapowiedziane całodzienne egzaminy dla całej szkoły?

- Nigdy. - Jednak miała rację. Nawet jeśli grono pedagogiczne niczego nie knuło, coś wisiało w powietrzu. W ciągu zaledwie kilku sekund minęło nas bardzo energicznie z dwunastu nauczycieli i żaden nie przystanął, żeby zapytać, co robimy w szkole o tak wczesnej porze. Wszyscy spieszyli w tym samym kierunku.

- Spróbuję złapać panią Mulligan, zanim wydział poradnictwa się ewakuuje - oznajmiła Paige. - Gdyby rzeczywiście stało się coś grubszego, spotkamy się przed główną bramą, dobrze?

Skręciła w lewo, ja odbiłam na prawo, ledwie unikając czteroosobowego karambolu, kiedy trójka nauczycieli historii wypadła z klasy i niespodziewanie włączyła się do ruchu na korytarzu. Próbowałam wyłowić coś spośród szeptów, ale zbyt wiele osób mówiło naraz i za szybko się poruszało. Udało mi się dosłyszeć zlepek słów: „tak nagle”, „smutne”, „strata”, ale szepczący wkrótce znaleźli się ze dwa metry przede mną, poza zasięgiem mojego słuchu.

Kiedy drzwi do biblioteki otworzyły się, wślizgnęłam się do środka, dostrzegając, że przy końcu korytarza ruch zwalnia, a tłum powoli wlewa się do auli.

Znalazłam stanowisko komputerowe ukryte za wysokim regałem wypełnionym zakurzonymi encyklopediami i zalogowałam się na swoje konto.

„UWAGA!!!”

Pierwsza wiadomość w skrzynce powitała mnie niczym blokada drogowa. Temat zapisano wielkimi literami. Czerwoną, pogrubioną czcionką. Szkoła Hawthornea szczyła się nienaganną etykietą, a ten wyraz był pogwałceniem wszelkich jej zasad. W normalnej sytuacji pomyślałabym pewnie, że to spam, i usunęła tę wiadomość, ale została ona wysłana z adresu



dyrektora nie dalej jak dziesięć minut temu. W ciągu lat, które spędziłam w tej szkole, tylko raz zdarzyło się, by z gabinetu dyrektora, nie zaś jego zastępcy, przyszła ważna wiadomość skierowana do ogółu. Tamta wiadomość, którą usunęłam bez czytania, gdy tylko zdałam sobie sprawę, czego dotyczy, informowała o śmierci Justine.

Wstrzymując oddech, kliknęłam na tytuł tej wiadomości.

Do wszystkich uczniów i pracowników szkoły im. Hawthorne'a:

Z wielkim żalem pragnę powiadomić o śmierci drogiego przyjaciela i ucznia drugiej klasy liceum im. Hawthorne'a Colina Milтона Coopera.

Ci z Was, którzy mieli okazję poznać Colina, wiedzą, że był jednym z najinteligentniejszych, najsympatyczniejszych uczniów, którzy zaszczytili nasze mury swoją obecnością. Tym wszystkim, którzy go nie znali, muszę z przykrością powiedzieć, że wiele stracili.

Oczekuję, że jako członkowie społeczności wiekowej instytucji edukacyjnej światowej rangi będziecie stosownie postę - pować w tym trudnym okresie. W razie ewentualnych pytań zapraszam do mojego gabinetu - jego drzwi stoją zawsze otworem.

Komunikat końcowy: W dzisiejszej cyfrowej erze informacje przekazywane są bardzo szybko i nierzadko błędnie. Dlatego też zwracam się do Was z prośbą o powstrzymanie się od omawiania tego zdarzenia z kimkolwiek spoza środowiska szkolnego. Na wszelkie pytania ze strony mediów będzie odpowiadał pan Harold Lawder, rzecznik prasowy szkoły.

Z wyrazami głębokiego żalu i serdecznymi pozdrowieniami dr Martin O'Hare, dyrektor Colin Cooper od dawna był uczniem Hawthorne. To dlatego cała szkoła wpadła w popłoch. Już śmierć jego samego wystarczyłaby za powód do rozsyłania masowych emaili i zwoływania zebrań personelu, ale śmierć Justine, która nastąpiła tydzień po ukończeniu tej samej szkoły, oznaczała, że zaledwie w ciągu kilku miesięcy liceum straciło aż dwójkę uczniów.

Raz jeszcze odczytałam wiadomość, usiłując przypomnieć sobie Colina. Nie znałam zbyt wielu uczniów z młodszych klas i nie byłam w stanie dopasować twarzy do nazwiska.

Nie zamykając poczty, otworzyłam drugie okno i wpisałam w pasku wyszukiwarki Google hasło „Colin Cooper”. Kiedy w odpowiedzi uzyskałam tysiące wyników, dodałam „Milton” i „liceum przygotowawcze im. Hawthornea”. Właśnie miałam wcisnąć „Enter”, kiedy mój wzrok zatrzymał się na ostatnim wyniku z pierwszej strony.

„Poznaj COLINA MILTONA COOPERA i innych samotnych, wykształconych, zdolnych na portalu ŚMIETANKA TOWARZYSKA. Zrób pierwszy krok ścieżką inteligentnego kojarzenia par!”

Inteligentnego kojarzenia par? Przez internetowy portal randkowy? Ten Colin Milton Cooper nie mógł być tym samym Colinem. Skoro był w drugiej klasie szkoły średniej, mógł mieć najwyżej szesnaście lat, a to wydawało się trochę za mało na korzystanie z internetowych usług matrymonialnych. Zresztą wydawało się też zbyt ryzykowne. Gdyby ktokolwiek ze szkoły dowiedział się o tym, nie daliby mu spokoju. Możliwe, że uczniowie Hawthornea mieli więcej pieniędzy niż ich rówieśnicy, ale nie byli przez to dojrzałsi.

Chcąc wykluczyć tę opcję, kliknęłam w link.

- O nie - westchnęłam.

W części profilu opisującej wykształcenie znajdowała się informacja, że Colin Milton Cooper korzystający z serwisu „Śmietanka Towarzyska” był uczniem liceum Hawthornea. Ale nie to mną wstrząsnęło.

Chodziło o jego zdjęcie. Bo - jak się okazało - należałam do grona szczęśliwców, którzy poznali Colina, jednego z najinteligentniejszych, najsympatyczniejszych uczniów zaszczycających szkolne mury swoją obecnością. Niezbyt blisko, ale wystarczająco, by rozpoznać kręcone brązowe włosy i zielone oczy...

Colin Milton Cooper był tym chłopakiem, z którym minęłam się w drzwiach do łazienki w kawiarni „Bostońska Świeżo Palona”. Tym zapłakany, którego email znalazłam na umywalce.

- Skoczył z mostu.

Poderwałam się na krześle.

- Przepraszam. - Parker, z kubkiem kawy w ręce, oparł się o regał. - Myślałem, że cię to interesuje.

Z bijącym sercem opadłam na oparcie krzesła i sięgnęłam po mysz. - Chyba coś ci się przywidziało.

- Domyślałam się, że odebrałaś polecenie dyrektora, by zachować dyskrecję?

Wylogowałam się z poczty i zamknęłam okno przeglądarki z wynikami.

- To śmieszne, czego się obawiają.

Miałam właśnie zamknąć okno serwisu „Śmietanka Towarzyska”, ale coś w jego tonie mnie powstrzymało.

- To znaczy czego?

Podszedł bliżej i przysiadł na krawędzi biurka.

- Wiesz, co mówią o złej reklamie?

- Że każda reklama jest dobra? Nieważne, co mówią, byleby mówili?

Pokiwał głową.

- A wiesz, jakie jest stanowisko naszej szkoły w tej sprawie?

Nagle zdałam sobie sprawę, że jego oczy są utkwione w moich. Nie potrafiłam myśleć o niczym innym, łącznie z odpowiedzią na jego pytanie.

- Zniszcz albo ciebie zniszczą. Stąd ten masowy email i poranne zebranie dla personelu. Chcą utrzymać historię w tajemnicy, na ile to możliwe, zanim prasa zwęszy skandal.

- A co to za historia? - zapytałam, bardzo chcąc wiedzieć, a jednocześnie nie chcąc.

Skinął na ekran komputera, z którego wciąż spoglądała uśmiechnięta twarz Colina Milтона Coopera.

- Załoga wioślarska Instytutu Technologii w Massachusetts miała trening dzisiaj o świcie. Podobno widziano nieszczęsnego Colina na brzegu rzeki Charles.

Opuściłam wzrok na kolana i bawiąc się rękawem bluzy, wyobraziłam sobie Simona wiosłującego po jeziorze Kantaka.

- Skąd wiadomo, że skoczył? - zapytałam. - Czy ktoś widział, jak to się stało? Może spadł albo...

- Zostawił list. Na moście Longfellowa. Przywiązany do białego balonika obciążonego szklanym przyciskiem do papieru.

Po raz tysięczny w tym tygodniu oczy zaszczyły mi łzami.

- Najwyraźniej pozwolił jakiejś dziewczynie zawrócić sobie w głowie. - Opadł na krzesło przy biurku obok mnie i skrzyżował ręce za głową. - One potrafią takie rzeczy.

- Skąd o tym wszystkim wiesz?

- Od ojca. Ma znajomości. A ja mam swoje sposoby. - Wyciągnął z kieszeni marynarki telefon. - Chcesz usłyszeć najgorsze?

Nie chciałam, ale on już pochylał się ku mnie, wciskając klawisze.

- Kiedy go znaleźli, usta miał całkiem wykrzywione. Zniekształcone. - Podstawił mi telefon pod nos. - Trochę jakby się uśmiechał. Spójrz.

Wpatrywałam się w zdjęcie, usiłując wydusić coś z siebie. To nie był do końca uśmiech, przynajmniej nie taki, jaki miały na twarzy ofiary znalezione zeszłego lata, ale wystarczająco podobny.

- Skąd ty to...? Jak to się...?

- Policja wysłała zdjęcie do dyrektora szkoły, a on przesłał je ojcu, który udał się na poranną kąpiel z bąbelkami, zostawiając komórkę bez opieki.

Walcząc ze łzami, odwróciłam się do komputera.

- Hej.

Teraz Parker znalazł się obok mnie. Kiedy chwyciłam, za mysz, otarliśmy się łokciami. Nasze ciała oddzielały cztery warstwy ubrania, a mimo to dotknięcie poszło po moim ramieniu i dalej wzdłuż kręgosłupa szybki, elektryzujący impuls. Ręka trzęsła mi się tak bardzo, że nie byłam w stanie utrzymać kursora w miejscu i zamknąć zdjęcia.

- Przepraszam. - Jego głos brzmiał teraz łagodniej, delikatniej. - Głupiec ze mnie. Nie wiem, po co ci to pokazałem.

- Nie szkodzi. Chcę tylko... jakoś nie mogę...

Jego dłoń przykryła moją. Mysz przestała drżeć. Ledwie oddychając, patrzyłam, jak kursor przesuwa się gładko w róg ekranu. Jego palec wskazujący ześlizgnął się po moim i spoczął na nim na chwilę, zanim docisnął przycisk.

Wizerunek Colina Milтона Coopera zniknął.

Przeniosłam wzrok z ekranu na nasze dłonie. Nie poruszył swojej. Co gorsza, ja nie poruszyłam mojej.

- Muszę już iść - wyszeptałam.

- Co? - Ścisnął moją dłoń, wyrrywając ją z hipnozy. - Dokąd?

Zabrałam rękę i poderwałam się z krzesła.

Sięgnął, by mnie złapać, ale się odsunęłam. Gdy podnosiłam plecak z podłogi, czułam na sobie jego spojrzenie.

Nie wiedziałam, dokąd idę. Nie od razu. Po prostu wybiegłam z biblioteki, pomknęłam korytarzem i wypadłam przez drzwi frontowe. Gdy znalazłam się na chodniku, skręciłam w lewo i biegłam dalej, coraz szybciej poruszając nogami. Wymijałam przechodniów, przebiegałam przez ulice, nie zwracając uwagi na światła. Wokół mnie wirowały pomarańczowe i czerwone liście, ale ledwie je dostrzegałam, ledwie czułam ich suche krawędzie muskające moją skórę. Poprzez łomotanie serca ledwie docierało do mnie trąbienie klaksonów, świst wiatru w uszach... i wreszcie szum rzeki Charles uderzającej z pluskiem o brzeg.

Nie zatrzymałam się, dopóki jęzory zimnej wody nie oblizały mi kostek. Wtedy podniosłam głowę, z zaskoczeniem patrząc, dokąd zaprowadziło mnie ciało bez świadomego udziału mózgu.

Pod most Longfellowa, który spinał brzegi rzeki, łącząc Boston z Cambridge położonym niecały kilometr dalej. Sto pięćdziesiąt metrów nad moją głową ludzie w pośpiechu jechali do pracy, nieświadomi tego, co się tu wydarzyło zaledwie kilka godzin wcześniej.

Obok przepłynęła załoga wioślarska. Monotonne skandowanie wioślarzy przywróciło

mnie gwałtownie do rzeczywistości.

Co ja tu robię? I dlaczego? To fakt, że Colin Milton Cooper utonął, skacząc do rzeki. To prawda, że tylko kilka dni wcześniej ktoś złamał mu serce. Ale to nie musiało wcale znaczyć, że Raina i Zara... że to one miały z tym coś wspólnego...

Simon. Zaczęłam gorączkowo grzebać w plecaku w poszukiwaniu telefonu. Nadal nie odpowiedziałam na żaden z jego SMSów ani nie odbierałam telefonów, ale teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebny był mi jego głos rozsądku. Chciałam usłyszeć od Simona zapewnienie, że to niemożliwe, że nie ma szans, by one brały w tym udział, ponieważ były ostatecznie, niezaprzeczalnie, w stu procentach...

Martwe. Jak jego bateria. Musiała się wyczerpać, bo od razu odezwała się poczta głosowa.

Zamknęłam klapkę komórki i zlustrowałam powierzchnię rzeki, szukając z nadzieją jakiegoś znaku. Błysku światła, gwałtownego plusku, pary srebrzystoniebieskich oczu. Czegokolwiek, co dowodziłoby, że to, co myślę, jest możliwe, że nie zwariowałam.

Nie zastanawiając się, ledwie czując chłód wody przesiąkającej przez rajstopy, zrobiłam krok, potem następny i jeszcze jeden... Woda sięgała mi do kolan, jej poziom unosił się, wspinając po moich udach.

Mogłabym to zrobić. Już raz udało mi się je powstrzymać i mogłabym zrobić to znowu.

Nie doszłam daleko, kiedy potężna, gwałtowna siła szarpnęła mój brzuch, pozbawiając mnie tchu. Podążałam jednak naprzód, wyciągając przed siebie ramiona i zakopując pięty w błocie, ale napór był silniejszy.

- Zostaw! - wysapałam. - Proszę, pozwól mi...

Uderzyłam o coś łydkami i runęłam do tyłu, lądując na lewym barku. Ból sprawił, że oczy zaszyły mi mgłą i na chwilę zapomniałam, co zamierzałam zrobić.

- Już dobrze - rozległ się uspakajający męski głos.

Mgła unosiła się w miarę ustępowania bólu, a rzeka powoli odzyskiwała ostrość. Kręciło mi się w głowie i chwilę trwało, zanim zrozumiałam, że czyjeś silne ramiona obejmują mnie w pasie, a nogi w spodniach khaki zamykają się na moich niczym bramy fortecy.

- Nic ci nie jest...

Serce mi załomotało.

Simon. Mimo tego wszystkiego, co powiedziałam, mimo że nie odpowiadałam na jego SMSy i telefony... był tutaj. Tak bardzo martwił się moim milczeniem, że postanowił

przyjechać kawał drogi z Bates, żeby dowiedzieć się, czy nic mi nie jest.

Zamknęłam oczy, by pohamować napływające znowu łzy, i wspięłam się na kolana, obróciłam i zarzuciłam mu ramiona na szyję.

- Dziękuję - wyszeptałam mu prosto do ucha.

Jego dłonie z czułością przygarniały moje plecy. Ignorując alarm, który nieśmiało odezwał się głęboko w głowie, odsunęłam się lekko i pocałowałam go.

Poczułam, że wargi mu zeszywniały.

- Już dobrze - wyszeptałam. - Nic mi nie jest.

Jego usta, choć wciąż jeszcze niezdecydowane, zareagowały, rozluźniając się z każdym muśnięciem moich warg. Wkrótce pocałunki stały się bardziej intensywne, szybsze i bardziej namiętne, aż wreszcie zapomniałam, gdzie jestem i po co się tu znalazłam. Kiedy obrócił się plecami w kierunku ziemi, delikatnie pociągając mnie za sobą, nawet nie otworzyłam oczu, żeby się przekonać, czy ktoś nas obserwuje. Nic mnie to nie obchodziło.

- Przepraszam. - Przesunęłam wargami po jego policzku, aż do ucha. - Nie wiem, co sobie wyobrażałam.

Przyciągnął mnie bliżej, przesuwał rękę z talii na biodra.

- Tęskniłam za tobą... tak bardzo.

Jego dłonie zastygły w bezruchu.

- Tęskniłaś?

Wstrzymałam oddech. Otworzyłam oczy. Powoli uniosłam się wyżej. Zobaczyłam kołnierz białej koszuli. Granatową marynarkę. Złotą wyszywaną tarczę.

- Przecież widzieliśmy się w szkole jakieś dziesięć minut temu.

Po moich policzkach popłynęły łzy, kiedy zobaczyłam jego oczy. Nie były brązowe ani pełne ciepła, ani dodające otuchy.

Bo to nie były oczy Simona.

To były oczy Parkera.

- a ja myślałam, że to Zara była ekshibicjonistką.

To napomknienie o Żarze sprawiło, że szarpnęłam kierownicą, którą mocno ścisnęłam, odkąd przed godziną wyjechałyśmy z Bostonu w kierunku Maine.

- Wybacz - powiedziała Paige - ale to musi być dobry znak, nie sądzisz? Że w normalnej rozmowie potrafię wspomnieć o skłonnościach mojej nieżyjącej siostry do POU.

Skoncentrowałam się na oddychaniu i prowadzeniu samochodu w linii prostej. Nie chcąc bez potrzeby martwić Paige, nie wspominałam jej o tym, co wydarzyło się wcześniej. To była słuszna decyzja, chociaż utrzymywanie tego w tajemnicy z każdym dniem coraz bardziej przypominało mordęgę.

- Do POU? - zapytałam.

- Do Publicznego Okazywania Uczuć. - Wpatrywała się w ekran komórki. - Mogłabym policzyć na palcach rąk i nóg całej drużyny piłkarskiej, ile razy przyłapałam ją na migdaleniu się z przypadkowymi facetami. Ale nawet ona miała jakieś granice. - Posłała mi przelotne spojrzenie. - Jeśli chodzi o publiczne okazywanie uczuć. Nie jeśli chodzi o życie i śmierć. Oczywiście.

- A kto nie ma granic? - Sięgnęłam po butelkę wody wetkniętą w uchwyt na kubki pomiędzy siedzeniami.

- Parker King.

Znów szarpnęłam kierownicą, tym razem dlatego, że na moich kolanach wyśliznęła się otwarta butelka wody.

Paige podała mi garść serwetek, które pozostały po naszym ostatnim postoju, i złapała za kierownicę.

- Mam poprowadzić?

- Nie. - Wytarłam wodę, cisnęłam mokre serwetki do plastikowej torby z delikatesów i znów chwyciłam za kierownicę. - Dlaczego tak mówisz? To znaczy o Parkerze?

Podstawiła mi przed oczy telefon. Zerknęłam na ekran, po czym przelknęłam ślinę i wlepiłam wzrok w drogę.

- Wiem, co myślisz. - Odwróciła telefon ekranem do siebie, żeby raz jeszcze spojrzeć na zdjęcie. - Obrzydliwe, prawda?

Usiłowałam przyznać jej rację, ale jedyne, na co mogłam się zdobyć, to pokiwanie

głową. Biorąc pod uwagę, że dowód w postaci zdjęcia, o którym była mowa, przedstawiał Parkera rozciągniętego na ziemi i mnie leżącą na nim, uznałam, że to i tak całkiem nieźle.

- Tylko kim jest ta dziewczyna? - Zmrużyła oczy i jeszcze bardziej pochyliła głowę w stronę ekranu. - Jego twarz widać wyraźnie, ale jej ukryta jest za włosami.

Co za szczęśliwe zrządenie losu. Tamtego dnia zostawiłam bluzę Simona w domu do wyprania. Gdybym miała ją na sobie, Paige - i pewnie cała szkoła - natychmiast by mnie rozpoznała.

- Nie wiem - odparłam. - Kto zrobił zdjęcie?

Zatrzasnęła klapkę telefonu i wrzuciła go do torebki.

- Nie mam pojęcia. Ale jest na tym serwisie plotkarskim szkół prywatnych „Pod Mundurkiem”. Założyłam profil, żeby dostawać powiadomienia SMS - pomyślałam, że to dobry sposób na poznanie nowych kolegów i koleżanek.

Słyszałam o serwisie „Pod Mundurkiem”, ale nigdy nie wchodziłam na ich stronę.

- Czy na tym portalu podają nazwiska?

- Zwykle tak. Pod tym zdjęciem nie było żadnych. Podpis pod nim brzmiał: „Para gołąbeczków z Hawthorne”, więc ktokolwiek zamieścił to zdjęcie, musi być z Hawthorne, bo tam wszyscy znają Parkera. Ale założę się, że to tylko kwestia czasu, żeby ktoś ich rozpoznał i podał nazwiska. - Zrobiła pauzę.

- Vanesso?

- No?

- Gdybym chciała polecieć, kupiłabym bilet na samolot.

Zerknęłam na prędkościomierz: igła wskazywała sto trzydzieści kilometrów na godzinę.

- Przepraszam - mruknęłam, zdejmując nogę z gazu.

- Chyba jestem dziś trochę rozkojarzona.

- Jesteś pewna, że chcesz jechać sama aż do Winter Harbor? Może zadzwonię do Rileya i dalej pojedę z tobą, co?

- Dam sobie radę. Nie martw się.

Wyciągnęła rękę i ścisnęła mnie za kolano. Kiedy tak jechałyśmy w milczeniu, skupiałam się na znakach drogowych i ignorowałam łomotanie serca, które przyspieszało z każdym zakrętem. Wiedziałam, że Paige by mnie uprzedziła, gdyby Riley wspominał, że Simon zabierze się z nim do Portland... ale co jeśli zmienił zdanie? Co jeśli w ostatniej chwili postanowił skonfrontować się ze mną osobiście? Co miałabym mu powiedzieć? Zwłaszcza że jedyne, czego naprawdę chciałam, to cofnąć własne słowa.



Ledwie miałam czas, by zastanowić się nad pytaniami, nie wspominając już o odpowiedziach. Restauracja, w której umówiliśmy się na spotkanie z Rileyem, była bliżej autostrady, niż sądziłam, i już wkrótce zajeżdżałyśmy na prawie pusty parking. Riley na nasz widok zeskoczył z budy jeepa i pomachał na przywitanie.

- Myślisz, że to w porządku? - zapytała cicho Paige.

- Co takiego?

Spojrzała na mnie, a jej oczy nagle wypełniły niepokój i smutek.'

- Zadawać się z innym chłopakiem. Nawet jeśli to tylko kolega. - Zamilkła na chwilę, po czym dodała: - Czy jestem okropną osobą, skoro cieszyłam się na myśl o dzisiejszym spotkaniu z Rileyem?

Zatrzymałam samochód, pochyliłam się i przytuliłam ją.

- Ty nigdy nie będziesz okropną osobą.

Wciąż jeszcze siedziałyśmy przytulone, kiedy Riley zapukał w szybę.

- Hej, ślicznotko - przywitał się, gdy Paige otworzyła drzwi. Pochylił się i dał jej przelotnego całusa w policzek, a potem posłał mi jeszcze bardziej przelotny uśmiech. - Cześć, Vanesso.

- Cześć - odpowiedziałam.

Opuścił wzrok, a Paige posłała mi karcące spojrzenie. Popatrzyłam na parking za nimi, czując jednocześnie ulgę i rozczarowanie, gdy nikt więcej nie wysiadł z jeepa.

- Bawcie się dobrze - rzuciłam, wysilając się na beztroski ton. - Paige, do zobaczenia w Winter Harbor dziś wieczorem.

Na jej twarzy pojawił się wyraz zatroskania, ale pozbierała swoje rzeczy z podłogi i złapała za klamkę. - Przynajmniej staraj się jechać, nie odrywając kół od ziemi.

- Masz to jak w banku.

Obserwowałam ich, gdy szli przez parking. Riley złapał Paige za rękę jak gdyby nigdy nic, beztrosko, ale ona zeszywniała i zerknęła na mnie przez ramię. Pomachałam raz jeszcze, pokazałam, że ma się odwrócić, i odjechałam, nie chcąc wprawiać żadnego z nich w jeszcze większe zakłopotanie.

Przecież to nie była ich wina, że Simon mnie nienawidził.

To moja wina.

Wiekowy termometr wskazywał piętnaście stopni, co oznaczało, że na dworze jest około pięciu, ale i tak maksymalnie opuściłam szybę i włączyłam klimatyzację. Im dłużej jechałam, tym było mi goręcej, aż w końcu pot zaczął spływać ciurkiem po moim karku, a ubrania przylgnęły do skóry. Mimo to nie zatrzymałam się, żeby kupić więcej wody. Bałam

się, że jeśli to zrobię, przestanę jechać na północ, w stronę Winter Harbor, i skieruję się na zachód, w stronę Bates.

Podróż, która powinna zająć mi trzy godziny, trwała dwie. Śmignęłam obok znaku w kształcie żaglówki stojącego przy wjeździe do Winter Harbor, wpadłam do miasta i pomknęłam główną ulicą. Dopiero kiedy dotarłam do restauracji „U Betty”, zwolniłam i zatrzymałam wóz na parkingu.

Wyciągnęłam telefon z torebki i ogarnął mnie smutek, gdy zobaczyłam, że nie ma żadnych wiadomości.

„Pewnie mnie nienawidzisz. Wcale ci się nie dziwię”.

Ledwie zaczęłam pisać, a już zabrałam się do kasowania.

„Przepraszam, że nie kontaktowałam się wcześniej”.

Znów usunęłam wiadomość i wpatrywałam się w pusty ekran. Po naszej ostatniej rozmowie, która zakończyła się moją ucieczką z „Bostońskiej Świeżo Palonej”, gdzie zostawiłam oniemiałego Simona przy stoliku, jakoś nie umiałam znaleźć odpowiednich słów.

„Cześć. Co u ciebie?”

Nacisnęłam przycisk „Wyślij”, zanim zdążyłabym zmienić zdanie, po czym wpatrywałam się w ekran w oczekiwaniu na pojawienie się nowej wiadomości. Po kilku sekundach sprawdziłam folder wysłanych wiadomości i zadzwoniłam na pocztę głosową. Najwyraźniej wszystko działało bez zarzutu.

Wsunęłam telefon do kieszeni dzinsów, wysiadłam z samochodu i zapięłam kurtkę. W Winter Harbor było jeszcze zimniej niż w Portland, a morska bryza chłodziła moją rozpaloną skórę niczym wirujące płatki śniegu. Przy wejściu dla personelu poprawiłam kucyk i poklepałam się po policzkach z nadzieją, że ludzie uznają, iż moja skóra jest zaczerwieniona od zimna.

- Mała spryciuła! - ogłosił Louis, szef kuchni, gdy wkroczyłam do jego królestwa. - Ta, co to ostro zakuwa, a jeszcze ostrzej imprezuje, co?

- Powiedzmy. - Uśmiechnęłam się, przypominając sobie pierwszą wizytę w tym miejscu zeszłego lata po niemal zupełnie nieprzespanej nocy w domku nad jeziorem. Było to dwa dni po pogrzebie Justine i po pierwszym dniu, który spędziłam całkiem sama w Winter Harbor. Wtedy to wybrałam się do Betty na śniadanie, by zachować anonimowość w towarzystwie nieznamomych. Kiedy powiedziałam parkingowemu Garrettowi, że mam za sobą ciężką noc, uznał, że leCzę kaca, i poprosił Louisa, żeby przygotował dla mnie specjalne kulinarne lekarstwo. Wymyślona przyczyna mojej pierwszej wizyty od tamtej pory była tematem ciągłych docinków.

- Masz szczęście. Właśnie udoskonaliłem tegoroczny przepis na korzenne placuszki dyniowe. Natychmiastowy lek na wszystkie twoje bolączki. - Złapał widelec, nadział jeden z placków smażących się na płycie i podłożywszy jedną rękę pod spód, ruszył w moją stronę.

- Pyyyszny - pochwaliłam, delektując się smakiem ciepłego, słodkiego ciasta. - Od razu mi lepiej.

- Wiedziałem. - Louis wrzucił widelec do kieszeni fartucha i skrzyżował ramiona na piersi. - A teraz mów, co się stało? Serio.

Odruchowo zbliżyłam dłoń do twarzy.

- Ale w jakim sensie?

- No przecież mamy październik. Powinnaś siedzieć zwinięta w kłębek w swojej wytwornej kamienicy, czytając wytworne książki i przygotowując się do studiów w wytwornym collegeu. - Rozejrzał się po kuchni, po czym podszedł bliżej i zniżył głos: - Chodzi o Betty, mam rację?

Serce mi załomotało.

- Martwisz się o nią - mówił dalej. - Jak my wszyscy. Nie zagląda til od tygodni, a za każdym razem, kiedy przyłazi ten jej facet, jak mu tam? Mortimer? Lucyfer?

- Oliver.

- Właśnie. Za każdym razem, kiedy tu przyłazi, jest blady jak ściana i trzęsie się, jakby właśnie zobaczył ducha. A kiedy tylko ktoś z nas zapyta, jak się miewa Betty i czy wkrótce do nas zajrzy, przestaje się odzywać i wychodzi.

- Ale dlaczego?

- Gdybym tylko wiedział, złotko, zamieniłbym łopatkę do naleśników na kryształową kulę. Bóg jeden wie, ile forsy mógłbym zarobić, opowiadając bogatym turystom o tej garstce spraw, nad którymi nie mają kontroli.

- Kiedy spotkam się z Betty - powiedziałam, notując w pamięci, żeby później porozmawiać z Paige o Oliverze - przekażę jej, że restauracja jej potrzebuje.

Gdy Louis sprzedał mi już najświeższe wieści o tym, co u kogo słychać (nie pominawszy Garretta, który wrócił na uczelnię, ale podobno w każdym emailu nadal o mnie wspominał) i napakował mnie bajglami i sokiem z pomarańczy, wzięłam głęboki oddech i zadałam jedno pytanie, które przyjechałam zadać.

- Louis? Skoro już mowa o wytwornych książkach... pamiętasz taką księgarenkę, która mieściła się dawniej na obrzeżach miasta?

Nie podniósł wzroku znad garnka, w którym mieszał.

- Chodzi ci o „Białego Kruka”?

- Być może. - Betty nie wspominała, jak nazywała się księgarnia.

- To jedyna księgarnia, o jakiej mi wiadomo. Nie mieszkałem jeszcze w Winter Harbor, kiedy była otwarta, i wiem o niej tylko dlatego, że tutejsi bez przerwy o niej mówią. Ludzie byli tak bardzo poruszeni, gdy spłonęła, że nie czytali całymi tygodniami.

Kiedy spłonęła? Betty pominęła i ten istotny szczegół. Mieszkała w Winter Harbor od ponad sześćdziesięciu lat, więc musiała o tym wiedzieć. A nawet jeśli jakimś cudem nie słyszała, kiedy to się zdarzyło, dowiedziałyby się od mieszkańców albo od Olivera, który był miejscowym historykiem.

W takim razie dlaczego mi o tym nie powiedziała? Dlaczego nie wspomniał o tym Oliver, który był w pokoju, gdy o tym mówiła?

- Nie wiesz przypadkiem, co się stało z właścicielami? - zapytałam.

- Podobno, kiedy wybuchł pożar, właścicielka wypełniała jakieś papiery w piwnicy i nie zdołała się wydostać. Księgarnia była tak daleko od miasta, że nikt nie wiedział, co się stało, aż do momentu, gdy było za późno na jakąkolwiek pomoc. Kiedy wieść się rozniosła, nie znaleziono już nawet ciała.

Zaczęłam dociekać, czy wie, kiedy dokładnie to się stało, ale wtedy drzwi wahadłowe na salę jadalną otworzyły się i do kuchni wpadła zniesmaczona kelnerka. Gdy Louis wdał się z nią w dyskusję o specjalności tego poranka, pomachałam mu i wymknęłam się tylnym wyjściem.

Powietrze było teraz jeszcze chłodniejsze. Wsunęłam rękę do kieszeni kurtki i uniosłam barki, skrywając szyję przed wiatrem. Szłam szybkim krokiem do samochodu i z trudem przetwarzałam wszystko, co właśnie usłyszałam. Zastanawiałam się, z kim jeszcze mogłabym porozmawiać o księgarni.

Nawet jeśli Betty znała więcej faktów, niż twierdziła, najwyraźniej nie zamierzała się nimi dzielić. A to znaczyło, że Paige pewnie nie zdoła mi pomóc. Oliver nie zdradziłby mi niczego, co Betty wolałaby przede mną zataić. Państwo Carmichaelowie być może potrafiliby uzupełnić kilka luk, ale nie czułabym się komfortowo, pytając ich teraz o cokolwiek. To samo dotyczyło Caleba, który prawdopodobnie zamknąłby mi drzwi przed nosem, i to z hukiem. Simon zbierałby informacje tak długo, aż byłby w stanie powiedzieć mi wszystko, co chciałam wiedzieć, ale nie mogłam go o to prosić, nie wyjaśniając przedtem, dlaczego się tym interesuję - i nie przepraszając go tak długo, dopóki nie straciłabym głosu.

A może wcale by tak nie zrobił. Rzut oka na telefon wystarczył, by się przekonać, że nadal nie odpowiedział na moją wiadomość, więc może na razie w ogóle nie miał ochoty ze mną rozmawiać.

Schowałam telefon do kieszeni spodni, gdy w tej samej chwili rozległo się trzaśnięcie samochodowych drzwi.

- Żartujesz sobie? - odezwał się natarczywy męski głos. - Lepiej mi powiedz, że to tylko twoje głupie wyobrażenie kawału z okazji Halloween. Chciałeś, żeby twojemu staremu skoczyła pikawa, co?

Doszedłszy do samochodu, chwyciłam za klamkę i spojrzałam ponad dachem. Za lśniącem czarnym land roverem kilka miejsc dalej stał mężczyzna w średnim wieku w spodniach khaki, brązowej zamszowej marynarce i czapeczce baseballowej z herbem Red Soksów i wymachiwał rękami, jakby wóz był samolotem podchodzącym do lądowania. Ten, komu wymyślał, stał przy drzwiach od strony pasażera, poza zasięgiem mojego wzroku.

- Moje gratulacje. Właśnie pobiłeś własny rekord głupoty.

Mężczyzna obrócił się. Szarpnięciem otworzyłam drzwi i opadłam na siedzenie kierowcy. W lusterku wstecznym obserwowałam, jak zmierza ku wejściu do restauracji, wyszczekując coś do telefonu. Kilka metrów za nim szedł nastoletni chłopak z opuszczoną głową, który miał wetknięte do uszu małe białe słuchawki. Mój wzrok pobiegł za kablem iPoda do znajomo wyglądającej skórzanej torby listonoszki.

- Parker?

Poderwał głowę. A ja zgięłam się wpół na siedzeniu. Zaciskając oczy, czekałam i zastanawiałam się, co on tutaj robi. Lato się skończyło, a połowa portu nadal była zamarznięta; jedynymi turystami odwiedzającymi teraz Winter Harbor byli zbieracze jesiennych liści, a Parker nie wyglądał na kogoś takiego.

Zaczekałam jeszcze kilka sekund, po czym ostrożnie rozejrzałam się dokoła. Odetchnęłam z ulgą, widząc, że nikt nie stoi przy moich drzwiach ani nigdzie w pobliżu samochodu. Usiadłam prosto, uruchomiłam silnik i wcisnęłam gaz.

Biblioteka miejska mieściła się na drugim końcu Winter Harbor. Jadąc dobrze znaną trasą, rozmyślałam o tym, kiedy byłam tam po raz ostatni i po co. Razem z Simonem i Calebem pojechaliśmy do biblioteki, żeby porozmawiać z Oliverem, jej stałym bywalcem, w dniu; kiedy dowiedziałam się, że był miłością życia Betty. Liczyliśmy na to, że Oliver dostarczy nam informacji na temat pozostałych członków rodziny Marchandów, w tym Rainy i Zary, które podejrzewaliśmy o udział w śmierci Justine i innych zagadkowych utonięciach. Ujawniając, że należą do rodziny syren, udzielił nam wtedy odpowiedzi na wiele pytań i nasunął nieskończoną liczbę nowych, które nigdy nie przyszłyby nam do głowy.

Przypominając sobie dziwne zachowanie Olivera podczas ostatniej wizyty, z niechęcią myślałam o podjęciu z nim kolejnej rozmowy twarzą w twarz. Dlatego miałam nadzieję, że

to, czego usiłowałam dowiedzieć się bezpośrednio od niego, uda mi się znaleźć w wielotomowej Kompletnej historii Winter Harbor.

Na parkingu stał tylko jeden samochód i założyłam, że należy do bibliotekarki Mary. Zaparkowałam na wolnym miejscu niedaleko wejścia, przełączyłam telefon na wibracje, wsunęłam do kieszeni spodni i weszłam do środka. Pomachałam na powitanie Mary, która najwyraźniej nie rozpoznała we mnie dziewczyny przesiadującej tu latem, i odszukałam niewielki dział poświęcony sprawom lokalnym, a w nim cztery książki autorstwa Olivera Savage'a. Kiedyś Mary trzymała je pod ręką, żeby Oliver przestał wypytywać, dlaczego nikt ich nie wypożycza, ale widocznie teraz miał większe zmartwienia na głowie.

Zabrałam książki do czytelnicy i siadłam przy starym kamiennym kominku. Spędziłam nad nimi sporo czasu zeszłego lata, kiedy szukałam informacji o przelotnych gwałtownych burzach i związanych z nimi śmiertelnych wypadkach, i nie pamiętałam, żeby była w nich mowa o księgarni „Biały Kruk”. Ale całkiem możliwe, że zwyczajnie nie zwróciłam na to uwagi, bo wówczas księgarnia nie miała dla mnie żadnego znaczenia.

W trzech pierwszych tomach nie było o niej ani słowa. W czwartym odkryłam jeden mały fragment w rozdziale o sukcesach miejscowych przedsiębiorców - tym samym, w którym autor wspominał o Restauracji Rybnej „U Betty”. Jednak wzmianka o księgarni zdradzała jeszcze mniej informacji niż tamta o restauracji.

„»Biały Kruk«, przytulna księgarenka na końcu Lawlor Trail, otwarta w maju 1990 roku ku zadowoleniu mieszkańców. Właścicielka, mieszkająca od niedawna w Winter Harbor Charlotte Bleu, oferowała klientom nowe, używane i rzadkie publikacje w serdecznej, gościnnej atmosferze. Księgarnia, która bardzo szybko stała się obowiązkowym przystankiem zarówno dla mieszkańców, jak i wczasowiczów, spłonęła w listopadzie 1993 roku. Przyczyn pożaru nigdy nie ustalono, a księgarni »Biały Kruk« nie odbudowano”.

Mój wzrok zatrzymał się na przedostatnim zdaniu. Coś jeszcze wydarzyło się w listopadzie 1993 roku.

Przyszłam na świat.

- Witaj, nieznajoma!

Zatrzasnęłam książkę.

- Caleb, to ty! Cześć.

Nadszedł od strony działu z płytami DVD. Kiedy się zbliżał, przygotowałam się na grad pytań dotyczących rozstania z Simonem, ale on po prostu się uśmiechnął i pocałował mnie w policzek.

- Simon nie wspominał, że przyjeżdżasz na weekend.

Najwyraźniej nie była to jedyna rzecz, o której Simon nie wspominał. Powitanie Caleba wyglądałoby zupełnie inaczej, gdyby wiedział, że jego brat i ja nie jesteśmy już parą.

- To nieplanowana wizyta - wyjaśniłam. - Paige chciała zobaczyć się z Betty, więc zabrałam się razem z nią.

- To miło. - Wskazał głową na moje kolana. - Do tej pory napisałaś już własną historię Winter Harbor, co?

- Tak, tylko czy ktokolwiek miałby ochotę ją przeczytać? - zazartowałam.

Opuścił wzrok, a uśmiech zniknął mu z twarzy.

- Co u ciebie? - zapytałam. - Co ściągnęło cię do biblioteki w taki słoneczny jesienny dzień?

- Wieczór filmowy z kumplami. Kolekcja DVD jest tutaj zaskakująco dobra.

Pokiwałam głową, nie wiedząc zbytnio, co jeszcze powiedzieć. Sądziłam, że między Calebem a mną zawsze będzie istniała jakiegoś rodzaju więź ze względu na jego związek z Justine, ale ponieważ sytuacja moja i Simona się zmieniła, rozmowa z jego bratem też wydawała się inna.

- Jak długo zamierzasz zostać? - zapytał po dłuższej chwili milczenia. - Miałabyś ochotę wybrać się jutro ze mną na śniadanie?

- Zdaje się, że planujemy wyjazd dość wcześnie. Może następnym razem?

- Jasne. - Spojrzał na zegarek. - Nie znoszę urywać pogawędki, ale powinienem być na przystani dziesięć minut temu. Teraz, kiedy wody w porcie zupełnie odtajały, klienci niecierpliwą się, żeby wyprowadzić łódki na wodę.

- Simon nie wspominał, że przyjeżdżasz na weekend.

Najwyraźniej nie była to jedyna rzecz, o której Simon nie wspominał. Powitanie Caleba wyglądałoby zupełnie inaczej, gdyby wiedział, że jego brat i ja nie jesteśmy już parą.

- To nieplanowana wizyta - wyjaśniłam. - Paige chciała zobaczyć się z Betty, więc zabrałam się razem z nią.

- To miło. - Wskazał głową na moje kolana. - Do tej pory napisałybyś już własną historię Winter Harbor, co?

- Tak, tylko czy ktokolwiek miałby ochotę ją przeczytać? - zażartowałam.

Opuścił wzrok, a uśmiech zniknął mu z twarzy.

- Co u ciebie? - zapytałam. - Co ściągnęło cię do biblioteki w taki słoneczny jesienny dzień?

- Wieczór filmowy z kumplami. Kolekcja DVD jest tutaj zaskakująco dobra.

Pokiwałam głową, nie wiedząc zbytnio, co jeszcze powiedzieć. Sądziłam, że między Calebem a mną zawsze będzie istniała jakiegoś rodzaju więź ze względu na jego związek z Justine, ale ponieważ sytuacja moja i Simona się zmieniła, rozmowa z jego bratem też wydawała się inna.

- Jak długo zamierzasz zostać? - zapytał po dłuższej chwili milczenia. - Miałabyś ochotę wybrać się jutro ze mną na śniadanie?

- Zdaje się, że planujemy wyjazd dość wcześnie. Może następnym razem?

- Jasne. - Spojrzał na zegarek. - Nie znoszę urywać pogawędki, ale powinienem być na przystani dziesięć minut temu. Teraz, kiedy wody w porcie zupełnie odtajały, klienci niecierpliwą się, żeby wyprowadzić łódki na wodę.

- Nie ma sprawy, rozumiem. - Kiedy wstałam, żeby uścisnąć go na pożegnanie, dotarło do mnie, co właśnie powiedział. Widząc, że zastygłam w bezruchu, a na twarz wystąpiły mi wypieki, zrobił krok w moją stronę.

- Nie wiedziałaś? - zapytał cicho.

Próbowałam pokręcić głową, ale nie chciała się poruszyć.

- W ostatni weekend mieliśmy falę upałów. Stopiły resztę lodu.

- Czy ty... - wyszeptałam. - Czy oni...

- Nikt niczego nie widział. Bo niczego nie było.



- Tak. - Zdołałam pokiwać głową. - Wiem.

- Vanesso, wiesz, co Zara do mnie czuła. Gdyby jakimś cudem przeżyła... nie sądzisz, że byłbym pierwszym, którego próbowałaby odnaleźć?

Oczy zasły mi łzami dlatego, że miał rację, ale też dlatego, że w jego głosie był taki spokój, taka cicha pewność, że przypomniał mi Simona.

Wyciągnął ramiona, a ja przytuliłam się do niego. Staliśmy tak przez kilka sekund, zanim się odsunęłam. Kiedy odchodził, posłał mi przelotny uśmiech i zawołał przez ramię:

- Mam nadzieję, że mój brat dobrze się o ciebie troszczy!

To prawdopodobnie doprowadziłoby mnie do kompletnego rozklejenia, gdyby akurat nie zabrzączał mój telefon. Palcami śliskimi od potu dwa razy próbowałam wysunąć go z kieszeni, co udało się dopiero podczas trzeciej próby.

„V., dzwoniła Betty. Rozstrojona. Chce, żebym spędziła z nią wieczór sam na sam. Czuję się paskudnie, ale nie masz nic przeciwko temu??? Buziaki - P”.

„P.”, nie „S.”

Opadając z powrotem na fotel, odpisałam.

„Nie ma sprawy. Mam nadzieję, że z nią OK. Będę w domku nad jeziorem. Do zobaczenia. - V.”. Chwilę później telefon znów zabrzączał. „Widziałem cię w mieście. Utknąłem tu dzisiaj. Spotkamy się?”

Zgodziłam się spotkać z Parkerem z trzech powodów. Pierwszy był oczywisty: nie chciałam zostać sama. Betty zatrzymała u siebie Paige i nawet gdybym do nich pojechała i próbowała zachować dystans, żeby mogły swobodnie pogadać, Paige starałaby się włączyć mnie do rozmowy.

To zmusiłoby mnie do wyjścia, co prowadziło do powodu numer dwa: nie miałam na Parkera takiego wpływu, jak na innych facetów. To prawda, że całowaliśmy się nad rzeką, ale tylko dlatego, że wzięłam go za Simona, a on - o czym wiedział każdy w kręgach szkół prywatnych w Nowej Anglii - nie odmówiłby żadnej dziewczynie, która sama pcha się w jego objęcia. Uznałam, że dopóki będę miała otwarte oczy, uda nam się spędzić razem trochę czasu, nie pakując się w kolejną krępującą sytuację, i że dzięki temu nie będę musiała martwić się niechcianym zainteresowaniem, jakie wzbudzałabym w miejscach publicznych.

To wcale nie znaczyło, że będę mogła zwyczajnie udawać, że nigdy nie doszło do naszego spontanicznego pocałunku. Był też powód numer trzy: mogłabym wyjaśnić nieporozumienie i poprosić o usunięcie zdjęcia z serwisu „Pod Mundurkiem”, zanim spowoduje większe szkody.

Były to dobre, rozsądne powody. Niestety, kiedy znalazłam się na parkingu przed

centrum odnowy „Latarnia”, nie uchroniły mnie od poczucia winy.

- Idą po ciebie.

Podniosłam wzrok. Parker stał na górnym pokładzie dwupiętrowego jachtu, trzymając w rękach butelkę wina i dwa kieliszki.

- Poważnie - zapewnił. - Stoisz tu już tak długo, że właśnie odebrałem od ochrony telefon z pytaniem, czy nie będą mi potrzebni.

Zerknęłam przez ramię. Dwóch mężczyzn w marynarkach z logo centrum stojących na pobliskim polu golfowym świdrowało mnie wzrokiem.

- Nie piję - oznajmiłam, odwracając się do niego.

- Ja też nie.

Czekałam, aż się uśmiechnie albo roześmieje, ale pozostał poważny. Powtarzając sobie, że to najlepsza ze wszystkich moich opcji, zmusiłam się, by ruszyć naprzód dkiem i wspiąć się na rampę prowadzącą na główny pokład. Wszedł mi naprzeciw, tym razem z pustymi rękami, i wyciągnął do mnie dłoń.

- To nie jest randka - uściśliłam.

- Przecież masz chłopaka.

I te słowa wypowiedział bez cienia uśmiechu. Nieco uspokojona - nie mając zamiaru go poprawiać - chwyciłam jego dłoń i wstąpiłam na pokład. Z chwilą gdy moje stopy dotknęły podłogi, zwolnił uścisk i ruszył w stronę kabiny. Poszłam za nim, głównie dlatego, że odniosłam wrażenie, iż jest mu wszystko jedno, co zrobię.

- Zawijacie do portu na zimę? - zapytałam, wchodząc do środka. Kabina, na którą składały się liczne kajuty, dzięki czemu bardziej przypominała mieszkanie, była pełna pozakrywanych mebli. Jedynymi sprzętami, których nie przykryto białymi prześcieradłami, były bar, dwa stołki barowe i telewizor.

- Ani razu nie wypłynęliśmy. - Wyjął z lodówki dwie butelki wody i podał mi jedną.

- W takim razie skąd teraz pomysł na rejs? - zapytałam.

Sięgnął do kosza na śmieci stojącego przy barze i wyciągnął z niego czerwoną bluzę.

-,Doroczna Rybna Feta Kingów »Żyj jak król«,? - odczytałam napis na przodzie.

- Innymi słowy dwa dni w roku z zapelnionego kalendarza mojego ojca przeznaczone dla syna. A przynajmniej kilka godzin z tych dwóch dni, kiedy akurat nie załatwia spraw przez telefon czy nie wysyła emaili. Jego asystent organizuje różne pamiątkowe przedmioty, żeby impreza sprawiała wrażenie szczególnego wydarzenia.

Wrzucił bluzę z powrotem do śmietnika. Wylądowała na stercie butelek po winie.

- Twój ojciec jest teraz tutaj? - zapytałam. - Na górnym pokładzie?

- Już nie. Jest na kolacji, w kurorcie. Po uczcie składającej się z wyśmienitego homara uda się do domku na plaży i nie oderwie wzroku od kanału sportowego aż do chwili, gdy pochłonie go alkoholowy sen.

- Dlaczego nie spędzacie czasu razem?

Spojrzał na mnie, lekko mrużąc oczy.

- Przepraszam. Nie moja sprawa, nie wiem, dlaczego...

Przerwał mi dzwonek telefonu. Parker wyciągnął komórkę z kieszeni spodni, powiedział temu, kto dzwonił, żeby wszedł na pokład, i rozłączył się. Zanim przyszło mi do głowy, co mogłabym powiedzieć, drzwi rozsunęły się i do kabiny wszedł dostawca.

- Zamówiłem pół serową, pół pepperoni. Mam nadzieję, że ci pasuje. - Parker zapłacił dostawcy pizzy i posłał mi przelotny uśmiech. - Możesz za siebie zapłacić, jeśli chcesz. Skoro to nie randka.

Kilka minut temu ten uśmiech w połączeniu z kuszącą propozycją kolacji w postaci pizzy i wina sprawiłby, że pognałabym z powrotem do swojego volva. Ale teraz podziałał na mnie odprężająco. Dodał otuchy. Biorąc pod uwagę, jak niewiele opowiedział o swoim ojcu i ich wspólnym weekendzie, jasne było, że po prostu szuka towarzystwa - niekoniecznie mojego.

Postanowiliśmy zjeść na dworze, więc wyszłam za nim z kabiny i ruszyłam długim pokładem głównym. Na jego końcu Parker przeskoczył nad białym łańcuchem i wyszedł na dziób. Nie podał mi dłoni, żeby pomóc mi przejść, ani nawet nie obejrzał się, żeby sprawdzić, czy wciąż za nim idę, więc bez wahania przestąpiłam nad łańcuchem.

- Ładny widok - stwierdziłam, dołączając do niego na skraju dziobu. Ponad przystanią migotały światła miasta.

Odłożył pizzę, wziął kawałek i przysiadł, pozwalając, by nogi zwisały mu poza krawędź kadłuba.

- Mówiłaś już, dlaczego znów tu jesteś?

Usiadłam parę kroków od niego, plecami do barierki, podciągając nogi do brzucha.

- Nie mówiłam. Przyjechałam sprawdzić, czy domek letniskowy rodziców jeszcze stoi.

Pokiwał głową. Jedliśmy w milczeniu; on wpatrywał się w ciemny horyzont, a ja zastanawiałam się, nad czym rozmyśla. Sprawiał wrażenie czymś pochłoniętego, nieobecnego. Cokolwiek zaszło wcześniej między nim a jego ojcem, musiało być dość przykre. Przeszło mi przez myśl, żeby poruszyć temat naszego nieoczekiwanego spotkania nad rzeką, ale wydało mi się to nie na miejscu. Nie chciałam sprawiać, by poczuł się jeszcze

gorzej, a wyjaśnianie tej sprawy nie wydawało się w tej chwili aż tak pilne - całowanie się ze mną było najwyraźniej ostatnią rzeczą, o jakiej myślał. W rzeczywistości, zamiast martwić się tym, jak ustawić go do pionu, im dłużej tak siedzieliśmy, tym bardziej chciałam zrobić coś, by poczuł się lepiej.

- Niedługo trzeba będzie składać podania na studia - odezwałam się, czując, że moje serce przyspiesza.

- Tak mówią.

- Jesteś już na coś zdecydowany?

- Masz na myśli coś innego niż wskoczenie na łódź zaraz po rozdaniu dyplomów, ale na prawdziwą łódź, nie na pływającą rezydencję, i wyruszenie w rejs ze Wschodniego Wybrzeża na Zachodnie? Zawijanie do przygodnych portów, poznawanie ludzi, którzy nie wiedzą nic o mojej rodzinie ani o mnie? Przez rok, może dłużej?

Milczałam przez chwilę.

- Yyy, tak...?

- To nie. Ale prawdopodobnie skończę w Princeton. Nie mam odpowiednich stopni, ale ojciec uruchomi kontakty.

- Słyszałam, że jest tam naprawdę świetny kampus.

Roześmiał się krótko.

- Niech będzie, pani Mulligan.

Nowa fala ciepła rozlała się po mojej twarzy. Cieszyłam się, że jest zbyt ciemno, żeby mógł zauważyć.

- A ty jakie masz plany? - zapytał. - Zamierzasz przywdziać szkarłatne szaty Harvarda? Zaczyniesz szczekać jak buldog z Yale? Czy może ryczeć jak lew z Princeton?

Gdy wymieniał atrybuty elitarnych amerykańskich uczelni, spojrzałam na przystań i wróciło do mnie wspomnienie innych światła, które rozdarły mrok kilka miesięcy wcześniej.

- Nic z tych rzeczy.

- Rozumiem, pewnie jakiś wypasiony uniwersytet humanistyczny. Stymulujący intelektualnie, ale zupełnie niepraktyczny - wyrecytował, zniżając głos, zupełnie jakby powtarzał czyjeś słowa słyszane wielokrotnie. - Zatem Williams College? Amherst? A może chcesz ziścić sen Matta Harrisona i idziesz do Bates?

- Nie wybieram się na studia. - Po raz pierwszy wypowiedziałam to na głos i po raz pierwszy przyznałam się do tego przed kimś innym niż przed sobą samą. Niemal spodziewałam się, że pani Mulligan wpadnie z hukiem na dziób statku, chwyci mnie za ramiona i spróbuje siłą przywrócić mi rozum.

- Ale uczysz się w prywatnym liceum Hawthornea - stwierdził Parker.

- No i?

- Każdy, kto uczy się w prywatnym liceum Hawthornea, wybiera się na studia. To dlatego nasi rodzice chomikują stopy zielonych, żeby zapewnić nam przyszłość, zanim zdążymy się nad nią zastanowić.

- No cóż, zdaje się, że buntuję się przeciw tradycji.

Spojrzał na mnie, naprawdę spojrzał, po raz pierwszy, odkąd tu przyszedłem.

- Z powodu tego, co się stało? Twojej siostrze?

Jego przypuszczenia były błędne, ale należało mu się uznanie za to, że wypowiedział pytanie, które większość ludzi zadałaby tylko w myślach.

- Dlatego, że nie widzę sensu - odparłem.

- Jak zareagowali twoi rodzice, kiedy im powiedziałaś?

- Uznali, że to moje życie. Powiedzieli, że szanują moją decyzję i będą mnie wspierać.

- Wiedziałaś, że takie słowa chciałaby usłyszeć Justine, gdyby kiedykolwiek zebrała się na odwagę, żeby wyznać im prawdę. - Że kochają mnie bez względu na wszystko.

Głos uwiązał mi w gardle na ostatnim słowie. Na szczęście nawet jeśli Parker to spostrzegł, nic nie powiedział. Unosząc wzrok na niewidoczny horyzont, dał mi przestrzeń na odzyskanie równowagi.

- Dzisiaj - oznajmił jakiś czas później - kiedy ojciec dostał email od mojego trenera z informacją, że odszedłem z drużyny piłki wodnej, stwierdził, że nie mam prawa w ten sposób sobie z niego żartować. Powiedział, że poza nazwiskiem piłka wodna to jedna z niewielu rzeczy, które mogą przynieść mi chlubę, i że akurat z tego powodu jest ze mnie dumny.

Zaskoczenie, jakie ogarnęło mnie na wieść, że zrezygnował z udziału w drużynie, minęło, gdy usłyszałam o reakcji jego ojca. Moi rodzice na pewno byliby bardzo rozgoryczeni, gdybym wreszcie wyznała, że nie idę na studia, ale martwiliby się tym, jak moja decyzja odbije się na mnie, nie na nich.

- Wiesz, co by powiedział, gdybym oznajmił, że nie idę na studia? Że nie jest pewien, czy to dla mnie odpowiednia droga.

Nasze oczy spotkały się. Spodziewałam się, że zapłoną z gniewu, ale była w nich obojętność i smutek.

- Kazałby mi odejść i nie pokazywać mu się na oczy, dopóki nie przyniosłbym w zębach zaświadczenia, że złożyłem papiery i zostałem przyjęty do jednej z zatwierdzonych przez niego szkół. - Spojrzał na wodę. - Nie wiem, co jest gorsze. Dać się wykopać z domu... czy za bardzo bać się powiedzieć mu coś, czego nie życzy sobie usłyszeć. - Zawałał się. -

Możliwe, że jesteś najodważniejszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem, Vanesso.

- Szczerze mówiąc...

Przerwałam, bo jacht nagle uniósł się i opadł. Ruch był tak gwałtowny, że musiałam chwycić się poręczy, żeby nie spaść z dziobu. Chwilę później długa wąska motorówka przemknęła obok z rykiem i wypłynęła z portu. Mrużąc oczy, żeby dostrzec coś w ciemności, udało mi się rozszyfrować napis na rufie: „Zanurzyć się lub umrzeć”.

Wciąż kurczowo trzymałam się zimnego metalu, kiedy usłyszałam głucho stuknięcie, a włókno szklane pode mną zadrżało. Zmuszając się do oderwania wzroku od falującej wody, spojrzałam w kierunku, z którego dobiegł odgłos, i zobaczyłam Parkera ubranego już tylko w szerokie spodnie. Moje oczy powędrowały od nagiego torsu do koszulki, butów i skarpetek leżących u jego stóp, a potem na światła rozświetlające centrum miasteczka za nim.

- Co ty robisz? - zapytałam, jeszcze mocniej przywierając do barierki.

- Idę popływać.

- Przecież woda jest lodowata.

Zrobił krok w lewo, wchodząc w moje pole widzenia.

- Nie pływałem, odkąd odszedłem z drużyny. To jedyna rzecz, jakiej mi brakuje.

Wpatrywałam się w jego oliwkową skórę. Z każdym uderzeniem serca przed oczami wybuchały mi białe plamy.

Na szczęście, skoro sama najwyraźniej nie potrafiłam odwrócić wzroku, Parker sam usunął mi się sprzed oczu. Uwolniona, puściłam barierkę, wstałam i ruszyłam tyłem, a moje tenisówki zapiszczały na włóknie szklanym pokładzie.

- Lepiej już pójde - oznajmiłam, wlepiając wzrok w jego tors, kiedy odwrócił się w moją stronę. - Zrobiło się późno.

- Dopiero ósma.

- Simon, mój chłopak, lada chwila będzie do mnie dzwonił. Nie chcę przegapić jego telefonu.

- No dobrze, ale zaczekaj - powiedział Parker, ruszając w ślad za mną. - Odprowadzę cię do samochodu.

- Nie trzeba!

Zatrzymał się. Wreszcie uniosłam wzrok na jego twarz, która zastygła w wyrazie dezorientowania.

- Dam sobie radę - mówiłam dalej, próbując nadać głosowi swobodny ton. - Dzięki za pizzę. Do zobaczenia w szkole.

Obróciłam się na pięcie, szybkim krokiem zesłam z dziobu i przeskoczyłam nad

łańcuchem. Dopiero w połowie pokładu, kiedy nabrałam pewności, że Parker już nie może mnie zobaczyć, zerwałam się biegiem do schodków. Po dotarciu do rampy schodzącej do doku usłyszałam plusk dobiegający od strony dziobu.

Wstrzymałam oddech i nasłuchiwałam. Pluskania wody od wymachów ramionami i uderzeń nogami.

Niczego nie dosłyszałam. Nawet ślad pozostawiony na wodzie przez motorówkę zanikł, a jacht, który zaledwie kilka sekund wcześniej kołysał się przy przystani, teraz stał nieruchomo.

Przed oczami stanęły mi czarne, wytłuszczone litery układające się w napis „Zanurzyć się lub umrzeć” niczym zakrzywiony palec wiedźmy przywołujący naiwnych pływaków. Pomyślałam o nurkach, którzy przypadkiem odkryli lodowy grobowiec. Poczułam ucisk w żołądku, taki sam jak wtedy, gdy Parker wyciągnął mnie z rzeki.

- Nie rób tego - powiedziałam cicho, zstępując z rampy. - Nic mu nie będzie. Po prostu zostaw go i wszystko inne w spokoju.

Nie usłuchałam. Nie mogłam. I znów znalazłam się na dziobie - szybciej, niż dotarłam do rampy.

- Parker? - wyszeptałam, lustrując ciemną powierzchnię wody. - Parker? - Spróbowałam znowu, tym razem głośniej.

Miałam zamiar pobiec do kabiny, żeby poszukać latarki, kiedy kątem oka dostrzegłam coś długiego i płaskiego: unosząc się na powierzchni, oddalało się od jachtu w kierunku przystani niczym kawałek dryfującego drewna.

Dopadłam do burty i wychyliłam się przez barierkę, żeby lepiej się przyjrzeć. Ledwie dostrzegając profil Parkera, puściłam się pędem wzdłuż pokładu, zerwałam ze ściany koło ratunkowe z napisem „Bostończyk” i podbiegłam z powrotem do bocznej barierki. Woda była równie czarna jak niebo, ale wyobraziłam sobie, że lśni podświetlona wysokimi snopami światła wystrzelającymi z głębin ku niebu, jak podczas ostatecznego ataku syren ubiegłego lata. Potem, wzywając atletyczne zdolności Justine i wykorzystując całą siłę ramion, zamachnęłam się i cisnęłam koło ratunkowe przed siebie.

Wylądowało z pluskiem parę metrów od Parkera. Nie poruszył się.

Wiesz, jak to jest unosić się na plecach na powierzchni jeziora, kiedy woda na przemian zakrywa i odsłania uszy? Tak, że przez pół sekundy słyszysz wszystko, a już chwilę później dochodzące zewsząd dźwięki stają się jakby wytłumione? Czujesz się trochę jak zawieszona między dwoma światami.

Simon. Tak właśnie opisał oddziaływanie Zary na niego, kiedy znaleźli się sami w

lesie... i zdawało się, że tego samego doświadcza Parker. W lodowatej wodzie. Która mogła go zabić, jeśli coś innego nie zabije go wcześniej.

- Parker - syknęłam.

Nic.

Chwytając się barierki, przyjrzałam się wodzie w poszukiwaniu snopów światła, znaków życia pod jej gładką taflą. Jeżeli Parker znajdował się pod urokiem syren, to co by się stało, gdybym wskoczyła do wody za nim? Byłam na tyle dobrą pływaczką, by umknąć jednej syrenie, ale gdyby było ich więcej... stałabym się bezbronna.

Ochrona. Prawdopodobnie wciąż jeszcze kręcili się po parkingu, kontrolując, czy nic złego nie dzieje się na pokładzie „Bostończyka”. Mogłabym ich odszukać i powiedzieć prawdę - że Parker postanowił popływać i możliwe, że coś mu się stało - a później pozwolić, żeby się tym zajęli. Ale rzecz jasna, gdyby nie zadziałali dość szybko albo gdyby syreny okazały się zbyt potężne, wówczas wszyscy trzej...

Mój wzrok zatrzymał się na płacie spienionej wody.

Zniknął. Leżał tam, sztywny i nieruchomy niczym trup... a potem zrobił koziołka i zniknął, nurkując w głębiny głową naprzód.

- O nie! - Nie odwracając wzroku, zsunęłam tenisówki, zdjęłam kurtkę i bluzę. - Nie, nie, n i e!

Zawahałam się tylko przez chwilę, zanim zdjęłam dżinsy i odrzuciłam je na bok. Rozebrana do koszulki, stanika i majtek, przestąpiłam przez barierkę, stanęłam na najwyższym szczeblu drabinki, po czym zeszłam niżej. Palce stóp sterczały nad wodą, a dłonie zaciśnięte na barierce za plecami stawały się coraz bardziej śliskie. Zamknęłam oczy, wciągnęłam w płuca wilgotne, słone powietrze i wyobraziłam sobie Parkera bandażującego moje kolano w altance w bostońskim parku.

Skoczyłam.

Gwałtowny zastrzyk soli podziałał na mnie elektryzująco, ale czerń wody była nieprzenikniona. Mogłabym tak pływać godzinami, ale skoro nie widziałam przed sobą własnych rąk, jak miałam odnaleźć Parkera?

Zanurzyłam się i wykonałam salto, i już miałam podплыnąć do powierzchni, kiedy coś chwyciło mnie za kostkę.

Mój krzyk uformował się w oślepiającą chmurę bąbelków. Wierzgałam i szamotałam się, ale cokolwiek się mnie uczepliło, nie chciało puścić. Wciągnęło mnie parę metrów głębiej, zanim zwolniło uścisk. Kiedy odzyskałam swobodę, podплыnęłam do powierzchni i dryfując na brzuchu twarzą w dół, przeskanowałam wzrokiem głębiej, spodziewając się wypatrzeć



Rainę, Zarę albo inne syreny z Winter Harbor.

Byłam tak skupiona na wodzie pode mną, że nie zauważyłam ciała tuż przed sobą, dopóki głową nie uderzyłam w klatkę piersiową, a czyjeś ramiona nie zamknęły się wokół moich.

Walczyłam, próbując wyrwać się z uścisku, ale to nie miało sensu. Po kilku sekundach moja głowa znalazła się znów na powierzchni.

- Parker! - Spróbowałam go od siebie odepchnąć. Tym razem wypuścił mnie z objęć. - Co ty wyprawiasz?

- Co ja wyprawiam? - Wypłuł wodę, przetarł oczy i odsunął z czoła mokre kosmyki włosów. - Co ty wyprawiasz? Najpierw pryskasz stąd, jakby cię gonili, potem wracasz i rzucasz się do wody, po czym praktycznie idziesz na dno. Gdyby mnie tam nie było...

- Wcale nie idę na dno - oburzyłam się, zanim do mnie dotarło, dlaczego mógł tak pomyśleć. W przeciwieństwie do innych pływaków nie potrzebuję wypływać na powierzchnię, żeby zaczerpnąć tchu... i nie wynurzyłam się, zanim mnie chwycił. Musiał uznać, że jestem pod wodą za długo. - Przecież wskoczyłam do wody, bo to ty zniknąłeś!

Kiedy mówiłam, potrząsnął głową, otworzył usta, gotów odeprzeć mój argument... ale nagle znieruchomiał.

- Myślałaś, że coś mi się stało?

Zamachnęłam się i podpłynęłam w kierunku jachtu.

- Nieważne.

Natychmiast znalazł się przy mnie.

- Dla mnie to jest ważne. To znaczy nic mi się nie stało, po prostu zmarzłem, pływając na plecach, i postanowiłem się zanurzyć, żeby rozgrzać mięśnie, ale...

Mówił dalej, ale ja już go nie słyszałam. Przestałam płynąć, żeby chwycić się za głowę, bo nagle poczułam, jakby dostała się między śruby napędowe łodzi. Zaczęłam tonąć. Ból był tak intensywny, że nie mogłam odpychać się nogami i oddychać równocześnie.

Gdyby nie Parker, który podpłynął do mnie i zanurkował, żeby otoczyć mnie ramieniem na wysokości klatki piersiowej i podeprzeć bark, poszłabym na samo dno portowych wód.

- Dam radę - wydyszałam, kiedy dotarliśmy do drabinki przy burcie jachtu.

Myliłam się. Czekał w wodzie, kiedy podjęłam próbę wspinaczki, ale gdy tylko moja stopa ześlizgnęła się z pierwszego szczebelka, znalazł się tuż przy mnie. Wspięliśmy się po drabinie w taki sam sposób, w jaki do niej dopłynęliśmy: otoczona jego ramieniem i wsparta na nim tak, by krok po kroku móc pokonać kolejne stopnie.

Gdy znaleźliśmy się na pokładzie, jedno ramię podłożył mi pod plecy, drugie wsunął pod kolana i uniósł mnie lekko.

- Nic mi nie jest - wycedziłam, kiedy niósł mnie przez pokład, w pełni świadoma, jak nieprzekonująco brzmią moje zapewnienia. - Naprawdę. To tylko przejściowy ból głowy.

- Proszę cię, po prostu nic nie mów. I pozwól mi robić swoje.

Byłam zbyt zmęczona, żeby polemizować. A zresztą, pominąwszy ból pulsujący pod czaszką, cała ta sytuacja nie okazała się dla mnie tak całkiem nieprzyjemna. Parker był przejęty, opiekuńczy. Zupełnie jak ktoś, kogo znałam.

To właśnie powtarzałam sobie później, rozmyślając, co sprawiło, że nie protestowałam, kiedy zaniósł mnie do kabiny i ostrożnie położył na łóżku. Mimo że znaleźliśmy się w sypialni. W kajucie łodzi. Nocą. We dwoje.

- Przyniosę aspirynę - powiedział cicho Parker.

Zamknęłam oczy i spróbowałam zebrać myśli. Stopniowo ból ustępował. Kiedy po chwili Parker wrócił, mogłam już wyprostować się na tyle, żeby łyknąć tabletkę i popić wodą.

- Może powinnaś zdjąć to z siebie - zaproponował, gdy oddawałam mu pustą szklankę. Unikając mojego wzroku, skinął na przemoczoną koszulkę i położył kupkę suchych ubrań na nocnym stoliku obok łóżka.

- Dzięki - odparłam. - Czy mógłbyś...?

Nie musiałam kończyć pytania, żeby zrozumiał. Szybko wyszedł, z wyczuciem zamykając za sobą drzwi.

Ponieważ ból głowy zdecydowanie zelżał, zdjęłam mokre ubranie i wciągnęłam na siebie dzinsy i bluzę z logo bostońskich Red Soksów, które Parker przyniósł z pokładu. Wślizgnęłam się pod koc, a kiedy zapukał, pozwoliłam mu wejść.

Powoli otworzył drzwi, jakby w obawie przed tym, co mógłby zastać. Widząc, że jestem przykryta po samą szyję, rozluźnił się i sięgnął po myjkę leżącą na stosie ręczników odłożonych wcześniej na biurko, po czym ostrożnie przysiadł na brzegu łóżka.

- Jest trochę zimna - stwierdził.

- W porządku.

Przyłożył myjkę do mojego czoła, skroni i policzków. Kiedy zbliżył ją do podbródka, uniosłam lekko głowę, a on otarł mi szyję z lewej i z prawej strony. Przyjemnie było czuć chłód materiału na skórze. Zamknęłam oczy i próbowałam ignorować poczucie winy kłębiące się w głębi żołądka.

Bo przecież nie robiłam nic złego. Parker po prostu postępował po przyjacielsku. Nawet gdyby sprawy między mną a Simonem układały się doskonale, nadal mogłabym mieć

kolegów, zwłaszcza takich, na których nie działał mój urok.

- Najlepiej będzie, jeśli sobie odpoczniesz, a ja wrzucę te rzeczy do suszarki - zaproponował, wskazując głową na moje mokre ubrania leżące na podłodze. - A potem zabiorę cię do domu, dobrze?

- Nie.

Uniósł wzrok, zdziwiony.

Nie tylko jego zaskoczyła moja reakcja.

- Nie mógłbyś przez chwilę tu ze mną posiedzieć? - Ledwie mogłam uwierzyć, że te słowa wyszły z moich ust. - Ubrania same wyschną.

Uznałam, że podobnie jak ja, będzie wolał nie zostawać sam. I najwyraźniej miałam rację. Rozwiesił moje mokre ubrania na gałce u drzwi i na oparciu krzesła, a ja odsunęłam się, żeby mógł usiąść obok.

On też zdążył się przebrać, ale nadal czułam chłód bijący od jego skóry kilka centymetrów ode mnie. Nie odezwał się, ja też milczałam i wkrótce ogarnęło mnie rozluźnienie, oddech stał się bardziej miarowy i przestałam się martwić, czy to, co robię, jest nie w porządku.

Następna rzecz, jaką pamiętam, to wczesnoporanne słońce przedzierające się przez szpary w roletach na oknie nad łóżkiem. Parker był dokładnie w tym samym miejscu, w którym ułożył się kilka godzin wcześniej, z tym że teraz leżałam zwinięta w kłębek u jego boku, obejmując ramieniem jego brzuch. Jego ramię z kolei otaczało moją talię, a ręka spoczywała na moim biodrze.

Uniosłam głowę i zerknęłam ponad nim na stolik nocny, gdzie wystający z torebki telefon mrugał na czerwono. Ostrożnie, by nie zbudzić Parkera, który oddychał głęboko, powoli wyciągnęłam rękę, chwyciłam telefon i otworzyłam klapkę.

„V., jestem w domku nad jeziorem. Gdzie ty jesteś?? Proszę, napisz albo zadzwoń. Simon”.

- Odezwi się - zapewniła Paige, otwierając drzwi do „Bostońskiej Świeżo Palonej” w następny poniedziałek.

- Już się odezwał - odparłam. - Dwa razy przychodząc pod sam dom, osiemnaście razy przez telefon. A ja to przegapiłam.

- Ciągle nie mogę uwierzyć, że wszystko to przespałaś. Musiałaś być wykończona.

I rzeczywiście byłam, choć Paige nie знаła prawdziwych powodów zmęczenia - nie wiedziała też, gdzie spędziłam noc, kiedy Simon usiłował się ze mną spotkać. Zauważyła, że jestem jakaś dziwna, gdy nieco później tamtego ranka przyjechałam od Parkera do niej do domu, więc opowiedziałam jej o wizytach Simona w domku, wiadomościach na poczcie głosowej i SMSach. Ale powiedziałam też, że niczego nie słyszałam, bo wcześniej położyłam się spać we własnym pokoju, a nie dlatego, że pływałam i tuliłam się do słynnego podrywacza z Hawthorne.

Przyczyny, dla których spotkałam się z Parkerem, były całkiem zrozumiałe, ale nie umiałam znaleźć żadnego logicznego wyjaśnienia, dlaczego spędziłam u niego noc, poza dziwnym prostym faktem, że po prostu tego chciałam.

- Przeprosił cię, prawda? - zapytała Paige. - Że nie odezwał się od razu?

- Tak, ale kiedy nie odpowiedziałam, posypały się wiadomości, najpierw pełne niepokoju, potem rozpaczliwe. A kiedy próbowałam oddzwonić, nie odebrał i od tamtej pory nie starał się ze mną skontaktować.

- No dobrze, to jak już odbierze, przeprosisz go i wyjaśnisz, co się stało. Nic wielkiego. - Paige odstąpiła na bok, żeby mnie przepuścić. - Prawdziwych bratnich dusz nie rozdzieli.

Przestępując przez próg kawiarni, zamierzałam odpowiedzieć na jej uśmiech, ale moje usta nie chciały współpracować. Bo ja już przeprosiłam. Podałam Simonowi nie całkiem zgodne z prawdą, ale i niekłamliwe wyjaśnienie. Usiłowałam skontaktować się z nim dziesiątki razy, odkąd po przebudzeniu odczytałam jego pierwszą wiadomość. Ale kiedy zadzwoniłam, od razu odezwała się poczta głosowa. Od dwóch dni wysyłałam wiadomości, na które nie odpowiedział. A zatem wychodziło na to, że bratnie dusze da się rozdzielić, czystą głupotą.

- Umieram z głodu. - Paige opuściła plecak na blat pustego stolika i ruszyła w stronę

lady. - Masz na coś ochotę?

- Ja stawiam - rzuciłam szybko. - W końcu wczoraj prowadziłaś przez całą drogę do domu.

- Nie musisz się za to odwdzięczać, ale skoro nalegasz, rosółek z kury wydaje się rozsądną rekompensatą.

Wróciła do stolika, a ja podeszłam do lady. Sama zaproponowałam, żebyśmy przyszły tu na lunch, a ponieważ zjawiłyśmy się podczas pierwszej przerwy śniadaniowej znaczyło to, że dochodziła dopiero jedenasta. Wczesnoporanna fala głodnych klientów nie pozostawiła po sobie śladu, a na popołudniowy zastrzyk kofeiny było za wcześnie. Jeszcze nigdy nie byliśmy tu o tej porze i ucieszyłam się, widząc, że kawiarnia jest prawie pusta, a personel zajęty napełnianiem cukierniczek i podajników na serwetki.

Była to doskonała okazja do konfrontacji z moim tajemniczym wybawcą serwującym koktajle z morskich glonów.

- Przepraszam - zagadnęłam jedyną osobę z obsługi, która stała za ladą zwrócona do mnie plecami. - Czy Willa jest dzisiaj w pracy?

- A czy słońce świeci na niebie? - odrzekła ciepło kobieta, obracając się w moją stronę. - Czym mogę służyć?

Wzrok utkwiała w podajniku na serwetki, który trzymała w dłoniach, więc skorzystałam z chwili nieuwagi, by się jej lepiej przyjrzeć. Była szczupła, mniej więcej mojego wzrostu, miała na sobie brązowy fartuch, a pod nim workowate spodnie khaki i luźną białą bluzkę z guzikami. Jej włosy były wetknięte pod brązową baseballówkę z logo kawiarni. Dłonie miała blade, pomarszczone i pokryte pierwszymi plamami wątrobowymi. Drżały, kiedy zmagala się z podajnikiem.

- Może pomogę? - zaproponowałam.

- Nie trzeba, chyba sobie.. - Podniosła wzrok. Nasze oczy się spotkały. Podajnik wyslizgnął się jej z rąk i z łoskotem upadł na podłogę.

Z dudniącym sercem pospieszyłam na drugą stronę lady, żeby pomóc posprzątać. Jednak pierwszy dotarł do niej ktoś z obsługi; oboje przykucnęli i zabrali się do zbierania serwetek. Wycofując się, próbowałam wyłowić coś z ich szeptów, ale trzeci pracownik postanowił akurat puścić głośniej muzykę płynącą z głośników pod sufitem.

- Och, przepraszam. - Willa wstała i otrzepała dłonie o fartuch. - Od kofeiny trzęsą mi się ręce. Takie są skutki picia darmowej kawy w nadmiernych ilościach.

- Nic się nie stało - zapewniłam.

Wzięła głęboki oddech i posłała mi uśmiech. Jej twarz potwierdzała to, co mówiły

dłonie: miała swoje lata. Była przynajmniej trzy razy starsza od pozostałych pracowników - w większości studentów. Jej policzki się zapadły, a czoło poprzecinały płytkie zmarszczki. Brązowe oczy wyglądały spod bladych, opadających powiek.

- Czego sobie życzysz? - zapytała, przecierając blat. - Cappuccino? Espresso? Mamy dziś doskonałą tartę, prosto z pieca.

- Brzmi wspaniale. Poproszę jeden kawałek tarty, do tego rosół i dwie mrożone herbaty.

- Już się robi.

Obserwowałam, jak znika w kuchni, po czym zerknęłam przez ramię. Paige siedziała przy stoliku i czytała gazetę. Czekałam, aż podniesie wzrok, żebym mogła dać znak, że zaraz dostanie zupę, ale była zbyt pochłonięta czytaniem.

- Przepraszam, jesteś modelką? - zapytał jakiś facet siedzący trzy stołki dalej, gdy się obracałam.

- Nie - odparłam, zbyt zdenerwowana, by się zastanawiać, czy odpowiadać, czy go zignorować.

- Niemożliwe. - Oparł łokieć na ladzie, a na dłoni wsparł policzek. - Mam wrażenie, że już cię gdzieś widziałem. Może na billboardach. W pięknych sukienkach. Wspaniałomyślnie dzielącą się swoją urodą z mieszkańcami Bostonu.

Przechyliłam się ponad ladą, próbując zerknąć w głąb kuchni.

- Chociaż nie, jesteś zbyt piękna jak na pracę w katalogach reklamowych. Może pracujesz na wybiegu?

- Nie jestem modelką - powtórzyłam, zwracając się do niego. - Uczę się. To wszystko. Zmarszczył brwi i opadł na krzesło.

- No cóż. Wielka szkoda.

Miałam zamiar przeprosić go za opryskliwość - w końcu to nie była jego wina, że czuł do mnie pociąg - ale darowałam sobie, słysząc dobiegające z kuchni głosy. Podniesione, pełne niezadowolenia. Towarzyszył im odgłos trzaskających drzwi.

Dwie minuty później pojawił się pracownik kawiarni z zaczerwienioną twarzą i zaciśniętymi pięściami. Chwilę po nim z kuchni wyłoniła się Willa niosąca okrągłą tacę. Jeżeli nawet była zamieszana w sprzeczkę na zapleczu, nie dała tego po sobie poznać.

- Bardzo proszę. - Postawiła tacę tuż przede mną. - Czy mogę podać coś jeszcze?

Pociągnęłam mały łyżeczek mrożonej herbaty z jednej ze szklanek. Kiedy poczułam gorzki smak, spróbowałam drugiej.

- Tu nie ma soli.

- Słucham?

- W mojej herbacie. - Nachyliłam się do niej i ściszyłam głos. - Ostatnim razem dodała pani do mojej mrożonej herbaty soli.

Jej puszyste białe brwi uniosły się.

- Czyżby? Najmocniej przepraszam, musiałam pomylić ją z cukrem. Proszę. - Przykucnęła i sięgnęła po coś spod lady.

- Następny napój będzie na koszt firmy.

Zerknęłam na kupon na darmowy napój, ale nie podniosłam go.

- A co z glonami? - zapytałam.

- Że co proszę? - Przysunęła złożoną w muszelkę dłoń do ucha.

Moje serce łomotało teraz z prędkością miliona uderzeń na minutę, nie z powodu zdenerwowania, tylko dezorientacji.

224

- Kiedy byłam tu ostatnio, pani współpracownik podał mi zielony napój w małym kieliszku. Powiedział, że to na pani koszt i że jego zdaniem to trawa pszeniczna. - Umilkłam na chwilę, by dać jej czas na przetrawienie tych słów, po czym dodałam: - Ale tamten napój był gorzki. I słony. Coś jak koktajl z morskich glonów.

Kiedy przywołałam to zdarzenie, twarz kobiety pozostała bez wyrazu. Dopiero kiedy skończyłam mówić, jej oczy nieznacznie się rozszerzyły.

- Ach taaak, teraz już pamiętam. Czasami sprzedawcy przysyłają nam nowe produkty do wypróbowania, a wtedy testujemy je na klientach. W zeszłym tygodniu dostaliśmy pudełko organicznych napojów energetycznych. To musiało być to.

- Ale chłopak z obsługi podkreślił, że to specjalnie od pani. Powiedział, cytując: „od mojej przyjaciółki Willi”.

- Hej, Marty! - zawołała.

Facet, który zaczepiał mnie przy ladzie, podniósł wzrok.

- Kto jest twoim najlepszym przyjacielem w tej kawiarni?

- To jasne, że spryciula Willa, a któżby inny - odparł z szerokim uśmiechem.

Znów zwróciła się do mnie.

- Jestem tu od bardzo dawna. Mam mnóstwo przyjaciół.

Otworzyłam usta, by zadać kolejne pytanie, ale jedyne, co mi przyszło do głowy, to myśl o tym czy mogłam się pomylić. Willa dość jasno wyraziła swoje zdanie na ten temat, więc nie było sensu dalej drążyć.

- Dziękuję - wymamrotałam, zostawiając na ladzie kupon na darmowy napój, ale

zabierając tacę.

- Vanesso.

Teraz moje serce niemal zamarło. Opuściłam wzrok na bladą, pomarszczoną dłoń uczeptioną mojego rękawa.

- Dobrze się czujesz? - zapytała cicho Willa.

Podniosłam oczy, które napotkały jej spojrzenie.

- Skąd znasz...

- Dobrze?

Pokiwałam głową.

- Chyba tak.

Zacisnęła palce na moim ramieniu, po czym zwolniła uścisk. Stałam nieruchomo, jak wryta w ziemię, dopóki Willa nie zniknęła w kuchni.

- O mój Boże - jęknęła cicho Paige, kiedy dołączyłam do niej przy stoliku. - Pamiętasz tamten wypadek? Z autobusem?

- Tak - odparłam, ledwie słysząc, co mówi.

- Pamiętasz całe to zamieszanie z ustalaniem miejsca pobytu kilku osób, które miały być w autobusie? Bo nie każdego odznaczono na liście pasażerów?

- No tak. - Zerknęłam na bar, potem na wejście do kuchni.

- Teraz już wszystko jasne.

Paige podstawiła mi przed oczy „Globe”. Wielkiego nagłówka nie sposób było przeoczyć: „Ciała czterech zaginionych zawodników uniwersyteckiej drużyny sportowej z Bostonu znalezione na »Logan«,„

- Na lotnisku „Logan”? - zdziwiłam się.

- Unosiły się na wodzie w porcie przy końcu pasa startowego. Dwóch pilotów zobaczyło je zeszłej nocy.

Wzięłam do ręki gazetę i szybko przerzuciłam strony.

- Pisali coś o ich wyglądzie? Kiedy ich znaleziono? Czy oni się...

- Nie - urwała Paige. - Nie ma nic na ten temat.

Lekko odetchnęłam. Gdyby na twarzach zawodników zastygł uśmiech, w artykule na pewno by o tym wspomniano. Był to zbyt groteskowy widok i zbyt cenny szczegół, żeby go pominąć. Złożyłam gazetę i wsunęłam pod tacę z naszym lunchem, poza zasięgiem wzroku.

- Kiedy spotkałaś się z Betty w ten weekend, nie wspominała czasem, czy...?

Paige sięgnęła po mrożoną herbatę z ćwiartką cytryny na krawędzi szklanki.

- Nie wspominała, czy... nie dzieje się coś... dziwnego? Albo czy słyszy coś, czego



słyszeć nie powinna?

Chwyciła cukierniczkę, uniosła nad szklanką i przechyliła, patrząc, jak biały proszek wpada strużką do płynu.

- Przepraszam - powiedziałam - wiem, że to przykry temat. Chciałam tylko...

- Nie uważasz, że gdyby było coś, o czym powinnaś wiedzieć, powiedziałabym ci?

Opadłam na oparcie. Paige nigdy wcześniej nie odezwała się do mnie w ten sposób.

Na jej twarzy natychmiast pojawił się wyraz zażenowania.

- Przepraszam. Idiotka ze mnie. Miałam po prostu ciężki weekend. Wczoraj w samochodzie mówiłam ci, że Betty była emocjonalnie rozedrgana, przez co i ja miałam wszystkie emocje na wierzchu... chyba po prostu nie jestem gotowa, żeby o tym rozmawiać.

- Nie musimy o niczym rozmawiać. To ja jestem idiotką. Widzisz, kiedy dzieją się tego typu rzeczy, moje myśli automatycznie idą w tamtym kierunku. - Wskazałam głową róg gazety wystający spod tacy. - Nawet jeśli to głupie i nielogiczne. Nic na to nie poradzę.

Odgłos tłuczonego szkła sprawił, że obie podskoczyłyśmy. Przypomniawszy sobie o rękach Willi trzęsących się od kofeiny i o tym, jak z tego powodu upuściła pojemnik na serwetki. Wstałam gotowa pomóc jej pozbierać to, co upadło tym razem, i zażądać wyjaśnień, skąd zna moje imię.

Ale hałasu nie narobiła Willa. To był chłopak z obsługi. Ten sam, który zaserwował mi kieliszek morskich glonów.

- No pięknie - mruknął, wyrzucając ręce w górę. - Jeszcze tego brakowało. Jakby mało było kłopotów z pracownikami urywającymi się w środku zmiany z powodu nagłej sytuacji rodzinnej.

Mamrocząc pod nosem, chwycił miotłę i zabrał się za zamiatanie. Rozejrzałam się po głównej sali, podeszłam do lady i zmierzyłam ją wzrokiem. Potem zerknęłam w głąb kuchni.

Willi tam nie było. Byli za to wszyscy pozostali pracownicy, których widziałam od naszego przyjścia.

- Vanesso? - zawołała Paige, kiedy ruszyłam w stronę drzwi. - Gdzie ty się wybierasz?

- Za moment wracam - rzuciłam przez ramię.

Wyszłam na chodnik i rozejrzałam się na lewo i na prawo.

Willi nigdzie nie było, ale spostrzegłam wąską alejkę prowadzącą wzdłuż budynku. Wpadłam między brudne ceglane ściany i ruszyłam biegiem przed siebie. Wąska jezdnia prowadziła od sklepików usytuowanych po jednej stronie ulicy do tych na jej tyłach, ale wysokie ogrodzenia nie pozwalały dojrzeć zaplecza „Bostońskiej Świeżo Palonej”. Biegłam przed siebie, mijając kubły i kontenery na śmieci, aż wypadłam na chodnik. Ignorując pełen

zachwytu uśmiech mężczyzny w średnim wieku, który mył okna pizzerii znajdującej się obok, skręciłam w lewo i omal nie poturbowałam innego mężczyzny.

Stał tyłem do mnie, jednak natychmiast rozpoznałam kędzierzawe posiwiałe włosy powiewające wokół głowy i rąbek czerwonego wełnianego swetra wystający spod marynarki.

Tato był w centrum miasta. W środku dnia. Choć przy śniadaniu tego ranka opowiadał o swoim fascynującym wykładzie na temat Thoreau, który miał poprowadzić o dziesiątej. Jego wykłady zwykle trwały co najmniej godzinę, a teraz było zaledwie kilka minut po jedenastej. Nawet gdyby skrócił wykład, nie było szans, by dotarł tutaj aż z Newton w tak krótkim czasie.

Już miałam go poklepać po ramieniu, kiedy podniósł rękę i pomachał do kogoś przed sobą. Szłam, trzymając się kilka metrów za nim, blisko budynków, żeby móc zanurkować w którąś z bram, gdyby nagle obejrzał się za siebie.

Pewnie umówił się z mamą, pomyślałam. Albo z kimś z pracy. Musiało mu wypaść jakieś niezapowiedziane spotkanie.

Gdy w końcu przystanął, znajdowałam się na wysokości butiku z ubraniami w stylu vintage. Na chodniku przed sklepem stał długi wieszak pełen zimowych kurtek. Zdjęłam różową dwurzędówkę i uniosłam przed sobą, zasłaniając twarz i korpus, po czym wyjrzałam zza kurtki. Grupa ludzi czekających na autobus przysłaniała mi widok, ale pośród przesuwających się głów i ramion udało mi się coś wyłowić.

Uścisk. Pocałunek w policzek. Dwa kubki kawy ze „Świeżo Palonej”.

Jeden dla niego.

Drugi dla Willi.

Chciałam krzyknąć. Chciałam podbiec do nich, odepchnąć od siebie i zażądać wyjaśnień. Jednak z chwilą gdy uzmysłowiłam sobie, z kim się spotkałam, poczułam suchość w ustach. Nogi trzęsły się pod mną. Uchwyciłam się wieszaka z ubraniami, żeby się uspokoić, a kiedy znów podniosłam wzrok, już ich nie było.

Pomyślałam o skrzynce emailowej ojca, o inicjałach osoby, do której pisał każdego dnia.

„W.B.D.”. Czyżby „W.” było skrótem od „Willa”?

Ich szybkie zniknięcie pozwoliło mi przez resztę dnia spokojnie zaplanować, co mu powiem. Po szkole, kiedy Paige została na dodatkowych zajęciach z matematyki, poszłam do domu z postanowieniem, że dowiem się tego, co rodzice ukrywali przede mną od siedemnastu lat, a czego być może nie zdecydowaliby się nigdy wyjawić, gdybym sama wcześniej nie odkryła części prawdy.

- Tato jest w swoim gabinecie? - Trzasnęłam wejściowymi drzwiami i cisnęłam plecak na kanapę. Przez drzwi do jadalni widziałam mamę siedzącą u szczytu stołu. - Muszę z nim porozmawiać.

Żadnej odpowiedzi.

- Mamo? - Byłam gotowa ruszyć szturmem w przeciwnym kierunku, ale coś w jej posturze mnie zatrzymało. Plecy miała wyprostowane, jakby połknęła kij, głowę kompletnie nieruchomą.

Zmierzałam w jej stronę, czując, jak opuszcza mnie spokój, który udało mi się osiągnąć w ciągu dnia. Czyżby wiedziała? Że tato okłamał ją, mówiąc, dokąd się wybiera dziś rano... i może w tak wielu innych sprawach?

- Mamo?! - zawołałam raz jeszcze, stając tuż za nią.

Nadal nic. Siedziała wpatrzona w obrazy wyświetlane na ekraniku małego telewizora stojącego na blacie. Pochylając się, żeby lepiej widzieć, położyłam dłoń na jej ramieniu.

- Vanesso! - Podskoczyła na krześle. - Nie zakradaj się więcej w taki sposób!

Wyprostowałam się, chwytając za galopujące serce.

- Wcale się nie zakradam. Trzasnęłam drzwiami. Zawołałam cię dwa razy. Nie słyszałaś mnie.

- Ach tak. - Twarz mamy zdradzała konsternację, która zniknęła prawie natychmiast, a

w jej miejsce pojawił się szeroki uśmiech. - Zrobiłam dziś coś najwspanialszego. Spójrz. - Podniosła ekranik, który okazał się przenośnym odtwarzaczem DVD. - Rozpoznajesz którąś z tych osób?

- Georgea Clooneya? - zapytałam, krzywiąc się.

- Możesz sobie odpuścić te komplementy, przynajmniej do czasu, aż nie będzie z nami twojego ojca.

- To jest tato? - Mężczyzna o ciemnych włosach wyglądał zbyt młodo jak na mojego ojca. Miał też na sobie pelerynę i wampirze kły.

- I ja. I ty. I mnóstwo naszych przyjaciół.

Film z imprezy rodzinnej. Musiał mieć - a wskazywały na to jakość nagrania i nasz wygląd - co najmniej piętnaście lat.

Mama odstawiła odtwarzacz na stół.

- W Cambridge jest taka firma, która przegrywa kasety VHS na płyty. Znalazłam w piwnicy pudło starych taśm z domowymi filmami i zleciłam ich przegranie.

- To świetnie - przyznałam, myśląc, że to krok naprzód. Być może oglądanie starych filmów z Justine pomoże jej skonfrontować się ze stratą i zacząć wreszcie normalnie o tym rozmawiać.

- Byłaś wtedy jeszcze brzdącem, więc pewnie nie pamiętasz, ale przez całe lata razem z twoim ojcem organizowaliśmy najlepsze imprezy Halloween w tej części Bostonu.

- Dlaczego przestaliście? - zapytałam.

- Mnie wciągnęła praca. Wy, dziewczynki, zaczęłyście dorastać. Ale twoja siostra zawsze je uwielbiała; narzekała, kiedy zarzuciliśmy tę tradycję. - Mama umilkła na chwilę, po czym posłała mi promienny uśmiech. - Pomyślałam, że fajnie byłoby zorganizować taką imprezę w tym roku. Mogłabyś zaprosić Simona, rzecz jasna, i kogo tylko byś chciała. To samo dotyczy Paige.

I wszystko stało się jasne. Mama nie odświeżała wspomnień, żeby przebrnąć przez teraźniejszość. Odświeżała je w nadziei na odtworzenie przeszłości.

Byłam zbyt zmartwiona, żeby spieszyć się wzmianką o Simonie.

- To chyba nie najlepszy pomysł.

Spojrzała na mnie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że to dość oczywiste, o co w tym wszystkim chodzi. I jeśli myślisz, że poczujesz się lepiej, robiąc to, co uszczęśliwiało Justine...

- Twój ojciec jest w swoim gabinecie - przerwała. - To jego szukałaś, kiedy przyszałaś,

prawda? Nie mnie.

Powoli wycofałam się, dopiero teraz spostrzegając pudełko chusteczek obok jej dłoni i - wilgotne kulki papieru higienicznego walające się po całym stole.

- Masz rację. Przepraszam.

W miarę jak zbliżałam się do gabinetu ojca, moje zaniepokojenie szybko ustąpiło miejsca złości. Cokolwiek działo się z mamą, wina leżała po jego stronie. Zachowanie mamy mogło zostać spowodowane śmiercią Justine, ale w końcu gdyby nie jego związek z Charlotte Bleu, mnie by tu nie było, Justine by żyła, a ona miałyby się dobrze. Nie dość, że wszystko zniszczył, to nadal nie robił nic, żeby pomóc mamie odzyskać równowagę.

Myśli te sprawiły, że strategia, jaką przygotowałam, polegająca na chłodnym, spokojnym zadawaniu pytań, pozostała teorią.

- Kim jest Willa?

Siedzący przed komputerem tato zakrztusił się tym, co właśnie wysączył z kubka.

Zamknęłam za sobą drzwi i wolnym krokiem podeszłam do biurka.

- Widziałam cię dziś w mieście. Miałaś mieć wtedy wykład.

- Vanesso - wycedził, czerwieniąc się na twarzy jak burak, po czym zabrał się do wycierania herbaty stertą papierów - usiądź, proszę, weź głęboki oddech i opanuj się, dobrze? Wtedy spróbujemy ustalić, co tak naprawdę widziałaś.

Usiadłam. W przeciwnym razie mogłabym go tylko udusić.

- Mama planuje spektakularne przyjęcie z okazji święta duchów. Takie jak za dawnych lat. A wiesz dlaczego?

Trzęsącymi się dłońmi wrzucał zalane papiery do kosza na śmieci.

- Bo próbuje poczuć bliższą więź ze swoją nieżyjącą córką.

- Zrobiłam pauzę, czekając, aż weźmie kolejny łyk herbaty.

- Swoją jedyną córką.

Tym razem kubek wypadł mu z rąk i uderzając o krawędź biurka, upadł na podłogę.

- To zabawne. Willi też wszystko leci z rąk. Pewnie to nie jedyne, co was łączy.

Westchnął.

- Kto ci powiedział?

- Raczej kto mi n i e powiedział!

Bez pośpiechu podniósł kubek, potem rozparł się w fotelu i skrzyżował ręce na brzuchu.

- Rozumiem twoją złość... ale musisz wiedzieć, że sytuacja jest bardzo skomplikowana.

- A ty musisz wiedzieć, że to dość ogólnie powiedziane. Uniósł ręce, jakby przyznawał mi w tej kwestii rację.

- To strasznie zagmatwane. Za co z całego serca cię przepraszam.

- Za co konkretnie? Za krzywdzenie mamy? Za okłamywanie Justine i mnie? Za zdawanie relacji z całego mojego życia w dziennych dawkach kompletnie obcej osobie?

Otworzył szeroko oczy.

- Skąd ty to...

- Czy za spotkanie się z inną kobietą? Teraz? Po tym wszystkim, co się stało?

- Vanesso - ostrzegł surowo, jakbym posunęła się za daleko. Wyprostował się w fotelu i pochylił w moją stronę.

- Nie spotykam się z Willą ani z nikim innym. Kocham twoją matkę. Kocham ją całym sercem od ponad dwudziestu lat. Gdyby tak nie było, poznałabyś prawdę dawno temu.

Poczułam ucisk w piersi.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że twoja matka... - Głos uwiązł mu w gardle, a głowa opadła na pierś. Chwilę później podniósł ją znowu. - Chcę powiedzieć, że pragnęła cię chronić. Nie chciała, żebyś cierpiała, wiedząc o czymś, co nie było twoją winą i czego nigdy nie mogłabyś zmienić.

- Czyli co? Naprawdę nie zamierzałeś mi powiedzieć? Nigdy? Dlatego, że o wiele lepiej dla mnie byłoby nie wiedzieć, kim naprawdę jestem?

- Nie tak odczytałaś moją intencję. Sądziłem... liczyłem na to, że odpowiednia chwila sama wreszcie nadejdzie. A kiedy już to się stanie... wszyscy zgodnie uznają, że powinnaś poznać prawdę.

Odwróciłam wzrok, próbując wyobrazić sobie, jak bym zareagowała, gdyby Simon chciał zrobić coś, czemu byłabym przeciwna. Czy postąpiłabym zgodnie z jego wolą, nawet gdybym sądziła, że to coś niewłaściwego? Dlatego, że moja miłość byłaby silniejsza niż jakiegokolwiek potencjalne następstwa?

Tak, pewnie tak bym postąpiła.

- Kim ona jest? - zapytałam chwilę później.

- Przyjaciółką. Znała Charlotte.

Uniosłam wzrok, by spotkać się z jego spojrzeniem. Po raz pierwszy słyszałam, jak wymawia jej imię na głos. Nawet przy tym nie mrugnął.

- Vanesso - ostrzegł surowo, jakbym posunęła się za daleko. Wyprostował się w fotelu i pochylił w moją stronę.

- Nie spotykam się z Willą ani z nikim innym. Kocham twoją matkę. Kocham ją całym sercem od ponad dwudziestu lat. Gdyby tak nie było, poznałabyś prawdę dawno temu.

Poczułam ucisk w piersi.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że twoja matka... - Głos uwiązł mu w gardle, a głowa opadła na pierś. Chwilę później podniósł ją znowu. - Chcę powiedzieć, że pragnęła cię chronić. Nie chciała, żebyś cierpiała, wiedząc o czymś, co nie było twoją winą i czego nigdy nie mogłabyś zmienić.

- Czyli co? Naprawdę nie zamierzałeś mi powiedzieć? Nigdy? Dlatego, że o wiele lepiej dla mnie byłoby nie wiedzieć, kim naprawdę jestem?

- Nie tak odczytałaś moją intencję. Sądziłem... liczyłem na to, że odpowiednia chwila sama wreszcie nadejdzie. A kiedy już to się stanie... wszyscy zgodnie uznają, że powinnaś poznać prawdę.

Odwrociłam wzrok, próbując wyobrazić sobie, jak bym zareagowała, gdyby Simon chciał zrobić coś, czemu byłabym przeciwna. Czy postąpiłabym zgodnie z jego wolą, nawet gdybym sądziła, że to coś niewłaściwego? Dlatego, że moja miłość byłaby silniejsza niż jakiegokolwiek potencjalne następstwa?

Tak, pewnie tak bym postąpiła.

- Kim ona jest? - zapytałam chwilę później.

- Przyjaciółką. Znała Charlotte.

Uniosłam wzrok, by spotkać się z jego spojrzeniem. Po raz pierwszy słyszałam, jak wymawia jej imię na głos. Nawet przy tym nie mrugnął.

- Często się z nią widzisz?

- Nie. Dzisiaj zobaczyliśmy się pierwszy raz od wielu lat.

- Przecież dopiero powiedziałaś, że jest twoją przyjaciółką.

- Utrzymujemy kontakt - wyjaśnił. - Ale się nie widzimy.

- Czy to do niej dzień w dzień wysyłasz emaile?

- Tak. - Jeśli był wściekły, że włamałam się do jego skrzynki, nie dał tego po sobie poznać.

- I opowiadasz jej o mnie?

- Tak. Była kimś bliskim dla Charlotte.' Informuję ją z uprzejmości.

- Uprzejmość to wysyłanie kartek na święta!

- To nic nie znaczy - zapewnił.

Najwyraźniej to jednak coś znaczyło, w przeciwnym razie nie robiłby tego.

- Mama o tym wie? - zapytałam.

- Nie. Ona by tego nie zrozumiała.

- I to nie jest wystarczający powód, żeby przerwać? Westchnął i zamknął oczy.

- Zawarliśmy pewien układ.

Wstrzymałam oddech. W końcu zamierzał wyznać mi coś, o czym jeszcze nie wiedziałam... i teraz nie byłam pewna, czy chcę to usłyszeć.

Spojrzał na mnie i sięgnął po moją dłoń. Kiedy doszedł do wniosku, że to nie najlepszy pomysł, osunął się na oparcie i złożył ramiona na poręczach fotela.

- Zanim cokolwiek powiem, Vanesso, chcę, żebyś wiedziała, że jesteś kochana. Zawsze, odkąd przysłaś na świat, byłaś uwielbiana. I kiedy Charlotte i ja podjęliśmy decyzję, kierowaliśmy się wyłącznie twoim szczęściem.

- W porządku...

Jego wargi rozchyliły się, po czym zacisnęły. I znów rozchyliły. Po wszystkich tych latach nie wiedział, jak ma to wytłumaczyć.

- Charlotte nie przyznała się, że jest w ciąży. Dowiedziałem się tylko dlatego, że przypadkiem wpadłem na nią w supermarkecie, kiedy na pewien Jesienny weekend przyjechałem do Winter Harbor, żeby popracować nad książką.

Swoją książką. W tamtym okresie prawdopodobnie zaczynał pisać.

- Początkowo próbowała umknąć, nie porozmawiawszy ze mną. Potem, gdy dogoniłem ją na parkingu, powiedziała, że ktos' inny jest ojcem dziecka. Jednak jej oczy zdradzały prawdę. - Zrobił pauzę i utkwiał wzrok w nieokreślonym punkcie na drugim końcu pokoju. - W jej oczach było coś... coś takiego...

Znałam to aż nazbyt dobrze.

- Co działo się dalej? - wtrąciłam, by nie zaczął się nad tym rozwodzić.

- Usiłowała mnie spławić. Nie pozwoliłem jej na to. Powiedziałem, że choć nasza... sytuacja... nie jest czymś chlubnym i choć nienawidzę każdej sekundy bólu, jaki sprawiłem mojej żonie, nie mogę się zgodzić na to, by za moją sprawą na świat przyszło dziecko, a potem zniknąć. Oświadczyłem, że chcę mieć w tym swój udział, pomagać, choćby nawet całe moje zaangażowanie miało ograniczać się do otrzymywania wiadomości raz do roku i wsparcia finansowego.

Zesztywniałam. To prawda, że od dawna byłam nim rozczarowana, ale mimo to nie wyobrażałam sobie życia bez mojego tatki.

- Gdyby to ode mnie zależało - powiedział cicho, widząc moją reakcję - spędzałbym z tobą znacznie więcej czasu. Jakoś udałoby nam się to ułożyć. Ale ona tego nie chciała.



- A czego chciała?

- Początkowo niewiele. Do końca ciąży od czasu do czasu przysyłała mi do pracy wiadomości, informowała mnie o swoim samopoczuciu. Potem, gdy się urodziłaś, przysłała kolejną. Przyjechałem do Winter Harbor jeszcze tego samego dnia, w którym mnie powiadomiła, i wtedy zobaczyłem cię po raz pierwszy. - Uśmiechnął się. - Byłaś najpiękniejszym niemowlęciem, jakie widziałem.

- A mama nadal o niczym nie wiedziała? - zapytałam, szybko odsuwając tę szczególną chwilę, którą on i Charlotte wspólnie przeżyli.

Opuścił głowę, a jego uśmiech zbladł.

- Wtedy jeszcze nie. Nie dowiedziała się przez cały rok.

Przypomniałam sobie pudła w piwnicy i przywołałam wyjaśnienia mamy, która twierdziła, że oddała moje śpioszki koleżance z pracy.

- Co było potem?

Powolnym ruchem, jakby chciał zyskać na czasie, by zdecydować, czy postępuje słusznie, odwrócił się do biblioteczki stojącej obok biurka. Odsunął stertę starych słowników, odsłaniając gładką drewnianą skrzynkę. Odczepił od zamka przy swetrze małe kółko z kluczykiem, otworzył skrzynkę i sięgnął do środka.

- Dostałem to - oznajmił.

Ledwie oddychając, wzięłam od niego pocztówkę. Przedstawiała malownicze ujęcie Winter Harbor jesienią, kiedy liście mieniały się przepięknymi odcieniami żółci, pomarańczy i czerwieni. Na pierwszym planie widać było restaurację „U Betty”, za nią zaś wodę połyskującą w popołudniowym słońcu, którą okalały drzewa.

Mój wzrok zatrzymał się na budynku restauracji. Była ona istotnie jednym z ważniejszych miejsc w Winter Harbor, jednak w każdym sklepiku w mieście można było kupić pocztówki przedstawiające dziesiątki lokalnych atrakcji: latarnię, kamieniste urwiska ciągnące się zygzakiem wzdłuż brzegu oceanu czy pola pełne dzikich kwiatów. A jednak Charlotte wybrała właśnie tę. Czyżby zrobiła to celowo? Wiedząc, że kiedyś wreszcie ją zobaczę, miała nadzieję, że będzie dla mnie czymś w rodzaju drogowskazu?

Drżącymi palcami obróciłam kartkę. Niebieski tusz z czasem wyblakł. Niektóre litery były rozmazane, jakby kartka kiedyś zamokła. Pismo było drobne, staranne, jakby autor słów próbował złagodzić nim ciężar wiadomości.

Drogi Filipie!

Piszę do Ciebie po raz ostatni. Vanessa i ja opuszczamy Winter Harbor. Wiem, że tak jak ja chcesz dla niej jak najlepiej.

Dlatego wyjeżdżam... i dlatego też nie mogę Ci powiedzieć dokąd.

Dziękuję. Otrzymałam od Ciebie wyjątkowy dar, za który zawsze będę wdzięczna.

Charlotte

- I to wszystko? - zapytałam. - Po prostu zniknęła?

- Zamierzała. Prowadziła mały interes i na szczęście zostawiła pracownikom numer telefonu, na wypadek gdyby musieli się z nią skontaktować. Kiedy przyjechałem do miasteczka, żeby spróbować powstrzymać ją od wyjazdu, udało mi się pod pretekstem poszukiwania jakiejś mało znanej pracy Emersona nakłonić sprzedawcę, żeby do niej zadzwonił w moim imieniu. Kiedy mnie usłyszała, rozłączyła się, ale policja z Winter Harbor, znając numer, namierzyła jej miejsce pobytu. Znalazłem was obie w maleńkim mieszkaniu w Montrealu.

- Pojechałeś aż do Kanady?

- Nie mogłem porzucić jedyne tropu, jaki miałem. Poza tym obawiałem się, że Charlotte przestraszy się, że zechcę zrobić to, co faktycznie zrobiłem, i znów się przeprowadzi.

Gdy wyobraziłam sobie tatę pędzącego przez Nową Anglię i przez granicę, ogarnęło mnie dziwne wzruszenie. Zależało mu. Być może to, czym kierował się przed moim urodzeniem i po nim, było momentami niejasne... ale wierzyłam, że zawsze mu na mnie zależało.

- Kiedy odnalazłem Charlotte - mówił dalej - dała mi do wyboru dwa wyjścia. Albo odejdę i nigdy więcej nie zobaczę ani ciebie, ani jej, albo zabiorę cię ze sobą do domu. I wychowam tu, w Bostonie. Przyznała, że druga opcja istotnie byłaby dla ciebie lepsza, ale nie chciała mnie o to prosić i ryzykować rozbicia mojej rodziny. Po zapewnieniach, że dzięki tobie moja rodzina mogłaby stać się tylko lepsza, zgodziła się cię oddać. Jedyne, o co jeszcze poprosiła to to, żeby już nigdy więcej nie mogła cię zobaczyć, ponieważ sądziła, że po raz drugi nie zniesie bólu rozstania.

- To były jedyne opcje? - zapytałam. - A co ze wspólną opieką rodzicielską?

- Albo jedno, albo drugie. Charlotte nieczęsto dawała coś wyraźnie do zrozumienia, ale w tej sprawie wyraziła się jasno. Podkreśliła, że to kwestia twojego bezpieczeństwa, nie tylko szczęścia czy dobra, ale bezpieczeństwa. A ja jej uwierzyłem.

Podejrzywałem, że chodzi o byłego chłopaka, który mógłby zrobić coś strasznego, gdyby się o nas dowiedział. O tobie. - Patrzył na mnie tak długo, aż podniosłam wzrok. - Jedyne, co było gorsze od konieczności rozstania się z tobą, to gdyby przytrafiło ci się coś złego. Coś, czemu ja mógłbym zapobiec.

- Więc zabrałeś mnie do domu. - Przeniosłam wzrok na stos słowników, z całych sił starając się powstrzymać łzy.

- Tak. - Zamilkł na chwilę. - Oboje wiemy, że twoja matka... Jacqueline... należy do osób, które przestrzegają zasad i dotrzymują danego słowa i tego samego wymagają od innych. Ale, Vanesso, wystarczyło jedno spojrzenie, by cię pokochała. Oczywiście kiedy powiedziałem jej o tobie i o Charlotte, po tym, jak Charlotte opuściła Winter Harbor, nie mogliśmy dojść do porozumienia. Na tydzień wyrzuciła mnie z domu. Jednak niezależnie od rozczarowania, żalu czy gniewu, jakie do mnie czuła, nigdy nie przenosiła tych uczuć na ciebie. A kiedy powiedziałem jej, że potrzebujesz dobrego domu, postarała się, żebyś w takim dorastała.

- Tak po prostu? - wyszeptalam.

- Tak po prostu.

Powiedział to tak zwyczajnie, tak rzeczowo... wiedziałam, że to musi być prawda.

- A Justine?

- Wtedy nie miała jeszcze dwóch lat. Nie pamiętałaby twojego pierwszego roku na świecie, nawet gdybyś spędziła go pod naszym dachem.

- A Charlotte?

- Wróciła do Winter Harbor. - Jego wzrok zatrzymał się na pocztówce, którą wciąż trzymałam w dłoni. - Tydzień później wybuchł pożar. W jej księgarni, w samym środku nocy.

Widziałam, jak drżą mu wargi. Miałam ochotę go objąć, ale się powstrzymałam.

- Nie wiem, co robiła tam o tak późnej porze - ciągnął. - Nikt tego nie wie. Prawdopodobnie zasnęła, ponieważ nie zadzwoniła po pomoc. Ktoś tamtędy przechodził, zobaczył dym wśród drzew i zawiadomił straż, ale było już za późno. Budynek, z Charlotte w środku, doszczętnie spłonął.

W piersiach czułam tępy ból, jakby moje płuca kurczyły się ze współczucia. Już wcześniej wiedziałam, że tak się stało, ale słysząc to od taty i widząc jego smutek, odczułam to znacznie dotkliwiej.

- Kilka miesięcy później - powiedział, znów sięgając do drewnianej skrzynki - otrzymałem kolejną wiadomość.

Podał mi kartkę koloru kości słoniowej, która miała podniszczone brzegi. Pismo było podobne do tego na pocztówce, ale nie tak ciasne ze względu na większe odstępy między literami.

Drogi Filipie!

Piszę w imieniu Charlotte Bleu, mojej młodszej siostry. Porządkując rzeczy osobiste

Charlotte w jej domu po tragicznym pożarze, natknęłam się na kilka wiadomości, które od Pana otrzymała. Wiedząc o ważnym wydarzeniu, jakie was połączyło, postanowiłam się z Panem skontaktować. Ufam, że Pan nie ma mi tego za złe.

Nie muszę mówić, jak druzgocąca jest dla mnie ta nieoczekiwana strata. I choć nie znam Pana osobiście, a Pan z całą pewnością nie jest mi nic winien, proszę, aby rozważył Pan nawiązanie na próbę znajomości na warunkach partnerskich. W zamian za regularne pisemne wiadomości o Vanessie proponuję odpowiedzieć na wszelkie jej pytania dotyczące matki, jeśli przyjdzie na to pora. Jak zrozumiałam, Pan i Charlotte spędziliście razem niewiele czasu, w związku z tym z radością podzielę się z Pana córką tym, czego Pan wie o Charlotte nie może.

Jest to wyjątkowo trudna sytuacja dla wszystkich zaangażowanych w nią osób, dlatego jeśli uzna Pan za stosowne całkowite zerwanie wszelkich więzi i pójście dalej własną ścieżką, zrozumiem to. Jeśli jednak jest Pan skłonny zawrzeć taką umowę, zapewniam, że będę postępować z najwyższą ostrożnością i dyskrecją. Nie mam żadnych osobistych planów wobec mojej siostrzenicy poza tym, by poznać ją na odległość i zrobić dla niej to, o co poprosiłaby mnie jej matka.

Z niecierpliwością czekam na Pana odpowiedź.

Z ukłonami W. Donagan Skr. pocztowa 9892 Boston, MA 02135

- Willa... moja ciotka - wymamrotałam, wypróbując to słowo - przez cały ten czas mieszkała w Bostonie? I nigdy nie chciała się ze mną spotkać? Żeby chociaż mnie zobaczyć?

- Powiedziała, że nie zamierza dodatkowo komplikować i tak niełatwych już relacji. Uznałem, że tak będzie lepiej.

Podniosłam wzrok.

- A teraz, kiedy wiem, kim ona jest? Posłał mi nieśmiały przeproszający uśmiech.

- Jej uczucia się nie zmieniły. I dlatego spotkaliśmy się dzisiaj. Powiedziała, że od jakiegoś czasu przychodzisz do kawiarni, i pomyślała, że coś podejrzewasz. To ją zaniepokoiło. Od początku była przekonana, że nawiązanie bezpośredniego kontaktu z tobą mogłoby tylko pogorszyć całą sytuację.

- Myliła się. - Mój głos zabrzmiał ostro, rozpaczliwie.

- Słucham?

Zrozumiałam, dlaczego się zdziwił, i spróbowałam to odkręcić. W końcu on też nie wiedział o wszystkim.

- Tato - zaczęłam, biorąc głęboki oddech i usiłując przypomnieć sobie cokolwiek z tego, co planowałam mu powiedzieć. - Nie zamierzam cię okłamywać. W pierwszej chwili,

kiedy dowiedziałam się, że mama nie jest moją prawdziwą matką...

- Ona jest twoją matką - poprawił szybko.

Spróbowałam raz jeszcze.

- W pierwszej chwili, kiedy dowiedziałam się, że nie jest moją biologiczną matką, przeżyłam szok. I ogarnęła mnie złość. I rozczarowanie. Nie umiałam pojąć, jak mogłeś zrobić to jej i Justine. Część mnie nadal nie może tego ogarnąć, ponieważ jedynym niezawodnym sposobem, by oprzeć się nawoływaniu syreny, jest miłość do innej kobiety, a ja naprawdę wierzę, że zawsze kochałeś mamę... Ale może siła Charlotte była wyjątkowo potężna, albo też...

- Vanesso.

„Wstrzymałam oddech i spojrzałam na jego dłoń uniesioną teraz niczym znak drogowy.

- Coś ty przed chwilą powiedziała?

Byłam tak skupiona na szybkim przejściu do następnej myśli, że nie mogłam sobie przypomnieć.

- Że zawsze kochałeś mamę?

- Potem.

- Że może siła Charlotte była wyjątkowo potężna?

Przechylił głowę na bok i opuścił brwi.

- Jaka siła?

Zawahałam się, po czym, zrozumiałwszy, że zaszło nieporozumienie, potrząsnęłam głową i posłałam mu uśmiech.

- Wszystko w porządku. To znaczy nie jest w porządku, to takie poplątane, dziwne i nierealne, ale przynajmniej teraz już wiem. Nie musisz już tego dłużej ukrywać.

- Ukrywać... czego?

Moje usta, wciąż wykrzywione w uśmiechu, znieruchomiały. Przed oczami przemknęła mi wizja Paula Carsons, Toma Connellygo i Maksa Hawkinsa.

Czy to możliwe?

- Tato - przemówiłam - wiedziałeś, że Charlotte nie była normalna, prawda? Że ten związek... nie był zwykłym związkiem?

Jeszcze bardziej zmrużył oczy. Nie musiał nic mówić, żebym poznała odpowiedź.

- Ona była syreną - wycedziłam. - Jak w jednej z twoich starych książek. - Zrobiłam pauzę, żałując, nie po raz pierwszy, że nie możemy się cofnąć, zacząć raz jeszcze od początku. - A ty byłeś jej celem.

- Masz jakieś szczególne zdolności?

- Szczególne zdolności? - powtórzyłam.

Mężczyzna zakołysał kieliszkiem szampana pełnym musującego cydru. - No na przykład, czy potrafisz grać na akordeonie albo połykać ogień, czy coś w tym stylu, czego nie umieściłabyś w swoim CV, a co wyróżniłoby cię na tle tysięcy innych maturzystów z doskonałymi stopniami i typowymi zajęciami pozaszkolnymi na koncie?

Potrafię oddychać pod wodą. I zwrócić uwagę każdego faceta samym wejściem do dowolnego pomieszczenia. I w ten sam sposób zaskarbić sobie serdeczną nienawiść każdej dziewczyny w tym samym miejscu.

- Raczej nie - odparłam.

- A co z twoją rodziną? Może twój wujek jest znanym aktorem? Albo kuzynka bierze udział w igrzyskach olimpijskich? W Colgate twoja rodzina jest naszą rodziną, więc jeśli twoi krewni zajmują się czymś wyjątkowym, z całą pewnością powinnaś nas o tym powiadomić.

Moje krewne zabijają mężczyzn. Czy mogę liczyć, że dzięki temu zostanę przyjęta?

- Wszyscy są raczej dość przeciętni - oznajmiłam, unosząc pustą szklankę po wodzie. - Czy mógłbyś...?

Rozpromienił się, słysząc tę prośbę, wziął moją szklankę i zaczął się wycofywać w stronę stolika z poczęstunkiem.

- Nigdzie się stąd nie ruszaj! Chcę ci powiedzieć, jak Colgate może sprawić, by twoje życie stało się...

Wiedziałam, że powinnam go ostrzec o nieuchronnym zderzeniu z kelnerem, ale nie robiąc tego, zyskałam jakieś dwadzieścia sekund, w ciągu których zatoczył się i zaczął strzępywać sok z klap marynarki. Wykorzystałam ten moment, żeby przedrzeć się na drugą stronę sali.

- Vanesso! - zawołał za mną kobiecy głos.

Zerknęłam przez ramię i zobaczyłam panią Mulligan pędzącą w moją stronę z małą niebieską flagą Yale nad głową. Za nią szedł kolejny pracownik działu rekrutacji w prążkowanym garniturze i krzykliwym czerwonym krawacie. Już stamtąd się do mnie uśmiechał, co skłoniło mnie do przyspieszenia kroku. Znikając za grupką uczniów, ruszyłam zygzakiem przez odmienioną salę gimnastyczną. Gdy dotarłam do niemal opustoszałej sekcji uczelni państwowych, którą dyrekcja liceum im. Hawthornea łaskawie uwzględniła z myślą o

kilkorgu uczniach korzystających z funduszu stypendialnego, pani Mulligan i gość z Yale dali sobie ze mną spokój i przyłgnęli do przewodniczącej jednej z ostatnich klas.

Wyciągnęłam z plecaka butelkę wody i piłam. Nie czułam się najlepiej od czasu długiej rozmowy, którą odbyłam z tatą poprzedniego dnia, kiedy to wyznałam mu wszystko, co wiem o Marchandach i wydarzeniach minionego lata, i kiedy pokazałam mu w internecie stare artykuły z „Winter Harbor Herald” na potwierdzenie swojej wersji wydarzeń. Wyznałam także, że odziedziczyłam po Charlotte niektóre jej zdolności, jednak darowałam sobie wiele kluczowych szczegółów, takich jak rola, jaką odegrałam w zamrożeniu portu, czy to, że moja kondycja fizyczna jest bardzo nieprzewidywalna od tamtej pory. Mimo, że pominęłam pewne fakty, rozmowa zajęła nam długie godziny. Opuściłam jego gabinet wycieńczona i bardziej spragniona niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich tygodni. I gdyby obecność na dzisiejszym spotkaniu orientacyjnym nie obowiązywała wszystkich uczniów ostatnich klas, oczywiście bym je sobie odpuściła. Wiedziałam jednak, że łamiąc zasady i pakując się w tarapaty, tylko niepotrzebnie ściągnę na siebie uwagę.

A zresztą spotkanie to było doskonałym pretekstem, żeby na kilka godzin wyrwać się z domu. Było, co prawda, żenujące i kompletnie nie na rękę, ale skoro mama wciąż przeglądała rodzinne nagrania, a tato wziął dzień wolnego i zaszył się w gabinecie, wydawało się najlepszym rozwiązaniem.

Przechadzałam się po obrzeżach sali, starając się zachować bezpieczną odległość od długich stołów przykrytych gustownymi obrusami i ozdobionych bukietami kwiatów. Ponieważ pozwolono nam zignorować regułę przepisowego stroju, żeby całe to spotkanie przybrało nieco mniej oficjalny charakter próbnego przyjęcia pożegnalnego, moje koleżanki i koledzy z ostatniego roku wykorzystali to jako szansę na zaprezentowanie najlepszych dzieł kreatorów mody. Większość dziewcząt włożyła ołówkowe spódnice w stylu seksownej bibliotekarki, jedwabne bluzki i szpilki, a chłopcy wystąpili w ciemnych garniturach i połyskujących krawatach, przez co przypominali stażystów z Wall Street.

Nie chciałam wyróżniać się jeszcze bardziej w spódniczce od szkolnego mundurka i bluzie z kapturem. Dlatego, wybierając dzisiejszy strój, skupiłam się na tym, żeby uzyskać efekt niewidzialności. Ostatecznie zdecydowałam się na czarne spodnie, czarny golf i czarne baleriny. Zrezygnowałam ze zwyczajowego kucyka i rozpuściłam włosy. Pozwoliłam, by opadły luźno na ramiona, zapewniając sobie w ten sposób ewentualną osłonę.

Okrążając salę, zobaczyłam jeszcze tylko jednego ucznia, który mniej więcej w takim samym stopniu co ja przejmował się swoim wyglądem. W dżinsowych spodniach, wymiętej beżowej koszulce i brązowej sportowej kurtce z wystrzępionymi mankietami i zamszowymi

łatami na łokciach wyglądał raczej modnie niż klasycznie. Brudne conversy dopełniały stroju. Stał w niewielkim kręgu z dwoma starszymi mężczyznami, którzy rozmawiali ze sobą zupełnie tak, jakby go tam nie było.

I kiedy tak stał ze wzrokiem utkwionym w nieokreślony punkt, z nieobecnym wyrazem twarzy, wiedziałam, że Parker myślami jest gdzie indziej.

- Skończyłam.

Słona woda, którą właśnie przełknęłam, cofnęła się nagle do gardła.

- Przepraszam. - Paige poklepała mnie po plecach, gdy usiłowałam się nie zakrztusić. - Machałam do ciebie, podchodząc. Myślałam, że mnie widzisz.

Z trudem przełknęłam wodę.

- A co z twoją listą?

Uniosła zeszyt. Każda z dziesiątek uczelni, o których chciała dowiedzieć się więcej, była wykreślona pojedynczą czerwoną kreską.

- Wszystkie są albo za duże, albo za małe, albo za drogie, albo zbyt prestiżowe. A ja z pewnością zbyt mało sobą reprezentuję, żeby dostać się na którąkolwiek z nich. - Opuściła bezwładnie ramię. - Gość z Amherst zapytał mnie, jakie sporty uprawiam, a kiedy odparłam, że pływam dla przyjemności, przeprosił mnie, usprawiedliwiając się ważnym telefonem, po czym jak gdyby nigdy nic podszedł do stolika z napojami.

- Jego strata - podsumowałam. - Te uczelnie są tak przywiązane do swoich zaskorupałych tradycji, że nie wiedzą, co tracą.

- W każdym razie nie sądzę, żebym ja cokolwiek straciła. Zresztą czuję się zmęczona. Chyba pójdę po usprawiedliwienie do pielęgniarki i urwę się do domu.

- Mam iść z tobą? Mogłybyśmy pójść coś przekąsić? Albo na jakiś film?

- Dzięki, ale przez pewien czas wolałabym pobyć sama. - Paige musiała dostrzec przelotny wyraz zaniepokojenia na mojej twarzy, bo dodała: - Nic mi nie jest. Naprawdę. Po prostu chcę sobie poukładać parę spraw. Studia. Moją przyszłość. Sama radość.

- No dobra - ustąpiłam bez przekonania. - Zadzwoń, jeśli zmienisz zdanie?

- Jasne.

Patrzyłam, jak znikwała w tłumie, potem znów zaczęłam przechadzać się po sali. Kiedy podeszłam do tekturowej planszy przedstawiającej pięć roześmianych studentek naturalnych rozmiarów, które trzymały dyplomy Uniwersytetu Massachusetts w Worcester, wślizgnęłam się w szczelinę między tekturą a ścianą. Przykucnęłam i odchyliłam głowę, aż dotknęłam nią chłodnego kafla i zamknęłam oczy.

- Coś mi mówi, że też wolałabys zwinąć się w kłębek we własnym łóżku - odezwał się



przyciszony głos.

Spojrzałam na lewo i zobaczyłam dziewczynę, niewiele starszą ode mnie, przycupniętą na podłodze kilka kroków dalej. Siedziała za aksamitną kurtyną, której jedna z uczelni użyła jako elementu ekspozycji, z kolanami przyciśniętymi do piersi.

- Nie przepadam za tłoczonymi miejscami - wyjaśniłam.

- Ani ja. Jestem tu tylko po to, żeby nie stracić pracy.

Oderwałam głowę od ściany. Istotnie wyglądała nieco bardziej profesjonalnie niż studentki w grafitowych kostiumach i perłach, ale jej pulchne policzki były zaróżowione, blond włosy niedbale upięte w koński ogon, a na powiekach wzdłuż linii rzęs widać było czarne plamki, jakby podczas nakładania makijażu drżały jej ręce. Nie mogła mieć więcej niż dziewiętnaście lat. Góra dwadzieścia.

- Ty pracujesz? - zdziwiłam się.

- Pracuję dla... - Zawahała się, po czym siadła w kucki i wyjrzała zza kotary; najwyraźniej widząc, że nikogo nie ma w pobliżu, przedreptała niewielką odległość, jaka dzieliła jej kryjówkę od mojej. - Dartmouth - dokończyła zdanie, siadając obok.

Przed oczami przemknęły mi słowa Justine przyklejone do kartki przeznaczonej na esej o niej samej; słowa potwierdzające największe obawy mamy: jej najstarsza córka, jej jedyna córka, nie zamierzała iść na studia.

Nie wiem... zresztą ty też nie...

- Pracuję w dziale rekrutacji - mówiła dalej dziewczyna, wachlując twarz dłonią. - I jestem absolwentką Dartmouth. Kiedy zeszłego lata skończyłam studia, zupełnie nie wiedziałam, co ze sobą zrobić... ta szkoła doskonale uczy cię, jak samodzielnie myśleć, ale nie przygotowuje cię do tego, jak przetrwać w prawdziwym świecie.

- Jesteś absolwentką? Wyższej uczelni?

- Wiem, wyglądam na małą. Naprawdę mam dwadzieścia lat. Szkołę średnią też skończyłam wcześniej. Między innymi dlatego właśnie nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Byłam tak pochłonięta nauką, że nigdy nie zwoleń na tyle, by przemyśleć, dokąd tak gonię.

- A kiedy wreszcie przystopowałaś, uznałaś, że chcesz pracować w dziale rekrutacji? - zapytałam, szczerze zaintrygowana. Istniało wiele powodów, dla których w Hawthorne zachęcali nas do podjęcia studiów na którejś z prestiżowych szkół należących do Ligii Bluszczowej, jednak pozostanie na uczelni po rozdaniu dyplomów nie było jednym z nich.

- Nie ja, moi rodzice. Miałam do wyboru albo podjąć pracę na uczelni, albo wrócić do domu i zamieszkać z nimi, dopóki nie wymyślę czegoś sensownego. A obawiali się, że jeśli

wrócę, dla zabicia czasu zatrudnię się w Starbucksie i w efekcie do końca życia będę zajmować się spienianiem mleka.

- A to byłby dla nich najgorszy koszmar? - odgadłam.

- W zasadzie tak. Ale jak się okazuje, praca na takim publicznym stanowisku jest koszmarem dla mnie. - Zanim znów zwróciła się do mnie, wyjrzała na salę gimnastyczną. - Powinnam zachęcać wszystkich tych uczniów i przekonywać, że Dartmouth jest wspaniałą uczelnią, ale od zawsze moją mocną stroną była nauka, nie kontakty towarzyskie. Po prostu się do tego nie nadaję.

- Jak na razie świetnie ci to idzie.

Pomiędzy zdaniem przygryzała dolną wargę, ale teraz jej usta rozciągnęły się w uśmiechu.

- Jestem Alison Seaford. A ty jesteś...?

- Mniej więcej taką samą wielbicieleką kontaktów towarzyskich jak ty.

Wolałam nie podawać nazwiska, na wypadek gdyby pani Mulligan szepnęła słówko o mojej sytuacji wszystkim tu obecnym.

- No widzisz, nie znam twoich planów, ale Dartmouth to naprawdę fantastyczna uczelnia. Wspaniałe miasteczko uniwersyteckie, pierwszorzędna infrastruktura, uznana kadra profesorska. I bardzo oddana i pomocna społeczność studencka.

Alison wywarła na mnie tak dobre wrażenie, że miałam ochotę opowiedzieć jej o umiłowaniu mamy do Dartmouth, ale nie wiedziałam, jak to zrobić, nie zachęcając jej do zadawania dalszych pytań.

- Dzięki za informacje - powiedziałam tylko. - Z pewnością będę to mieć na uwadze.

- Super. - Wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze. - Chyba powinnam już wracać na salę. Ale miło było poznać współdezerterkę. W szkołach tego typu niewiele jest takich jak my. A jeśli kiedykolwiek będziesz chciała dowiedzieć się czegoś więcej o Dartmouth albo o studiach w ogóle, możesz śmiało do mnie pisać. - Z kieszeni marynarki wyciągnęła wizytówkę i podała mi ją. - Z odpowiadaniem na emaile radzę sobie doskonale.

Dopiero kiedy Alison zniknęła, a ja znów zostałam sama ze wzrokiem utkwionym w błyszczącą zieloną tarczę na jej wizytówce, dotarło do mnie, co powiedziałam.

„Będę to mieć na uwadze”. Jakby studia naprawdę wchodziły w grę.

Po raz pierwszy czułam się rozczarowana, gdy pomyślałam o rezygnacji ze studiów, a nie zwyczajnie przestraszona ze względu na powody, dla których nie mogłam ich podjąć. To uczucie było tak przykre i tak bezsensowne, że wyłoniłam się z teksturowych absolwentek i ruszyłam do wyjścia z sali gimnastycznej. Pomyślałam, że jeśli Paige nie odeszła jeszcze za

daleko, być może uda mi się namówić ją na jakiś film.

Byłam w połowie drogi do wyjścia, kiedy w mojej głowie eksplodował przeszywający ból. Miał swoje źródło pomiędzy oczami, skąd przedzierał się na tył głowy, rozłupując mi czoło niczym młot pneumatyczny i drażąc mózg. Zaciśnięłam usta, żeby nie zawyc z bólu, i osunęłam się na ścianę, chroniąc się przed upadkiem. Ból był oślepiający, pragnienie zmrużenia oczu nieodparte, a jednak jakimś cudem udało mi się ich nie zamknąć. Nie znajdowałam się na środku sali, ale mimo wszystko byłam wystawiona na spojrzenia każdego, kto obróciłby się w moją stronę. Nie chciałam zwracać na siebie uwagi, dopóki białe światło nie osłabnie.

Co w końcu nastąpiło kilka sekund później. W samą porę, by zobaczyć, że Parker wychodzi na korytarz w ślad za jakąś dziewczyną.

Ruszyłam za nimi, rzucając za siebie pojedyncze spojrzenie. Po przeciwległej stronie sali ojciec Parkera wciąż rozmawiał z przedstawicielem Uniwersytetu Princeton, jakby wszystko było w najlepszym porządku, jakby Parker wcale nie wyszedł, by dać ojcu czas na przypieczętowanie umowy.

Jednak coś musiało być nie w porządku. Zbyt dobrze znałam ten ból. Wiedziałam, co oznacza.

Zara tu była.

Wypadłam z sali gimnastycznej na korytarz. Rozejrzałam się w prawo i w lewo, ale było pusto. Zdażyli zniknąć. Próbowałam wsłuchać się w jej głos, poczuć jej obecność, ale jedyne, co do mnie docierało, to gwar rozmów prowadzonych na sali. Czułam już tylko pulsujący pod czaszką ból, który stopniowo słabł.

Traktując ból jak przewodnika, skierowałam się w stronę głównego wyjścia. Założyłam, że Zara chce wyciągnąć Parkera ze szkoły, z dala od świadków. Ból na przemian słabł i zaostrzał się. Kiedy stawał się bardziej znośny, przyspieszałam kroku, aż uderzał ponownie, pozbawiając mnie tchu. Dwukrotnie zdawało mi się, że zupełnie zniknął, więc cofnęłam się i skręciłam w lewo zamiast w prawo, innym razem w prawo zamiast w lewo. W końcu, kiedy nasilił się i był jednostajny, zatrzymałam się.

Byłam tak przejęta i przerażona, że minęła chwila, zanim do mnie dotarło, dokąd zaprowadził mnie ból.

Znajdowałam się w obserwatorium przylegającym do krytej pływalni.

Przez szklane drzwi patrzyłam, jak Parker zdejmuje buty i skarpetki, podwija nogawki spodni do kolan i siada na krawędzi basenu o wymiarach olimpijskich. Zary nigdzie nie było widać i przez krótką chwilę myślałam, a raczej liczyłam, że zostawiła go w spokoju. Ale

kiedy opuścił nogi do wody, ona wyłoniła się z przebieralni dla dziewcząt, w czarnym bikini i prześwitującym czarnym sarongu. Jej ciemne włosy opadały na plecy i policzki w postaci gładkiej fali i choć zasłaniały lśniące srebrzyste oczy, wiedziałam, że są utkwione w niego. Dotknęła ramienia Parkera, by upewnić się, że widzi, jaka jest piękna, po czym z wolna rozwiązała sarong i pozwoliła mu osunąć się na posadzkę, odsłaniając talię i nogi.

Ból nasilił się, pulsując u podstawy czaszki i schodząc w dół do kręgosłupa. Przekręciłam gałkę u drzwi, ale ani drgnęły. Zamknęła je na zamek.

Otworzyłam usta, by krzyknąć, ale zrezygnowałam, kiedy - wciąż odwrócona do mnie plecami - powoli zanurzyła się w wodzie. Obróciła się ku niemu i złożyła dłonie na płytkach po obu stronach jego ud. Teraz tułów Parkera zasłaniał mi jej twarz, ale wiedziałam, że jej srebrzyste oczy są pełne ciepła i lodowate jednocześnie, różowe usta lekko rozchylone i ponętne, a głowa kokieterycznie przechylona na bok.

Wiedziałam, że wygląda dokładnie tak jak wtedy w lesie, gdy wzięła sobie na cel Caleba, a później Simona. Kiedy jej nieodparty urok działał niczym wahadło, które z każdym ruchem wprawia w coraz głębszą hipnozę. Później Simon opowiedział mi, jak bezwolny czuł się pod jej wpływem. Powiedział mi też o jedynej sile, która sprawiła, że zdołał się wyrwać Żarze.

To byłam ja. Zawołałam go po imieniu, uwalniając tym samym spod jej uroku.

Ale Parker nie kochał mnie tak jak wtedy Simon. Nie byłam nawet pewna, czy w ogóle mnie lubi. Wiedziałam, że mój głos nie zadziała na niego w ten sam sposób.

Mimo to musiałam spróbować.

- Parker!

Nic.

- Parker!

Dalej nic. Gdy wynurzyła się lekko z wody i uniosła podbródek, on opuścił głowę, a wówczas ich usta się spotkały.

Uderzyłam w szybę obiema pięściami. Gdy pomagała Parkerowi zdjąć kurtkę, a potem koszulkę, waliłam w szybę z całych sił. Kiedy zaczął zsuwać się po krawędzi basenu ku niej, do wody, odwróciłam się i przebiegłam przez salę. Szarpnęłam za drzwiczki szklanej witryny i zgarnęłam, co się dało: trofea, tabliczki pamiątkowe, medale. A potem wzięłam zamach i, jedno po drugim, cisnęłam w szklane drzwi dzielące mnie od basenu.

Szkło musiało być wzmocnione, bo pierwsze pęknięcie pojawiło się dopiero po trzecim rzucie. Złoty medal dokończył dzieła, posyłając szklane odłamki na posadzkę po obu stronach drzwi.

- Stój! - wrzasnęłam, rzucając się naprzód po potłuczonym szkłe. Przełożyłam ramię przez otwór i po omacku odszukałam gałkę. - Odejdź od niego!

Ręka mi drżała, przez co palce ześlizgiwały się z zamka. Wciąż usiłowałam złapać gałkę, kiedy czyjaś dłoń - większa i szersza - delikatnie ścisnęła moje ramię.

- Co robisz, Vanesso? - odezwał się Parker.

Poderwałam głowę do góry. Zamroczone bólem i strachem, jak przez mgłę ujrzałam jego niebieskie oczy, zwężone z zaniepokojenia, a potem jej... brązowe oczy, szeroko otwarte ze zdumienia.

- Georgia? - wycedziłam.

Dziewczyna, którą Parker całował, stała kilka kroków za nim, zupełnie przemoczona, drżąca, i przyciskała do piersi swój czarny sarong. Dopiero teraz zobaczyłam jej twarz i dotarło do mnie, że jej oczy wcale nie są srebrzystobłękitne, a ona wcale nie wygląda tak, jak ją sobie wyobraziłam.

Nawet teraz skronie pulsowały mi z bólu, ale ta dziewczyna nie była Zarą. To była Georgia Vincent, ładna i bystra pierwszoklasistka, którą czasem widywałam w sali do nauki własnej... i która najwyraźniej zadurzyła się w Parkerze.

- Tak...? - Spojrzała na niego zdezorientowana.

- Najmocniej was przepraszam. - Próbowałam wycofać rękę. - Myślałam, że ty... Myślałam, że on...

- Już dobrze - powiedział łagodnie Parker. - Nikomu nic się nie stało.

Moje ramię, zawieszony nad wyłamanymi zębami szkła, stało się ciężkie ze zmęczenia. Chciałam je stamtąd wyrwać i resztkami sił wybiec na korytarz, ale Parker jeszcze mocniej zacisnął palce na mojej skórze i nie zamierzał puścić.

- Szczerze mówiąc - odezwała się Georgia - stało się. Co to miało być, Vanesso? Co z tobą jest nie tak?!

- Nic - odparłam, sama nie wierząc we własne słowa. - Po prostu myślałam, że... jesteś kimś innym.

- Kim? Morderczynią z siekierą? - Wyciągnęła przed siebie obie ręce, odsłaniając swoje na wpół nagie ciało. - Spójrz na mnie. Gdzie miałabym ją ukryć?

Opuściłam głowę, wlepiając wzrok w posadzkę.

- Zresztą nieważne. Pójdę się wysuszyć i ubrać. - Oczekwała chwilę i znowu się odezwała, tym razem łagodniejszym, kokieterijnym głosem: - Idziesz ze mną?

- Raczej nie - odparł Parker.

Po tych słowach zerwała się pędem do szatni, a - hałę pływalni wypełniło plaskanie jej

bosych stóp o posadzkę. Dopiero kiedy rozległ się odgłos otwierania i zamykania drzwi do przebieralni, odważyłam się spojrzeć na Parkera.

- Bardzo cię przepraszam - powiedziałam.

- Już wspominałaś. Zresztą niepotrzebnie. Uratowałaś mnie od zrobienia czegoś, czego natychmiast bym pożałował.

- Najpierw krzyczałam i waliłam w szybę - powiedziałam, jakby miało to poprawić moje położenie.

- Basen znajduje się tuż obok skrzydła, w którym prowadzone są lekcje języka angielskiego. Szkło jest dźwiękoszczelne - wyjaśnił usprawiedliwiająco.

Przytrzymał moje spojrzenie. Chciałam odwrócić wzrok równie mocno, co tak trwać. W każdym razie bolące ramię zadecydowało za mnie.

- Przepraszam... mogę?

Zerknął na swoją rękę, po czym natychmiast zwolnił uścisk, jakby sam się zdziwił, że wciąż mnie dotyka.

Zrobiłam krok w tył, a podeszwy butów zazgrzytały na potłuczonym szkłe.

- Lepiej już pójde. To znaczy znaleźć kogoś, kto pomoże mi to uprzętać.

- Nie idź.

Znieruchomiałam.

- Jeszcze się nie skończyło, prawda? - zapytał Parker. - Całe to spotkanie?

Pokręciłam głową.

- Może po prostu zostaniemy tu przez jakiś czas, co ty na to? Bo wiesz, może być ciężko ukryć to przed zgrają ludzi, którzy przyszli na spotkanie. Pewnie przeczesują teraz korytarze, próbując nas namierzyć. - Skinął na pękniętą szybę. - Ale skłonny jestem zaryzykować, jeśli zechcesz.

Chciałam zostać. Z jednej strony dlatego, że on to zaproponował, a z drugiej - bo miałabym okazję wytłumaczyć swoje dziwne zachowanie, nie zdradzając zbyt wiele. Przede wszystkim jednak dlatego, że byłam zupełnie wycieńczona. Miałam wątpliwości, czy w ogóle udałoby mi się dotrzeć do sali gimnastycznej, nie ucinając sobie wcześniej drzemki.

Kiedy ruszyłam w stronę wyjścia, odblokował drzwi, otworzył je i podał mi dłoń, żeby przeprowadzić mnie po odłamkach szkła na swoją stronę.

Podeszliśmy do krawędzi basenu, gdzie wciąż jeszcze leżały jego ubrania. Założył koszulkę i podał mi swoją kurtkę. Gdy pokręciłam głową, zostawił kurtkę na podłodze i skierował się w stronę głębokiego końca basenu.

- Jest cały twój! - zawołała Georgia, która wyłoniła się z szatni i szybkim krokiem

pomaszerowała do wyjścia. - A tak swoją drogą, cały ten szum wokół niego to gruba przesada.

Parker przystanął przy najniższym stopniu drabinki prowadzącej na skocznię. Dołączając do niego, uniosłam brwi.

- Pierwsza niezadowolona klientka? - zapytałam.

- Sam nie wiem. - Posłał mi chytry uśmieszek. - Ciągle jeszcze czekam na raport od poprzedniej.

Odetchnęłam z ulgą, gdy zaczął się wpinać po drabince, bo nie mógł widzieć, jak moją twarz pokrywa rumieniec. Ku własnemu zaskoczeniu, pomimo tej krępującej wzmianki, poczułam lekki przyływ energii. Swój początek miał w palcach u stóp i odniosłam wrażenie, że pnie się w górę wraz z krwią krążącą w żyłach. To wystarczyło, bym zacisnęła obie dłonie na metalowej barierce i ruszyła w ślad za nim.

Dotarłam zaledwie do drugiego stopnia, kiedy wyobraziłam sobie Simona czekającego na mnie po drugiej stronie żelaznej bramy prowadzącej na teren Ośrodka Leśnego „Bohaterka” w Winter Harbor. Na krótką chwilę przylgnęłam do zimnego metalu i rozważałam, czy nie zejść na dół.

- Jest pewna dziewczyna! - zawołał do mnie Parker.

I wtedy zalała mnie kolejna fala energii. Sprawiała, że na skórze poczułam mrowienie i znów ruszyłam w górę.

- Pamiętasz ten dzień w sali obserwacji sportów wodnych? Kiedy zapytałaś, czy się z kimś spotykam?

- Tak, a co? - Całą uwagę skupiłam na ruchach. Prawa ręka, lewa ręka, prawa noga, lewa noga.

- Bo widzisz, wtedy skłamałem. A może nie. Przynajmniej nie z technicznego punktu widzenia. Znasz Amelię Hathaway?

- Jasne - odparłam, wdzięczna, że nie wspomniał, jak szpiegowałam ich w bibliotece parę tygodni wcześniej.

- Między nami zaiskrzyło na pewnej wakacyjnej imprezie. Myślałem, że to tylko niewinny flirt, dopóki coś się nie zmieniło. Spotykaliśmy się przez jakiś czas i gdy moje uczucia stawały się coraz silniejsze, ona niekoniecznie je odwzajemniała.

- To fatalnie. - Prawa ręka, lewa ręka, prawa noga, lewa noga.

- Zgadza się. Tym bardziej że kiedy dała jasno do zrozumienia, że nie czuje tego, co ja, mnie przestało obchodzić, co robię i z kim to robię. - Chwycił za poręcz u szczytu drabinki i podciągnął się na skocznię. - Aż do teraz.

Prawa ręka, lewa ręka, prawa noga, lewa...

Zatrzymałam się, uczepona barierki, z dłońmi Parkera zaciśniętymi na moich dłoniach. Zerknęłam w dół, zobaczyłam, jak daleko jest posadzka, i bez oporów pozwoliłam mu podciągnąć się na skocznię. Staliśmy twarzami zwrócenii do siebie, nasze ciała dzieliły centymetry, a palce zachodziły na siebie, spoczywając na barierce. Jego bliskość w połączeniu z towarzyszącym mi całe życie lękiem wysokości i odległością sześciu metrów od tafli basenu powinna wprawić mnie w takie przerażenie, by zabrakło mi tchu, ale - ku własnemu zaskoczeniu - czułam się wyjątkowo opanowana. Silna.

Kiedy Parker znów przemówił, uczucie to tylko się nasiliło.

- Nie wiem, co sobie myślałaś o tym, co się tu działo - rzekł cicho. - Ale wiem, że martwiłaś się o mnie. Cokolwiek to było, miałaś pewność, że grozi mi jakieś niebezpieczeństwo, i chciałaś mi pomóc. Tak jak tamtej nocy w porcie... mam rację?

Przełknęłam ślinę, skinęłam głową i spojrzałam przez jego ramię na wodę w dole.

- Vanesso, do tej pory jeszcze nikt nie troszczył się o mnie tak bardzo. I choć nie jestem pewien, co to dla ciebie znaczy, bardzo bym pragnął, żeby...

- Parker - szepnęłam.

- Nie, proszę. Pozwól mi dokończyć, zanim opuści mnie odwaga. Nie znamy się zbyt dobrze, ale bardzo bym pragnął, żeby...

- Parker.

Zamilkł. Jego palce zacisnęły się na moich, kiedy odwrócił się, żeby podążyć za moim nieruchomym spojrzeniem.

Przechylił się przez barierkę.

- Czy to jest...? Czy on nie wygląda jak...?

- Tak - przyznałam, a do oczu napłynęły mi łzy.

To był Matt Harrison. Przedstawiciel Bates. Unosząc się na plecach, dryfował na środek basenu.

Gdy Parker wołał i machał do niego, licząc na reakcję, ja opadłam na kolana, bo nie miałam wątpliwości, że to złudna nadzieja.

Matt Harrison nie żył.

A uśmiech na jego twarzy był tak szeroki, jakby nigdy nie czuł się szczęśliwszy.



Po zawiadomieniu szkolnej ochrony Parker i ja spędziliśmy godzinę na rozmowach z policją. Chcąc oszczędzić mi przykrych następstw, próbował nakłonić mnie do odejścia przed ich przybyciem, ale odmówiłam. I tak to Parker złożył większość wyjaśnień, jednak chciałam potwierdzić, że byliśmy tu razem, kiedy znaleźliśmy zwłoki. Gdyby powiedział, że znalazł je sam, policja mogłaby podejrzewać, że jest w to jakoś zamieszany, a ja nie chciałam do tego dopuścić.

Był jeszcze jeden powód, dla którego zostałam. Kiedy Parker wyjaśniał sytuację ojcu i dyrektorowi O'Hare, którzy zdawali się bardziej przejęci tym, jak poradzą sobie z potencjalnym negatywnym rozgłosem w mediach, niż faktem, że na terenie szkoły właśnie zginął przedstawiciel wyższej uczelni, przeprosiłam, tłumacząc, że muszę zadzwonić do rodziców, ale to był tylko pretekst, bym mogła wyjść na dwór.

Władze liceum im. Hawthorne'a i wydział bostońskiej policji musiały zawrzeć jakieś porozumienie, bo przy głównym i tylnym wejściu do szkoły życie toczyło się bez zakłóceń. Spotkanie z przedstawicielami szkół wyższych dobiegło końca, a teraz uczniowie ostatnich klas i pracownicy uczelnianych działów rekrutacji rozmawiali w osobnych grupkach na schodach i na chodniku. Ci ostatni zastanawiali się, gdzie mogliby wybrać się na wczesny obiad, a uczniowie podsłuchiwali, by „przypadkiem” się do nich przyłączyć. Wyglądało na to, że nie mają pojęcia, co wydarzyło się w drugim skrzydle budynku. Przy tylnym wejściu z kolei słychać było gwar rozmów pierwszo i drugoklasistów stojących w kilku gromadkach.

Miałam zamiar wrócić do środka i iść za jakimś funkcjonariuszem tak długo, aż zostanie sam, kiedy moją uwagę zwróciła biała ciężarówka. Jej przednia połowa wystawała z wąskiego podjazdu dla dostawców kilkanaście metrów od tylnego wejścia do budynku szkoły. Na boku ciężarówki widniał niebieski napis PIEKARNIA KOLONIJNA, a na desce rozdzielczej stał kogut alarmowy z przyciemnianego plastiku. Podchodząc, usłyszałam szmery i trzaski krótkofalówek i przyciszone męskie głosy. Ciężarówka zajmowała niemal całą szerokość podjazdu, zasłaniając to, co działo się na jej tyłach, ale kilka razy mignęły mi przed oczami czerwone torby ratowników medycznych i nosze.

- Zgubiłaś się?

Podskoczyłam, słysząc kobiecy głos. Stała tuż za mną, miała na sobie ciemne spodnie, długi biały fartuch piekarski i niosła trzy butelki wody, które zapewne właśnie kupiła w

delikatesach znajdujących się obok. Spod jej fartucha, tuż przy kołnierzyku, wystawała plakietka jednej z bostońskich prywatnych ekip pogotowia ratunkowego. Widząc, że błędę tam wzrokiem, jedną ręką szybko zapięła guzik.

- Nie - odparłam zbyt pogodnie, wskazując głową na ciężarówkę. - Po prostu zgłodniałam. Dostanę u was jakieś babeczki?

- Po drugiej stronie ulicy jest piekarnia.

- Tak, ale o tej porze ich babeczki są już zleżałe. A te z waszego samochodu dostawczego na pewno są prosto z pieca.

Niespiesznie obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem. Potem, uznawszy, że jestem tylko irytująca i nie stanowią zagrożenia, minęła mnie szybkim krokiem.

- To wejście prywatne. Lepiej będzie, jeśli już pójdziesz.

Stałam kilka kroków od podjazdu, po czym przeszłam na chodnik. Wyciągnęłam z plecaka książkę, oparłam się o ścianę i miałam nadzieję, że wyglądam, jak ktoś, kto czyta, czekając na spotkanie. Za każdym razem, gdy słyszałam odgłos kroków w głębi podjazdu albo gdy otwierały się drzwi ciężarówki, od niechcenia wyglądałam za róg. Następnym pracownikiem pogotowia, który się pojawił, była także kobieta, a dwaj kolejni byli starszymi żonatymi mężczyznami.

Za to czwarty wydał mi się obiecujący. Był młody, nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia parę lat, a na serdecznym palcu lewej ręki nie było obrączki.

- Przepraszam? - zawołałam, zamieniając książkę na notes i długopis.

- Słucham? - Mężczyzna zanurzył się w kabinie ciężarówki, przez co cały tułów zniknął za otwartymi drzwiami od strony pasażera, a widać było tylko nogi.

Zanim zaryzykowałam wejście na podjazd, upewniłam się, że nikt nie nadchodzi. Kiedy uporał się z tym, co robił w kabinie, wyprostował się i zamknął drzwi.

- Witam. - Posłałam mu, w swoim mniemaniu, przyjazny, ale dwuznaczny uśmiech.

Zdawało się, że na początku podziałało: mężczyzna odpowiedział uśmiechem i nawet zrobił krok w moją stronę, ale gdy tylko przypomniał sobie, gdzie jest, jego usta ułożyły się w prostą linię.

- Pani nie powinno tu być - stwierdził.

- Przecież czekam tu na pana.

Już chciał odejść, kiedy przystanął w pół kroku.

- Na mnie?

- Zbieram informacje do artykułu. Dla dziennika „The Globe”. - Trochę się zapędziłam, ale przynajmniej nie miałam na sobie szkolnego mundurka.

Wciąż wydawał się nieprzekonany, ale słuchał.

- Na jaki temat?

- Na temat mrocznych śmiertelnych wypadków w naszej okolicy. To artykuł do wydania specjalnego z okazji Halloween. Uznałam, że jako pracownik jednej z najlepszych bostońskich ekip ratunkowych musiał pan widzieć sporo dziwacznych przypadków.

Z tym to dopiero przeholowałam. Tym bardziej że też miał na sobie fartuch piekarski, a w przeciwieństwie do tamtej kobiety, jego plakietki nie było widać. Więc skąd miałabym wiedzieć, że w ogóle pracuje dla pogotowia, nie wspominając już o tym, że dla najlepszego. Przygotowałam się na kolejną reprimendę.

Ale nic takiego nie nastąpiło.

- Rzeczywiście, niejedno widziałem - odrzekł, opierając się o ciężarówkę i krzyżując ramiona na piersi. Wyglądał przy tym na zadowolonego z siebie. - Ale czy pani na pewno jest reporterką? - Oddech uwiązł mi w gardle. - Jest pani zbyt urocza, żeby całymi dniami przesiadywać przed komputerem.

Roześmiałam się beztrząsco. To najwyraźniej uszczęśliwiło go jeszcze bardziej i natychmiast zaczął przytaczać rozmaite przypadki morderstw i samobójstw. Udawałam, że robię notatki, raz po raz przerywając, by posłać mu uśmiech albo przysunąć się bliżej, ale ponieważ żadna z przywołanych historii nie dotyczyła ofiar ostatnio znalezionych w mieście, postanowiłam go nieco naprowadzić.

- A co z chłopakiem, który skoczył z mostu parę tygodni temu? - zapytałam. - Tym, który zostawił list przywiązany do balonika?

- Nic szczególnego. Zerwała z nim dziewczyna, a on nie umiał bez niej żyć. - Mrugnął okiem. - Potrafię to sobie wyobrazić, zależy co to za dziewczyna.

Poczułam ucisk w żołądku.

- I nie było w nim nic... szczególnego... kiedy go znaleziono? Żadnych dziwnych znaków czy grymasów?

- Nic, co by mi utkwilo w pamięci.

- A co z wypadkiem autobusu wiozącego drużynę sportową uniwersytetu bostońskiego? Cokolwiek dziwnego?

Potrząsnął głową.

- Znaleziono ostatnią czwórkę zaginionych studentów, a reszta wraca do siebie w szpitalu. Przypadek niefortunny, ale też dość standardowy.

Zrobiłam kolejny krok w jego stronę, położyłam jedną dłoń na jego ramieniu.

- Słyszałam, że w pewnych okolicznościach ludzie umierają z rozchylonymi wargami,

a kąciki ust mają wykrzywione ku górze. Wyglądają, jakby byli szczęśliwi. Czy któraś z ostatnich ofiar tak właśnie wyglądała?

- Teraz, kiedy pani o tym wspomniała, przypomniałem sobie, że tamten gość, który skoczył z mostu, faktycznie nie wyglądał na przygnębionego, kiedy go znaleziono. - Obejrzał się za siebie, po czym pochylił w moją stronę. - A tak między nami, w basenie tej prestiżowej szkoły właśnie utonął jakiś facet. Kiedy go wyciągali, szczyrzył się jak kot z Alicji w Krainie Czarów.

Odkoczył w tył, gdy gdzieś za nim trzasnęły drzwi. Spojrzałam ponad jego ramieniem i zobaczyłam, że w naszą stronę idzie ratowniczką medyczna, która wcześniej kazała mi stąd zniknąć.

- Dziękuję pięknie - powiedziałam, wycofując się.

- Ogromnie mi pan pomógł.

- Niech pani zaczeka. - Ruszył za mną. - Jak się pani nazywa? Jak mogę panią...

Kobieta z ekipy ratunkowej zacisnęła palce na jego ramieniu. Kiedy zażądała, by powiedział, z czym się wygadał, obróciłam się na pięcie i uciekłam.

Przebiegłam obok szkoły, na drugą stronę ulicy i dalej

- przez park. Wymijając przechodniów i wózki spacerowe, usiłowałam poukładać w sensowną całość wszystko, czego się właśnie dowiedziałam. Dobiegłam do naszej kamienicy, ledwie łapiąc oddech i, skacząc po dwa stopnie, wbiegłam po schodach na górę.

- Dobrze, że jesteś - stwierdziła mama, kiedy weszłam do przedpokoju. Stała w pokoju gościnnym i przeglądała zawartość kolejnych kartonowych pudeł. Gdy spojrzałam w jej stronę, trzymała przed sobą dwie czarne peleryny. - Co o tym sądzisz? Na kostiumy? Dla ciebie i dla...

- Przepraszam. - Minęłam ją, dając małego całusa w policzek. - Nie mogę teraz rozmawiać. Tato ciągle jest u siebie?

- Wyszedł do pracy. Poczul się na tyle dobrze, żeby iść na popołudniowy wykład.

To zabrzmiało, jak kolejne kłamstwo dla dobra mamy, ale w tej chwili nic nie mogłam na to poradzić. Przemierzyłam pokój, weszłam po schodach na górę i ruszyłam w głąb korytarza.

- Paige - zawołałam i zapukałam do drzwi jej sypialni. - Wiem, że chciałaś pobyć sama, przepraszam, że przeszkadzam, ale...

Urwałam, bo drzwi otworzyły się pod ciężarem mojej dłoni, a ze środka buchnęła chmura gorącego powietrza.

- Paige? - Przekroczyłam próg. W pokoju panował półmrok, który rozświetlała

delikatna poświata nocnej lampki podłączonej do gniazdka przy biurku. - Dobrze się czujesz?

Żadnej odpowiedzi. Uznałam, że zasnęła, ale ponieważ nadal musiałam z nią porozmawiać, podeszłam cichutko do łóżka. Po omacku odszukałam poduszkę, chcąc delikatnie ją obudzić, głaszcząc po włosach. Dłonią musnęłam poduszkę... ale jej głowy tam nie było. Obmacałam łóżko na całej długości. Oprócz Paige zniknęły też koce i pościel.

Podeszłam do wezgowia łóżka i włączyłam drugą małą lampkę stojącą na stoliku nocnym. W przyćmionym świetle zobaczyłam, że z łóżka zdjęto całą pościel. Rolety były opuszczone, a kotary starannie zaciągnięte. To było dziwne, ale jeszcze dziwniejsze było to, co znalazłam na środku pokoju.

Na podłodze, w szerokim okręgu, stało osiem przenośnych grzejników, podłączonych do trzech oddzielnych listew. Na środku między grzejnikami leżały koce i prześcieradła zdjęte z łóżka, a także cała, jak się zdawało, zawartość bielizniarki na piętrze: stare kołdry, wełniane narzuty, a nawet ręczniki dla gości. Wszystko to także ułożono na kształt okręgu, przez co przypominało coś w rodzaju gniazda. Na samym środku leżały poduszki - te z łóżka i dodatkowe wyciągnięte z bielizniarki - oraz plastikowy dzbanek wody. Poduszki były przetrzepane, jakby nie tknięto ich, odkąd ułożono je na podłodze, a dzbanek z wodą pełny. Reszta pokoju wyglądała tak jak zwykle, z jednym wyjątkiem.

Nie było w nim Paige.

Rękawem otarłam pot z czoła, po czym wybiegłam na korytarz. Wpadłam do mojego pokoju, sądząc, że może Paige tam na mnie czeka, ale on też był pusty.

Na tym piętrze znajdowało się jeszcze tylko jedno pomieszczenie: łazienka. Zbliżałam się do niej powoli, czując, jak stopniowo opuszcza mnie energia i obawiając się tego, co mogę zastać w środku. Drzwi były zamknięte, a przez wąską szczelinę pod drzwiami nie dobiegało światło. Słychać było jednak szum wody, jakby ktoś brał kąpiel.

Kiedy już znalazłam Paige w wannie. Wtedy była brzemienna i bardzo chora. Jej ciało, które nie przeszło transformacji, nie było gotowe, by dać żywej istotce rozwijającej się w jej brzuchu to, czego potrzebowała. Raina i Zara, zamiast zabrać Paige do lekarza, zajmowały się nią w domu, wlewając w nią litry morskiej wody i skłaniając do brania gorących kąpieli. Tamtego dnia, kiedy widziałam ją przez uchylone drzwi do łazienki, były razem z nią: trzymały jej bladą, drżącą dłoń, czuwając w milczeniu.

Kiedy tym razem zbliżałam się do naszej łazienki, w wyobraźni ujrzałam jej ciało, które wije się i drży. Przywołałam z pamięci dźwięk, jaki wydobywał się z jej krtani, coś pomiędzy skowytem a piskiem; nie przypominał niczego, co dotychczas słyszałam. Przypomniałam sobie jej oczy, piękne srebrzystobłękitne oczy, posyłające w stronę sufitu

Isniące smugi światła, zdające się nie widzieć nic i wszystko zarazem. Modliłam się, żeby taki widok tym razem nie czekał na mnie za drzwiami.

Zapukałam. Raz. Drugi. I trzeci.

- Paige? To ja, Vanessa. Mogę wejść? - Przyłożyłam ucho do drzwi i nasłuchiwałam. Nie słychać było niczego poza ciągłym szumem wody. - Błagam - wyszeptałam, chwytając gałkę. - Proszę, żeby było z nią wszystko dobrze...

Podobnie jak sypialnię, łazienkę oświetlała pojedyncza lampka nocna. Jednak nie potrzebowałam więcej światła, żeby ocenić, że z Paige nie jest dobrze, że przybyłam za późno.

Jej znieruchomiałe ciało przytrzymały pod wodą ciężkie żelazne kliny do drzwi leżące na brzuchu, ramionach i nogach. Skóra była biała, usta sine. Woda wlewała się do przepelnionej wanny ze słuchawki prysznic, sprawiając, że włosy unosiły się wokół nabrzmiałej twarzy.

W rzędzie na porcelanowej półce obok wanny stały pojemniki soli kuchennej. Po zalanej kafelkowej podłodze dryfował biały notes, a złote litery na okładce połyskiwały w przyćmionym świetle.

Gdy mój wzrok zatrzymał się na drobnych literach układających się we francuski napis, poczułam, że całe ciało mi drętwieje.

„La vie en rose”.

Dziennik Zary.

W poczekalni szpitala czuć było środkiem dezynfekującym i chipsami ziemniaczanymi. Przyprawiające o mdłości połączenie nie poprawiało kondycji mojego żołądka, który skręcał się od czterdziestu pięciu minut, odkąd otworzyłam drzwi do łazienki.

- Powinnaś coś zjeść. - Mama położyła dłoń na moim kolanie.

- Nie jestem głodna - odparłam.

- Jesteś spocona i cała drzysz. Jedzenie dobrze ci zrobi.

Nie odpowiedziałam. Mała dziewczynka przyglądała mi się z zaciekawieniem z drugiego końca poczekalni. Spróbowałam się do niej uśmiechnąć, ale nieudana próba sprawiła, że ukryła twarz w swetrze mamy.

- Sałatka - zdecydowała mama, wstając. - Przyniosę ci sałatkę i przy okazji zadzwonię do twojego ojca.

- Dzwoniłaś do niego już dwanaście razy w ciągu ostatnich pięciu minut - zaprotestowałam słabo.

- I będę dzwoniła tak długo, dopóki nie odbierze.

Musiałam przyznać, że czułam podziw dla jej determinacji... i niezmaconego spokoju. Nie pamiętałam zbyt wiele z tego, co się wydarzyło po tym, jak znalazłam Paige. Wiem, że krzyknęłam i wyciągnęłam ją z wanny, i jak przez mgłę kojarzę, że w pewnej chwili mama znalazła się w łazience razem z nami, ale to było wszystko. A jednak jakimś cudem byliśmy tutaj, w szpitalnej poczekalni. Paige trafiła w ręce lekarzy. To tak, jakby w chwili, gdy krzyknęłam, mama przebudziła się z dziwnego snu i wkroczyła w rzeczywistość dokładnie w taki sam sposób, w jaki ją opuściła.

To był mały cud, jeśli przyjąć, że cuda istnieją.

Kiedy mama zniknęła w drzwiach windy, wstałam i powłócząc nogami, udałam się do recepcji.

- Przepraszam - zaczęłam, opierając się o blat dla zachowania równowagi. - Czy są już jakieś wieści? O Paige...

- Marchand. - Recepcjonistka Barbara, starsza kobieta z bujną blond fryzurą, zerknęła na mnie znad okularów w oprawkach wysadzanych cyrkoniami. - Nazwisko pamiętam po pierwszych dwunastu razach, kiedy o nią pytałaś.

Najwyraźniej mama nie była jedyną zdeterminowaną.

- Trzyma się - zapewniła Barbara. - Jej stan jest nadal krytyczny, ale nie pogarsza się.

- Dziękuję. I zawiadomi mnie pani, jeśli cokolwiek się zmieni?

- Słowo. - Zakreśliła palcami znak krzyża na sercu. - Ale jeśli będziesz chciała wcześniej sama zapytać, nie pogniewam się.

Oderwałam się od lady i ruszyłam z powrotem, a wtedy odezwała się znowu:

- A ty dobrze się czujesz, dziecko? Wyglądasz, jakbyś zaraz miała upaść.

- Nic mi nie jest - zapewniłam ją, machając ręką. - Ale dziękuję.

Już miałam wracać na swoje miejsce w rzędzie krzesel, kiedy dziewczynka, która mi się przyglądała, spostrzegła, że się zbliżam, oparła się o mamę i wyszeptała:

- To znowu ta pani. Co z nią jest nie tak?

Wiedziałam, że lepiej będzie, jeśli przyzwyczaję się do tego pytania, bo już każdego dnia do końca życia coś będzie ze mną nie tak, ale teraz nie umiałam go zignorować. Opuszczając głowę, by włosy zakryły mi część twarzy, minęłam rząd krzesel i tak szybko, jak pozwalały na to moje wlekące się nogi, wyszłam przez automatyczne drzwi. Na zewnątrz, nie zwracając uwagi na palących i przejętych członków rodzin, którzy przez telefon przekazywali krewnym informacje o aktualnym stanie zdrowia swoich bliskich, opadłam na pustą ławkę z dala od wejścia do izby przyjęć.

Z Paige wszystko w porządku. Jest tu na zwykłych badaniach kontrolnych. Lada

chwila ją wypuszczą i wrócimy do domu, będziemy rozmawiać i oglądać filmy jak w każdy inny wieczór.

Kiedy tak w myślach okłamywałam samą siebie, poczułam, że moja krew zaczyna szybciej krążyć w żyłach, a w głowie coraz bardziej mi się kręci. W obawie, że zemdleję, zanim zrobię jedyną rzecz, którą zrobić powinnam, otworzyłam klapkę telefonu, zamknęłam oczy i skupiłam się na oddychaniu. Kiedy uznałam, że zdołam powiedzieć to, co należy, nie płacząc, otworzyłam oczy i wybrałam numer.

Po drugim sygnale odezwała się poczta głosowa. Zastanawiałam się, czy się rozłączyć i spróbować zadzwonić później, ale uznałam, że lepiej będzie, jeśli przynajmniej zostawię wiadomość. Bo któż mógł wiedzieć, w jakim stanie będę potem.

- Witaj, Betty, tu Vanessa. Dzwonię w sprawie Paige. Zdarzył się... wypadek.

To było kolejne kłamstwo. Pomimo oszołomienia zdołałam zabrać z zalanej posadzki dziennik Zary, a potem w szpitalnej poczekalni, kiedy mama poszła zatelefonować do taty, przeczytałam staranne, rozmazane notatki Paige. Choć nie wiedziała, jaki będzie rezultat, działała celowo. Odkręciła wodę, nasypała do wanny soli, obciążyla ciało. Wiedziała, co robi.

Usiłowała przemienić się w jedną z nich. W jedną z nas. Mogłam tylko domyślać się, że jej metoda zawiodła, ponieważ nie zanurzyła się w naturalnie słonej wodzie.

- Jest na oddziale intensywnej terapii w Stanowym Centrum Medycznym - dokończyłam szybko. - Na razie nie wiemy zbyt wiele, ale pomyślałam, że będziesz chciała się z nią zobaczyć. Może Oliver mógłby cię przywieźć?

Podaliśmy adres i rozłączyłam się. Kilka metrów dalej ambulans podjechał z dużą prędkością przed wejście na oddział pogotowia. Utkwiłam wzrok w obracających się światłach. Pomiędzy błyskami wyobraziłam sobie Justine.

Brakowało mi jej. Zwłaszcza teraz, ale także w każdej chwili każdego dnia, nawet kiedy świadomie o niej nie myślałam. Brakowało mi jej uśmiechu, żywiołowości, zdolności sprawiania, że wszystko, co złe, znów stawało się dobre. Brakowało mi wpadania na nią na korytarzu na piętrze, kiedy, wciąż jeszcze zbyt zaspana i marudna, nie miała ochoty się przywitać. Brakowało mi rozmów, jakie prowadziłyśmy każdego wieczoru, o mamie i tacie, o szkole i o chłopakach, tak długo, aż stawałam się wystarczająco zmęczona, by zapomnieć o lęku przed ciemnością i zasnąć. Czasem, kiedy brakowało mi jej tak bardzo, że nie mogłam oddychać, pozwalałam sobie wierzyć, że tylko wyjechała, że wróci, kiedy będzie gotowa.

Gdybym straciła i Paige, chyba już nigdy bym się nie pozbierała.

Oczy zaszyły mi łzami i ogarnęła mnie nagła przemożna potrzeba, by ktoś zapewnił mnie, że wszystko będzie dobrze. A jeśli to nie było możliwe, pragnęłam, by ktoś był tu ze



mną, ktoś, kogo kocham i kto kocha mnie, przy kim nie musiałabym nic mówić, gdybym nie chciała, kto po prostu siedziałby ze mną na ławce tak długo, aż poczuję się na tyle silna, by znowu wstać.

Potrzebowałam Simona.

Gdy pisałam do niego wiadomość, palce poruszały się same. Po policzkach potoczyły się łzy, ale nowe natychmiast napływały do oczu, przez co ledwie widziałam niewielki ekranik. Starłam się pisać zwięźle, przekonana, że będzie wiedział, o co proszę, bez mówienia wprost.

„Paige jest na OIOMie w Stanowym Centrum Medycznym. Z nią na razie w porządku. Ze mną niekoniecznie”.

Wcisnęłam przycisk „Wyślij”, zamknęłam klapkę i osunęłam się na oparcie ławki, aż moja głowa spoczęła na drewnianych listwach. Gdy obserwowałam obracające się światła ambulansu, powieki stały się zbyt ciężkie, więc pozwoliłam im opaść. Odgłosy rozmawiających ludzi, przejeżdżających samochodów i trąbiących klaksonów w oddali stopniowo ucichły.

Musiałam zapaść w głęboki sen, bo kiedy się ocknęłam, ktoś już siedział przy mnie. Otoczył mnie ramieniem i przyciągnął do siebie tak, że mój policzek spoczywał na jego ciepłej klatce piersiowej. Instynktownie otoczyłam ramieniem jego brzuch, a rękę złożyłam aż na biodrze.

Czułam się lepiej. Spokojniejsza. Silniejsza. Myśli miałam jasne. Byłam też spragniona, ale nie bardziej niż po zwykłej drzemce.

Rzecz jasna, gdybym kierowała się rozumem, a nie uczuciami, zdałabym sobie sprawę, jak bardzo nieprawdopodobne jest, bym spała na tej ławce przez trzy godziny, bo tyle czasu potrzebowałby Simon, żeby dotrzeć tutaj z Maine. Może dwie, gdyby nie przestrzegał ograniczeń prędkości. Zrozumiałabym, że mama w życiu nie zostawiłaby mnie samej na zimnie aż tak długo, zwłaszcza teraz, gdy weszła w rolę osoby panującej nad sytuacją.

Ale ja nie myślałam. Byłam zbyt szczęśliwa, że on jest przy mnie.

- Tak się cieszę, że przyjechałeś - wyszeptałam.

- To ja się cieszę, że mnie o to poprosiłeś - odparł, wolną ręką obejmując mój brzuch.

Otworzyłam oczy. Nie poruszając się, spojrzałam na jego ramię, zarejestrowałam brązową kurtkę, wystrzępione mankiety. Zerknęłam w dół na chodnik, na brudne conversy.

Simon nie nosił conversów.

Nosił je Parker.

Zbyt zmęczona, żeby wybierać numer, napisałam wiadomość w odpowiedzi na

wcześniejszy SMS. W otumanieniu musiałam przypadkiem odpowiedzieć na wiadomość Parkera, nie Simona.

- Potrzebujesz czegoś? - zapytał cicho prosto do mojego ucha. - Przynieść ci coś?

Odejdź. Proszę, odejdź stąd i zostaw mnie samą.

Ale nie powiedziałam tego głośno. Ani się nie odsunęłam. Moje ciało nie chciało współpracować. Nadal działało bez porozumienia z mózgiem, przysuwając się do niego jeszcze bliżej. Cieleśne pragnienie, by być blisko niego, zagłuszało alarm wyjący w mojej głowie.

Kiedy ramiona Parkera zaciskały się wokół mnie, myślałam o Simonie. Kochałam go. Bardziej niż cokolwiek i kogokolwiek. Kiedy byliśmy razem, czułam się pełniejsza niż kiedykolwiek wcześniej.

Jednak - ku własnemu zaskoczeniu - bycie z Parkerem też dawało mi poczucie spełnienia.

Paige miała wydobrzeć. Była niezwykle osłabiona i musiała zostać w szpitalu na obserwacji, ale jej lekarze zapewnili nas, że za kilka dni poczuje się na tyle dobrze, by wrócić do domu. Przychodziłam się z nią zobaczyć rano, w porze lunchu, po szkole i często zostawałam aż do zakończenia pory odwiedzin, kiedy pielęgniarki musiały mnie wyganiać. Paige była bardzo zmęczona, więc nie mówiłyśmy za wiele, a kiedy rozmawiałyśmy, trzymałyśmy się lekkich, bezpiecznych tematów, takich jak choćby aktualne programy w TV podwieszonym przy suficie w nogach łóżka. Chciałam wiedzieć, dlaczego to zrobiła, ale nie zamierzałam jej denerwować ani pogarszać jej samopoczucia. Wiedziałam, że kiedy będzie gotowa, sama mi o tym powie, a ja jako jej przyjaciółka będę czekać tak długo, jak to będzie konieczne.

Co nie znaczyło, że nie mogę próbować szukać odpowiedzi gdzie indziej. Dlatego też w następną sobotę wstałam przed świtem, zostawiłam mamie i tacie kartkę informującą o całodzienniej sesji nauki i wybrałam się do Winter Harbor.

Minął niecały tydzień od tamtego ranka, kiedy obudziłam się na jachcie Parkera, ale przejeżdżając przez miasteczko, odniosłam wrażenie, jakby minęło wiele miesięcy. Gałęzie drzew były teraz już prawie zupełnie gołe, a kolorowe niegdyś liście zaścielały teraz ziemię brązowym dywanem. Niebo było szare, a słońce ukrywało się za wiszącą nisko warstwą chmur. Turyści, którzy pomiędzy sezonem pływackim a narciarskim nie mają tu nic do roboty, wrócili do swoich domów, pozostawiając po sobie ciche ulice i opustoszałe wnętrza sklepów. Nigdy wcześniej nie byłam w Winter Harbor o tej porze roku i zdziwiło mnie, jak bardzo wydaje się samotne.

Spragniona towarzystwa ludzi, obrałam kurs na dom Betty. On też wydawał się inny. Turkusowe elewacje wyglądały blado i nijako, farba odpryskiwała i łuszczyła się. Długi ganek zapadał się na środku, a w balustradzie biegnącej na całej jego długości brakowało przynajmniej dziesięciu drewnianych szczebelków. Kilka okiennic oberwało się i spadło na ziemię, a te, które pozostały, były popękane i powykrzywiane. Wyglądało to tak, jakby nad domem przetoczył się huragan, wstrząsając konstrukcją i pozostawiając ją w oplakanym stanie.

A biorąc pod uwagę gwałtowne, przelotne burze zeszłego lata, może właśnie tak się stało.

Zaparkowałam samochód, w kilku krokach przemierzyłam trawnik i wbiegłam po schodkach na ganek. Podczas sześciogodzinnej podróży miałam wiele czasu na zastanowienie, co powiedzieć, ale zanim nacisnęłam dzwonek, dałam sobie jeszcze kilka chwil, by wszystko raz jeszcze powtórzyć w myślach.

- Co ty tu robisz?

Odskokczyłam, chwytając się poręczy, by nie runąć ze schodów. Oliver otworzył gwałtownie drzwi, jeszcze zanim zadzwoniłam. Wyglądał na wzburzonego i już zamierzałam przeproszać, że zjawiam się bez zapowiedzi, kiedy podjął na nowo:

- Nie mówiły, że przyjedziesz. - Jego oczy, wycelowane w przestrzeń gdzieś za mną, rzucały nerwowe spojrzenia to na lewo, to na prawo. - Nie mówiły i nie mam dla ciebie miejsca.

- To nic. - Podążyłam za nim, kiedy odwrócił się nagle i wmaszerował do środka. - Nikomu nie mówiłam, że się do was wybieram, zresztą nie zostanę na noc. Chciałam tylko opowiedzieć Betty, jak się miewa Paige.

Zatrzymał się w pół kroku i zrobił zwrot. Jego oczy nadal miały się na wszystkie strony, ani razu nie zatrzymując się bezpośrednio na mnie - ani na niczym innym w pokoju. Był przygarbiony, jakby ugiął się pod potężnym, niewidzialnym ciężarem. Usta miał zwiotczałe, a dolna warga opadała na podbródek.

- Z Betty wszystko dobrze - oznajmił. - Nie potrzebuje twojej pomocy. Ludzie powinni przestać się o nią martwić i skupić się na ważniejszych sprawach.

Rugał mnie. Chciałam raz jeszcze wytłumaczyć powód swojej wizyty, ale zanim zdążyłam się odezwać, znów się odwrócił. Przekuśtykał przez pokój gościnny do kuchni, mamrocząc pod nosem i gmerając przy aparacie słuchowym. Czekałam tam, gdzie mnie zostawił, sądząc, że zaraz wróci, ale wkrótce usłyszałam ciche, odległe kliknięcie, jakby odgłos zamykających się drzwi, a jego mamrotanie ucichło.

W ciągu kilku ostatnich dni nie czułam aż tak dokuczliwego pragnienia, ale teraz usta miałam spieczone, a gardło ściśnięte. Kusiło mnie, żeby pójść za Oliverem, ale dzięki jego nieobecności miałam doskonałą okazję, żeby porozmawiać z Betty. Kiedy skierowałam się ku schodom, nie czekając, aż nogi ugną się pode mną, wyciągnęłam z kieszeni dzinsów telefon i szybko wystukałam wiadomość.

„Simon, wiem, że jesteś wściekły, i nie winię cię, ale coś się dzieje w WH. Musimy pogadać. Proszę, zadzwoń”.

Wysłałam wiadomość w tej samej chwili, gdy prawym kolaniem uderzyłam o coś twardego. Odskokczyłam, przygryzając z bólu wargę. I nagle, po raz pierwszy, odkąd weszłam

do środka, zwróciłam uwagę na salon.

Zasłony walały się pod oknami, ich gruby materiał był podarty na strzępy. Stary kosmaty dywan został pocięty na duże nieregularne kawałki. Kanapa i fotele leżały powywracane. Były wybebeszone i miały odpiłowane nogi. Niski stolik został całkiem roztrzaskany. Z drewnianej podłogi, obok miejsca, w którym niegdyś stał, sterczała wbita w deski siekiera.

To tylko remont... ten stary zaniedbany dom zostanie wreszcie odnowiony...

Udawałam przez całą drogę na górę i w głąb korytarza. To był jedyny sposób, żeby stopy nie odmówiły mi posłuszeństwa.

Betty miała doskonały powód, żeby nie przyjeżdżać do szpitala zobaczyć się z Paige... nie czuła się najlepiej, a może Oliver był zajęty i nie mógł jej przywieźć...

Przystając przed drzwiami do sypialni Betty, wzięłam głęboki oddech i spróbowałam zebrać myśli. Uniosłam dłoń gotowa zapukać, ale powstrzymałam się, gdy dostrzegłam, że drzwi są uchylone. Betty stała przed ścianą okien zwrócona do mnie plecami. Tuż przy uchu trzymała słuchawkę i wyglądało na to, że uważnie słucha. Przyłgnęłam do drzwi, otwierając je nieco szerzej, i stanęłam tak blisko, jak się dało, nie przekraczając progu pokoju.

- Kochanie, nie ma powodu przepraszać - powiedziała Betty łagodnym, uspakajającym głosem. - Zrobiłaś, co było w twojej mocy. Następnym razem pójdzie ci lepiej.

Następnym razem? Co pójdzie lepiej? Czyżby rozmawiała z kimś z restauracji? Zarządzała nią na odległość?

- Za parę tygodni? - Głos Betty stał się teraz ostrzejszy. Jej plecy zeszywniały. - Uważam, że to nie najlepszy pomysł. Uzgodniłyśmy w ubiegły weekend, że nie ma czasu do stracenia.

Zobaczyłam, jak wolną ręką chwyta się okiennej ramy, jak jej palce zaciskają się na drewnie tak mocno, że stają się fioletowe, a po chwili białe.

- Rozumiem, że jesteś zdenerwowana, to wielka zmiana. Ale nie masz się czego obawiać. Na samym początku będziesz słaba, ale potem, w miarę upływu czasu i ćwiczeń, staniesz się silniejsza niż kiedykolwiek.

Wstrzymałam oddech.

- Nie chcesz życia, które ci było pisane? Nie chcesz znów stać się częścią rodziny? Twojej rodziny?

Nastąpiła kolejna długa pauza. Gdy słuchała, jej głowa trzęsła się lekko, co przypomniało mi rozbiegany wzrok Olivera.

- Nie rozumiesz? - prychnęła szyderczo. - Jej wcale na tobie nie zależy. Tak szczerze?

Jesteś tylko zastępstwem, substytutem jej martwej siostry.

Justine.

Zrobiłam gwałtowny wdech, gdy w myślach usłyszałam jej imię. Wypowiedziała je Betty, ale nie zrobiła tego na głos.

Szeroko otwartymi oczami przyglądałam się, jak ramię ze słuchawką powoli opada. Betty nadal stała odwrócona twarzą do okien. A ja stałam nieruchomo w drzwiach, jak wryta, nie mogąc zdecydować, czy usłuchać instynktu, który nakazywał mi biec. Zanim zdążyłam cokolwiek postanowić, obróciła głowę... i wydała z siebie pojedynczy, przenikliwy pisk.

Runęłam na ścianę, jakby odrzucona potężną falą przyływu. Zaciśnęłam oczy i zasłoniłam uszy, ale hałas tylko narastał, jakby jego źródło było wewnątrz mojej głowy, nie poza nią. Kiedy spróbowałam otworzyć oczy, srebrzysty blask jaśniejszy od słońca zmusił mnie, bym je zamknęła. Zataczałam się, ogłuszona i oślepiąca, napędzana strachem i niewidzialną siłą popychającą mnie naprzód. Zbliżywszy się do miejsca, w którym powinny być schody, odjęłam rękę od ucha i w oślepiającym świetle usiłowałam namacać balustradę. Palcami natrafiłam na coś twardego i choć nie mogłam stwierdzić, czy to poręcz, uchwyciłam się tego i użyłam resztek sił, by się podciągnąć.

Potyając się, zbiegłam ze schodów, a im bardziej się oddalałam, tym bardziej hałas i światło słabły. Kiedy znalazłam się na dole, zabrzączał mój telefon; zwolniłam, by wyjąć go z kieszeni. Wizję miałam zbyt zniekształconą, żeby móc odczytać słowa na małym ekranie. Szybko zamrugałam powiekami i wzrok poprawił mi się na tyle, bym ujrzała przed sobą lustro wiszące na ścianie u podnóża schodów. W jego odbiciu zobaczyłam, jak niski, łysiejący mężczyzna rzuca się na mnie z obnażonymi zębami i uniesioną nad głową siekierą.

- Oliverze, co ty...

Rozległ się głośny trzask, gdy trzonek siekiery uderzył mnie w głowę.

Srebrzyste tłące się światło zgasło.

Następną rzeczą, jaką pamiętam, była woda. Zimna i słona, i tak bardzo przyjemna, że dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że nie pływam w oceanie, ale jestem zanurzona w prowizorycznej balii. Tępe pulsowanie z tyłu głowy przypomniało mi o niedawnych wydarzeniach, a spętane kostki, nadgarstki i szyja potwierdziły, że to jeszcze nie koniec. Usiłowałam usiąść prosto, wysuwając głowę i naciągając postronki. Trzymały mocno.

Poruszając tylko gałkami oczu, zerknęłam na prawo, potem na lewo. Rozpoznałam misterny kwiatowy wzór obicia kanapy Betty, mokry aksamit zasłon z salonu i gładki meszek chodnika z sypialni Zary. Drewniany zbiornik był sklecony z dawnych elementów wyposażenia domu Betty i wyściełany nimi. Nad sobą zobaczyłam głowę Olivera, który

odczytał wskazanie termometru, zanotował temperaturę w zeszycie i wrzucił go z powrotem do wody. Chłodny, smukły instrument ześlizgnął się na dno zbiornika, łaskocząc brzeg mojej stopy.

Wszystko jest dobrze... Nic ci nie jest... Gdyby chciał cię zabić, nie umieściłby cię tam, gdzie jesteś najsilniejsza...

Po raz pierwszy próbowałam rozwiać swój lęk, myśląc racjonalnie. To prawda, że Oliver mnie ogłuszył, związał i - co właśnie spostrzegłam - zdjął ze mnie ubranie. Ale pomijając to, w jaki sposób się tu znalazłam, oraz fakt, że nie mogłam się wydostać - woda zapewniała mi poczucie komfortu. Gdyby Oliver chciał wyrządzić mi krzywdę, nie uderzyłby mnie obuchem i nie zamknął w miejscu, gdzie miałam dostęp do wody.

Nieco podniesiona na duchu, znów spróbowałam naciągnąć sznury. Nie były grube, ale mocno zaciśnięte. Kiedy naprężyłam je ze wszystkich sił, nieznacznie ustąpiły.

Ale to był dobry początek. Napinałam je i zwalniałam, napinałam i zwalniałam, starając się nie zmącić wody i nie zwrócić uwagi Olivera. Wreszcie mogłam przesunąć lewą rękę tak, by dotknąć wewnętrznej ścianki drewnianej balii. Zbadałam ją palcami, wdzięczna za niedbałe rzemiosło Olivera.

Powierzchnia drewna była chropowata, krawędzie nierówne. Gdy wymacałam ostry fragment, wykręciłam nadgarstek, aż lina zahaczyła o drewno. Poruszałam ręką w tę i w tę niczym piłą.

- Vanessa Sands.

Znieruchomiałam. Oliver znów stał nade mną, notując coś w swoim zeszycie. Głos miał stłumiony, ale z tonu odczytałam, że jest swobodny, rozluźniony, zupełnie jakby mówił sam do siebie.

- Twierdziły, że trudno cię będzie złapać. Twierdziły, że sama nie przyjdiesz.

Usiłowałam się nie wzdrygnąć, kiedy zanurzył dłoń w wodzie i przyłożył dwa palce do wewnętrznej strony mojego prawego nadgarstka. Przytrzymał je w tym miejscu przez kilka sekund, najwyraźniej mierząc mi puls, po czym wyciągnął rękę z wody i otarł ją o koszulę.

- Albo się myliły, albo nie doceniały mojej Betty. - Zachichotał i wprowadził do zeszytu kolejną notatkę. - A tego nikomu bym nie radził.

Zamykając oczy, przypominałam sobie ostatnie lato, kiedy Oliver opowiadał Simonowi, Calebowi i mnie o swoich uczuciach do Betty, o historii ich związku. Mówił o niej tak słodko, z tak wielkim szacunkiem, że było jasne, iż nie ma rzeczy, której by dla niej nie zrobił... nawet gdyby chodziło o porwanie najlepszej przyjaciółki jej wnuczki.

Ale dlaczego Betty to robiła, skoro ubiegłego lata pomogła nam pokonać syreny?

Dlaczego próbowała nakłonić Paige, by przeszła przemianę? Dlaczego chciała skazać własną wnuczkę na życie pełne bólu i pragnienia? I dlaczego chciała wziąć mnie w niewolę? Czyżby obawiała się, że spróbuję powstrzymać Paige?

A pomijając Betty, kim były „one”, o których wspominał Oliver?

Kilka minut później miałam przynajmniej odpowiedź na jedno z tych pytań. Kontynuowałam piłowanie, aż cienka linka zerwała się, a wtedy wolną ręką rozwiązałam drugą. Kiedy rozplątałam więzy u szyi, skuliłam się w wyściełanej drewnianej balii, dosięgając kostek. Gdy już się uwolniłam, powoli usiadłam, wysuwając nad wodę tylko głowę.

W pomieszczeniu stało co najmniej piętnaście drewnianych bali takich jak moja, może więcej. Były skonstruowane z połamanych fragmentów mebli i porwanych dywanów. Przypominały trumny w domu pogrzebowym, z tym że ktokolwiek - lub cokolwiek - znajdowało się w środku, wciąż żyło, bo w pomieszczeniu, które najwyraźniej było piwnicą Betty, ale bardziej przypominało jaskinię o gładkiej posadzce i skalistych ścianach, słychać było bulgotanie. Odgłos uwalnianych bąbelków był rytmiczny, zupełnie jak odgłos oddychania pod wodą.

Oliver siedział przy metalowym stoliku po przeciwległej stronie piwnicy, odwrócony do mnie plecami. Wyglądało na to, że robi notatki w zeszycie. Po prawej stronie stał laptop z otwartą stroną tygodnika „Winter Harbor Herald”. Mrużąc oczy, zdołałam odczytać tylko nagłówek.

„Łódź »Zanurzyć się lub umrzeć« idzie na dno: ciała nurków Gordona Yantza, lat 28, i Nicka Lexingtona, lat 32, znalezione”.

„Zanurzyć się lub umrzeć”. To była nazwa motorówki, którą widziałam, będąc na jachcie Parkera w zeszły weekend. Simon chyba wspominał, że jacyś nurkowie odkryli ciała kobiet w lodowej komnacie. Czyżby tymi nurkami byli Gordon Yantz i Nick Lexington?

Przeczucie podpowiadało mi, że to oni, a kiedy zobaczyłam, co wała się niedbale po wilgotnej posadzce wokół biurka, nie miałam wątpliwości.

Były to dziesiątki artykułów, niektóre pochodziły z „Heralda”, ale większość z bostońskiego „The Globe”. Rozpoznałam wśród nich wiele z tych, które sama wielokrotnie czytałam: o wypadku autobusowym i o studentach, których ciała odnaleziono w wodach niedaleko lotniska, czy o Colinie Miltonie Cooperze, który zginął, skacząc z mostu Longfellowa. Na podłodze leżały też wydruki emaili i mnóstwo zdjęć, na których było widać ofiary w zbliżeniu, a także inne znajome twarze.

Jak choćby Paige czytającą na ławce w parku Common. Parkera bawiącego się



iPodem na przystanku autobusowym przy Boylston Street. Simona stojącego przy kiosku z gazetami i czytającego mapę Bostonu.

Mnie pijącą wodę. Wachlującą twarz. Naciągającą kaptur na głowę. Biegnącą przez park, w stronę altany.

Byliśmy śledzeni. Namierzani. Nie wiedziałam dokładnie dlaczego ani jak, ale byłam co do tego pewna. Zwłaszcza że pośród artykułów i zdjęć zobaczyłam gruby album w pikowanej okładce... taki jak te, w których Zara i Raina gromadziły pamiątki ze swoich podbojów.

Musiałam się stąd wydostać. I to szybko. Obrzuciłam wzrokiem pomieszczenie, z ulgą dostrzegając moje ubranie, starannie poskładane, na ostatnim stopniu wąskich schodków. Na stercie ubrań leżał mój telefon, a czerwony punkcik migał - miałam nowe wiadomości.

Oliver wciąż coś notował, nucąc pod nosem. Obiema rękami złapałam za krawędź drewnianej balii i powoli podciągnęłam się w kucki. Przez kilka sekund czekałam z nisko pochyloną głową. Kiedy uznałam, że Oliver nie słyszy moich ruchów wśród innych odgłosów w piwnicy, podniosłam się przygarbiona nad balią. Przy jednym jej krańcu znajdował się metalowy stopień. Wyszłam z balii i na palcach zesłam po stopniu, kuląc się za każdym razem, gdy kropla wody uderzała o kamienną posadzkę.

Drżąca, przygarbiona, z rękami dociśniętymi do nagiej piersi, zakradłam się w stronę schodów. Przez cały czas kątem oka spoglądałam na Olivera, ale był zbyt zajęty pisaniem, żeby cokolwiek zauważyć. Kiedy zbliżyłam się do karetek na podłodze, przystanęłam. Odczekałam, aż rytmiczny odgłos bulgotania nasili się, po czym wyciągnęłam rękę i ostrożnie podniosłam tyle karetek, ile mogłam, zanim odgłos ucichł. Potem 'ruszyłam dalej, co kilka kroków rzucając ukradkowe spojrzenia na zawartość drewnianych balii.

Nie rozpoznałam żadnej ze śpiących kobiet. Syreny, które widziałam tamtej nocy, gdy wody portu skuł lód, były równie piękne co Raina i Zara. Wyróżniał je wysoki wzrost. Ich skóra miała ciepły brązowy odcień, włosy były długie i gęste, a kształty zdrowe i smukłe. Kobiety w baliach były blade, inne sine. Miały wychudzone i wiotkie ciała, a oddech nienaturalnie spowolniony. Sądziłam, że dwie z nich są martwe, i przystanęłam na chwilę, by się upewnić, ale powierzchnia wody uniosła się, gdy wreszcie wciągnęły powietrze do płuc.

Minąwszy ostatnią balię, zaryzykowałam i przebiegłam odległość, jaka dzieliła mnie od schodów. Chwyciłam telefon i ubranie i wbiegłam na górę, przeskakując po dwa stopnie.

- Zatrzymać ją!

Znajomy głos eksplodował w mojej głowie niczym torpeda. Przywarłam do zimnej ściany.

- Ona ucieka!

- Cicho, cicho - uspakajał Oliver. - Wszystko w porządku. Wszyscy są na swoim miejscu.

W moich uszach ogłuszająco dudnił puls. Kiedy Oliver nie rzucił się za mną w pościg, pochyliłam się i wyjrzałam zza ściany okalającej klatkę schodową.

Siedziała wyprostowana w balii nieopodal biurka. Jej czarne włosy przylegały do głowy. Srebrzyste oczy, które lśniły jak gasnące gwiazdy, wymierzyła wprost we mnie. Była chudsza niż przedtem, a jej skóra miała kolor sinawobiały, nie złocisty. Gdybym, kierowana strachem, nie zapamiętała dokładnie wszystkich jej rysów, mogłabym teraz nie wiedzieć, kim jest.

Ale wiedziałam. I niezależnie od tego, jak bardzo schudła i pobladła, to wciąż była Zara.

Oliver najwyraźniej myślał, że coś jej się przyśniło, i chociaż wydawało się, że patrzy prosto na mnie, nie mogła mnie widzieć. Poglądził ją po włosach i delikatnie nacisnął na jej ramiona, a blask w jej oczach zgasł, gdy je zamknęła. Nie protestując, zanurzyła się w wodzie.

Moje nogi rwały się, by biec, ale powstrzymywałam je, wspinając się pospiesznie po schodach, maszerując przez kuchnię i pokój gościnny i wychodząc wreszcie z domu. Na ganku zwolniłam, żeby wciągnąć na siebie dzinsy i sweter, ale gdy tylko moje gołe stopy zetknęły się z trawą, wyrwałam naprzód. Kiedy zobaczyłam samochód tam, gdzie go zostawiłam, i odnalazłam kluczyki w kieszeni spodni, miałam ochotę się rozplakać, ale nie było na to czasu. Wskoczyłam do wozu i ruszyłam krętym podjazdem, nie oglądając się za siebie.

Jechałam przez dziesięć minut, z każdą chwilą zwiększając dystans między sobą a domem Marchandów, zanim przystanęłam, by sprawdzić telefon. Nie było żadnej wiadomości tekstowej, ale za to cztery głosowe. Niestety, dwie były od mamy, jedna od taty, a ostatnia od Parkera. Mama informowała o tym, jak czuje się Paige i co będzie na obiad, tato prosił, żebym oddzwoniła, jak tylko będę miała chwilę, a Parker chciał się po prostu przywitać i powiedzieć, że ma nadzieję wkrótce się ze mną zobaczyć.

Pomimo uczucia zawodu, że Simon nie odpowiedział na moją wiadomość i pomimo tego wszystkiego, co się właśnie stało, przyjemnie było usłyszeć głos Parkera. Przynajmniej jemu ciągle na mnie zależało. To prawda, że namieszałam z Simonem, ale przepraszałam już niezliczoną ilość razy i nie dostałam żadnej odpowiedzi. Normalnie martwiłabym się, że ma kłopoty, że syreny już go dopadły, ale Paige codziennie rozmawiała z Rileyem, a on zawsze

opowiadał, co wspólnie z Simonem robili danego dnia. Obawiałabym się, że syreny dopadną także Riley'a, ale gdyby tak się stało, nie dzwoniłby ciągle do Paige.

Skoro Simon postanowił mnie ignorować, nawet jeśli kontaktowałam się w sprawie ważniejszej niż jego, moje czy nasze uczucia, co więcej mogłam zrobić, żeby to naprawić? Zwłaszcza że nie zamierzał ze mną rozmawiać.

Na szczęście był jeszcze ktoś, komu musiałam powiedzieć, co się dzieje, i kto na pewno przyznałby mi rację, że coś koniecznie trzeba zrobić, zanim sytuacja jeszcze bardziej wymknie się spod kontroli.

- Caleb! - zawołałam przez otwarte okno, podjeżdżając jak pirat drogowy na parking obok przystani.

Zdzierał skorupiaki z dna uniesionej łodzi. Kiedy mnie zobaczył, w pierwszej chwili wydał się zdezorientowany, potem uszczęśliwiony, a na koniec wściekły. Zaparkowałam samochód i podbiegłam do niego. Odwrócił się i kontynuował pracę, tym razem uderzając dłutem ze zdwojoną siłą.

- Caleb, dzięki Bogu - wysapałam. W wyciągniętej ręce trzymałam kartki zabrane z piwnicy Betty. - Nigdy nie uwierzysz, co przed chwilą...

- Jesteś cała mokra - stwierdził, nie patrząc na mnie.

- Wiem, to ma związek z tym, o czym chcę ci powiedzieć. Właśnie byłam w domu Betty i...

- Przestań, Vanesso.

Umilkłam.

Opuścił długie stalowe dłuto i spojrzał na mnie.

- Jak mogłaś? - zapytał cicho. - Po tym wszystkim, co razem przeszliście, po tym wszystkim, co zdarzyło się zeszłego lata... - Opuścił wzrok na swoje buty robocze. - Nigdy w życiu nie przeszłoby mi przez myśl, że jesteś zdolna do czegoś takiego.

Rozstanie.

- Caleb, zaufaj mi. Ja nie chciałam. Musiałam to zrobić.

- Doprawdy. - To nie było pytanie.

- Ależ tak. - Postąpiłam w jego stronę. - To skomplikowane i w końcu wszystko ci wyjaśnię, obiecuję, ale nie w tej chwili...

- Fizyka kwantowa jest skomplikowana. Przewidywanie chwiejnych nastrojów kapitana Monty'ego jest skomplikowane - zrobił pauzę - ale pójdzie do łóżka z jakimś dupkiem z prywatnej szkoły, kiedy Simon lata jak szalowiec, próbując cię znaleźć, kiedy martwi się do tego stopnia, że nie potrafi trzeźwo myśleć...? - Potrząsnął głową. - To wydaje

się całkiem proste.

- Caleb... - Poczułam, jak twarz mi blednie, a nogi wiotczeją. - Nie wiem, co słyszałeś, ale przysięgam, że nie...

- A „Bostończyk”? Mówi ci to coś?

Przypomniałam sobie koło ratunkowe na jachcie ojca Parkera.

- Tak - wyszeptałam.

- Simon cię tam widział. W łóżku z jakimś typem. Po tym, jak próbowałaś się z nim skontaktować, jeździł całą noc, usiłując cię znaleźć. Wreszcie zobaczył twój samochód na parkingu przy „Latarni”, a kiedy nie odbierałaś telefonu, pomyślał, że mogło się stać coś złego, i wszedł na jacht, by cię poszukać.

- Ale ja nie... my nie...

- Nie? - Wyciągnął z kieszeni komórkę, wcisnął przycisk i podstawił mi ją pod nos. - A co powiesz na to? Na to też masz jakieś usprawiedliwienie?

Nawet gdybym wiedziała, co powiedzieć, nie byłabym w stanie.

Sparaliżowało mnie na widok siebie samej leżącej na Parkerze nad rzeką. Zdjęcie pochodziło z serwisu „Pod Mundurkiem”, ale teraz pod zdjęciem widniał nowy podpis:

„Parker King uczy Vanessę Sands, koleżankę z ostatniej klasy Hawthorne, jak żyją grube ryby”.

W następny poniedziałek w Bostonie po raz pierwszy w życiu opuściłam lekcje. Obudziłam się wcześnie rano, odczekałam, aż tato pójdzie wziąć prysznic, i włamałam się do zamykanej na kluczyk drewnianej skrzynki w jego gabinecie. Później, już ubrana, powiedziałam mamie, że mam poranne spotkanie z panią Mulligan, i wybiegłam z domu, zanim tato wyszedł z łazienki. Po drodze zajrzałam na pocztę, gdzie uśmiechem i słodkimi słówkami nakłoniłam młodego sortowacza przesyłek, żeby powiedział mi to, co chciałam wiedzieć, po czym, po dwóch przesiadkach, dotarłam na obrzeża miasta. Po tym, jak z dziesięć razy zapytałam o drogę i mniej więcej tyle samo razy się zgubiłam, w końcu trafiłam przed wąski budynek z czerwonej cegły w położonej najdalej na wschód części południowego Bostonu.

Skonfrontowałam zanotowany adres z porzewiałymi cyframi u frontowych drzwi. Numer skrzynki pocztowej na odwrocie starej pocztówki w kolorze kości słoniowej był zarejestrowany dla adresu 134 Fourth Street. Jeśli nie istniał drugi taki sam adres, byłam we właściwym miejscu.

Ruszyłam po kruszejących stopniach. U szczytu schodów zerknęłam na lewo i pomiędzy dachami zobaczyłam łaty niebieskozielonej wody. Wciągnęłam w płuca słone powietrze i wstrzymałam oddech, zanim powoli je wypuściłam. Wciąż zdenerwowana, choć nieco spokojniejsza, podniosłam zaciśniętą w pięść dłoń i zapukałam. Kilka sekund później drzwi uchyliły się lekko, po czym zamknęły z trzaskiem.

Czekałam, ale nie otworzyły się znowu. Zapukałam jeszcze raz, tym razem głośniej.

- Proszę - zawołałam przez zamknięte drzwi. - Wiem, że nie chcesz się ze mną widzieć, ale nie byłoby mnie tutaj, gdyby sprawa nie była poważna.

Nic. Zapukałam znowu, po czym przechyliłam się przed balustradę i zajrzałam przez okno. Przez przezroczystą białą zasłonę zobaczyłam wysoką postać, stojącą w prawie pustym pokoju gościnnym. Odwrócona do mnie plecami, jedną dłoń położyła na gzymsie kominka, a drugą na piersi. Jej ramiona unosiły się i szybko opadały, jakby usiłowała złapać oddech.

- Proszę! - zawołałam znowu, łamiącym się głosem, pukając w szybę. - Potrzebuję twojej pomocy.

Uniosła głowę, ale nie ruszyła w stronę drzwi. Myślałam już, że tam zostanie, słuchając, ale mnie ignorując, i rozejrzałam się, czy w pobliżu nie ma kogoś, kto mógłby

podszuchać, co chcę jej powiedzieć. Nie musiała zapraszać mnie do środka, ale nie zamierzałam odejść, dopóki nie powiem tego, co przyszedłam powiedzieć.

- Witaj, Vanesso.

Odwrociłam się. Gdy rozglądałam się za ewentualnymi wścibskimi uszami, otworzyła drzwi.

- Willa? - zapytałam, nie mając pewności, czy to naprawdę ona. Widziałam ją tylko raz w kawiarni, gdy miała na sobie niebieskozielonej wody. Wciągnęłam w płuca słone powietrze i wstrzymałam oddech, zanim powoli je wypuściłam. Wciąż zdenerwowana, choć nieco spokojniejsza, podniosłam zaciśniętą w pięść dłoń i zapukałam. Kilka sekund później drzwi uchyliły się lekko, po czym zamknęły z trzaskiem.

Czekałam, ale nie otworzyły się znowu. Zapukałam jeszcze raz, tym razem głośniej.

- Proszę - zawołałam przez zamknięte drzwi. - Wiem, że nie chcesz się ze mną widzieć, ale nie byłoby mnie tutaj, gdyby sprawa nie była poważna.

Nic. Zapukałam znowu, po czym przechyliłam się przed balustradę i zajrzałam przez okno. Przez przezroczystą białą zasłonę zobaczyłam wysoką postać, stojącą w prawie pustym pokoju gościnnym. Odwrócona do mnie plecami, jedną dłoń położyła na gzymsie kominka, a drugą na piersi. Jej ramiona unosiły się i szybko opadały, jakby usiłowała złapać oddech.

- Proszę! - zawołałam znowu, łamiącym się głosem, pukając w szybę. - Potrzebuję twojej pomocy.

Uniosła głowę, ale nie ruszyła w stronę drzwi. Myślałam już, że tam zostanie, słuchając, ale mnie ignorując, i rozejrzałam się, czy w pobliżu nie ma kogoś, kto mógłby podszuchać, co chcę jej powiedzieć. Nie musiała zapraszać mnie do środka, ale nie zamierzałam odejść, dopóki' nie powiem tego, co przyszedłam powiedzieć.

- Witaj, Vanesso.

Odwrociłam się. Gdy rozglądałam się za ewentualnymi wścibskimi uszami, otworzyła drzwi.

- Willa? - zapytałam, nie mając pewności, czy to naprawdę ona. Widziałam ją tylko raz w kawiarni, gdy miała na sobie workowate spodnie i zbyt luźną koszulę, włosy upięte, schowane pod czapką, a twarz częściowo ukrytą pod daszkiem. Teraz była ubrana w ciemne dzinsy, gładką jedwabną bluzkę i kaszmirową podomkę w kolorze kości słoniowej sięgającą aż do kostek. Długie białe włosy zaczesła do tyłu w luźny warkocz. Niebieskie oczy kontrastowały z delikatnymi, kremowymi fałdami skóry.

- Jakaś ty piękna - szepnęłam.

Uśmiechnęła się szybko, niepewnie.

- Wejdiesz do środka?

Otworzyła szerzej drzwi. Kiedy przechodziłam obok, pomyślałam, że wygląda znajomo i nie tylko dlatego, że już raz się spotkałyśmy. Zanim zdołałam sobie przypomnieć, gdzie jeszcze mogłam ją widzieć, gestem zaproponowała, żebym usiadła.

- Wyprowadzasz się? - zapytałam. Poza miękką szenilową sofą, na której usiadłam, jedynym wyposażeniem pokoju był fotel od kompletu, niski stolik i wazon z białymi liliami. Ściany były gołe, półki na książki puste.

- Lubię prostotę - odparła, siadając przede mną.

- Czy to dlatego nigdy nie chciałaś się ze mną spotkać? - Pytanie nasunęło się automatycznie. Odsunęła się, jakbym wymierzyła jej policzek. - Przepraszam, nie to chciałam powiedzieć. Ja tylko...

- Nie przepraszaj. - Potrząsnęła głową, rozluźniona. - Masz prawo do wszelkich emocji, jakich w tej chwili doświadczasz: konsternacji, rozczarowania, gniewu. Niewiele ci mówiono i bardzo mi z tego powodu przykro.

Pokiwałam głową i opuściłam wzrok na dłonie złożone na kolanach. Teraz, kiedy już tu przyszałam i naprawdę rozmawiałyśmy, trudno mi było przywołać cokolwiek, co zamierzałam powiedzieć.

- Za to ty wiele o mnie słyszałaś, prawda? - zapytałam cicho. - Mój ojciec informował cię na bieżąco?

- To prawda. Na moją prośbę.

- Napisałaś, że powiesz mi wszystko, co będę chciała wiedzieć o mojej matce.

- Zgadza się. - Pochyliła się w moją stronę. - Co chciałabyś wiedzieć, Vanesso?

Kim była Charlotte? Dlaczego zrobiła to, co zrobiła? Dlaczego tato nie był w stanie się jej oprzeć, skoro kochał mamę? Dlaczego wyjechała tak nagle, kiedy miałam roczek, zostawiając mnie z rodziną, która nigdy nie byłaby w stanie zrozumieć mnie tak dobrze, jak ona? Pytania mnożyły się i kołowały w mojej głowie, przyprawiając mnie o zamęt.

- Jak się poznali? - zapytałam w końcu.

Posłała mi lekki uśmiech, a zmarszczki na jej skórze pogłębiły się. Dostrzegałam podobieństwo między nią a Charlotte, którą znałam tylko z jednego zdjęcia, jednak Willa wydawała się znacznie starsza, niż byłaby teraz Charlotte. Zgadywałam, że ma około sześćdziesiątki.

- W księgarni Charlotte. Twój ojciec przyszedł, żeby się rozejrzeć, a jej kolekcja pierwszych wydań zrobiła na nim ogromne wrażenie. Wdali się w pogawędkę i od tamtej pory zaglądał do niej raz na parę tygodni.

- Wiedziała, że jest żonaty?

- Tak.

- A mimo to go zachęcała?

- Tego bym nie powiedziała. Jego towarzystwo sprawiało jej przyjemność, ale szanowała jego sytuację.

- W takim razie jak przeszli od zwyczajnych rozmów do... czegoś więcej? - zapytałam.

Milczała przez chwilę, po czym stwierdziła:

- To skomplikowane.

Otworzyłam usta, żeby zaprotestować, ale potem przypomniałam sobie zaciekle komentarze Caleba o fizyce kwantowej i nastrojach kapitana Monty'ego.

- Rozumiem - odparłam.

- Vanesso - powiedziała łagodnie, spotykając się ze mną wzrokiem - chcę, żebyś poznała prawdę. Przynajmniej tyle ci się ode mnie należy. Ale najpierw musiałabym opowiedzieć ci o fizycznych ograniczeniach i wymaganiach syren. To może być dla ciebie trudne, a ja nie chcę, żebyś poczuła się przytłoczona.

- Nie martw się. - Poczułam uderzenie krwi w żyłach. - Poradzę sobie.

Kąciki jej ust opadły co oznaczało wątpliwości - albo smutek - ale mówiła dalej.

- Twój ojciec pisał mi w swoich emailach o tym, co się zdarzyło ubiegłego lata. O wypadku Justine i o tym, co stało się przed końcem wakacji, kiedy skoczyłaś z urwiska i zabrano cię do szpitala.

Poczułam, jak zalewa mnie fala gorąca. Splotłam dłonie, żeby powstrzymać się od wachlowania twarzy.

- Tamtej nocy nieumyślnie przeszłaś transformację, tak?

Przełknęłam ślinę.

- Chyba tak.

- W takim razie już wiesz, jak bardzo ciało syreny zależne jest od słonej wody, jak słabnie i popada w zmęczenie, im dłużej pozostaje bez nowej dawki. - Zawahała się. - Jak sobie z tym radzisz?

- Na tyle, na ile mogę. Czasami czuję się dobrze. Innym razem wydaje mi się, że sekundy dzielą mnie od zemdlenia. W słonej wodzie się kąpię, słoną wodę piję całymi litrami, ale mam wrażenie, że każdego dnia moje ciało reaguje inaczej.

- Używasz soli kuchennej?

Przytaknęłam.

- Naturalna woda morska jest sto razy skuteczniejsza. To dlatego większość syren



osiedla się przy oceanie. Życie staje się prostsze, kiedy nie musisz jeździć daleko po swoją dawkę.

Używała określenia „dawka”. Jakby słona woda była dla syren tym, czym są cukier, kofeina czy nikotyna dla innych, zwyczajnych nałogowców.

- Niestety - ciągnęła przyciszonym głosem - sama woda nie wystarczy. Jest dobra na krótko, zwłaszcza tuż po transformacji, ale jej skuteczność maleje z czasem.

-1 co potem?

Odwróciła głowę w stronę otwartego okna, a jej wzrok zatrzymał się na wodzie w oddali.

- Kiedy twój ojciec poznał Charlotte, nie była w najlepszym stanie. Długie kąpiele w oceanie, które dawniej zaspokajały jej potrzeby fizyczne na całe dnie, zaczęły wystarczać zaledwie na kilka godzin. Jej ciało domagało się przejścia w kolejny etap rozwoju, jednak ona się opierała.

- Dlaczego? - Poczułam ucisk w piersi. Niezależnie od tego, co zrobiła moja biologiczna matka, wyobrażenie jej cierpień spowodowanych niekontrolowaną chorobą było dla mnie przykre. - Skoro źle się czuła, a było coś, co mogła zrobić, żeby to zmienić, dlaczego się opierała?

Willa odwróciła wzrok w moją stronę.

- W twoim życiu jest pewien chłopak, tak?

Opadłam na oparcie.

- Wybacz, jeśli to pytanie jest zbyt osobiste, ale zależy mi, żeby poznać odpowiedź. - Oczekała chwilę, dając mi czas, żeby to przetrwać. - Jest taki ktoś, prawda? Kto być może początkowo był ci obojętny, ale teraz zaczyna coś znaczyć, zgadza się?

Nie mówiła o Simonie. Nawet zanim zostaliśmy parą, nigdy nie był mi obojętny.

Chodziło o Parkera.

- Skąd o nim wiesz? - zapytałam. - Czyżby ojciec o nim wspominał? A jeśli tak, skąd mógłby wiedzieć?

- Oczywiście, że nie. Twój ojciec za bardzo przejmuję się stosunkami panującymi między nim a tobą, żeby zwracać uwagę na twoje uczucia do kogokolwiek innego przeciwnej płci. Po prostu któregoś dnia widziałam cię z pewnym przystojnym mężczyzną w „Bostońskiej Świeżo Palonej” i dodałam dwa do dwóch.

- Nie wiem dokładnie, co widziałas - odparłam szybko, czując, jak fala gorąca z twarzy splywa mi na szyję i dekolt - ale nic nie czuję do Parkera.

- Emocjonalnie może nie. Przynajmniej na razie.

Już chciałam znów zaprotestować, ale powstrzymałam się, kiedy wyciągnęła dłoń i położyła ją na moim kolanie.

- Czujesz się lepiej, prawda? Kiedy jest blisko ciebie? Kiedy wymawia twoje imię albo cię dotyka? Niezależnie od tego, jak bardzo jesteś spragniona czy wyczerpana?

Zapadłam głębiej w sofę, przypominając sobie palce Parkera na mojej łydce w parkowej altanie. Jego bliskość, kiedy leżeliśmy obok siebie w kajucie na jachcie. Albo gdy dzieliło nas kilka centymetrów na trampolinie. Ramiona obejmujące mnie na ławce przed szpitalem. Ciężko mi było to przyznać nawet przed sobą samą - zwłaszcza sobą samą - ale czułam do niego pociąg. I tak jak odgadła Willa, zawsze kiedy był blisko, czułam się lepiej, silniejsza, nawet dziwnie podniecona.

- Tak właśnie działa twoja siła, Vanesso - rzekła cicho.

- Możesz nie zdawać sobie sprawy z tego, że wysyłasz sygnały, ale robisz to. Bez przerwy. Kiedy on reaguje, twoje zdolności - a z nimi twoje ciało - wzmacniają się. Im mocniejsza jest jego reakcja, tym stajesz się silniejsza.

Nie chciałam stawać się silniejsza. Nie, jeśli znaczyło to robienie z Parkerem tego, co chciałam robić tylko z Simonem.

- A co z moim chłopakiem? - zapytałam, celowo pomijając przedrostek „eks”. - Kocham go i...

- On kocha ciebie. I jeśli czuł to samo, zanim przeszedł transformację, twoja moc nie ma na niego wpływu.

Umilkła na chwilę, jakby wiedziała, że to jest odpowiedź na pytanie, które zadawałam sobie, odkąd Simon i ja staliśmy się kimś więcej niż przyjaciółmi. Byłam jej wdzięczna, że dała mi czas, by to przyswoić. Bo jeśli to, co mówiła, było prawdą, Simon mnie kochał - kochał naprawdę. Nie wydawało mu się tak, dlatego że moje zdolności nie pozostawiły mu wyboru.

Nie żeby to miało teraz jakiegokolwiek znaczenie.

- To dlatego, będąc z Simonem,- czujesz się inaczej niż będąc z Parkerem - podjęła po chwili. - Simon może dać ci poczucie emocjonalnego spełnienia... ale nic więcej.

Zamknęłam oczy, próbowałam powstrzymać gonitwę myśli.

- A jak było z Charlotte? Czy kiedy poznała mojego ojca...?

- Była strasznie słaba. Musiała coś zrobić, w przeciwnym razie jej ciało wkrótce całkiem odmówiłoby posłuszeństwa.

Mimo to opierała się, bo nie chciała zrobić tego, co było konieczne. Nie godziła się na to. - Willa westchnęła. - Twoja matka, Vanesso, wolałaby oddać własne życie, niż wmieszać

się w życie innych.

- A jednak to zrobiła - stwierdziłam.

- To prawda. Niestety, stawką było nie tylko jej życie. Tysiące syren na całym świecie żyje w małych społecznościach nadmorskich. Społeczność, która zasiedla Winter Harbor jest dość potężna, a jej członkinie traktują swoją pozycję bardzo poważnie. Kiedy wyszło na jaw, że Charlotte odrzuca moc, którą została obdarowana, posypały się groźby. Skierowane do jej rodziny, przyjaciół... każdego, kto ją znał. Te społeczności są na tyle małe, że utrata jednej członkini odbija się poważnie na przyszłości całej populacji, dlatego pozostałe syreny potraktowały jej wyłamanie się jako osobisty afront. W końcu stanęła przed wyborem: albo użyje swoich zdolności i wpłynie na jedno życie, albo umrze po cichu, potencjalnie krzywdząc dziesiątki istot.

- To znaczy, że tato po prostu znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie?

- Trudno uwierzyć, że wszystko sprowadza się tylko do tego, ale właśnie tak było.

Trudno uwierzyć to mało powiedziane.

- Ale jak do tego doszło? Przecież kochał moją mamę, Jacqueline. Wiem, że ją kochał. Czy miłość do innej kobiety nie jest jedynym sposobem, by oprzeć się syrenie?

- W przypadku większości mężczyzn, owszem. Ale twoja matka... i ty... wywodzicie się z wyjątkowej linii. - Głos Willi zawiesił się przez chwilę na słowie „wyjątkowej”.

- Co masz na myśli?

Wstała, podeszła do otwartego okna i głęboko zaczerpnęła powietrza.

- Jesteście potomkiniami niewielkiego rodu syren z północnej Kanady, zwanego Nenufarami.

Nenufary. Pamiętałam tę nazwę ze wzmianki o śmierci Charlotte w albumie Rainy.

- A zatem, co sprawia, że te... Nenufary - powiedziałam ostrożnie - są tak wyjątkowe?

Odwróciła się w moją stronę i oparła o ścianę.

- Istnieją dwa sposoby, w jakie grupa buduje zbiorową moc. Pierwszy z nich polega na tym, o czym rozmawialiśmy: na wykorzystywaniu zdolności do uwodzenia i rozkochiwania w sobie mężczyzn. A drugi na usidlaniu tych uczuć poprzez poczęcie dziecka.

- To znaczy im więcej mężczyzn zahipnotyzują i im więcej narodzi się dzieci, tym silniejsze się stają jako grupa?

- Właśnie tak. Przez setki lat Nenufary przezwyciężały trudne warunki geograficzne i ograniczony dostęp do zasobów, osiągając sukces na obu polach. O ile nam wiadomo, żadna inna grupa stojąca w obliczu podobnych warunków nie przetrwała. Drugą najstarszą

społecznością po Nenufarach jest maleńka społeczność syren w Skandynawii, jednak linia ta jest młodsza o jakieś dwieście pięćdziesiąt lat.

Siliłam się, żeby cokolwiek z tego zrozumieć.

- A zatem jestem produktem jakiejś dziwacznej selekcji naturalnej?

- W pewnym sensie tak - odparła Willa. - Rosnąca siła Nenufarów jest przekazywana z pokolenia na pokolenie, dzięki czemu każde kolejne jest potężniejsze od poprzedniego.

- I jaki to ma związek z Charlotte i tatą?

Przeszła przez pokój i przysiadła się do mnie na kanapie.

- Kiedy mężczyzna staje się celem syreny z rodu Nenufarów, nie ma żadnych szans. Początkowo miłość do innej kobiety faktycznie może go chronić, czyniąc go obojętnym, ale zdobycie go jest kwestią czasu. Ta siła jest zbyt potężna.

W moich myślach pojawiło się nagle wspomnienie z ubiegłego lata.

- Syreny z Winter Harbor... zabiły wielu ludzi. Kilka miesięcy temu, tamtej nocy, gdy zamarzył port, zgromadziły się na dnie oceanu, wabiąc pod powierzchnię dziesiątki mężczyzn z zamiarem odebrania im życia. - Kiedy mówiłam, twarz Willi była pozbawiona wyrazu. Nie zamierzała uprzedzić mojego pytania. Jeśli chciałam wiedzieć, musiałam je zadać. - Wspominałaś, że mężczyźni nie są w stanie oprzeć się Nenufarom... czy to znaczy, że rozkochują w sobie mężczyzn? Czy odbierają im także życie?

- Do chwili obecnej - odparła, wciąż zachowując kamienną twarz - liczba ofiar Nenufarów wynosi trzynaście tysięcy czterysta dwanaście osób. W najlepszych latach ród ten liczył jedenaście członków.

- Przepraszam - wysapałam. - Czy mogę dostać... Czy masz może...

Willa poderwała się i wybiegła z pokoju. Chwilę później wróciła z dzbankiem niebieskawozielonego płynu i szklanką. Dopiero po trzeciej szklance odzyskałam oddech. Jednak słowa wcale nie przyszły z większą łatwością.

- Czy ty...? - zająknęłam się. - Czy kiedykolwiek...?

- Czy odebrałam komuś życie? - dokończyła za mnie. Zaczekała aż kiwnę głową, po czym dała sobie dłuższą chwilę na zastanowienie się nad odpowiedzią.

- Nie. Robię wszystko, co mogę, by tego uniknąć.

Sięgnęłam, by nalać sobie jeszcze jedną szklankę napoju.

Dłonie tak bardzo mi się trzęsły, że zielonkawy płyn chlusnął z dzbanka i wylał się na stół.

- To bardzo dużo do ogarnięcia, wiem. I przykro mi, że tak długo musiałaś żyć w niewiedzy. - Willa wyciągnęła rękę, jakby zamierzała odgarnąć mi włosy z czoła, ale po

namyśle złożyła dłoń na kolanie. - Ale dlatego właśnie Charlotte zrobiła to, co zrobiła. Dlatego twój ojciec zrobił to, co zrobił. Żadnemu z nich nie pozostawiono wyboru.

Opróżniłam szklankę, zanim odezwałam się znowu.

- Dlaczego pozwoliła mu żyć? Dlaczego rok później opuściła Winter Harbor, a potem, kiedy ją odnalazł, oddała mnie jemu?

- Niezależnie od powodów, dla których Charlotte wdała się w romans z twoim ojcem, zależało jej na nim. Nie była w stanie zrobić tego, czego od niej oczekiwano. Dlatego pozwoliła mu odejść, a innym syrenom z Winter Harbor kazała wierzyć, że stało się inaczej. W końcu, zaniepokojona ich rosnącą podejrzliwością i w obawie, że z zemsty mogłyby skrzywdzić ciebie, uciekła. Kiedy twój ojciec przemierzył tak wielką odległość, zrozumiała, jak bardzo mu na tobie zależy - i o ile bezpieczniejsza będziesz z nim, z dala od niej. W końcu syreny nie wiedziały, kim on jest. Ich podejrzliwość nasiliła się, gdy tylko Charlotte znów podupadła na zdrowiu. Nie doszłoby do tego - przynajmniej nie tak szybko - gdyby istotnie odebrała mu życie.

- A księgarnia? A pożar?

Willa zawahała się.

- To nie był wypadek. Twoja matka uznała, że najlepszym sposobem, by cię chronić, było urwanie wszelkich tropów, które cię z nią łączyły.

Podniosłam oczy, by spotkać się z jej wzrokiem.

- Czy to dlatego nigdy nie chciałaś się ze mną spotkać? Ponieważ byłaś łącznikiem między mną a nią?

- Tak. Dlatego też dawno temu poprzysięgłam nigdy nie słuchać twoich myśli, co w pewnym stopniu potrafi każda syrena. Mimo że były chwile, choćby ubiegłego lata, kiedy rozpaczliwie pragnęłam dać ci o sobie znać i upewnić się, że nic ci nie jest. Gdybym to zrobiła, wkrótce i moje myśli stałyby się dostępne dla ciebie... a to tylko dodatkowo skomplikowałoby sytuację.

Odwrociłam wzrok na nieskazitelnie czysty stolik, puste półki na książki, kominek, który sprawiał wrażenie, jakby nigdy nie zapłonął w nim ogień. Dowiedziawszy się o tym wszystkim, co ukrywała przez tyle lat, nie mogłam jej winić, że chciała, by sprawy pozostały proste.

- One wróciły - powiedziałam po chwili, a mój wzrok zatrzymał się na kawałku wodorostów przyklejonym do brzegu opróżnionego dzbanka. - Syreny z Winter Harbor. Lód odtajał... a teraz one wróciły.

- Wiem o tym. - Jej głos był przyciszony, opanowany.

- Razem z moimi przyjaciółmi... powstrzymaliśmy je ubiegłego lata. - Spojrzałam na nią, a do oczu napłynęły mi łzy. - Myślę, że chcą się zemścić.

Tym razem nie oparła się pragnieniu. Wyciągnęła ręce, chwyciła mnie w ramiona i przyciągnęła mocno do siebie. Kiedy moje łzy wsiąkały w jej bluzkę, głaskała mnie po włosach.

- Nie jesteś już sama, Vanesso. One nie zrobią ci krzywdy - ani tobie, ani nikomu innemu - już nigdy więcej.

- Skąd wiesz? - wyszeptalam.

- Bo tym razem zrobimy to, jak należy. - Uścisnęła mnie jeszcze mocniej i zakołysała lekko w przód i w tył. - Tym razem je potopimy.

- Jak się czujesz?

Paige podniosła wzrok znad kolorowego magazynu. Ruszyłam w jej stronę, zachęcona tym, że zastaję ją rozbudzoną i w pozycji siedzącej. Od dwóch dni była w domu po tygodniowym pobycie w szpitalu i choć jej kondycja fizyczna poprawiała się, trudno, było stwierdzić, w jakim stanie jest jej psychika.

- Dobrze - odparła z lekkim uśmiechem. - Zmęczona, ale dobrze.

- Robisz postępy. - Uśmiechnęłam się i przysiadłam na krawędzi łóżka. Nie miałam najmniejszej ochoty na to, co zamierzałam zrobić, ale nie było innego wyjścia. - Paige... muszę z tobą porozmawiać.

- Ja z tobą też - odrzekła.

- Mogę zacząć? Proszę. - Wciąż jeszcze nie rozmawialiśmy o tym, co próbowała zrobić, i wiedziałam, że to właśnie chce mi wyjaśnić. Ale sądziłam, że jej wersja może się zmienić, kiedy usłyszy, co mam jej do powiedzenia. Gdy pokiwała głową, powiedziałam: - Miałaś rację.

- W jakiej sprawie?

Palce wilgotniały mi na zwiniętej gazecie, którą zaciskałam w dłoni.

- Pamiętasz, jak kilka tygodni temu wydawało ci się, że widziałaś Rainę i Zarę? W parku w czasie lekcji?

Jej lekko zaróżowione policzki zupełnie teraz pobladły.

- Tak, pamiętam, że mi się wydawało.

- Otóż nie wydawało ci się.

Opuściła wzrok na gazetę, którą położyłam na kocu między nami. Na okładce widać było zastygłą w uśmiechu twarz Matthew Harrisona.

- Czy to...? Przecież to...

- Pracownik działu rekrutacji z Bates, ten, którego spotkałyśmy w kawiarni. Parker i ja znaleźliśmy go unoszącego się na powierzchni basenu tego samego popołudnia, kiedy próbowałaś poddać się transformacji.

Poderwała głowę.

- Co robiłaś z Parkerem? - zapytała ostro.

To pytanie i jej ton były tak nieoczekiwane, że zajęło mi chwilę, zanim wydusiłam

odpowieź.

- Rozmawialiśmy, odpoczywaliśmy od całej tej uniwersyteckiej błazenady. Przyjaźnimy się, tak jakby.

- Parker nie ma przyjaciół w damskim gronie. Zadaje się z dziewczynami tylko w jednym celu.

Zdjęcie nas dwojga nad rzeką. Musiała je widzieć z nowym podpisem.

- Paige, Parker i ja... to nie to, co myślisz. Słowo daję.

Zmarszczyła brwi, ale nie naciskała, i znów utkwiała wzrok w gazecie.

- To o niczym nie świadczy - stwierdziła. - To tylko jeden facet. To może być zwykły zbieg okoliczności.

- Tyle tylko, że to nie jest jeden facet. To one spowodowały wypadek autobusu z uniwersytecką drużyną sportową, skłoniły Colina Coopera, by skoczył z mostu, i zabiły dwóch nurków, którzy odkryli ciała ich współtowarzyszek zakutych w lodzie. Matthew był jedynym, którego znaleziono z uśmiechem na ustach, ponieważ syrena, która go uśmierciła, była już na tyle silna, by wywołać taki efekt. Śmiertelne wypadki, które nastąpiły wcześniej, były jakby ćwiczeniami, czymś w rodzaju rehabilitacji.

- Przecież to bez sensu.

Próbowałam jej to wyjaśnić tak, jak Willa wyjaśniła mnie.

- Przez te trzy miesiące pod lodem syreny znajdowały się jakby w stanie hibernacji, przez co straciły większą część swojej mocy. Aby odzyskać siły, musiały znów uderzyć, co było o wiele trudniejsze ze względu na ich osłabienie. Chcąc zwiększyć swoje szanse, zaczęły od mężczyzn, którzy mieli albo niewielkie możliwości obrony, albo wcale ich nie mieli; od tych, którzy nawet gdyby chcieli, nie byłiby w stanie im się oprzeć. To dlatego Zara wyszła na jezdnię przed autobus, powodując wypadek. Chodziło o to, żeby mogły żerować na pokrzywdzonych i rannych.

- Chcesz powiedzieć, że ci faceci leżący na szpitalnych łóżkach wyznali miłość grupce nieznajomych kobiet?

- Ci, którym udało się dotrzeć do szpitala, mieli szczęście. Ale inni skończyli w wodzie; ich ciała odnaleziono dopiero wtedy, gdy wypłynęły niedaleko lotniska. To na nich zapolowały syreny. Byli tak blisko śmierci, że wystarczyło trochę wysiłku, by dokończyć robotę.

Jej twarz wykrzywił grymas.

- A Colin Cooper?

- Jego sytuacja była bardziej skomplikowana. - Wyciągnęłam spod gazety cienki



stosik wydruków. - Ale sądzę, że znalazły go na internetowym serwisie randkowym. Dowiedziały się, że uczy się w Hawthorne, i zaczęły z nim korespondować. Chciały mieć pewność, że się o tym dowiemy. Z korespondencji wynika, że Colin miał za sobą epizody depresji, a raz niemal przedawkował. Wymiana emaili przez parę tygodni doprowadziła do jednego spotkania, które jego zdaniem poszło nieźle, jednak już podczas następnego syrena, z którą się umówił, zerwała z nim, przewidując, że Colin z rozpaczy posunie się do czegoś drastycznego. Czekala na niego w rzece, kiedy skoczył.

- Skąd o tym wiesz...

- Te emaile znalazłam w domu Betty.

Paige wpatrywała się we mnie, mając szeroko otwarte oczy i usta.

- Pojechałam do niej po tym, jak... jak znalazłam cię w wannie. Ponieważ Betty nie przyjechała odwiedzić cię w szpitalu, ani nawet nie odpowiedziała na moje telefony, zaczęłam się martwić. Podejrzywałam, że coś mogło się stać, a jeśli nawet wszystko było w porządku, chciałam z nią porozmawiać o tym, co zrobiłaś. - Złapałam Paige za rękę; była wiotka, ale jej nie zabrała. - O ciebie też się martwiłam.

Przetrząsnęła głową. Kiedy przemówiła, jej głos drżał.

- Powiedziała, że one nie żyją, że ich nie słyszy. Powiedziała, że chce, bym chroniła się przed innymi, upodabniając się do syren, że w ten sposób będę mogła się bronić, gdybym kiedykolwiek znów musiała.

- Paige - odezwałam się cicho, ściskając jej dłoń. - Kiedy tam pojechałam, Oliver mnie zaatakował. Ogłuszył mnie.

- Co ty wygadujesz? Przecież Oliver ma chyba ze sto lat. Nie byłby w stanie pacnąć komara, nie łamiąc sobie przy tym kości.

- Widocznie Betty rzuciła na niego urok i to dodaje mu sił.

- Urok?

Willa i ja nie byliśmy pewne co do tej kwestii, ale nie mając dodatkowych dowodów, uznałyśmy to za najlepsze wyjaśnienie.

- Naszym zdaniem syreny w jakiś sposób kontrolują Betty, żeby działać na własną korzyść. Wykorzystując Betty, skłaniają Olivera, żeby się nimi opiekował... skłaniają ciebie, żebyś stała się jedną z nich.

Przez chwilę przytrzymała moje spojrzenie, po czym wyrwała dłoń z mojego uścisku, odsuwając od siebie gazetę oraz emaile, i biorąc do ręki magazyn.

- Doceniam twoją troskę, Vanesso, naprawdę. Ale tamto lato już się skończyło. Żeby wymyślać takie rzeczy? To już koniec. Powinnaś się z tym pogodzić.

Tak bardzo bym chciała, żeby to było możliwe.

- Widziałam je - przerwałam ciszę. - Widziałam Zarę i przynajmniej z tuzin innych. W piwnicy u Betty. Leżały uśpione w drewnianych baliach napelnionych morską wodą... ja też w takiej leżałam.

Magazyn w jej rękach zdrzął. Mówiąc, skupiłam się na okładce. Gdybym patrzyła na nią, nie zdołałabym tego z siebie wyrzucić.

- Nie chcesz przechodzić transformacji, Paige - podjęłam cicho. - Uwierz mi. Będziesz zmęczona, słaba, spragniona. Bez przerwy. Będziesz musiała nieustannie pić i kąpać się w słonej wodzie. A w końcu będziesz musiała zacząć rozkochiwać w sobie mężczyzn i czerpać z tego wystarczająco dużo energii, by przetrwać dzień, nie mdlejąc. Twoje życie diametralnie się zmieni. Na zawsze.

Przez jakiś czas milczyłyśmy. Na zewnątrz zagwizdał rześki jesienny wiatr, unióśł martwe liście i cisnął nimi o okna sypialni, od których odbiły się z głuchym pacnięciem. Zerknęłam na Paige, ale ona wciąż bez mrugnięcia gapiła się w swój magazyn.

- Skąd o tym wiesz? - wyszeptwała wreszcie.

I stało się. Nadeszła chwila prawdy. Musiałam teraz wyjawić to, co ukrywałam przez trzy koszmarnie długie miesiące. Wiedziałam, że kiedy już na głos przyznam się do tego, kim jestem, stanie się to bardziej realne niż dotychczas.

Nie było sensu zaprzeczać czemuś, czego nigdy nie zdołam zmienić.

- Bo jestem jedną z nich - wyznałam.

Podsłoczyła, a w tej samej chwili drzwi do sypialni otworzyły się na oścież. Do środka weszła mama, niosąc tacę kanapek i wodę z lodem.

- Pomyślałam, że pewnie czujesz się zbyt zmęczona, żeby zejść na kolację. - Odstawiła tacę na stoliku nocnym, a z kieszeni swetra wyciągnęła termometr. Początkowo zdawało mi się, że Paige go nie widzi, jednak kiedy mama pomachała nim tuż przed jej twarzą, posłusznie otworzyła usta. - Przyniosłam tyle, że i dla ciebie wystarczy, Vanesso.

- Dziękuję - powiedziałam - ale właściwie mam pewne plany.

Obie spojrzały na mnie.

- Masz randkę? - zapytała mama.

- Raczej naukę - odparłam, unikając pytającego spojrzenia Paige.

Stałam i czekałam w nogach łóżka, podczas gdy mama wygładzała koce Paige i poprawiała poduszki. Od czasu wypadku w wannie jej instynkt macierzyński bardzo się wyostrzył i teraz opiekując się Paige, bez przerwy sprawdzała, czy niczego jej nie brakuje. Podjęła się tego obowiązku z taką samą energią i skupieniem, jakie dawniej towarzyszyły jej

w pracy zawodowej, co było obiecującą zmianą. To oznaczało również, że Paige rzadko była w domu sama, dzięki czemu mogłam chodzić do szkoły, spędzać czas z Willą i robić inne rzeczy, nie martwiąc się kolejną próbą transformacji.

Chciałam dokończyć rozmowę z Paige, ale mama była skrupulatna. Po poprawieniu poduszek, sprawdziła termometr i usiadłszy na łóżku, przyłożyła zimny kompres do jej czoła. Nie wyglądało na to, że spieszy się z wyjściem, a Paige jej obecność najwyraźniej nie przeszkadzała. Doszłam więc do wniosku, że chętnie skorzystałaby z okazji, by sobie to wszystko poukładać.

Po upływie dziesięciu minut przeprosiłam i zapowiedziałam Paige, że przyjdę się z nią zobaczyć, jak wrócę.

Pobiegłam do swojego pokoju, gdzie wcześniej przygotowałam rzeczy, które były mi potrzebne na tę noc. Zrobiłam nalot na pełne markowych ubrań pudła mamy, gdzie znalazłam czarną obcisłą minispódniczkę z satyny, czerwoną jedwabną bluzeczkę bez rękawów i czarne czółenka na dziesięciocentymetrowej szpilce. Do tego dobrałam czarne prześwitujące pończochy, a jako ozdobę parę rubinowych kolczyków. Całości dopełnił dopasowany czarny trenz z satyny.

Kiedy się ubrałam, rozwiązałam koński ogon i rozczesałam włosy, pozwalając im opaść na plecy. Nałożyłam podkład i róż, usta umalowałam szminką, a rzęsy maskarą. Wszystkie te kosmetyki kupiłam po południu w drogerii. Na koniec spryskałam szyję i nadgarstki perfumami waniliowegoździkowymi.

Nieźle, pomyślałam, oglądając się w dużym pionowym lustrze. Zupełnie jak nie ja, ale w pewnym sensie o to właśnie chodziło.

Wzięłam z łóżka telefon i kopertówkę i przyłożyłam ucho do drzwi, chcąc się upewnić, że nie natknę się na nikogo na korytarzu, po czym zbiegłam na dół.

- Vanesso, to ty? - zawołał tato z gabinetu, kiedy przemykałam przez pokój gościny.  
- Mogłabyś przyjść do mnie na chwilę, potrzebuję...

- Wychodzę, niedługo wrócę!

Kiedy znalazłam się na zewnątrz, zbiegłam po schodach i ruszyłam ulicą. Moje nogi chygotały się na wysokich obcasach, ale wszelkie obawy związane z upadkiem i złamaniem sobie czegoś zdominowała trema. Planowałam tę noc od kilku dni, a teraz po prostu chciałam, żeby jak najszybciej się skończyła.

- Hej, ślicznotko.

Zatrzymałam się, jednak moje serce gnało dalej jak szalone. Pod markizą włoskiej restauracji „Il Cappuccino”, która proponowała - zgodnie z obietnicą na stronie internetowej -

„najwykwintniejsze dania i najbardziej romantyczny nastrój, jakie Boston ma do zaoferowania”, stał Parker. On też wystroił się na tę okazję: założył czarne spodnie, białą koszulę i dopasowaną czarną marynarkę, a do tego prążkowany krawat. Przez ramię przewiesił czarny wełniany płaszcz. Włosy miał zaczesane do tyłu, jakby po wzięciu prysznicą odgarnął je palcami i od tamtej pory nie dotykał.

To nic wielkiego... jesteśmy tylko parą przyjaciół na kolacji... nie byłoby żadnej różnicy, gdybym zamiast z nim wybrała się z Calebem albo Paige, albo...

Pocałował mnie w policzek. Pocałunek był tak delikatny, że pewnie nie uwierzyłabym, że naprawdę to zrobił, gdyby kolana się pode mną nie ugięły, nie pozostawiając mi innego wyboru, jak - dla równowagi - chwycić go za rękę, kiedy mi ją podał.

- To doskonały pomysł - stwierdził. - Tak się cieszę, że to zaproponowałaś.

- Ja też. - Próbowałam się uśmiechnąć, ale patrzenie na niego tylko sprawiło, że znów się zachwiałam.

W restauracji zrezygnowałam z propozycji hostessy, która chciała zabrać mój płaszcz, wolałam bowiem zostawić na sobie jak najwięcej warstw ubrania. Kiedy szłam za nią główną salą jadalną pełną przytulnych boksów i przyciemnionych świateł, usiłowałam sobie przypomnieć to wszystko, co Willa mówiła o wysyłaniu sygnałów. Nie wspomniałam jej o swoich planach dotyczących Parkera, z jednej strony dlatego, że nie byłam pewna, czy uzyskam jej aprobatę, a z drugiej - dlatego, że było mi wstyd. Jednak uznałam, że sporo już wiem o syrenach - dzięki Willi, i postanowiłam spróbować własnych sił.

Przypomniałam sobie, że powinnam być rozluźniona. Im bardziej będę spięta, tym mniej skuteczna. Podczas rozmowy miałam dążyć do zachowania równowagi, pozwalając mu mówić dużo, aby wiedział, że jestem nim zainteresowana, i tylko czasem zabierać głos, żeby go nim ukołysać. Wreszcie, wciąż zrelaksowana, miałam go dotknąć. To nie musiały być od razu uściski czy pocałunki - wystarczyło otarcie dłoni o jego dłoń albo chwycenie go pod ramię po wyjściu z restauracji. I ważne, żeby zrobić to naturalnie.

Niestety, próby zapamiętania tego wszystkiego jedynie potęgowały moje zdenerwowanie. Kiedy Parker zapytał, jak minął mój dzień, odparłam, że w porządku, sięgnęłam po szklankę wody i strąciłam ją ze stołu. Kiedy z kolei on zaczął opowiadać, co dzisiaj porabiał, położyłam łokcie na stole i pochyliłam się ku niemu, a wtedy stolik przechylił się i koszyk na chleb potoczył się na moje kolana. Gdy zgasła nam świeca, podniosłam ją, żeby zwrócić uwagę kelnera i poprosić o nową, a wtedy strużka gorącego wosku pociekła mi po rękawie.

W moim przekonaniu wszystkie te wpadki dowodziły, że to, co robię, jest złe. Nie tylko dlatego, że nie wiedziałam, jak to robić, ale dlatego, że nie powinnam tego robić wcale. Nadal kochałam Simona, nawet jeśli on już mnie nie kochał, a to, co robiłam, nie było wobec niego w porządku. A biedny Parker faktycznie myślał, że jesteśmy na prawdziwej randce. Niewykluczone, że w ciągu ostatnich lat przyprawił o łzy całe tabuny dziewczyn, ale to nie był powód, żebym tak z nim postępowała.

Jednak miałam pewien cel: stać się tak silna, jak to możliwe, żeby - kiedy przyjdzie pora - móc zmierzyć się z Rainą i Zarą. Mimo to nadal wierzyłam, że musi być inny sposób.

- Posłuchaj - powiedziałam, chcąc zetrzeć wosk z rękawa.

- Zostaw. - Sięgnął przez stół i pociągnął za serwetkę. - Kiedy wyschnie, odejdzie bez trudu. Wycierając to teraz, zniszczysz płaszcz.

- Aha. - Spojrzałam na wosk i opuściłam serwetkę. - Dzięki.

- Mam pewien pomysł. - Przyciszył głos. - Może się stąd zerwiemy, co? Znam takie fajne miejsce, niedaleko stąd. Jedzenie nie jest może specjalnie wykwintne, ale za to smaczne. Atmosfera niesamowita. Co prawdą, jesteśmy za dobrze ubrani, ale nie widzę problemu, jeśli tobie nie będzie to przeszkadzało.

- W porządku - odparłam i natychmiast wstałam. Po wyjściu mogłam złamać obcas i użyć tego jako wymówki, że nie mogę iść. Albo udać, że nagle źle się poczułam. Najważniejsze, że wyjście oznaczało początek końca tej nocy.

- Randka w ciemno! - Parker zawołał przez ramię do kelnera, kiedy wymykaliśmy się z boksu. - To nie ta dziewczyna!

Zdając sobie sprawę, że mówi o nas, stanęłam w pół kroku. On szedł dalej, aż klatką piersiową naparł na moje plecy, a wtedy obie dłonie złożył mi na talii i popchnął mnie lekko naprzód.

- Błędne rozpoznanie - szepnął do mnie. - Gwarancja przykrego zakończenia każdej romantycznej kolacji.

Z jakiegoś powodu te słowa bardzo mnie rozśmieszyły. Nie wiem, czy pod ciężarem przeżyć ostatnich kilku miesięcy w końcu coś we mnie pękło, czy może pomysł pójścia przypadkiem na randkę z niewłaściwą osobą był naprawdę taki zabawny. W każdym razie śmiałam się przez całą drogę do wyjścia, a kiedy ruszyliśmy chodnikiem, wciąż jeszcze chichotałam. Wiele czasu minęło, odkąd coś doprowadziło mnie do takiego rozbawienia. To uczucie było prawie tak samo odświeżające jak spontaniczna kąpiel w oceanie.

- No i jesteśmy - powiedział Parker, gdy znaleźliśmy się kilka przecznic dalej.

Przetarłam łzawiące ze śmiechu oczy i zerknęłam w głąb alejki na migoczący neon

taco. Tkwił on na szczycie lichej żółtej chatki, wymalowanej w kaktusy, sombrero i osły. Na chodniku przed chatką stało mnóstwo plastikowych krzeseł, żadnych stolików, które zajmowali młodzi ludzie z collegeu ubrani w dzinsy i polary, zajadając się największymi taco, jakie w życiu widziałam, i popijając piwo. Sznury kolorowych lampionów krzyżowały się nad ich głowami, a ze starego magnetofonu, stojącego na ziemi przy okienku odbioru zamówień, dobiegała donośna brzękliwa muzyka mariachi.

- Szczerze mówiąc - powiedziałam - mam wrażenie, że jestem za mało elegancka.

Roześmiał się, co tylko sprawiło, że znów zaczęłam chichotać. Nawet nie mogłam złapać tchu, żeby zaprotestować, kiedy złapał mnie za rękę, splatając palce z moimi, i poprowadził w głąb alejki.

Nie byłam pewna, czy to z powodu śmiechu czy dotyku jego skóry, ale poczułam, jak w górę ramienia pomknął gorący strumień energii.

Niezależnie od tego, co go spowodowało, dałam się ponieść. Zamówiliśmy jedzenie i znaleźliśmy dwa puste krzesła pośród gości. Siedząc tam z Parkerem, otoczona przez obcych, jedząc rozpadające się taco, przekrzykując muzykę i hałas, żeby pogadać o telewizji, filmach i nieistotnych drobiazgach, czułam się inaczej. Czułam się szczęśliwa.

Normalna.

Nie chciałam, żeby to się skończyło. I najwyraźniej Parker też tego nie chciał.

- Nie chciałym się chwalić - oznajmił, kiedy skończyliśmy jedzenie - ale w domu mam całkiem niezły sprzęt multimedialny.

- Ach tak?

Pokiwał głową i wyszczerzył zęby.

- Przy sprzęcie Kingów nawet „Loews” się chowa.

Miał na myśli kino „Loews”.

Chciał, żebyśmy poszli do niego oglądać filmy. Pewnie na kanapie. Jedno obok drugiego. W ciemnym pokoju.

- Zrobiło się późno. - Z żalem wypowiedziałam słowa, które sprawiły, że jego uśmiech zbladł. - Powinnam już iść do domu.

Podniósł obie dłonie jakby w geście poddania, po czym wstał, podając mi jedną dłoń. Chwyciłam ją bez wahania.

Wracałam do domu, nie do niego. Uznałam, że nie zaszkodzi, jeśli po drodze będziemy się trzymać za ręce.

Idąc, Parker i ja na zmianę śpiewaliśmy - kiepsko - nasze ulubione tandetne filmowe piosenki wszech czasów. (Moją: Danger Zone z Top Gun, jego: [Everything I Do] I Do It for

You z Robin Hooda). W połowie drogi śmiałam się tak bardzo, że musiałam się zatrzymać i poprosić, żeby przestał się odzywać. Dopiero po chwili uspokołam się na tyle, bym mogła znów iść. Ten przystanek wydłużył o trzydzieści sekund czas spędzony w jego towarzystwie, co mnie cieszyło.

- Teraz już rozumiem - stwierdziłam, kiedy dotarliśmy do mojej ulicy.

- Co takiego?

- Fenomen Parkera Kinga.

- Przepraszam, to ja mam własny fenomen? - W jego głosie słychać było nutkę zadowolenia.

- Przecież wiesz, że tak. - Przystanęłam przed jedną z kamienic kilka budynków od mojej i obróciłam się twarzą do niego. - To twoja magiczna zdolność do zmieniania absolutnie każdej dziewczyny w kałużę słodkiej, rozlazłej packi.

Zrobił głupkowatą minę.

- Czy nie mógłbym zamieniać ich choćby w anioły? Albo w tęczę? Albo coś ładniejszego niż paćka?

Uśmiechnęłam się, kiedy zbliżył się do mnie.

- Skoro rozumiesz ten fenomen - mruknął przyciszonym głosem - czy to znaczy, że też tego doświadczyłaś?

Tym razem mój uśmiech zbladł.

- Być może - odparłam, wiedząc, że nie powinnam tego mówić. Mimo że to była prawda. Zwłaszcza że to była prawda.

Serce zadudniło mi w piersi jak szalone, kiedy podniósł moją rękę, dotknął rękawa i delikatnie odłamał wyschnięty wosk.

- Jak nowa - rzekł.

Mówił o mojej kurteczce. Logicznie rzecz biorąc, w myślach, wiedziałam, że o niej mówi. Ale cała reszta mnie interpretowała to zdanie inaczej.

- Parker - wyszeptałam, widząc, jak jego usta zbliżają się do moich.

W odpowiedzi pocałował mnie. Jego wargi były ciepłe, słone i ostrożne. Przyłgnęły delikatnie do moich, jakby w obawie, że się odsunę.

Bo to właśnie powinnam była zrobić. Powinnam była odepchnąć go i pobiec prosto do domu. Zamiast tego odwzajemniłam pocałunek, początkowo ostrożnie, ale po chwili bardziej zdecydowanie. Kiedy otworzyliśmy usta, a koniuszek jego języka dotknął mojego, zrobiłam gwałtowny wdech, jakbym dostała cios w brzuch.

Z tą różnicą, że to nie bolało. To było przyjemne. Niesamowite. Nogi przestały mi

drżeć, a w ramionach poczułam siłę. Serce nadal łomotało, ale inaczej: biło teraz mocno, nie słabo, z podniecenia, nie ze strachu.

No i ten smak. Wiedziałam, że jego usta były słone, bo jadł przed chwilą kolację, ale było to też coś więcej. Czułam, że są świeże, ożywcze; tak samo smakowałyby szklanka wody morskiej po tygodniach picia kranówki. Każdy pocałunek sprawiał tylko, że pragnęłam więcej.

- Znajdźcie sobie pokój! - zawołał ktoś z drugiej strony ulicy.

To mi uzmysłowiło, że stoimy na widoku, na samym środku chodnika, więc chwyciłam Parkera za kłapy płaszcza i nie przestając go całować, delikatnie pociągnęłam w stronę wąskiego pasma trawy między dwiema kamienicami.

- Vanesso - wyszeptał, opierając się na mnie i przyciskając mnie do ściany.

Czułam, jak jego palce odpinają mój płaszcz przy szyi.

- Pojedź ze mną.

- Dokąd? - Zamknęłam powieki, kiedy jego usta przesunęły się po moim obojczyku, po nagim ramieniu.

- Dokądkolwiek. - Przybliżył wargi do moich warg. - Daleko stąd. Za ocean.

- Twoją łódką - wyszeptałam, jak przez mgłę przypominając sobie, co planował po ukończeniu szkoły.

- Tak. - Uśmiechnął się, nie odrywając ust od moich warg. - Ty i ja. Moją łódką.

Mogłam to sobie wyobrazić. Nas dwoje. Nic, tylko błękitne niebo i setki mil oceanu. Moglibyśmy zniknąć, razem. Nikt nie musiałby wiedzieć. Nikomu nie stałaby się krzywda.

- Dobrze - wyszeptałam.

Przez ułamek sekundy znieruchomiał.

- Naprawdę?

Pokiwałam głową, pocałowałam go i przyciągnęłam bliżej do siebie.

Gdzieś w oddali zaryczał silnik, pisnęły opony.

- A co z twoim chłopakiem? - zapytał Parker. - Między wami na pewno skończone?

Mój chłopak. Simon.

Natychmiast otworzyłam oczy. Wyślizgnęłam się z uścisku Parkera i wybiegłam na chodnik.

W samą porę, by zobaczyć zielone subaru z rejestracją stanu Maine, które dojeżdżało do krańca ulicy i zniknęło za rogiem.



Następnego ranka zajrzałam do Paige, ale jeszcze spała - tak jak poprzedniego wieczoru, kiedy wróciłam do domu. Przez chwilę pogadałam z rodzicami przy śniadaniu, po czym, zamiast iść do szkoły, wsiadłam w autobus do północnego Bostonu. Willa nie spodziewała się moich odwiedzin, a ja nie miałam numeru telefonu, żeby się zapowiedzieć, ale musiałam dokądś pójść. Dzisiaj nie umiałabym spojrzeć Parkerowi w oczy, tym bardziej że część mnie gorąco pragnęła znów się z nim zobaczyć, zacząć od tego, na czym skończyliśmy, zanim uciekłam do domu, nie mówiąc nawet „do widzenia”. Zresztą sądziłam, że Willa nie będzie miała nic przeciwko temu, jeśli zajrzę bez uprzedzenia.

Nie brałam pod uwagę, że może nie być jej w domu.

Stałam na frontowym ganku i trzęsąc się z zimna w chłodnej porannej mgle, zapukałam do drzwi. Odczekałam kilka sekund i zapukałam znowu. Kiedy drzwi pozostały zamknięte, przechyliłam się przez żelazną balustradę i zastukałam w okno. Poprzez przezroczystą zasłonę widziałam, że pokój gościnny jest pusty.

Uznałam, że musiała pójść popływać, więc usiadłam na najwyższym stopniu, żeby zaczekać. Wyciągnęłam z plecaka telefon i po raz tysięczny, odkąd widziałam, jak Simon odjeżdża spod mojej ulicy poprzedniego wieczoru, sprawdziłam wiadomości.

- Dzień dobry, słoneczko.

Podniosłam wzrok. Przez otwarte okno wozu służb oczyszczania miasta zaparkowanego po drugiej stronie ulicy uśmiechał się do mnie mężczyzna w średnim wieku.

- Co taka ślicznotka jak ty robi w tej części miasta?

Opuściłam wzrok, przyłożyłam telefon do ucha, udając, że kogoś słucham.

- Może cię gdzieś podrzucić? - zapytał jego współpracownik. Cisnął wypchany worek z odpadkami na tył śmieciarki i wyszedł kilka kroków na ulicę, w moim kierunku.

Z obawy, że mój głos mógłby ich podkusić do dalszych działań, potrząsnęłam głową i zbiegłam po schodach. Małeńki trawnik przed domem Willi dzieliła od ogródka na tyłach splekana drewniana brama. Kiedy na nią napałam, z niewielkim trudem ustąpiła, a mnie ogarnęła ulga. Zamknęłam za sobą bramę i na wszelki wypadek przetaszczyłam ciężki stół z kutego żelaza, żeby ją zastawić.

Ogródek na tyłach domu Willi w rzeczywistości okazał się patiem. Podobnie jak wewnątrz domu i tu było prosto i schludnie. Stał tutaj komplet mebli ogrodowych i kilka

doniczek z wędnącymi nagietkami. Wąskie drewniane schodki prowadziły do drzwi na tyłach domu.

Kiedy usiadłam na jednym z krzesel, poczułam pulsowanie w skroniach, które zaraz ustało. Ta sama sytuacja powtórzyła się kilka sekund później. Nie czułam bólu, ale wyraźne napięcie, jakby nabrzmiała żyła rozsadzała skórę głowy.

To tylko stres... Denerwujesz się, a twoje ciało w ten sposób reaguje...

Próbując się rozluźnić, zamknęłam oczy i wzięłam głęboki oddech. Pulsowanie stało się silniejsze, szybsze. Otworzyłam oczy i zaczęłam grzebać w plecaku w poszukiwaniu butelki z wodą. Właśnie brałam duży łyk, kiedy kątem oka spostrzegłam poruszające się kremowe zasłony w trzech otwartych oknach na piętrze. Zasłony unosiły się i opadały, jakby szarpane gwałtownym, zmiennym wiatrem... z tym że wiatru nie było. Nie wiał nawet lekki wiaterek. Chłodne powietrze było zupełnie nieruchome.

Co dziwniejsze, za każdym razem, kiedy zasłony unosiły się, pulsowanie w głowie wzbierało. Kiedy opadały na parapet, napięcie słabło.

Wyskoczyłam z krzesła i wbiegłam po schodach. Tylne wejście było zamknięte na klucz, ale zauważyłam uchylone okno tuż przy drzwiach. Wspięłam się na balustradę, mocno pchnęłam stare okno, aż szpara powiększyła się o kilka kolejnych centymetrów, a wtedy wsunęłam rękę do środka. Odległość była zbyt duża, żeby chwycić gałkę, ale koniuszkami palców wskazującego i środkowego zdołałam przekręcić zamek. Zeskoczyłam z balustrady i otworzyłam drzwi z zewnątrz.

Podczas poprzednich wizyt u Willi byłam tylko w pokoju gościnnym, ale bez trudu odnalazłam schody na tyłach maleńkiej, nieskazitelnie czystej kuchni. Przystanęłam na półpiętrze w obawie przed tym, co mogłabym znaleźć na górze, ale wtedy pulsowanie nasiliło się, popychając mnie naprzód. Jeżeli Willa miała kłopoty, jeżeli syreny przyszły po nią, bo odkryły, że się ze mną kontaktowała, musiałam zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby jej pomóc.

Nawet jeśli to oznaczałoby konfrontację z Rainą i Zarą.

Kiedy pokonywałam ostatni stopień, napięcie w głowie było już nieprzerwane. Nasiliło się, kiedy biegłam korytarzem. Zajrzałam do dwóch pustych pokoi, czując, jakby moja głowa znalazła się między zaciskającymi się szczękami potężnego imadła. Uczucie było uciążliwe, choć nie bolesne; nie czułam bólu nawet wówczas, gdy dotarłam do ostatniego pokoju na końcu korytarza, ale wtedy nowa fala wezbrała wewnątrz czaszki, staczając bój z napięciem z zewnątrz.

Ze szpary pod zamkniętymi drzwiami sączyły się cienkie smużki zimnego oparu.

Pochyliłam się bliżej, wstrzymałam oddech i nasłuchiwałam... ale jedyne, co dobiegało zza drzwi, to pacnięcia zasłon o futryny okienne i ściany. Uniosłam dłoń, żeby zapukać, ale się rozmyśliłam.

Chwyciłam mosiężną gałkę i... natychmiast poderwałam dłoń do ust, żeby nie zawyc z bólu. W pierwszej chwili pomyślałam, że metal jest przeraźliwie gorący, ale potem spróbowałam jeszcze raz, najpierw lekko klepiąc gałkę, żeby przyzwycząić skórę do temperatury, i wtedy dotarło do mnie, że jest zimna. Jak lód.

Obróciłam gałkę i pchnęłam. Drzwi ani drgnęły. Podczas kolejnej próby mocno nacisnęłam na nie ramieniem, a wtedy lekko się uchyliły i znów zamknęły. W końcu, czując się silniejsza niż kiedykolwiek od wielu miesięcy, napałam na nie całym ciężarem. Drzwi ustąpiły, a ja wpadłam do pokoju, lądując twardo na kolanach.

Instynktownie zacisnęłam oczy. Przykucnięta, gotowa na ból, czekałam na Rainę i Zarę.

Ale ból nie nadszedł. Wciąż czułam napięcie w głowie, ale nic więcej.

Z wahaniem otworzyłam oczy, na wypadek gdyby wstrzymywały się z atakiem, aż je zobaczę, a gdy się przekonałam, że ich nie ma, zerwałam się na nogi. Oprócz mnie w pokoju była jeszcze tylko jedna osoba.

Willa. Siedziała w kremowej wannie na nóżkach z wyprostowanymi plecami i ramionami. Twarzą była zwrócona do okien na ścianie przeciwległej do drzwi i nie widziała mnie. Podeszłam do niej powoli, stąpając pośród zimnej, szarej mgły. Zbliżając się do wanny, zobaczyłam, że jest pełna niebieskawozielonej wody... która bulgocze i pryska, jakby pod deskami podłogowymi rozniecono olbrzymi ogień. Woda z pluskiem wychlapывwała się poza krawędzie wanny, a gdy chlusnęła mi na nogę, odskoczyłam. Jednak woda, podobnie jak kłębiąca się para, jaką wytwarzała, była zimna. Jeszcze kilka stopni, a Willa tkwiłaby unieruchomiona w bryle lodu.

Tak czy inaczej, już teraz wyglądała jak zlodowaciała. Kiedy obeszłam wannę i stanęłam tuż przed nią, nawet nie drgnęła.

Jej długie białe włosy opadały luźno na ramiona, które teraz wydawały się nie miękkie jak zwykle, ale kościste; sterczały, napinając cienki materiał nocnej koszuli. Ręce zdawały się chudsze, skóra poszarzała. Jej twarz, przed dwoma dniami zasnuta siateczką delikatnych, płytkich zmarszczek, teraz była zapadnięta. Pobrużdżone czoło, zwiotczałe powieki, policzki i usta opadały jakby w wannie panowała próżnia, która próbowała ją wessać.

Willa wyglądała staro. Jakby była chora. Zmęczona. Jedyne oznaki życia widać było na ustach, które wykrzywiały się raz po raz, jakby mamrotała niemożliwą do odszyfrowania

monotonną mantrę...iw oczach. Częściowo zasłaniały je fałdy skóry, ale mimo to dostrzegłam, że są srebrne, błyszczące, a źrenice strzelają z boku na bok, bez mrugania.

Stałam jak wryta, drżąc z zimna i ze strachu, i nie wiedziałam, co robić. Nie wyglądało na to, że cierpi, ale to nie znaczyło, że istotnie tak jest. Co jeśli znajdowała się w stanie czegoś w rodzaju hipnozy? Co jeśli syreny z Winter Harbor znalazły sposób, by kontrolować ją, jak kontrolowały Betty? Co jeśli to była pułapka? Może Willa miała mnie tu zwabić? Może była rodzajem szałwika, który, poruszony, zaalarmuje syreny o mojej obecności.

Podeszłam bliżej i otworzyłam usta, by wymówić jej imię, gdy nagle napięcie pod czaszką ustąpiło. Patrzyłam na Willę, ale widziałam Rainę. Zarę. Szarą wodę. Czerwoną łódź. Wiosło oklejone błyszczącymi naklejkami. Dziewczynę o pustych oczach, rozwartych ustach, dryfującą na plecach ku zamglonemu horyzontowi.

- Czy to ja? - wyszeptałam. - Czy jestem...

- Vanessa.

Wizja wyparowała.

- Co ty tu robisz? - zapytała surowo Willa. Przez mokrą koszulę nocną widać było jej wynędzniałe ciało. Starła się zasłonić je i wstać jednocześnie.

Kiedy spojrzałam w jej oczy, ze zdziwieniem spostrzegłam, że są niebieskawozielone, nie srebrne. Mgła rozstała się, a bulgotanie w wannie ustało. Zasłony zwiślały nieruchomo w oknach.

- Nie powinnaś była tu przychodzić. - Sięgnęła po szlafrok leżący na podłodze obok wanny. - Zaczekaj na mnie na dole. No idź - dodała, kiedy nie poruszyłam się od razu.

Posłuchałam. Pięć minut później dołączyła do mnie w salonie. Zdążyła przebrać się w dzinsy i sweter, a włosy zawięła w ręcznik. Umalowała się, ale jej twarz nadal wyglądała tak, jakby Willa w ciągu dwóch dni postarzała się o dziesięć lat.

- Dlaczego nie jesteś w szkole? - zapytała, powoli przemierzając pokój, jakby bolały ją stawy. Usiadła naprzeciwko mnie.

- Wczoraj wieczorem całowałam się z Parkerem.

Spojrzała na mnie. Widziałam, że nie takiej odpowiedzi oczekiwała, zresztą zdecydowanie nie takiej odpowiedzi zamierzałam udzielić. Ale miałam nadzieję, że jeśli będę z nią szczerą, mogę liczyć na wzajemność.

- Z tym, o którym wspominałaś - dodałam. - Tym, który nie jest moim chłopakiem.

- Rozumiem. Jak do tego doszło?

- Zaprosiłam go. Na randkę.

Zmarszczyła czoło.

- Bo nie miałaś z kim pójść na kolację?

- Bo chciałam mu się podobać. Jeszcze bardziej niż dotychczas.

- Vanesso, to nie jest zabawa. Myślałam, że o tym wiesz.

- Tak, wiem. - Pochyliłam się ku niej. - Chcę być silna. Chcę być w stanie pomóc, kiedy nadejdzie pora.

Wytrzymała moje spojrzenie, ale nie odpowiedziała.

- To już niedługo, prawda? - zapytałam. - To właśnie robiłaś? Próbowalaś podsłuchać, żeby przekonać się, co one knują?

- To, co robiłam, nie ma nic wspólnego z tobą.

Pochyliłam się jeszcze bliżej.

- Ale ja je widziałam. Widziałam Rainę i Zarę. Widziałam czerwoną łódkę. Moją czerwoną łódkę.

Jej szara skóra zbladła.

- O czym ty mówisz?

- Na gorze. Już miałam cię zawołać, żeby się upewnić, czy nic ci nie jest, ale zanim zdążyłam się odezwać, przed oczami przemknęły mi wszystkie te obrazy. Chwilę później obudziłaś się albo wyrwałaś z tego stanu, nieważne. - Zrobiłam pauzę.

- Czymkolwiek to było, cokolwiek widziałam... należało to do ich planu, mam rację?

Zacisnęła usta, przeszukując wzrokiem moją twarz.

- Tak - odparła wreszcie. - Ale sprawy nie zajdą tak daleko. Powstrzymamy je o wiele wcześniej i nie dopuścimy by zrobiły coś złego.

- Jak?

- To już nie twoje zmartwienie.

- Ale gdybym mogła pomóc...

- Nie możesz - przerwała, wstając. - Ty jesteś celem, ale to nie twoja walka, Vanesso. To większa sprawa. I choć pojedynczo są słabe, razem stanowią siłę.

Ja też wstałam.

- Ale co one zamierzają zrobić? Jesteś sama, bez obrazy, ale sądzę, że pod wodą potrafię pokonać znacznie dłuższy dystans.

- Gdy tylko wypowiedziałam te słowa, pożałowałam, jednak to nie znaczyło, że nie miałam racji.

- Nie musisz się martwić, że będę sama. Być może nie udzielam się w społeczności jak przed laty, ale nadal utrzymuję kontakty. Po prostu potrzebuję trochę czasu.

- Co jeśli nie mamy czasu? - zapytałam. - Czyżbyś wiedziała, kiedy zamierzają uderzyć?

- Nie wcześniej, niż będę gotowa.

Postąpiłam krok w jej stronę.

- Willo, proszę. Moja rodzina, przyjaciele, wszyscy, na kim mi zależy... są w rozsypce. A wszystko przeze mnie. Z powodu tego, kim jestem. Moja siostra całe życie próbowała wyróżniać się na moim tle, a teraz przez to nie żyje. Moja mama wychowała cudze dziecko, bo tato ją o to poprosił; on z kolei od tamtej pory prowadzi podwójne życie. Paige straciła ukochanego i rodzinę, bo zamroziliśmy port. Parker myśli, że mnie kocha, że chce popłynąć ze mną w rejs dookoła świata, a ja go zwyczajnie wykorzystuję.

- A wykorzystujesz?

To pytanie przypaliło mnie niczym rozgrzane żelazo. Potrząsnęłam głową, żeby je od siebie odsunąć.

- A Simon... od początku zależało mu tylko na mnie, a ja w zamian za to go skrzywdziłam. - Szybko zamrugałam powiekami, bo do oczu napłynęły mi łzy. - Jeżeli istnieje jakiś sposób, bym mogła naprawić to, co zepsułam, albo przynajmniej zapobiec pogorszeniu sytuacji, chcę go użyć. Potrzebuję tego. Myślę, że poradzę sobie z całą resztą - ze słoną wodą, zainteresowaniem mężczyzn, flirtowaniem i kłamstwami - jeśli tylko będę mogła pomóc powstrzymać syreny, jeśli wspólnie z tobą nie pozwolę skrzywdzić kolejnych osób.

Milczała i przez chwilę sądziłam, że poważnie rozważa moją prośbę. Ale wtedy złożyła chude, kościste dłonie na moich ramionach i spojrzała mi prosto w oczy.

- Przykro mi, że cierpisz - powiedziała cicho. - Przykro mi, że twoja rodzina cierpi. Ale uwierz mi, Vanesso, to, co możesz zrobić, jedyne, co możesz zrobić, to chodzić do szkoły. Wróć do domu. Żyj najlepiej, jak potrafisz, a w końcu wszystko to stanie się przeszłością.

Nie rozumiała. W tej chwili była jedyną osobą na całym świecie, która mogła rzeczywiście zrozumieć, przez co przechodzę... ale nie rozumiała.

Ze łzami spływającymi po policzkach minęłam ją szybkim krokiem, kierując się do wyjścia.

- Jeszcze jedno, Yanesso.

Zatrzymałam się z jedną ręką na klamce. Miałaś rację. To ja się myliłam. Możemy zrobić to razem.

- Bez względu na wszystko, nie próbuj nasłuchiwać. Ani mnie, ani nikogo innego. Jeśli to zrobisz, wszystko skończone. Rozumiesz?

Nie rozumiałam. Co było skończone? Nasza znajomość? Czy i tak nie była w pewnym sensie skończona? Zresztą czyż wiedząc, co zamierzają syreny, nie byłybyśmy po prostu lepiej przygotowane? Czy w ten sposób nie uzyskaliśmy nad nimi przewagi?

- Tak - odparłam mimo to, otwierając drzwi i zamykając je za sobą z trzaskiem.

Po wyjściu z domu Willi spacerowałam godzinami. Przeszłam nad brzegiem oceanu, przez północny Boston, do centrum miasta, przez most Longfellowa, aż do Cambridge. Szłam tak długo, aż straciłam czucie w stopach, niebo z niebieskiego stało się różowe, a słońce zaczęło zachodzić. W końcu zachciało mi się pić, więc wstąpiłam do delikatesów po wodę i kilka paczuszek soli. Przysiadłam na pustej ławce na Harvard Square pośród studentów z collegeu, którzy rozmawiali, uczyli się i robili wszystko to, co robią normalni ludzie w tym wieku, i wzięłam łyk z butelki.

Nie próbowałam nasłuchiwać. Ale jakiś czas później, kiedy gapiłam się pustym wzrokiem w nieokreślony punkt po przeciwległej stronie placu, w moje pole widzenia wkroczyła dziewczyna o długich brązowych włosach i niebieskich oczach i pozostała tam, zajęta przeglądaniem czasopism przy kiosku z gazetami.

To nie była Zara. Ale im dłużej na nią patrzyłam, tym bardziej rozmyty stawał się obraz, aż wreszcie jej włosy z brązowych stały się czarne, a oczy z niebieskich zmieniły w srebrzyste. Zakręciło mi się w głowie, a po chwili już całkiem wyraźnie zobaczyłam Zarę opierającą się o zielone subaru z tablicami rejestracyjnymi Maine. Stała w świetle ulicznej latarni przed chłopakiem, którego twarz była ukryta w cieniu.

Może do szczególnie wiernych nie należy... ale za to jest cudowny...

Tak właśnie powiedziała Zara o Simonie zeszłego lata, tamtej nocy, kiedy próbowała go omamić i prawie jej się to udało.

Wspomnienie wyrwało mnie z zamyślenia. Natychmiast odzyskałam jasność widzenia i spostrzegłam dwie rzeczy jednocześnie.

Jedną z nich była butelka wody. Leżała na moich kolanach, a przezrzysta ciecz w środku bulgotała... zupełnie jak woda w wannie Willi. Pod moim spojrzeniem bąbelki powiększyły się, zaczęły pękać szybciej, wznosić się i opadać spiralnie, aż woda przemieniła się w pianę.

Drugą był mój telefon. Wyciągnęłam go z plecaka gdzieś w południowym Bostonie i od tamtej pory bezwiednie trzymałam w ręce. Teraz czerwony punkcik migał, informując o nowej wiadomości.

„Kocham cię, V. Jakoś to naprawimy. Przyjedź do WH, OK? - S”.

Po tym wszystkim, co zrobiłam, po zerwaniu bez żadnych wyjaśnień i całowaniu się z Parkerem, Simon wciąż mnie kochał. Nadal chciał ze mną być. Nikt inny w takiej sytuacji by tego nie chciał... a Simon chciał. Im bliżej byłam Winter Harbor, tym większa ogarniała mnie pewność, że - jakimś cudem – uda nam się przez to przebrnąć. Uda nam się poukładać sprawy między nami, a potem razem stawić czoła temu, co ma nadejść. Tak właśnie powinniśmy postępować od początku.

Bo byliśmy sobie przeznaczeni, jak powiedziała Paige.

Kiedy odpisałam i zgodziłam się przyjechać, Simon wysłał kolejną wiadomość, prosząc, żebym przyjechała do domu jego rodziców, który sąsiedował z domkiem letniskowym mojej rodziny. Nie byłam tam, odkąd razem z tatą i mamą spakowaliśmy rzeczy i wyjechaliśmy po sezonie, a teraz denerwowałam się powrotem prawie równie mocno, co spotkaniem z Simonem, podczas którego opowiem mu w końcu wszystko, co powinien wiedzieć. Sama nie byłam w domku nad jeziorem, odkąd wróciłam do Winter Harbor, żeby dowiedzieć się, co naprawdę spotkało Justine, i poznać prawdę o samej sobie. Przez resztę ubiegłego lata, kiedy dołączyli do mnie rodzice, pobyt tam był całkiem znośny, ale nie czułam się gotowa zostać w nim znowu sama.

Więc gdy sześć godzin po opuszczeniu Bostonu, dotarłam nad jezioro, minęłam go i wjechałam na podjazd prowadzący do domku Carmichaelów.

Słońce zachodziło, ale w środku nie paliły się światła. Jedynym samochodem na podjeździe poza moim było subaru Simona. Pomyślałam z nadzieją, że to znaczy, że reszta rodziny dokądś wyszła. Mieliśmy tak wiele do omówienia, więc byłoby dobrze mieć trochę czasu tylko dla siebie.

Stałam przy drzwiach frontowych i zadzwoniłam do drzwi, po czym zrobiłam krok do tyłu. Po kilku sekundach zadzwoniłam znowu, a potem zapukałam. Nie było odpowiedzi, podeszłam więc do krawędzi ganku i spojrzałam w górę; w oknie pokoju Simona, tak jak w pozostałej części domu od strony podwórza, było ciemno. Sprawdziłam telefon, ale zobaczyłam tylko jedną wiadomość od Paige sprzed kilku godzin, w której pytała, gdzie jestem, i wspominała, że musimy porozmawiać. Notując w pamięci, że w pierwszej wolnej chwili powinnam do niej zadzwonić, wybrałam numer Simona, zbiegłam po schodach i ruszyłam dookoła domu. Pokój gościnny na tyłach wychodził na jezioro; może Simon oglądał



telewizję albo spał na kanapie i nie słyszał dzwonka.

W słuchawce zgłosiła się od razu poczta głosowa.

- Cześć, to ja. Jestem na miejscu, przed domem. Dzwoniłam i pukałam, a teraz idę na tył domu - Zrobiłam pauzę. - Simon, kocham cię. I przepraszam. Za wszystko.

Podobnie jak we frontowej części domu, na tyłach panował mrok. Mimo to zapukałam do drzwi, ale nie usłyszałam odpowiedzi. Zajrzałam do pokoju gościnnego i zobaczyłam, że jest pusty, a telewizor wyłączony. Na stoliku nie stały żadne naczynia, nie było żadnej otwartej książki na kanapie ani żadnych innych znaków, które wskazywałyby, że tu na mnie czekał.

Czyżby zmienił zdanie? Czyżby jego rodzice albo Caleb przekonali go, że godzenie się ze mną to zły pomysł, że po tym wszystkim, przez co przeszliśmy, lepiej nam będzie bez siebie? Może to właśnie było powodem, dla którego dom był pusty: wszyscy razem wybrali się dokądś na kolację mającą być czymś w rodzaju rodzinnej interwencji, by uchronić Simona przed dalszym cierpieniem.

Odwrociłam się, żeby zbiec po schodach, kiedy odezwał się brzęczyk telefonu.

- Cześć - powiedziałam, uśmiechając się z ulgą.

- Cześć, ślicznotko. Nie widziałem cię dzisiaj w szkole.

Złapałam się barierki ganku i szybko rozejrzałam, żeby się upewnić, że nadal jestem sama. Tak bardzo się ucieszyłam, słysząc telefon, że nie sprawdziłam, kto dzwoni, gdy odebrałam.

- Parker. Cześć.

- Wszystko w porządku?

- W porządku. - Spojrzałam na wodę, próbując wyobrazić sobie Simona pływającego, siedzącego na pomoście, cokolwiek, żeby tylko wymazać z głowy widok uśmiechniętych ust Parkera zbliżających się do moich warg. Chciałam zapytać, czy mogę oddzwonić później, ale słowa utknęły mi w gardle.

- Tak sobie dzisiaj myślałem, że do lata jeszcze daleko.

- Mhm - wydusiłam.

- Myślę, że dobrze byłoby wybrać się na próbny rejs.

- Próbnny rejs? - powtórzyłam, podczas gdy mój wewnętrzny głos krzyczał, że mam się rozłączyć.

- Co powiesz na Karaiby? Ty i ja, na Święto Dziękczynienia?

- To brzmi... - urwałam w pół słowa, bo w jednej chwili zapomniałam, co chciałam powiedzieć.

Dlatego, że go zobaczyłam. Simona. Pływającego łódką po jeziorze.

- Vanesso, jesteś tam?

- Muszę lecieć - rzuciłam i rozłączyłam się. Przebiegłam przez podwórko na tyłach domu, czując, że mam więcej siły w nogach niż choćby pół minuty wcześniej.

Najwyraźniej fizyczna bliskość Parkera nie była konieczna, żeby skutki jego zauroczenia stały się odczuwalne.

- Simon! - zawołałam, gdy dobiegłam do końca pomostu. Nie podniósł głowy. Jeszcze przed momentem wiosłował, ale teraz już tylko unosił się na wodzie, dryfując w stronę środka. Pewnie dlatego nie odbierał telefonu; w całym Winter Harbor zasięg raz pojawiał się, raz zanikał, a im dalej od lądu, tym był słabszy. Siedział z pochyloną głową i przewracał kartki książki. Zmrużyłam oczy i dostrzegłam w jego Uszach małe białe punkciki słuchawek.

Czytał i słuchał muzyki. To dla niego typowe, ale dziwiło mnie, że nie robi tego w domu, zwłaszcza że wiedział, ile czasu trwa podróż z Bostonu do Winter Harbor i że wyjechałam od razu.

Znowu go zawołałam i pomachałam, ale był zwrócony do mnie plecami. Patrzyłam i czekałam, aż skieruje łódź w moją stronę, jednak nadal przerzucał kartki, wyraźnie zaabsorbowany. Zlustrowałam pobliski brzeg w nadziei, że zobaczę małą motorówkę Caleba, którą wypożyczał z przystani, w miejscu, gdzie zwykle ją trzymał, albo kajak pozostawiony przez wczasowiczów. Nie znalazłszy niczego, czym mogłabym wypłynąć na jezioro, pobiegłam do garażu Carmichaelów, żeby sprawdzić, czy nie ma tam zapasowej łódki, ale zobaczyłam tylko narzędzia do uprawy ogródka. Zawróciłam biegiem na brzeg i jeszcze raz spróbowałam krzykiem i machaniem zwrócić uwagę Simona.

Nic. Znosiło go tylko głębiej na środek jeziora.

Przykucnęłam na krawędzi pomostu. Bardzo pragnęłam znaleźć się przy nim teraz, w tej sekundzie, ale od naszej rozłąki minęło już kilka tygodni, więc mogłam poczekać jeszcze parę minut. Barwa nieba szybko przechodziła z lawendy w szarość, co oznaczało, że wkrótce zrobi się zbyt ciemno na czytanie. Chyba że zabrał ze sobą latarkę. Zresztą pewnie zawróci, żeby mnie poszukać, zanim całkiem się ściemni.

A skoro już mowa o wierności...

Ten głos niczym pocisk przeszył moją czaszkę. Krzycząc z bólu, zacisnęłam oczy i złapałam się za głowę.

Wystarczą dwa magiczne stówka, a przybiegasz w podskokach...

Ból nasilił się, wprawiając moje ciało w kołysanie.

To mogłoby zrekompensować wszystko, co zrobiłaś... gdyby nie to, że Simon już się z

tym pogodził i zapomniał...

Przestałam się kołysać. Wstrzymałam oddech. Powoli otworzyłam oczy, jakby budząc się ze snu. Lekki powiew wiatru zaszeleścił obumarłymi liśćmi wczepionymi ostatkiem sił w gałęzie drzew, zmarszczył powierzchnię wody i... powoli obrócił łódkę, ustawiając ją równoległe do brzegu.

Nie wiem, czy wcześniej była pochylona czy zasłaniał ją Simon, ale teraz widziałam ją jak na dłoni. Siedziała na drugim końcu łódki, ubrana w dżinsy i rudy polar z logo Bates. Była chuda i blada. Długie czarne włosy miała teraz równo przycięte i gładko ułożone, tak że okalały jej twarz i przysłaniały wyostrome kości policzkowe.

Zerwałam się na nogi. - Simon!

Zara wyglądała teraz zupełnie inaczej, bardziej niezwykle.

Nic. Przewrócił kolejną kartkę, zupełnie jakby był całkiem sam.

- Simon! To ja, Vanessa! Proszę cię, spójrz na mnie!

Patrzyłam, jak unosi iPoda i podkręca głośność. Wcześniej, za każdym razem kiedy znalazł się pod urokiem Zary, mój głos wyrwał go z jej macek. Sam fakt, że siedział spokojnie dwa kroki od niej, świadczył o tym, że był jakby w transie, może zahipnotyzowany, ale czy słuchał muzyki, żeby zagłuszyć ją... czy mnie?

Przestań. To słowo zapłonęło żywym ogniem w mojej głowie. Proszę, on ci nic nie zrobił. Zostaw go w spokoju.

Nie wiedziałam, jak w myślach komunikować się z inną syreną, jak nawiedzić jej myśli w taki sam sposób, w jaki Zara nawiedzała moje. Willa nie życzyła sobie, żebym słuchała, nie chciała też, żebym mówiła. Ale wyglądało na to, że Zara słyszy moje nieme błagania; nie odpowiedziała na nie, ale odwróciła się w moją stronę, a na jej twarz powoli wypełził uśmiech; blask w jej oczach, początkowo słaby, z każdą chwilą nabierał intensywności, aż stał się jaskrawym światłem. Kiedy upewniła się, że zwróciła na siebie moją uwagę, pochyliła się do przodu i złożyła dłoń na kolanie Simona.

Nie wzdrygnął się, jak powinien. Jak ja bym sobie tego życzyła. Uniósł tylko głowę, odpowiadając jej uśmiechem. Zara zsunęła się z ławki i zbliżyła do niego, a gdy dzieliły ich centymetry, delikatnie pociągnęła za kabel iPoda, aż słuchawki wysunęły się z jego uszu, i powiedziała coś, co sprawiło, że się roześmiał.

- Simon!

Krzyknęłam na tyle głośno, że pływające nieopodal nury zaśpiewały w odpowiedzi, ale on nie usłyszał. Albo mnie zignorował. Pogłaskał Zarę po włosach i założył je za ucho, gładząc ją palcami po policzku, tak samo jak gładził mnie setki razy. Przysunęła twarz do

jego dłoni i spojrzała na niego spod rzęs.

- Nie - wyszeptałam, kiedy odległość między nimi zmniejszyła się. - Proszę... nie rób tego.

Ale stało się. Na moich oczach, których nie umiałam odwrócić, Simon i Zara - niczym dwa samochody pędzące na siebie z impetem tuż przed nieuniknioną kraksą - pocałowali się. To był prawdziwy pocałunek, pełen namiętności i czułości, do utraty tchu...

Opadłam na kolana. Jak to się mogło stać? Skoro Zara była słabsza niż wcześniej, jak udało jej się omamić Simona, nie wspominając już o tym, jakim sposobem nakłoniła go, żeby wszedł do łódki, popłynął z nią na środek jeziora i pocałował ją. Czy dopadła go, zanim poprosił, żebym przyjechała, czy po tym?

Gdy tylko zadałam sobie to pytanie, pojęłam, że znam odpowiedź. To się stało przedtem. Bo gdyby Simon rzeczywiście nadal mnie kochał, jej siła nie miałaby na niego wpływu. A nawet gdyby udało jej się go zauroczyć, straciłaby nad nim kontrolę w chwili, w której usłyszałby mój głos.

Zanim ta świadomość zdążyła doszczętnie mnie sparaliżować, Simon i Zara zwolnili uścisk. Zara wstała, wprawiając łódkę w lekkie kołysanie, i rozpięła polar, który zsunął się z jej ramion i opadł na dno łódki. Przez cały ten czas nie oderwała wzroku od oczu Simona. Przechyliła się na prawo, potem na lewo, a ja domyśliłam się, że zdejmuje buty. Na dworze było nie więcej niż dziesięć stopni, ale ona miała na sobie tylko białą, obcisłą bluzeczkę bez rękawów i dzinsy, zupełnie jakby był środek lata, a nie jesień. Jej wygląd musiał zrobić wrażenie na Simonie, bo patrzył na nią w bezruchu.

Dopóki nie wskoczyła do wody. Wtedy to on poderwał się na nogi, upuszczając z pacnięciem książkę na dno łodzi, która gwałtownie zakołysała się z boku na bok. Simon stracił równowagę i dwa razy przysiadł na ławeczce, zanim w końcu udało mu się wyprostować, a wtedy zdjął kurtkę i sweter.

- Simon! - zawołałam znowu, zdesperowana. - Stój! Nie wiesz, co ona...

Ale było za późno. Najwyraźniej nie będąc w stanie wytrzymać z dala od niej choćby sekundy dłużej, rzucił się do wody w spodniach, koszulce i butach.

Nie miałam żadnego planu działania. Nie wiedziałam, co robić, kiedy już do nich dotrę, ani czy Simon w ogóle będzie rozumiał, kim jestem. Ale nic mnie to nie obchodziło. Nie zwracając uwagi na pulsowanie w skroniach i łomotanie serca, zrzuciłam z siebie kurtkę, zsunęłam trampki, a na ubranie cisnęłam telefon. Wskoczyłam do wody, tak zimnej, że mięśnie natychmiast mi zesztyniały, ale wytrwale machałam ramionami i nogami, aż w końcu mogłam wykonywać wszystkie ruchy. Musiałam jednak być w szoku, bo pomimo

usilnych prób najwyraźniej nie potrafiłam płynąć tak szybko, jak ostatnio w oceanie, przez co minęło kilka minut, nie sekund, zanim dopłynęłam do łodzi.

Kiedy wreszcie zdołałam to zrobić, zobaczyłam Zarę i Simona parę metrów dalej, unoszących się na wodzie, całujących się ponad najgłębszym punktem jeziora... dokładnie naprzeciw mojego domku.

- Puść go, Zaro! - zawołałam, przytrzymując się burty łodzi.

- O, Vanessa, to ty - odparła jak gdyby nigdy nic, jakby to było całkiem normalne spotkanie, jakby dwoje starych znajomych przypadkiem wpadło na siebie na ulicy. - Jak miło, że do nas dołączyłaś.

- On nie jest ci potrzebny - oznajmiłam. - Możesz mieć każdego, kto ci się spodoba.

- Masz absolutną rację. To miło, że zauważyłaś. - Jeszcze mocniej zacisnęła ramiona na jego szyi. - Ale ja chcę właśnie jego. I muszę z radością stwierdzić, że to odwzajemnione uczucie, prawda, Simon?

Chciał znów ją pocałować, ale odsunęła się nieznacznie. Kiedy zrozumiał, że czeka na odpowiedź, kąciki jego ust uniosły się w powolnym, leniwym uśmiechu. Powiedział coś tak cicho, że nie dosłyszałam, ale Zara nakłoniła go, żeby powtórzył, tym razem głośniej.

- Kocham cię - oznajmił.

Kocham cię. Poczułam, jak moje serce przyspiesza... jednak Simon, mówiąc to, nie patrzył na mnie, tylko na nią. Kiedy te słowa zawisły w powietrzu, jej twarz jakby się zmieniła: skóra nabrała blasku, policzki stały się pełniejsze, a oczy zaśniły.

Podczas gdy ona odzyskiwała siłę, moje ciało popadało w odrętwienie. Zaczęłam tonąć, podciągając się na burcie łodzi, a gorące krople, które paliły moje oczy, mieszały się z zimną wodą w jeziorze. Zamrugałam powiekami i odzyskałam jasność widzenia na tyle, by zobaczyć, jak Zara, uczepona Simona, powoli zanurza się pod powierzchnię.

Ugięłam nogi w kolanach i oparłam stopy o burtę, po czym odepchnęłam się, celując w miejsce, w którym jeszcze przed chwilą unosili się na wodzie. Gdy się zbliżałam, zanurzyłam głowę, obróciłam się w stronę dna jeziora i zanurkowałam, przecinając wodę długimi, posuwistymi ruchami. Nie mogłam znajdować się daleko za nimi, a mimo to nigdzie ich nie było. A zresztą może byli, tylko z powodu panującej tu nieprzeniknionej ciemności nie mogłam ich dojrzeć. W odróżnieniu od tamtej nocy, kiedy wskoczyłam do wody u podnóża urwiska Chione i ujrzałam blask bijący z oczu syren, który rozświetlał dno oceanu, teraz jezioro spowijał mrok. Nie widziałam nawet własnych rąk tuż przed sobą. Kiedy usiłowałam wsłuchać się w głos Zary, nie usłyszałam absolutnie nic. Jedyne, co mogłam zrobić, to spróbować wymazać własne myśli, na wypadek gdyby ktoś starał się je odczytać.

Pływając przez wiele lat jak normalny człowiek, za każdym razem, gdy zanurzałam się pod powierzchnię, instynktownie wstrzymywałam oddech i otwierałam usta, żeby napęlić płuca, dopiero kiedy poczułam palący ból w piersi.' Teraz, tak właśnie było: rozsadzało mi płuca, bo minęła minuta, odkąd odpłynęłam od powierzchni. Nie zawahałam się i zaczerpnęłam tchu.

Opuszczasz nas tak wcześnie...?

Ledwie dosłyszałam głos Zary pośród własnego krztuszenia się i dławienia. Spróbowałam znów oddychać, tym razem wolniej, myśląc, że może zbyt łapczywie wzięłam pierwszy haust, ale stało się dokładnie to samo. Woda powinna ukoić i wzmocnić moje ciało, a nie dusić mnie.

Czyżby zatrwały jezioro? Czy to dlatego Simon wyznaczył akurat to miejsce na spotkanie? Bo zrobiły coś, przez co nie dało się oddychać? Woda nie pachniała ani nie smakowała inaczej, jednak...

Myśli urwały się, gdy wstrzymałam oddech i woda wokół mnie przestała wirować. Parę metrów dalej zobaczyłam Zarę, która z całej siły przytrzymywała wrywającego się Simona. Posłała mi uśmiech... spod maski do nurkowania. Maską była połączona długą rurą z przezroczystym zbiornikiem zamocowanym na jej plecach na wysokości talii.

Tym razem zrobimy to, jak należy... Tym razem je potopimy...

Przez myśl przemknęło mi wspomnienie słów Willi, tak błyskawicznie, że nawet gdyby Zara próbowała, nie mogłaby ich wychwycić. Ale ja je wychwyciłam. I teraz wiedziałam już, co moja ciotka miała na myśli.

Dla syren woda w jeziorze była trująca.

Ponieważ była słodka, nie słona.

Czułam, że zaraz rozerwie mi płuca, kiedy moje oczy napotkały wzrok Simona. Albo urok Zary był ograniczony w czasie, albo woda spowodowała wstrząs; tak czy inaczej, nie był już w jej mocy i z całych sił walczył, by się uwolnić. Mocno machnęłam nogami i nagle zmniejszyłam dystans między sobą a nimi, jednak Zara z łatwością znów go powiększyła, płynąc głębiej w kierunku dna jeziora. Powtórzyłam ruch, a wtedy ona zanurzyła się jeszcze głębiej. Ciśnienie miażdżyło mi głowę i klatkę piersiową i wkrótce nie miałam innego wyjścia, jak tylko zawrócić.

Musiałam zaczerpnąć powietrza. Wiedziałam, że w przeciwnym razie Simon i ja zginimy.

Moja głowa wystrzeliła ponad powierzchnię wody. Łapczywie chwytając powietrze, spojrzałam w stronę domów na brzegu jeziora z nadzieją, że zobaczę Caleba, państwa

Carmichaelów albo jakichś urlopowiczów... ale nie było nikogo. W żadnym z domów nie paliło się światło.

Usiłowałam skupić myśli i wezwać na pomoc Willę, wysłać jej coś w rodzaju ostrzeżenia i skłonić, by uruchomiła znajomości, które podobno wciąż jeszcze miała. Ale zanim zdążyłam pomyśleć, co jej zakomunikować, zobaczyłam białe błyski. Początkowo były małe i niezbyt wyraźne, ale wkrótce stały się większe i jaśniejsze. W pierwszej chwili pomyślałam, że to przelotne błyskawice, ponieważ pamiętałam, jak zeszłego lata syreny na własny użytek manipulowały pogodą, ale tym razem pojawiło się ich zbyt wiele naraz. Poza tym strzelały w górę z poziomu wody, nie zaś z nieba.

I wtedy zrozumiałam. To były oczy. Dziesiątki par oczu. Srebrzyste, mrugające, mieniające się, otaczały mnie niczym potężna sieć rybacka.

Witaj, Vanesso...

Jedna para przybliżyła się. Pod maską rozpoznałam usta Rainy i mały pieprzyk na prawo od nosa.

To miło z twojej strony, że opiekowataś się Paige podczas naszej nieobecności...

Przebierając nogami, oddaliłam się od niej parę metrów. Ale wówczas przybliżyłam się do oczu, które były z tyłu.

Nie wiem, co ona by bez ciebie zrobiła... a raczej, co bez ciebie robi...

- Proszę - wyszeptałam, mrugając, by kropelki wody zbierające się na moich rękach, opadły. - Zostawię was w spokoju. Nikomu nie powiem, że żyjecie. Tylko go wypuście i będziemy mogli udawać, że...

- Że to się nigdy nie stało?

Obróciłam się za siebie. Zara i Simon wypłynęli na powierzchnię, tuż poza krąg otaczających mnie syren.

- Vanesso! - zawołał Simon, wykrztuszając wodę.

Rzuciłam się w ich stronę, a Zara zacisnęła dłoń na jego ustach. Spojrzał na mnie szeroko otwartymi, pełnymi smutku oczami; wiedziałam, że bardziej martwi się o mnie niż o siebie.

- Przepraszam - powiedziała Zara, przechylając głowę na bok, jakby czuła się zdezorientowana. - Może przypomnijmy sobie serię ostatnich zdarzeń, dobrze? Ty i ten twój mózgowiec zamroziliście wody Winter Harbor, uwolniliście nasze zdobycze, ukradliście nam trzy miesiące życia, odebraliście mi chłopaka i siostrę...

- Caleb nie był twoim chłopakiem - odcięłam się. - I to ty odebrałaś mi siostrę. Zabrałaś mi Justine! I po co? Żeby mieć łatwiejszy dostęp do chłopaka, który i tak nigdy nie

należałby do ciebie? Choćbyś starała się ze wszystkich sił?

Mocniej zacisnęła dłoń na ustach Simona, mrużąc srebrzyste oczy.

- Jeśli chodzi o Paige - mówiłam dalej - byłam dla niej tylko przyjaciółką. A wy chciałyście, żeby zachorowała. Zaraz po urodzeniu dziecka zamierzałyście przemienić ją w pozbawionego moralności, nienasyconego potwora, takiego jak wy. Jak wy wszystkie!

Nastąpiła cisza. Na krótką chwilę cały świat: woda, wiatr i szumiące drzewa, zamarł. - Nie chciałaś raczej powiedzieć - głos Zary był gładki jak jedwab - jak my wszystkie?

Spojrzałam na Simona, który - gdy tylko pojął słowa Zary - przestał się szarpać i utkwiał we mnie wzrok.

- Nie! - Rzuciłam się w ich stronę, ale poczułam czyjąś dłoń na lewej nodze i drugą na prawym udzie. Cztery kolejne chwyciły mnie za ręce. Miotalam się i wierzgałam, tracąc resztki energii. Kiedy podbródek, usta, a potem nos zanurzyły się pod powierzchnią, jedyne, co mi pozostało, to zacisnąć usta i nie oddychać.

Trzymały mnie przez całą drogę na samo dno jeziora. Grupę prowadziła Raina, płynąc przodem i rozświetlając ciemność dwoma długimi snopami srebrzystego światła. Rozglądałam się za Zarą i Simonem, w myślach wzywałam Willę, ale poza syrenami, które mnie porwały, nie widziałam ani nie słyszałam nikogo ani niczego.

Na dnie jeziora złożyły mnie na skupisku skał, a nadgarstki i kostki związały czymś, co przypominało jedwabne chusty. Próbowałam z nimi walczyć, ale - tak jak powiedziała Willa - nawet jeśli pojedynczo były słabe, razem stanowiły siłę. Zmagając się z pragnieniem i niedostatkim tlenu, czułam, jakby moje ciało przeszło przez płomień, nie przez wodę.

Dlatego, kiedy młoda syrena o długich blond włosach przyłożyła mi do ust maskę, chciwie wciągnęłam w płuca łyk słonej wody.

Jesteś silna, głos Rainy rozbrzmiał w mojej głowie. Zupełnie jak twoja siostra. Ona też walczyła do ostatniej chwili.

Wpatrywałam się w nią, kiedy opadła na piasek tuż naprzeciw mnie. Jej długa biała spódnica kłębiła się wokół niej niczym chmura. Choć wszystko we mnie kipiało, zachowałam jasność myśli. Chwilę później Raina ciągnęła dalej:

Muszę ci pogratulować. Ty i twoi przyjaciele zrobiliście coś, czego nie dokonał nikt w naszej długiej historii. Powstrzymaliście nas. Tymczasowo, a jednak skutecznie. A to już nie lada wyczyn.

Skupiłam wzrok na jej oczach.

Ale musisz zrozumieć, że to, co zrobiliście - co usiłowaliście zrobić - wykracza daleko poza ciebie, mnie, Zarę czy Paige. Śmierć Justine była niefortunna i gdyby nie pewne



okoliczności, nie miałyby miejsca.

To nie brzmi jak przeprosiny, pomyślałam.

Bo wcale nie miałam zamiaru przepraszać. Jej oczy zapłonęły. Była przypadkową ofiarą. Zawsze zakładałyśmy, że zginęłaś razem ze swoją matką, ale skoro potrzeba było śmierci twojej siostry, żebyś się ujawniła, a żebyśmy my odkryły jedną śpiącą syrenę zdolną uśpić nas wszystkie, było warto.

Moje myśli zaczęły wędrować wokół tego, co mówiła Willa o moich przodkach w Kanadzie, o silnej grupie syren, które zabiły tysiące mężczyzn, ale zapanowałam nad nimi, żeby przypadkiem nie naprowadzić Rainy na coś, czego jeszcze nie wiedziała.

Niektóre z nas uważają, że zapracowałaś na to, co cię spotkało. Co więcej, że powinnaś doświadczyć takiego samego losu, jaki zgotowałaś nam.

Nie obracając głowy, przyjrzałam się kolejno wszystkim syrenom, które zebrały się wokół nas. Wszystkie oddychały przez maski, świdrując mnie srebrzystymi zmrużonymi oczami w wychudłych twarzach.

Ale ponieważ staram się postępować wyłącznie w najlepszym długofalowym interesie grupy, zamiast zwyczajnie cię zabić, choć bez wątpienia na to zasługujesz... daję ci wybór.

Spotkałam się ze spojrzeniem Rainy. Jej twarz pozostała bez wyrazu, gdy szykowała się, by przedstawić mi ultimatum.

Albo dasz moim siostronom to, czego pragnę, i przygotujesz się na długą i najpewniej bolesną śmierć... będziemy na tyle uprzejme, by odstawić twoje rozdęte, pozbawione życia ciało na pomost za domkiem twoich rodziców...

W tym momencie otaczające mnie ze wszystkich stron białe światła zadrgały, miotając błyski w górę i w dół. To syreny kiwały z aprobatą głowami.

Albo do nas dołączysz.

Na tę myśl posłałam jej gniewne spojrzenie.

Na twoim miejscu nie spieszyłabym się tak bardzo z decyzją, ostrzegła. Przez ciebie nasza wyjątkowa społeczność została poważnie osłabiona. Jednak - iw tym również możesz mieć swój udział - odzyskamy siły. Staniemy się potężniejsze i zdrowsze niż dotychczas. Posiadasz moc, jakiej syreny w twoim wieku i z twoim doświadczeniem mieć nie powinny. Mogłabyś stać się naszym atutem, a my w zamian stałybyśmy się tym samym dla ciebie.

Wytrzymując jej spojrzenie, zakomunikowałam w myślach: Niedoczekanie twoje.

Ach tak? Obróciła się i zerknęła przez ramię. Nawet gdyby to oznaczało, że ocalisz w ten sposób jedyną osobę na świecie, dla której zrobiłabyś wszystko? Dla której powinnaś zrobić wszystko, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę to, co masz na sumieniu?

Delikatna poświata rozświetliła panujący za nią mrok. Udało mi się dojrzeć uśmieszek Zary i klatkę piersiową Simona, która unosiła się i opadała pod jej ramionami.

Wciąż żył. Po chwili woda zakołysała mną, a światło padło nieco wyżej, ukazując mi czarną maskę na jego ustach. Była przymocowana do małej butli tlenowej leżącej na piasku obok niego.

Gorące łzy zaszczypały mnie w oczy, zanim zneutralizowała je zimna woda jeziora. Pozwolicie mu odejść? Jeśli zrobię to, o co prosisz, puścicie go wolno i zostawicie w spokoju?

Vanesso. Wydęła wargi. Bądźmy realistkami.

W takim razie co zamierzasz? Właściwie wykrzyczałam te słowa w myślach. Co konkretnie sugerujesz?

Aby do nas dołączyć, musisz odebrać życie.

Oddychałam teraz szybciej, a słona woda wślizgała się przez moją maskę do ust.

Jeśli odbierzesz mu życie, staniesz się silniejsza, niż mogłabyś sobie kiedykolwiek wyobrazić, z kolei on umrze, wpatrzony i wsłuchany w ciebie, w tej jednej sekundzie szczęśliwszy niż przez całe swoje dotychczasowe życie. Bardzo mocno go skrzywdziłaś, dlatego Zara zdołała na jakiś czas go oczarować, ale on nadal cię kocha, Vanesso. Bardziej niż kiedykolwiek.

Potrząsnęłam głową i zacisnęłam oczy. I jak to miałyby go ocalić?, powiedziałam ostro, zrozpaczona.

Nie mówiłam, że ocalisz go przed śmiercią. Możesz go jedynie ocalić przed oglądaniem, jak sama powoli toniesz, bo taki widok zabiłby go o wiele wcześniej, niż faktycznie przestałoby bić jego serce. Zrobiła pauzę. Fizycznie on umrze tak czy inaczej.

Zostawi was w spokoju, zadeklarowałam. Oboje odejdziemy i już nigdy nie wrócimy. Wyniesiemy się na drugi koniec kraju, a nawet do innego państwa, jeśli zechcesz. On jest zbyt dobry... nie zasługuje...

Nie zapominajmy, przerwała mi Raina, nie zważając na moją płaczliwą wewnętrzną paplaninę, kto wpadł na pomysł oblodzenia portu. Ta kara nie jest wymierzona tylko w ciebie.

Zaro, błagałam, wykręcając sznury pętające nadgarstki, pomyśl o Calebie. Wiem, że nadal go kochasz. Pomyśl, jaki będzie zdruzgotany, gdy straci brata. Jeżeli sądzisz, że pozbawiając go bliskich, w jakiś sposób zwiększysz swoje szanse...

Nagle poczułam silny podwodny prąd, po czym coś mocno otarło się o moje plecy. Osunęłam się, lądując miękko na skałach. Chwyciłam się za głowę i spróbowałam wstać, ale znieruchomiałam na widok sceny, która objawiła się przede mną, gdy tylko woda znów

odzyskała klarowność.

Oczy Rainy płonęły - naprzeciw niej unosiła się w wodzie wysoka kobieta o długich ciemnych włosach. Kobieta znajdowała się w miejscu, które przed kilkoma sekundami zajmowała ja; kimkolwiek była, nie chciała, żebym mówiła dalej. Pozostałe syreny ustawiły się niczym armia za plecami Rainy, próbując przybrać groźny wygląd, ale wyraźnie tracąc siły. Niektóre z nich drżały, inne stały zgarbione, wciąż zbyt słabe po miesiącach spędzonych w lodowym grobowcu, by trzymać się prosto. Odgrodziły mnie od Simona, ale wciąż widziałam jego stopy, więc wiedziałam, że tam jest.

To oczywiście nie dowodziło, że wciąż żyje.

Nenufary nie pochwałyby takiego postępowania.

Moja głowa zapulsowała w proteście. Znałam ten głos.

Nenufary o niczym nie wiedzą i nigdy się nie dowiedzą, odparła Raina. Nie interesują się sprawami takich grup jak nasza.

Zainteresują się, jeśli je o to poproszę.

Głos kobiety o długich ciemnych włosach brzmiał dokładnie tak jak głos Willi. Ale włosy Willi były zupełnie białe, a jej figura nieco bardziej zaokrąglona, delikatniejsza. Dżinsowe spodnie i koszulka tej kobiety otulały szczuplejsze, jędrniejsze, zdecydowanie młodsze ciało.

Mam uwierzyć, że po siedemnastu latach dezercji powitają cię z otwartymi ramionami?, prychnęła Raina. Jak na kogoś, kto uważa, że trzeba postępować zgodnie z zasadami, najwyraźniej zapominasz, że sama popełniłaś największy z grzechów: porzuciłaś rodzinę.

Odeszłam, ponieważ nie pozostawiono mi wyboru, odparła kobieta. Z powodu wszystkich tych okropności, do których zamierzałyście zmusić moje dziecko i mnie, z powodu tego, co chciałyście z nas uczynić.

Czego i tak twoje ukochane Nenufary oczekiwałyby pod swoimi rządami. Wargi Rainy wykrzywił przebiegły uśmiech. I co dziwne, oto jesteś, a na dodatek wcale nie wyglądasz na starszą niż te twoje... ile? Czterdzieści pięć? Czterdzieści sześć lat?

Puść ich wolno, Raino, zażądała kobieta. Jeśli ustąpisz, obiecuję, że Nenufary o niczym się nie dowiedzą. Obiecuję też uczynić wszystko, co zechcesz.

A to zabawna historia z tobą i tymi twoimi obietnicami, Charlotte...

Pod maską moje usta otworzyły się szeroko. Obserwowałam sobowtórkę Willi, czekając, aż poprawi Rainę i zaprzeczy, że ma na imię Charlotte... jednak ona wciąż tylko stała niewzruszona, silna, niezachwiana.

Jakoś nigdy nie udaje ci się ich dotrzymać.

Raina rzuciła się naprzód, a w tej samej chwili rozległ się pisk, który - jak się zdawało - roztrzaska mi czaszkę na milion kawałków. Oślepiający tuman piasku, który wzbił się z dna jeziora, sprawił, że nie można było zidentyfikować źródła dźwięku. Nadal próbowałam coś dojrzeć, kiedy czyjeś ramię zakleszczyło się wokół mojej talii i pociągnęło mnie w górę, z dala od najgłębszego miejsca na dnie jeziora. Im dalej, tym wyraźniej widziałam, co się dzieje.

Czy to... Nie, to niemożliwe... Proszę, powiedz, że to nie jest...

A jednak. Paige odpływała od Zary, trzymając jej maskę i zbiornik słonej wody i oddychając dzięki drugiemu, dokładnie takiemu samemu.

Ona tylko chciała pomóc, odparła Charlotte. Coś ci to przypomina?

Nie byłam w stanie odpowiedzieć. Paige musiała przejść transformację. Jakimś sposobem udało jej się stać jedną z nas. Tak wiele uczuć kłębiło się we mnie jednocześnie - szok, strach, rozczarowanie, gniew, miłość - że mój umysł nie był w stanie wyodrębnić jednego, na którym mógłby się skupić, i zgodnie z nim zareagować.

Vanesso, brzmiał głos Charlotte, która uniosła połamaną, zatopioną kanadyjkę i ukryła mnie pod spodem, przez siedemnaście lat starałam się chronić cię na odległość. Wiem, że trudno ci to zrozumieć, i obiecuję, że wszystko ci wyjaśnię... ale proszę, pozwól mi zrobić to, co do mnie należy, żeby cię teraz ochronić.

W pośpiechu uwolniła moje nadgarstki i kostki. W tej chwili od jej twarzy dzieliły mnie centymetry i zobaczyłam jej gładką cerę, naprężoną szyję, srebrzyste oczy. Wyglądała jak dwie kobiety jednocześnie: młodsza wersja tej, którą miałam okazję poznać w ciągu paru minionych tygodni, Willi... i starsza wersja tej, którą po raz pierwszy zobaczyłam na fotografii w sypialni Betty. Była nimi obiema, kimś pomiędzy.

Pamiętasz, co zrobiłaś z wodą w butelce na ławce na Harvard Square?, zapytała.

Pokiwałam głową, wyobrażając sobie bulgoczącą wodę i wzbijającą się pianę w plastikowej butelce.

Pamiętasz, jak do tego doprowadziłaś?

Chyba tak.

Kiedy usłyszysz moje wołanie, chcę, żebyś zrobiła to znowu. Dobrze?

Tutaj? Z całym...

Chciałam zapytać, czy ma na myśli całe jezioro, ale zanim zdążyłam, jej już nie było.

A co z Simonem? wrzasnęłam za nią. A co z Paige?

Cisza.

Leżałam tam, wdychając słoną wodę i z trudem próbując kontrolować torpedujące mnie myśli. W oddali rozległ się szum płynącej masy wody. Potem jakieś krzyki, a po nich odgłosy krztuszenia się i łkania. W końcu wszystkie dźwięki zdominował pojedynczy, wysoki pisk. Swoje źródło miał wewnątrz mojej głowy i promieniował na zewnątrz, aż po chwili odniosłam wrażenie, że cała kanadyjka wibruje.

Skupiłam wzrok na gładkim kamieniu. Wpatrywałam się w niego tak długo, aż stracił ostrość, i wkrótce ujrzałam Zarę. Rainę. Paige. Charlotte. Koncentrowałam się tak mocno, że nie spostrzegłam, kiedy woda wokół mnie zaczęła wypełniać się maleńkimi bąbelkami, zupełnie jakby lada chwila miała się zagotować. Teraz widziałam Justine, skupiłam się na jej uśmiechu, dołeczkach w policzkach i jasnoniebieskich oczach. Bąbelki pęczniały i wybuchały, z każdą chwilą większe, szybsze.

Zobaczyłam Simona: przemierzającego dziedziniec Bates College; trzymającego mnie w objęciach na wozie drabiniastym; wpatzonego we mnie na sali szpitalnej; obracającego się za siebie na leśnej ścieżce; podającego mi miskę prażonej kukurydzy podczas filmu oglądanego razem z Calebem i Justine wiele lat temu.

Zobaczyłam Parkera: opierającego się o szkolną szafkę tuż obok mojej; bandażującego moją nogę w parkowej altanie; skaczącego do wody z burty jachtu; wyciągającego do mnie dłoń.

A kłęby wody pędziły i wirowały, rycząc niczym ocean łapczywie zagarniający plażę po burzy. Kanadyjka uniosła się z piasku i wirując, odpłynęła. Przyszła kolej na mnie. Siła była tak potężna, że zerwała mi z twarzy maskę, a z paska zbiornik słonej wody. Starłam się z nią walczyć, ale byłam zbyt zmęczona i ciało nie chciało być mi posłuszne.

Wtedy poczułam, że ktoś pod pływa do mnie z tyłu. Przyciska mnie do siebie, troskliwie obejmuje brzuch, ramiona. Czyjaś twarz przywarła do mojego karku, a wtedy natychmiast rozpoznałam znajomy profil.

Odnalazł mnie. Jakimś cudem, może z pomocą Charlotte albo Paige, odnalazł mnie w tym dwudziestoakrowym wirze.

Moje ciało wróciło do życia. Przycisnęłam obie dłonie do jego rąk, by zrozumiał, że ma się mocno trzymać, po czym wyginając i skręcając ciało, wyczuwając prądy i wsłuchując się w nie, popłynęłam na ich grzbietach do brzegu, ku wyjącom policyjnym syrenom, których migoczące czerwone niebieskie światła penetrowały wodę.

Kiedy moja głowa w końcu przebiła się ponad powierzchnię, zobaczyłam policyjne wozy na podwórku za naszym domem. Stali tam również Betty, Oliver i Caleb.

Dotarłam aż do platformy do nurkowania znajdującej się dwadzieścia metrów od

brzegu. Dźwignęłam bezwładne ciało Simona na zanurzającą się raz po raz w wodzie metalową drabinkę i podparłam je własnym. Moje wargi, przyciśnięte do jego szyi, ogrzewały słaby, zanikający puls.

Czekałam tam, dopóki nie zjawiała się pomoc, licząc sekundy pomiędzy uderzeniami tętna, zupełnie tak jak dawniej odliczałam sekundy pomiędzy błyskami pioruna, i w kółko powtarzałam szeptem trzy słowa.

- Jesteśmy sobie przeznaczeni... jesteśmy sobie przeznaczeni... jesteśmy sobie przeznaczeni...

- Uniwersytet Hawajski W danej chwili brzmi całkiem nieźle.

Opuściłam „The Globe” i spojrzałam na Paige, która usiadła w niskim drewnianym fotelu obok mnie. Potarła dłonie, złożyła je w muszelkę i zaczęła chuchać. Na kolanach miała prawie pustą pomarańczową miskę na cukierki w kształcie dyni.

- Co o tym sądzisz? - zapytała. - Palmy? Ciepła turkusowa woda?

- Myślałam, że chcesz być tak daleko od wody, jak to tylko możliwe.

Jej uśmiech zbladł. Zapięła płaszcz pod szyję, skrzyżowała ramiona na piersi i przeniosła wzrok na jezioro.

- Została nam już tylko guma do żucia bez cukru. Może powinnam skoczyć do sklepu i kupić trochę cukierków. Dzieciaki zbierające słodczyce pod groźbą psikusów mają długie języki, a ja nie chciałabym, żeby wasz dom okrył się złą sławą jako miejsce, w którym nie ma czekolady.

Gdzieś za nami rozległ się przeciągły, donośny brzęk przypominający odgłos naczyń upadających na kafelkową posadzkę. Chwilę później usłyszałyśmy, jak mama woła tatę.

- Nie wydaje mi się, żeby teraz miało to jakieś znaczenie - odparłam.

Zmarszczyła czoło.

- Naprawdę zamierzają go sprzedać?

Spojrzałam na jezioro. W jego równej, nieruchomej powierzchni odbijały się czubki bezlistnych drzew i pochmurne, szare niebo...

- Naprawdę będą próbować.

- Ale czy ten dom nie jest ich własnością od...

- Zawsze? - dokończyłam. - Zgadza się.

Pochyliła się w moją stronę, zniżyła głos, zupełnie jakbyśmy nie byli jedynymi osobami w okolicy siedzącymi na trzaskającym mrozie.

- Ale ona wie, prawda? Twoja mama? Wyjaśniłaś jej, że odeszły już na dobre i że to, co zdarzyło się w ubiegłym tygodniu, już nigdy więcej się nie powtórzy?

- Owszem. Ale była okłamywana przez dwadzieścia lat, więc nie sądzę, że potrafi jeszcze rozróżnić, co jest prawdą, a co nie.

- Ale twój tato nic o tym nie wiedział? To znaczy kim naprawdę była... kim naprawdę jest Charlotte?

- Nie. Ponieważ nigdy nie zabijała. Kiedy po latach zobaczył ją znowu, wyglądała na całe wieki starszą niż w rzeczywistości. I tylko na wszelki wypadek zafarbowwała włosy i założyła kolorowe soczewki kontaktowe. Opuściłam wzrok na gazetę. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie mężczyzny w koszulce piłkarskiej i czapeczce Red Soksów wiwatującego na trybunach w Fenway Park. Nad zdjęciem zamieszczono nagłówek, który w ciągu ostatniej doby przeczytałam setki razy: „Ciało zaginionego pracownika służb oczyszczania miasta Geralda O'Malleya, lat 43, znalezione w południowym Bostonie”.

Choć widziałam go tylko raz, natychmiast rozpoznałam tę twarz. Gerald O'Malley był jednym z kierowców śmieciarki, którzy zaczepiali mnie przed domem Willi, przed domem Charlotte. Według samej Charlotte po moim wyjściu tamtego dnia, wrócili, żeby zabrać śmieci z domów po jej stronie ulicy. Szła za nimi, kiedy robili swój stały kurs aż nad wodę, a potem - jak powiedziała - zrobiła to, co należało zrobić.

Twierdziła, że po raz pierwszy w życiu odebrała komuś życie. I że zrobiła to tylko po to, by odzyskać siły, bo inaczej nie dałaby rady uchronić mnie przed syrenami z Winter Harbor. Wyjaśniła, że po przeprowadzce do Bostonu zmieniła nazwisko w nadziei, że utrzyma swoją prawdziwą tożsamość w tajemnicy przed tatą i wszystkimi, którzy ją znali, i że przez zaniedbanie potrzeb własnego ciała drastycznie się postarzała. Kiedy życie opuściło ciała mężczyzny i weszło w nią, jej zegar biologiczny cofnął się o całe lata.

Podobnie jak mama, która poznawszy prawdę o mojej rodzonej matce, o tacie i o mnie, na dwa dni zamknęła się w łazience, ja też nie byłam już pewna, w co wierzyć. To dlatego, kiedy podziękowałam Charlotte, że pomogła Paige uratować Simona i mnie z głębin jeziora rojącego się od morderczych syren, powiedziałam, że wolałabym na razie się z nią nie widywać. Musiałam mieć czas do namysłu i najlepiej, żeby nikt moich myśli nie słuchał.

- Dlaczego to zrobiłaś, Paige? - zapytałam cicho.

- Vanesso... już ci mówiłam.

- Powiedz mi jeszcze raz. - Spojrzałam na nią. - Proszę.

Oparła się wygodniej i przycisnęła do siebie plastikową dynię.

- Po tym, jak ubiegłego lata straciłam... wszystko... chciałam mieć coś, co znów byłoby tylko moje. Ty i twoi rodzice zachowaliście się wspaniale, przyjmując mnie do siebie, ale to wciąż byli twoi rodzice. Mieszkałam w twoim domu, chodziłam do twojej szkoły. A potem, w środku całej tej uczelnianej gorączki, zdałam sobie sprawę, że próbuję ułożyć sobie przyszłość, która też nie jest moją przyszłością. Bo gdyby wydarzenia ubiegłego lata nie miały miejsca, skończyłabym tutejszą szkołę i prawdopodobnie wcale nie poszłabym na studia. Podjęłabym na stałe pracę w restauracji, ostatecznie wyszłabym za jakiegoś



miejscowego rybaka - po tym, jak Jonathan nieuchronnie porzuciłby mnie dla jakiejś ładniutkiej geniuszki z prestiżowej uczelni, którą jego rodzice przyjęliby z otwartymi ramionami - i urodziłabym mu kupę dzieciaków.

Złapałam ją za rękę. Pozwoliła mi ją przytrzymać.

- A później... sama nie wiem... Betty próbowała mnie przekonać do transformacji, bo tego chciały Raina i Zara, ale nawet gdyby one nie miały z tym nic wspólnego, myślę, że nadal czułabym pokusę. - Zamilkła na chwilę. - Przynajmniej cała moc zostanie w moich rękach, wiesz? I będę mogła wykorzystać ją tak, jak zechcę, żeby pomagać ludziom, zamiast ich krzywdzić.

- Ale...

- Vanesso... - Posłała mi lekki uśmiech i ścisnęła moją dłoń. - Wiem. To trudne i skomplikowane. Ale już za późno.

Usiłowałam odwzajemnić jej uśmiech, widząc oczami wyobraźni Paige w oceanie, krztuszącą się słoną wodą, zanim jej ciało w końcu uległo. Niestety, wyznając jej prawdę o sobie, tylko przyczyniłam się do tego, by ostatecznie zdecydowała się podjąć ten krok, tym bardziej że uznała, iż we dwie zwiększymy nasze szanse na ostateczne pokonanie syren. Wkrótce po moim wyjściu „do szkoły”, gdy w rzeczywistości udałam się do Charlotte, Paige zapytała mamę, czy nie pożyczyłaby jej samochodu, bo marzy o tym, by na jakiś czas wyrwać się z domu, po czym pojechała prosto do Winter Harbor. Odnalazła Betty w jej sypialni, pogrążoną w transie przed otwartym oknem, i wołając jej imię, i tuląc się do niej, zdołała ją z niego wyrwać.

Najwyraźniej jeżeli chodzi o syreny, siła miłości działa na kobiety równie mocno jak na mężczyzn. Tym razem bowiem Raina i jej towarzyszkę wykorzystały miłość Betty do wnuczki, by przejąć władzę nad jej umysłem.

Pomimo że Simon niejednokrotnie przyrzekał, jakoby syreny nie miały szans przeżyć prawie trzech miesięcy w lodzie, one zdołały przetrwać. Pozostały nieprzytomne, dopóki trzymał mróz, a kiedy lód stopniał, ich ciała powoli, chłonąc przez pory skóry morską wodę, wybudziły się do życia. Nie udało się tylko tym, które zostały znalezione wcześniej przez nurków głębinowych. Tamte syreny wydobyto na powierzchnię zbyt szybko, zresztą nurkowie niedługo potem słono zapłacili za swoje odkrycie.

Syreny, które przeżyły, zaczęły od Olivera i użyły nadwątlonych sił, by przekonać starca, że skoro naprawdę kocha Betty, jak twierdzi, to powinien zrobić wszystko, co może, by sprowadzić Paige z powrotem do domu, choć sama Betty z uporem powtarzała, że wyjazd do Bostonu to dla jej wnuczki najlepsze wyjście. Ponieważ jego uczucie do Betty było

silniejsze niż strach przed syrenami, ich sposób się sprawdził. Oliver tańczył, jak mu zagrały, budując dla nich balie oraz pomagając im wrócić do formy i namierzać ofiary, a także manipulować Betty, by ona z kolei manipulowała Paige. Ich ostateczny plan obejmował transformację Paige, dzięki której zyskałyby kolejną członkinię w swoich szeregach, a następnie przekonanie mnie, bym do nich dołączyła... albo pozbycie się problemu.

Na szczęście, gdy Betty znów stała się sobą, Oliver także się odmienił. Niechętni, ale zbyt słabi, by się sprzeciwić, pomogli Paige przejść transformację w oceanie za ich domem. Paige szybko doszła do siebie, a wtedy razem z Betty zabrały się do nasłuchiwania pozostałych syren. Kiedy dosłyszały ich myśli, zawiadomiły władze o możliwych wypadkach utonięcia i dotarły nad jezioro kilka sekund po Charlotte. Caleb, wróciwszy do domu po pracy na przystani, zobaczył spienione wody jeziora oraz światła migoczące pod powierzchnią i przyłączył się do pozostałych osób, które czekały na naszym podwórku za domem.

- Ale spójrz na to optymistycznie - zaproponowała Paige chwilę później, wytrącając mnie z zamyślenia. - Teraz jesteśmy dla siebie jak siostry bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

Zanim zdążyłam postanowić, jak na to zareagować, w oddali rozległ się dźwięk dzwonka. Paige poderwała się i pobiegła w stronę domku.

- Mam nadzieję, że małe potwory nie będą miały nam za złe pachnącego miętową świeżością oddechu! - zawołała przez ramię.

Małe potwory. Miała na myśli dzieci zbierające cukierki z okazji Halloween, ale we mnie to słowo nadal budziło dziwne skojarzenia. Do czasu tej rozmowy tak naprawdę nie miałyśmy okazji pomówić o jej transformacji, o tym, co z niej wynikało, ani o innych sprawach, których wolałyśmy nie poruszać w ciągu ostatnich tygodni. Jak do tej pory ta rozmowa okazała się najbardziej owocna. Jednak wiedziałam, że kiedy już zagłębimy się w ten temat, zapytam ją między innymi o to, jakim cudem jest w stanie traktować to tak bez troski. Czy to jedynie mechanizm obronny, na co w duchu liczyłam... czy Paige faktycznie cieszyła się, że jest jedną z nas?

- Miętówkę?

Na dźwięk głosu poderwałam głowę. Za pustym fotelem Paige stał Simon i majstrował przy paczce gum do żucia.

- Mam nadzieję, że dla przebierańców chowasz lepsze łakocie - dodał. - Nie chcesz chyba, żeby wasz dom okrzyknięto jedynym w Winter Harbor, który z okazji Halloween dba o użębie.

Wstałam, podeszłam do niego, czując kołatanie serca w piersiach.

- Simon...

Uniół rękę, po czym opuścił ją, dłonią do góry. Złapałam ją ostrożnie w obawie, że się odsunie. Kiedy tego nie zrobił, moje oczy zaszklily się łzami. Szliśmy w milczeniu trawnikiem, zwiększając odległość między sobą a domem.

Po wypiciu hektolitrow wody z jeziora, którą można byłoby z powodzeniem zapełnić basen średnich rozmiarów, Simon był hospitalizowany przez cztery dni. Odwiedziłam go co najmniej dziesięć razy, ale zawsze kiedy przychodziłam, był u niego ktoś jeszcze: a to Caleb, a to jego rodzice, a nawet dawni szkolni nauczyciele, dlatego do tej pory nie mieliśmy okazji porozmawiać. Teraz nie wiedziałam, od czego zacząć.

- Znow nosisz okulary - podjęłam próbę kilka minut później.

Uśmiechnął się, w zamyśleniu przesuwając palcem czarną ramkę wyżej na nosie.

- Niczego nie zmieniły.

Przystanęliśmy na skraju pomostu.

- Co niczego nie zmieniło? - zapytałam.

- Soczewki. To był pomysł Riley'a. Myślał, że soczewki kontaktowe pomogą.

- Na twój wzrok?

- W pewnym sensie. - Puścił moją dłoń i wsunął obie ręce do kieszeni kurtki. - Widziałem, jak ci faceci na ciebie patrzyli, Vanesso. W szkole, w kawiarni. Oczywiście zakładałem, że to zrozumiałe, w końcu jesteś niesamowicie piękną dziewczyną i ten, kto tego nie dostrzega, musi być ślepcem. Nie mogłem ich winić, mogłem za to popracować nad własnym wizerunkiem, żebyś ty nie reagowała na ich spojrzenia.

- Nie musiałeś tego robić. Niczego nie musiałeś robić.

- No tak. Bo i tak byś ze mną zerwała.

Wyciągnęłam do niego ręce, ale zauważyłam, jak bardzo jest spięty, więc cofnęłam je.

- Próbowałam cię chronić - wyjaśniłam drżącym głosem. - Nie miałam pojęcia, jak ci o tym powiedzieć, a wiedziałam, że gdy tylko się dowiesz, nie będziemy mogli być razem.

- Założyłaś - poprawił szybko. - Nie wiedziałaś, jak będzie. Nie mogłaś wiedzieć, nie rozmawiając przedtem ze mną.

- Odczuwam pragnienie - oznajmiłam, a w gardle automatycznie mi zaschło. - Kiedy jestem szczęśliwa, podekscytowana, zdenerwowana, zła, bez przerwy. Każdego dnia muszę wypijać galony słonej wody. Muszę brać kąpiele w słonej wodzie i pływać w oceanie tak często, jak to tylko możliwe. Nie chcesz tego znosić. Ja nie chcę, żebyś to musiał znosić.

- Vanesso - powiedział smutno - jeżeli kogoś kochasz, nie tylko znosisz czyjeś problemy. Nie tolerujesz ich z nadzieją, że może pewnego dnia same znikną. Wspólnie starasz się znaleźć rozwiązanie i to nie dlatego, że masz dość niedogodności, ale dlatego, że

życie twoje i ukochanej osoby jest splecione, związane. Kiedy ty jesteś szczęśliwa i ja jestem szczęśliwy, a kiedy cierpisz... nic innego się nie liczy.

Opuściłam głowę i otarłam napływające do oczu łzy.

- Nie wiedziałam, że mnie kochasz.

- Nie wiedziałaś... jak mogłaś nie wiedzieć...

- Byłam przekonana, że tak ci się tylko wydaje. Przez to, kim, a raczej czym, jestem. Bardzo chciałam wierzyć, że te uczucia są prawdziwe... ale nie wiedziałam, czy były.

Nic nie odpowiedział. Gdy znów podniosłam wzrok, spoglądał na tafłę jeziora, zaciskając i rozluźniając szczęki.

- Wiedziałaś tylko - mówiłam dalej niemal niedosłyszalnym szeptem - że ja ciebie kocham.

Jego szczęki zacisnęły się i znieruchomiały. Zamrugał powiekami i zamknął oczy, a jego grdyka przesuwiała się to w górę, to w dół.

- I choć serce krwawiło mi na myśl, że nie mogę z tobą być, nie umiałam znieść myśli, że nigdy nie zaznasz przy mnie prawdziwego, pełnego życia. Więc kiedy powiedziałeś, że zastanawiasz się, czy nie zrezygnować z Bates i nie przenieść się na uczelnię do Bostonu, zmienić swoje życie w imię czegoś, co może nawet nie jest rzeczywiste... nie mogłam na to pozwolić.

Otworzył oczy. Podążyłam za jego spojrzeniem w kierunku kwadratowej platformy do nurkowania, przy której zaledwie kilka dni wcześniej trzymałam go kurczowo, jakby nasze serca - tak jak nasze problemy - były splecione, związane.

- To było prawdziwe. - Spojrzał na mnie, czekając, aż spotkam się z jego wzrokiem. - Chcesz wiedzieć, skąd o tym wiem?

Zawahałam się, po czym przytaknęłam.

- Bo kiedy zobaczyłem cię z tamtym gościem, załamane się. Zupełnie się rozkleiłem.

Tamten gość. Parker.

- Simon, mogę to wyjaśnić...

- Wszystkie trzy sytuacje? - Żal w jego głosie spotęgował się. - Możesz wyjaśnić, co robiłaś na jego łodzi, na tym zdjęciu w internecie i na ulicy w Bostonie? Nie wspominając o innych, których nie byłem świadkiem?

- Między nami do niczego nie doszło - zapewniłam, czując palący ból w piersi. - Kilka razy się całowaliśmy, ale...

- Vanesso. - Potrząsnął głową. - Widziałem was. To nie były tylko pocałunki. To nie był przypadek.

Odwrociłam wzrok. Miałam mu powiedzieć?..Jak uwaga mężczyzny dodaje mi sił? I dlaczego chciałam stać się silniejsza? Czy miałam pozwolić uwierzyć mu w to, co najgorsze, żeby w końcu mógł się ode mnie uwolnić?

- Przepraszam.

Obróciłam głowę w jego stronę. Patrzył na mnie, a brązowe ciepłe oczy napępniały się łzami.

- Przepraszam - powtórzył cicho - że pozwoliłem, by Zara mnie dopadła. Przepraszam, że ją całowałem. Przepraszam, że powiedziałem jej, że... czuję coś, co czułem tylko do ciebie.

- Przestań. - Postąpiłam w jego stronę, delikatnie przykładając dłonie do jego twarzy i kciukami ocierając łzy. - To nie ważne. Nie zrobiłeś nic złego.

Wziął moje dłonie w swoje ręce i odciągnął je od swojej twarzy.

- To jest ważne. Bo nie doszłoby do tego, gdyby moje uczucia do ciebie były równie silne jak zawsze.

- Skrzywdziłam cię - broniłam go z uporem. - Niezależnie od tego, co zrobiłam czy czego nie zrobiłam, skrzywdziłam cię. To normalne, że twoje uczucia nie były tak silne jak zawsze.

- Nie są.

Obserwowałam nowe łzy wzbierające w jego oczach i toczące się po policzkach.

- Słucham? - wyszeptalam.

- Nie są tak silne jak kiedyś. - Jego dłonie, wciąż zamknięte na moich, drżały. - Stąd wiem, że to, co czułem, było prawdziwe. Bo gdyby nie było, twoja moc wszystko by już naprawiła. Nie pamiętałbym, co zrobiłaś, jeszcze zanim zdążyłbym ci wybaczyć. Urwał i wziął płytki, urywany oddech. - Kochałbym cię teraz równie mocno, jak kochałem wcześniej.

Kiedy powoli opuściliśmy dłonie, a po chwili zwolniliśmy uścisk, jak przez mgłę dotarło do mnie, że tracę czucie w nogach i rękach.

- Kocham cię, Vanesso - oznajmił łamiącym się głosem. - Na dobre i na złe i nie sądzę, by cokolwiek zdołało to zmienić. Ale w tej chwili czuję coś jeszcze. Coś silnego. Bolesnego.

Wpatrując się w jego twarz, spróbowałam sobie wyobrazić, że nie będę mogła widywać jej zawsze, kiedy będę chciała, kiedy będę tego potrzebowała.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytałam.

- Chcę powiedzieć, że... potrzebuję czasu, żeby sobie to wszystko poukładać.

Nie miałam prawa pytać, ale musiałam wiedzieć.

- Ile czasu?

- Nie jestem pewien. Myślę, że mniej niż więcej. - Spojrzał na mnie ze łzami w oczach. - Ale przecież masz Paige. Masz swoją rodzinę. Udało się wyprostować sprawy między wami, prawda?

No tak, prawda. Ale to miało wystarczyć? To było coś zupełnie innego.

- Będę przy tobie, jeśli będziesz mnie potrzebować - zapewnił cicho, wycofując się. - Ale gdybyś mogła nie potrzebować mnie przez jakiś czas... byłbym ci wdzięczny.

Patrzyłam, jak odchodzi. Jeszcze przez chwilę cofał się przodem do mnie, po czym odwrócił się i pobiegł truchtem. Nie wrócił do naszego domku, skąd przyszedł, tylko przeciął boczne podwórko i skierował się do domu swoich rodziców.

Przez kilka minut trwałam w bezruchu. Stałam, ledwie czując lekki powiew lodowatego wiatru, ledwie słysząc nawoływania nurów niosące się po tafli jeziora, muzykę dobiegającą z wnętrza domu, śmiech dzieciaków domagających się słodczy gdzieś przy końcu ulicy. Czekałam z nadzieją aż Simon z powrotem przebiegnie przez podwórze, porwie mnie w ramiona i powie, że popełnił straszny, niewybaczalny błąd. Że oboje popełniliśmy błąd, ale że razem go naprawimy, bo właśnie razem powinniśmy być, bez względu na wszystko.

Ale tak się nie stało. Aż wreszcie, kiedy z nieba posypały się pierwsze w tym sezonie płatki śniegu, oprószając jezioro i szczypiąc moją rozgrzaną skórę, zrezygnowałam.

Ruszyłam powoli trawnikiem. Doszłam do domu, weszłam do środka i przemaszerowałam przez salon. Mijając kuchnię, pomachałam do taty, który zawijał naczynia w folię bąbelkową i wkładał je do kartonowych pudeł. Podążyłam dalej korytarzem, kierując się na drugie piętro. Na schodach zerknęłam przez okno i zobaczyłam, jak Paige obdarowuje trzy młode czarownice, wrzucając paczki gum do żucia do plastikowych miseczek w kształcie dyni. Na górze przeszłam obok pokoju rodziców i łazienki dla gości, nie zaglądając do środka. Na końcu korytarza skręciłam i przystanęłam w otwartych drzwiach.

Mama była w pokoju, który niegdyś zajmowałam razem z Justine, i przebierała w letnich ubraniach. Pod koniec lata, zanim opuściliśmy Winter Harbor, nie była w stanie nawet spojrzeć na nie.

- Cześć - odezwałam się.

Odwróciła się i posłała mi przelotny uśmiech.

- Cześć, kochanie. Jak się czujesz?

- W porządku. - Weszłam do pokoju, przebiegając wzrokiem po starych plakatach z homarem i zabytkowych pocztówkach przedstawiających jezioro Kantaka, które ozdabiały ściany. - A ty?

- Lekko zdezorientowana, ale poza tym też dobrze. - Podniosła stertę poskładanych koszulek z komody Justine i ułożyła je w otwartej walizce na łóżku. - Czy twój ojciec wspominał, że już dostaliśmy ofertę kupna? Na razie to tylko wstępne rozmowy, ale kupiec twierdzi, że jest gotów się wprowadzić, gdy tylko dostanie od nas zielone światło. - Przerwała składanie i wsparła dłonie na biodrach. - Mamy takie mnóstwo rzeczy do posegregowania, że trudno powiedzieć, kiedy to nastąpi.

- Ciągle nie mogę uwierzyć, że sprzedajecie ten dom.

- No cóż - odparła, wzdychając i zbliżając się do skrzyni pełnej zapasowych koców - kiedy nadchodzi fala, masz dwa wyjścia: albo stać w miejscu i pozwolić, by obmyła cię woda, a twoje stopy głębiej zapadły się w mokry piasek... albo możesz usunąć się jej z drogi. Odejść w głąb plaży albo całkiem ją opuścić, jeśli zechcesz. Najważniejsze to nie utknąć.

- Nie chcę utknąć.

Odwróciła się w moją stronę, a jej usta ułożyły się w prostą linię.

- Ani ja.

Po chwili zabrała się na nowo za pakowanie i oparła się o komodę. Spojrzałam na przeciwległy koniec pokoju, w stronę okna, na śnieg, który sypał teraz szybciej, gęściej, a potem na zabytkowe ręczne lustro wiszące na ścianie obok. Srebrną ramę lusterka pokrywała patyna, ale przez ułamek sekundy zalśniło jak nowe.

- Ciągle jeszcze masz te wszystkie gadzety z collegeu, które kupiłaś w zeszłym roku? - zapytałam, przyłączając się do mamy stojącej przy drewnianej skrzyni.

Jej dłonie znieruchomiały tylko na krótką chwilę, po czym wróciła do składania.

- Jakie gadzety?

- Kubki i breloczki na klucze. Parasolki i bluzy.

- Możliwe, że część z tego się ostała - odparła.

- To dobrze - stwierdziłam. - Bo chyba będą mi potrzebne.

Przerwała składanie i spojrzała na mnie.

- Do czego?

A potem, myśląc o Justine, o mamie i tacie, o Charlotte i Paige, o Simonie i Parkerze, o konfrontacji z demonami i stawianiu czoła lękom, których wolałabym nie odczuwać, wyjawiałam coś, co - jak właśnie zdałam sobie sprawę - rozważałam od miesięcy.

- Bo składam papiery - oznajmiłam - do Dartmouth.

TRICIA RAY BURN zaczęła pisać jeszcze jako nastolatka. Dziś jest uznaną autorką książek dla młodzieży. Jej cykl o syrenach to niezwykle romantyczne powieści z mrocznym sensacyjnym wątkiem. Prawa do serii zostały sprzedane do kilkunastu krajów, m.in. do Niemiec, Włoch, Wielkiej Brytanii i Australii.

Tricia uwielbia wodę, pomimo lęku przez stworzeniami z głębin, dlatego zamieszkała w nadmorskiej miejscowości na wschodnim wybrzeżu Long Island.

Vanessa jest niezwykle interesującą postacią, której wypowiedzi trafnie ukazują targające nią uczucia. Cykl z pewnością spodoba się wielbicielom współczesnych powieści fantastycznych, zaś pojawiające się w tekście dwuznaczności i zarysowane wątki zaostrożą apetyt czytelnika.

Booklist”